

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI

Każdy człowiek ma swoje tajemnice. Każda dusza ma ciemne zakamarki. Nie każdy jest tym, za kogo próbuje uchodzić. Przemysław Borkowski odsłania przed czytelnikami mroczną stronę ludzkiej natury i każe nam się zastanawiać nad istotą dobra i zła.

MAŁGORZATA ROGALA

NIEDOBRZY PASTERZ



PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI
NIEDOBRZY
PASTERZ

Copyright © Przemysław Borkowski, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Agnieszka Jeż-Kaflik / Słowne Babki

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Projekt okładki: rserezhechkin/shutterstock, Mikado767/shutterstock, Olga

Lyubkin/shutterstock

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-941-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

„Co słychać, panie tygrysie?
A nic. Nudzi mi się.
Chciałby pan wyjść z za tych krat?
Pewnie. Przynajmniej bym pana zjadł”.

Jan Brzechwa, *Tygrys*

ROZDZIAŁ 1

Wiatr zerwał się po zmroku i wiał przez całą noc. Okolica, tak jeszcze do niedawna spokojna, sielska wręcz, rozleniwiona i uśpiona sierpniowym upałem, okazywała nagle inne oblicze. Drzewa skrzypiały, rynny jęczały, dachy uginały się pod naporem mas powietrza zwiastujących zmianę pogody i nieuchronny koniec lata. Niemal widział, jak zakończone białymi grzywami fale przetaczają się po jeziorze, uderzając z upartym impetem o ledwo dające radę je powstrzymać falochrony trzcin.

Stał nago na środku pokoju na poddaszu tego domu, którego nigdy nie polubił, i patrzył na swoje odbicie w kryształowym, pociemniałym ze starości lustrze umieszczonym na środkowych drzwiach równie starej drewnianej ponemieckiej jeszcze szafy. W lustrze, w którym przeglądało się przed nim kilka pokoleń tak samo jak on samotnych, nieszczęśliwych i jeszcze raz samotnych mężczyzn – najpierw Polaków, potem Niemców, a potem znowu Polaków. Jego ciało, widział to aż nazbyt wyraźnie, zaczynało już przejawiać pierwsze objawy starości. Nigdy nie było przesadnie umięśnione, kiedyś przynajmniej jednak świeże, jędrne i co najważniejsze – szczupłe. Teraz zaczynało powoli obwisać, jakby ciążyło już ku ziemi, gdzie prędzej czy później trafi – jak wszystkie

ciała na tym świecie. Niczym kropla wody pragnąca już powrócić do swej ojczyzny w podziemnych, oligoceńskich morzach.

Naraz przypomniał sobie tamto drugie ciało. Ciało młodsze, jędrniejsze i świeższe, niż jego kiedykolwiek było. Ciało kobiece, dziewczęce w zasadzie. Ciało, które zbrukał i splugawił na zawsze obosiecznym grzechem, takim, który skaził również i jego nieśmiertelną – jaka szkoda – duszę.

Przypominał je sobie i nie mógł wzbudzić w sobie żalu. Ani tym bardziej szczerego postanowienia poprawy. Wiedział, że gdyby jeszcze raz napotkał je na swej drodze, nie potrafiłby również – tak jak wtedy – wyrzec się tego szatana.

Nagle za jego plecami coś eksplodowało. Przerażliwy, wysoki, ostry huk podniósł mu wszystkie włoski na ciele. Nie zdążył nawet się odwrócić, gdy poczuł, jak jakiś przedmiot przelatuje mu koło głowy. Zobaczył, jak stuletnie lustro pęka i rozsypuje się na dziesiątki kawałków, na każdym z których uwieczony został fragment jego zszarzałego odbicia. Spojrzał pod nogi. Na podłodze, w aureoli szklanych odłamków leżał kamień. Okrągły, niezbyt duży kamień, jakich pełno na okolicznych morenowych wzgórzach. Przez wybitą szybę w oknie wdarł się podmuch zimnego wichru, wzbudzając nagły dreszcz w jego nagim ciele. Przez świst wpadającego przez poszarpany otwór powietrza przebił się ludzki głos. Wysoki, piskliwy krzyk był tylko trochę głośniejszy od szumu gałęzi i odgłosu wiatru.

„Morderca!”

Przez chwilę wydawało mu się, że to tylko złudzenie. Że to w nim coś tak krzyczy. Coś, może jego nie do końca zdechłe sumienie.

„Morderca!”, powtórzył jednak po chwili ten sam głos, tym razem głośniej i wyraźniej.

Drugi kamień poszybował w kierunku okna, trafiając dla odmiany w blaszany parapet.

„Dowiedzieli się”, pomyślał ze strachem. Było to pierwsze, co przyszło mu do głowy. Kiedyś wreszcie musieli się dowiedzieć.

Drzwi szafy powoli się otworzyły, ukazując pachnące starym drewnem wnętrze. Wciąż tam była. Wisiała. Długa do ziemi czarna suknia zapinana na środku na rząd wypukłych, obciągniętych takim samym czarnym materiałem guzików. Jego mundur, kaftan bezpieczeństwa i przenośne więzienie. Zaopatrzona u góry w elegancką stójkę, z której z jednej strony zwisał długi, biały, sztywny pasek materiału – koloratka.

ROZDZIAŁ 2

— Bez samochodu będzie tu panu ciężko – miła i nad wyraz kompetentna agentka biura nieruchomości powiedziała to z autentyczną troską. – Jest tu co prawda we wsi przystanek, niedaleko kościoła, w samym centrum, ale ma pan do niego jeszcze co najmniej kilometr marszu. No i autobusy są tylko co godzinę.

— Jakoś sobie poradzę – odpowiedział Rozłucki.

Jechali jej samochodem, kilkunastoletnią srebrną hondą accord, równie zadbaną i dobrze utrzymaną, jak ona sama. Oprócz ich dwojga, podróżował nią również cały przesiedleńczy majątek Rozłuckiego – dwie walizki, jedna wypełniona książkami, a druga ubraniami.

— Teraz to jeszcze nic. Ale niech pan sobie wyobrazi zimę. Śnieg albo co gorsza roztopy. Gdzie pan będzie pracował? – spytała. Jej dziewczęcy koński ogon, przetykany całkiem już jednak licznymi siwymi włosami, rozłożył się nonszalancko na zagłówku fotela kierowcy. Oczy, zaopatrzone w złote okulary w kształcie łez, których zewnętrzne, ostre krawędzie uniesione były zawadiacko w górę, spojrzały na niego przelotnie spod płowej grzywki. „Kiedyś musiała być całkiem ładna”, pomyślał. Może nie jakoś strasznie, ale wystarczająco. Ciekawe, czemu nikogo sobie nie znalazła. Jej

staropanięskość aż biła w oczy.

— W przychodni Szpitala Psychiatrycznego w Olsztynie. Aleja Wojska Polskiego 35.

— O, matko! – rzuciła mu kolejne, tym razem zaniepokojone spojrzenie.

Był to jeszcze jeden dowód na to, że dla większości ludzi praca w szpitalu psychiatrycznym niewiele różniła się od pobytu w tymże szpitalu. Zaś obie te rzeczy były synonimem ciężkiej choroby zagrażającej zdrowiu i życiu wszystkich dookoła.

– To prawie drugi koniec miasta! – dodała szybko, żeby usprawiedliwić *ex post* swoją przesadną reakcję. – Będzie pan musiał się przesiąść pod ratuszem. To dodatkowe pół godziny. Naprawdę, bez samochodu będzie panu ciężko. Jest pan psychiatrą? – spytała po chwili.

— Psychologiem. Będę prowadził terapie pacjentów niezakwalifikowanych do przyjęcia na pobyt stały.

Dojechali do drogowskazu i skręcili z głównej drogi. Wąska, asfaltowa szosa ocieniona była z obu stron starymi drzewami. Po jej prawej stronie widać było jezioro. Duże, sięgające aż po horyzont, choć w tym miejscu jeszcze dość wąskie. Po lewej rozciągał się las.

Minęli tablicę z nazwą miejscowości.

— Zna pan te okolice, był pan już tu wcześniej? – spytała agentka. – Czy znalazł pan naszą ofertę w Internecie?

— Byłem – odpowiedział. – Parę miesięcy temu. Już wtedy zwróciłem uwagę na ten dom. Ale w tym czasie miał jeszcze

właściciela.

Agentka pokiwała głową, przerywając wypoczynek swoich włosów na zagłówniku.

— Tak – powiedziała. – Straszna historia. Słyszał ją pan? To dlatego miałam taki problem z tym domem. Nikt nie chciał go kupić czy nawet wynająć. Wiele osób oglądało, bo dom położony jest doprawdy ślicznie, taki widok na jezioro wart jest wszystkich pieniędzy, ale gdy dowiadywali się, co się tam stało, rezygnowali. A spadkobierca za nic nie chciał obniżyć ceny. Dopiero ostatnio go przekonałam.

— I dlatego stać mnie było na wynajem – powiedział Rozłucki.

— A pan nie miał żadnych obiekcji? – Spojrzała na niego z ciekawością. – Podobno w innych krajach, na Zachodzie i w Ameryce, takie domy są nawet droższe niż normalne. Ale u nas ludzie ciągle się jeszcze boją. W duchy wierzą, czy co? Pan nie wierzy w duchy?

Mijali właśnie kościół. Przysadzista, ceglana budowla w charakterystycznym dla dawnego państwa krzyżackiego stylu topornego, pozbawionego wszelkich ozdób gotyku, zajmowała najwyższy punkt rozległego, lecz niezbyt wysokiego morenowego wzgórza, na którego stokach rozsiadła się reszta wsi. Tuż za kościołem widać było inny, niższy budynek, zwieńczony spadzistym, łamanym dachem i zaopatrzony w mały ganek z dwoma pseudodoryckimi kolumnami – zapewne plebanię. Jakiś człowiek stał na drabinie opartej o dach, jakby naprawiał coś przy

jednym z okien na poddaszu.

— Z naukowego punktu widzenia duchy są zjawiskiem psychicznym. Tak samo realnym jak inne psychiczne zjawiska – powiedział w zamyśleniu, bo przypominał sobie właśnie wszystko to, co wydarzyło się tu parę miesięcy temu.

— No dobrze, rozumiem – nie dawała za wygraną agentka. – Ale czy wierzy pan, że zmarli, którzy zginęli śmiercią tragiczną, zamordowani albo ci, jak tamten nieszczęśnik, którzy sami odebrali sobie życie, wracają potem na miejsce swojej okrutnej kaźni?

— Pani Iwono, pochodzę z Warszawy. Gdyby to była prawda, to miasto byłoby pełne duchów. Nie można by się było wprost od nich odgonić. W czasie ostatniej wojny Niemcy zamordowali tam kilkaset tysięcy ludzi.

— No tak – powiedziała. – Nie pomyślałam o tym.

Droga wiodła przez sam środek wsi, nieomal szczytem morenowego wzgórza. Mijali stare domy z czerwonej cegły, niskie i przysadziste, jakby zapadłe już trochę w ziemię.

— Tam, za kościołem – pokazała lewą ręką – jest pętla autobusowa. Jest tam też sklep, poczta, a nawet restauracja. Ostatnio wielu ludzi wyprowadza się z Olsztyna i kupuje lub buduje domy w takich miejscowościach jak ta. A wraz z nimi przychodzą i usługi. Tam, jeszcze dalej – znowu wskazała ręką – jest całe osiedle nowych domów. Wszyscy oczywiście woleliby się budować nad jeziorem, ale to nie takie proste. Całą tę ziemię ma Gorbała, miejscowy bogacz. Mógłby ją odrolnić i sprzedać, zarobiłby

na tym mnóstwo pieniędzy, ale nie chce. Twierdzi, że zbuduje na niej hotel. Wielki, jak Gołębiewski w Mikołajkach. Ale gada tak już parę lat i nic z tego nie wynika. Zresztą moim zdaniem to zupełnie nierealistyczna koncepcja. Ta wieś to nie Mikołajki, kto by tu chciał przejeżdżać? Tam są Wielkie Jeziora, setki kilometrów kwadratowych wody, można pływać po nich całymi dniami, zawijając codziennie do innego portu. A tu? To jezioro może i wygląda na duże, ale da się je przepłynąć żaglówką w pół godziny. A ziemia leży i zarasta chwastami – pokręciła głową. – Szkoda. No, ale przynajmniej będzie miał pan spokój.

Wieś skończyła się, a wraz z nią asfalt. Wjechali na polną drogę biegnącą prawie samym brzegiem jeziora.

— Już tylko parę minut – powiedziała agentka. – Za tym lasem będzie pana dom.

Wiedział. Szedł tą drogą kiedyś na piechotę. Wtedy. Gdy to wszystko się stało.

Wjechali na porośnięte lasem łagodne wzniesienie. Po chwili droga zaczęła zjeżdżać w dół, a tuż potem, po lewej stronie ukazał się dom. Nagle i niespodziewanie, jakby wyskoczył zza zakrętu. Gdy był tu poprzednim razem, też miał takie wrażenie.

— A oto i on – powiedziała agentka. – Tadam!

Skręcili w lewo i zatrzymali się na podwórzu. Wysiedli. Rozłucki został za srebrną hondą, jakby bał się póki co wyjść z tej bezpiecznej zasłony; agentka ruszyła od razu w stronę domu. Wszystko tu było tak jak ostatnio. Nic się nie zmieniło. Okna z

jednej strony domu wciąż były zamurowane. Omszały spadzisty dach tak jak wtedy upstrzony był łatami z nowej, krwistoczerwonej dachówki. Komin ciągle sprawiał wrażenie, jakby miał się za chwilę przewrócić. Nie przewróci się jednak, wiedział to. Skrywał bowiem w sobie tajemnicę widoczną dopiero ze skarpy za domem – nową, ocynkowaną rurę wpuszczoną do środka i utrzymującą go w pionie.

Tylko chwasty na podwórku były bardziej wysuszone i zszarzałe po dwóch letnich miesiącach wakacji.

— Wchodzi pan? – spytała agentka. Była już przy drzwiach.

— Tak. Wchodzę.

Przekręciła nie bez trudu klucz w zamku i pchnęła drzwi. Widać było na nich jeszcze ślady taśmy policyjnej. Poczul, jak wszystkie jego wnętrzności ściskają się, jakby ktoś nagle wyssał z niego całe powietrze jak z pustej, plastikowej butelki. Dlaczego zdecydował się tu zamieszkać? To był impuls, zobaczył przypadkiem ogłoszenie o sprzedaży tego domu w Internecie. Pamiętał, jak wszystko w nim wtedy zamarło. Przez parę godzin czuł się, jakby nie mógł oddychać, w końcu zadzwonił. Dowiedział się, że cena zarówno kupna, jak i ewentualnego najmu jest dla niego stanowczo za wysoka, i odetchnął z ulgą. Pani Iwona jednak, bo to z nią wtedy rozmawiał, zanotowała sobie jego numer i zadzwoniła, gdy warunki uległy zmianie. Wtedy nagle, niespodziewanie dla samego siebie, zgodził się. Jakby ktoś inny podjął w nim tę decyzję. I oto teraz tu jest.

Czy to jednak normalne? Czy to normalne, że zostawił mieszkanie w Warszawie, rzucił pracę, dobrze płatną, choć dosyć nudną, w prywatnej poradni i zdecydował się zamieszkać tu, w tym domu, w którym być może ciągle jeszcze czuć było zapach krwi? W domu, w którym usłyszał wystrzał, który oderwał pół głowy biednemu Adamowi Romanowskiemu, a potem zobaczył, jak wygląda to, co po nim zostało? W domu, w którym przez ponad tydzień w pokojach z zamurowanymi oknami więzione były dwie młode dziewczyny? I w którym po raz pierwszy, i jak dotąd jedyny, naprawdę bał się, że umrze?

Był psychologiem, powinien był wiedzieć, dlaczego to robi. Nie wiedział. Profesor Konarzewski, jego dawny promotor, potem pracodawca i zastępczy ojciec – o wiele lepszy niż ten, którego kiedyś miał naprawdę – gdy usłyszał o tym pomysle, bardzo długo wpatrywał się w niego w milczeniu. W końcu powiedział: „Dobrze. Rozumiem to. Każdy czasami ma ochotę na Wielką Ucieczkę. Na to, by rzucić wszystko i zacząć od nowa. Niewielu się na to decyduje, i pewnie słusznie. Większość z tych, którzy uciekają, peleton w końcu i tak dogania. Ale w twojej sytuacji to może nie być złe rozwiązanie. Przynajmniej na jakiś czas. Tylko pamiętaj, że zawsze możesz wrócić. Miejsce w mojej poradni będzie na ciebie czekało. Powiesz mi wtedy, dlaczego to zrobiłeś. I dlaczego chcesz mieszkać właśnie w tym domu. To bardzo ciekawe, muszę przyznać. Postaraj się tylko nie zapić na śmierć w tej warmińskiej głuszy”.

Tego akurat nie mógł obiecać.

— Proszę, proszę, niech pan wejdzie. To teraz pana dom. Pójdę otworzyć okna, straszny tu zaduch się zrobił przez te ostatnie upały.

Ostrożnie przekroczył próg. W domu pachniało kurzem i rozgrzanym starym drewnem. Zmiana pogody, która nastąpiła wczoraj w nocy i dała wszystkim odrobinę wytchnienia, nie zdołała go jeszcze wychłodzić.

Wszedł dalej. W pokoju po lewej stronie, tam gdzie teraz pani Iwona otwierała kolejne okna, siedział kiedyś na kanapie patrząc z przerażeniem w wycelowaną w swoją stronę lufę zabytkowego mauzera. Ciekawe, czy...

— No, gotowe. — Pani Iwona stanęła w progu pokoju. — Wystarczy teraz podpisać umowę i może się pan urządzać. Tam jest stół. — Wskazała ruchem głowy izbę za swoimi plecami. — W ogóle wszystkie meble zostały. Może je pan wyrzucić albo zatrzymać. Obecny właściciel daje panu pod tym względem pełną dowolność.

Wszedł do pokoju. Zamarł.

Pani Iwona podążyła za jego wzrokiem.

— Tak... — Uniosła brwi i wydeła górną wargę. — To jest właśnie jeden z powodów, być może główny, dla którego nie udało mi się wcześniej sprzedać ani wynająć tego domu. Pisałam obecnemu właścicielowi, że przydałby się tu mały remont, ale nie chciał się na to zgodzić. To brat poprzedniego i jego jedyny spadkobierca. Mieszka w Australii i nie przyleciał nawet na pogrzeb. Zresztą może nie ma co się dziwić, to przecież naprawdę drugi koniec

świata. W każdym razie, z tego, co zdążyłam się przekonać, to straszny kutwa. Doszło do tego, że sama, za własne pieniądze kupiłam puszkę farby i próbowałam to zamalować. Ale to cholerstwo ciągle przebija...

Rozłucki podszedł do dużej czarnej plamy na jednej ze ścian, powstałej gdy mózg Adama Romanowskiego eksplodował po strzale w usta. Pani Iwona nie patrzyła w tę stronę.

— Trzeba kupić taką specjalną farbę na bazie oleju. Pani kupiła pewnie zwykłą, akrylową – powiedział. Zrobiło mu się niedobrze. Po co tu w ogóle przyjeżdżał?

— No widzi pan, nie wiedziałam. Nie mam się kogo o takie rzeczy spytać – westchnęła. – Mam nadzieję, że nie rozmyśli się teraz pan? – Spojrzała na niego zaniepokojona.

— Nie, skądże – odpowiedział. – Możemy podpisać tę umowę.

Podeszli do stołu. Pani Iwona położyła na nim dwa egzemplarze umowy i długopis. Po chwili wyjęła jeszcze jedną kartkę.

— Gdy byłam tu poprzednio, spisałam stan liczników. Nikt tu nie mieszka, więc ich wskazania raczej się nie zmieniły. Chyba że chce pan sprawdzić?

— Nie, nie trzeba – odpowiedział.

— W takim razie proszę podpisać. Tu, tu i jeszcze tu. Ten egzemplarz jest dla pana.

Karolina. Ona była jedynym wytłumaczeniem tego, co właśnie robił. To tu, w tym domu byli przez chwilę tak naprawdę razem. Nigdy wcześniej i już nigdy później. Wtedy, gdy siedzieli obok

siebie na kanapie pod lufą karabinu Romanowskiego, i potem, gdy przytuliła się do niego, gdy było już po wszystkim. To z tym kojarzy mu się ten dom, nie ze śmiercią i cierpieniem. To dlatego nie potrafił oprzeć się pomysłowi, żeby tu zamieszkać. Chciał być bliżej tamtego wspomnienia. Co za pojębany romantyzm!

— Panie Zygmuncie, halo! Proszę podpisać.

Wziął długopis i podpisał we wszystkich wskazanych miejscach.

— No to załatwione – powiedziała agentka. – Niech się tu panu dobrze mieszka. W umowie ma pan numer konta właściciela. Czynnosc jest płatny do dziesiątego każdego miesiąca. Termin wypowiedzenia ustaliliśmy, jak pan pamięta, na trzy miesiące.

Zabrzmiało to tak, jakby nie spodziewała się, że tu długo wytrzyma.

— To ja już lecę. Musi pan tylko wziąć walizki z samochodu.

Wyszli z domu i podeszli do srebrnej hondy. Pani Iwona otworzyła bagażnik, a Rozłucki wyjął z niego swoje dwie walizki. Stare, bez tych rączek i kółek, które mają teraz wszystkie walizki. Tylko takie miał w swoim mieszkaniu.

— Nie mogę się nadziwić, że ma pan tylko tyle rzeczy – powiedziała agentka. – Chyba że coś jeszcze pan przywiezie.

— Nie – odpowiedział. – Resztę wyrzuciłem, a książki rozdałem. Co jakiś czas warto zrobić taką selekcję. Żyjąc, obrastamy zbyt dużą ilością przedmiotów.

— Pewnie tak – odpowiedziała bez przekonania. – Swoje mieszkanie w Warszawie pan wynajął czy sprzedał? – spytała z

zawodową ciekawością.

— Wynająłem. Będę dostawał za nie miesięcznie dwa i pół tysiąca złotych. Za ten dom, jak pani wie, muszę zapłacić tysiąc. Zostaje mi więc jeszcze półtora tysiąca na czysto. Plus to, co zarobię w szpitalu. To co prawda tylko pół etatu, ale razem powinno wystarczyć.

— Sprytne – pokiwała głową. – Słyszałam, że Anglicy tak robią. Wynajmują swoje ciasne domki w Londynie, przeprowadzają się do Hiszpanii i żyją z różnicy czynszów. Półtora tysiąca w tych okolicach to całkiem spora suma. Niektórzy utrzymują się tu za znacznie mniej.

Spojrzała jeszcze raz na dom.

— No dobrze – powiedziała. – Jadę. Niech się tu panu dobrze mieszka – powtórzyła, wyciągając w jego stronę dłoń. Uścisnął ją. – Miejmy nadzieję, że nie powtórzą się tu już więcej takie straszne wydarzenia. Dwa razy jak na taką małą miejscowość to chyba wystarczy.

— Dwa? – spytał zdziwiony.

Zmieszała się.

— Nie mówiłam panu? Byłam pewna, że panu o tym wspominałam.

Nie wspominała. Jej zakłopotanie zaś świadczyło, że wcale nie miała zamiaru.

— O czym mi pani miała wspomnieć?

Uciekła spojrzeniem w kierunku jeziora.

— Dwa dni temu miał tu miejsce kolejny przykry przypadek – powiedziała. – Nie mówiłam o tym panu?

— Nie. Jaki przypadek?

— W lesie, tym obok którego przejeżdżaliśmy, między główną drogą a granicą wsi znaleziono zwłoki. Młoda dziewczyna, piętnaście lat. Straszna historia.

— Co się stało?

— Nie wiem. Słyszałam o tym w olsztyńskim radiu. Prawdopodobnie morderstwo, ale policja nic póki co nie mówi.

Nie powiedziała mu o tym, żeby się w ostatniej chwili nie rozmyślił. Miała już dosyć tego domu i chciała się go wreszcie pozbyć. Bała się, że przestraszy go druga zbrodnia w ciągu trzech miesięcy. Zapewne większość z jej klientów tak by właśnie zareagowała.

— To co, rezygnuje pan? – spytała zniechęcona. – Możemy jeszcze podrzeć umowę i uznać, że nic pan nie podpisywał.

— Nie – odpowiedział. – Nie ma takiej potrzeby.

ROZDZIAŁ 3

Meble, parapety, a nawet szyby w oknach po trzech miesiącach zamknięcia pokryte były warstwą kurzu. Zastanawiał się właśnie, od czego zacząć sprzątanie, gdy usłyszał odgłos samochodu podjeżdżającego pod dom. Wyszedł na próg.

Na podjeździe stała zielona skoba fabia. Za kierownicą, wystawiając łokieć przez okno z opuszczoną szybą, siedział podkomisarz Rafał Sądecki. Ostatni raz widzieli się właśnie tutaj.

— Witam pana psychologa! – zawołał wesoło policjant. Gdy rozstawali się poprzednim razem, nie byli w zbyt dobrych stosunkach. Trzy miesiące to jednak wystarczająco długo, by zapomnieć drobne urazy.

— Dzień dobry, panie podkomisarzu! – odpowiedział Rozłucki podobnym tonem. Podkomisarz Sądecki nie należał może do najsympatyczniejszych ludzi, jakich znał, miewał poważne deficyty uczciwości i lojalności, ale przecież nigdy osobiście nie zrobił mu nic naprawdę złego. Poza tym nie należy zapominać, że ich współpraca w sprawie Romanowskiego, mimo iż miała swoje wzloty i upadki, a pan podkomisarz nie zawsze zachowywał się fair, jednak zakończyła się sukcesem.

— Komisarzu – poprawił go Sądecki. – Dostałem awans.

Wreszcie. Moi przełożeni uznali, że świetnie się spisałem, rozwiązując sprawę tych dwóch porwanych dziewczyn. Muszę przyznać, że trochę mi w tym z Karoliną pomogliście.

Trochę? To w zasadzie oni rozwiązali tę sprawę. To jednak, że Sądecki w ogóle przyznawał się do jakiegokolwiek pomocy z ich strony, było już i tak sporym postępem.

— Gratuluję – powiedział Rozłucki. – Po samochodzie widzę, że dostałeś również podwyżkę. Bardzo ładny kolor. – Skoda Sądeckiego była nie tyle nawet zielona, co seledynowa. Wyglądała trochę jak powiększona do rozmiarów normalnego samochodu dziecięca zabawka.

Komisarz roześmiał się.

— Gdy kupuje się używane auto, kolor jest ostatnią rzeczą, na którą zwraca się uwagę – powiedział. – A z moją pensją, nawet po podwyżce, nie mogę za bardzo szaleć. Poza tym ten zielony w sumie nawet mi się podoba. To, można powiedzieć, nie kolor, ale kamuflaż. W razie wybuchu wojny wjeżdżam do lasu i żaden samolot mnie nie namierzy. A wszystkich tych gości w czerwonych ferrari rozwalą od razu.

Rozłucki uśmiechnął się uprzejmie. Komisarz otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Schudł trochę, poza tym wyglądał tak samo. Nawet ubrany był identycznie – w skórzaną czarną kurtkę i przybrudzone jasne dżinsy. Na pasku przy nich dyndała ostentacyjnie – tak samo jak zawsze – kabura z policyjnym pistoletem Walther P99.

— Masz chwilę? – spytał. – Nie przeszkadzam? Byłem tu akurat służbowo i pomyślałem, że odwiedzę starego znajomego.

— Jasne – odpowiedział Rozłucki. – Ale skąd w ogóle wiedziałeś, że tu jestem? – zdziwił się.

— Od Karoliny. Dzwoniła do mnie dziś rano.

Od Karoliny. No tak. Rozłucki poczuł ściśnięcie w żołądku. Ostatnio wysłał jej raz czy dwa SMS-a po pijaku. W jednym chyba wspomniał, że się przeprowadza.

— Od Karoliny? – spytał obojętnie. – Czego od ciebie chciała?

Karolina trzy miesiące temu ich dzieliła, a teraz należałoby chyba powiedzieć, że ich łączyła. Sądecki był jej byłym chłopakiem, jeszcze z czasów liceum. Jak się okazało, nie do końca pogodzonym z tym, że go kiedyś rzuciła. Dziś mogliby sobie przybić piątkę.

— Wszystko wskazuje na to, że nas niedługo odwiedzi – odpowiedział komisarz. – Mamy tu naprawdę niezłą chryję. Mogę wejść? – Wskazał na drzwi domu.

Rozłuckiemu przez chwilę zakręciło się w głowie. Ten nagły wyrzut adrenaliny do krwi świadczył o tym, że wciąż nie wywietrzała mu z głowy. Karolina tutaj? Czyżby jego chory pomysł z wynajęciem tego domu przynosił właśnie skutek, którego podświadomie i całkowicie bezpodstawnie oczekiwał – że się znowu spotkają?

— Poczekaj – powiedział. – Tam jest bałagan i mnóstwo kurzu. Dopiero przyjechałem i nie zdążyłem jeszcze wszystkiego ogarnąć. Wyniosę krzesła na podwórko.

Po chwili wrócił z dwoma drewnianymi krzesłami, których siedzenia przetarł jeszcze w środku rękawem. Postawił je obok siebie pod oknami domu. Usiedli. Mieli teraz piękny widok na jezioro.

— Co to za chryja? – spytał Rozłucki. – Chodzi o tę dziewczynę znaną w lesie?

— Już wiesz? – Komisarz pokiwał głową. Wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i zapalił jednego. Poprzednim razem chyba nie palił. Przynajmniej Rozłucki nie pamiętał go z papierosem. Rzucił okiem na napis na pudełku. Lucky Strike bez filtra. W Polsce, jak wiedział, nie można takich kupić. Ktoś musiał mu je skądś przywieźć. Kolejny element, z pomocą którego pan komisarz budował swój mit. Głównie zresztą w swoich własnych oczach.

Policjant wyciągnął paczkę w jego stronę. Rozłucki odmownie pokręcił głową.

— Nie tyle dziewczynę, ile dziewczynkę – powiedział Sądecki. – Piętnaście lat. – Splunął przed siebie kawałkiem tytoniu z papierosa. – Mam córkę w jej wieku.

Zaciągnął się papierosem i wypuścił przed siebie dym. Potem zapatrzył się w jezioro. Czekał. Ewidentnie budował napięcie. Jakby grał w nie najlepszym serialu kryminalnym. Rozłucki czytał gdzieś, że od czasu premiery *Ojca chrzestnego* amerykańscy mafiosi zaczęli się zachowywać dokładnie tak jak Marlon Brando. Nowojorska policja założyła kiedyś podsłuch na spotkaniu

najważniejszych mafijnych bossów Wschodniego Wybrzeża i ze zdziwieniem stwierdziła, że groźni przestępcy rozmawiają ze sobą dialogami z filmów. Modują nawet głos, by jak najbardziej przypominał sposób mówienia Vita Corleone. Pan komisarz również sprawiał wrażenie, jakby nie tylko był policjantem, lecz także go grał.

— Rozumiem – powiedział Rozłucki. – To rzeczywiście straszne, ale zwykle morderstwo, nawet piętnastolatki, to ciągle za mało, by pani Karolina Janczewska, dziennikarka telewizyjna i prasowa, zechciała zwrócić na nie swoją uwagę i przyjechać tu aż z samej Warszawy. Musi być coś jeszcze. Co? Na czym polega ta chryja?

Komisarz Sądecki odwrócił głowę w jego stronę i uśmiechnął się półgębkiem.

— Dobrze kombinujesz – powiedział, a Rozłucki miał ochotę w tym momencie walnąć go otwartą dłonią w głowę. – Jest coś jeszcze.

Wyciągnął nogi przed siebie i docisnął plecy do oparcia krzesła. Spod nogawek jego spodni wyłoniły się cholewy brązowych kowbojek.

— Powiesz mi wreszcie? – Rozłucki był już trochę zniecierpliwiony tym przedłużającym się przedstawieniem. Zniecierpliwiony, ale i zaintrygowany.

— Chryja polega na tym – komisarz postanowił najwyraźniej przejść wreszcie do rzeczy – że proboszczem w miejscowej parafii jest pewien ksiądz. Ksiądz ten został parę miesięcy temu

przeniesiony tu z innej parafii. Poprzedni proboszcz przeszedł zgodnie z prawem kanonicznym w wieku siedemdziesięciu pięciu lat na emeryturę, więc miejsce akurat było wolne. Jak głośzą plotki, został przeniesiony, by uniknąć skandalu związanego z niedozwolonymi kontaktami z pewną nieletnią parafianką.

Spojrzał na Rozłuckiego z porozumiewawczym uśmieszkiem.

— Pedofil? – spytał Rozłucki.

— To tylko plotki, zaznaczam – odparł komisarz, unosząc ku górze otwarte dłonie. – Żadne oskarżenie nie zostało wniesione, w papierach więc nic nie ma. Jeśli coś rzeczywiście się zdarzyło, zostało to załatwione po cichu, jak to zwykle w Kościele. Jeśli oczywiście coś się zdarzyło.

— Skąd w takim razie o tym wiecie?

— Podobno mówiło się o tym we wsi już od jakiegoś czasu. Sąsiad szeptał sąsiadowi, a ten z kolei leciał do następnego. Jeden z tutejszych mieszkańców ma kuzyna, który mieszka w poprzedniej parafii księdza, i tak to się wydało. Nie było sprawy, dopóki nie zdarzyło się to morderstwo. Teraz jednak rozpętało się piekło. Ktoś zadzwonił do „Gazety Olsztyńskiej”, ktoś napisał coś w Internecie i teraz huczy o tym nie tylko tu, ale i w Olsztynie. Do mnie też od razu podleciał jakiś usłużny obywatel, jeszcze jak robiliśmy oględziny miejsca znalezienia zwłok. O mało się zresztą wtedy tam nie pobili, bo jak to u nas – jedni już go skazali i najchętniej od razu by powiesili, inni będą bronić księdza w zaparte, nawet gdyby się okazało, że nie tylko zabił tę dziewczynę, ale i ją zjadł. A

Karolina, jak wiesz, pochodzi stąd, ma rodzinę i znajomych w Olsztynie. Ktoś musiał jej coś powiedzieć, albo któryś z jej tutejszych znajomych napisał coś o tym na Facebooku. A ksiądz pedofil i do tego morderca to już temat wystarczająco dla niej interesujący, nie sądzisz?

Tak, niewątpliwie. Z tego, co wiedział, reportaż, jaki napisała o Romanowskim, odbił się szerokim echem. Ale od jego publikacji minęły już dwa miesiące i Karolina potrzebowała nowego tematu.

— Czy oprócz plotek macie na księdza coś jeszcze? – spytał.

— Poczekaj – odpowiedział komisarz – minęły raptem dwa dni. A jest co gorsza weekend. Dopiero wczoraj zrobiliśmy autopsję.

— Słyszałem kiedyś, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin od zabójstwa nie znajdzie się mordercy, szanse na jego wykrycie drastycznie spadają.

— Tak, ale chodzi o zwykłe morderstwa, takie, jakich jest u nas zdecydowana większość – porachunki rodzinne, kłótnie po pijaku. Gdy znajdujemy zwłoki w lesie, a motyw jest prawdopodobnie seksualny, sprawy trwają zazwyczaj dłużej. Statystyki bywają pod tym względem mylące, bo wrzucają do jednej rubryki bardzo różniące się od siebie przypadki.

— Motyw był seksualny?

Komisarz pokiwał głową.

— Zwłoki były obnażone, nie było majtek, a sukienka została zadarta i narzucona ofierze na głowę.

— Co wykazała autopsja?

— Śmierć nastąpiła wskutek złamania karku. To wcale nie tak rzadka przyczyna zgonu podczas gwałtu. Ofiara się broni, krzyczy, napastnik próbuje ją uciszyć i trach! Jest po sprawie.

— Czy były ślady...?

— Nasienia? Nie. Ale to o niczym nie świadczy. W ponad połowie tego typu wypadków ich nie ma. Przestępcy wiedzą, że najłatwiej ich po tym zidentyfikować. Poza tym niektórym wystarcza samo morderstwo.

— Macie jakichś innych podejrzanych oprócz księdza?

— Na razie nic nie mamy. Przesłuchujemy znajomych i rodzinę, staramy się odtworzyć, co robiła przed śmiercią i z kim się spotkała. Matka twierdzi, że była w Olsztynie, miała wrócić przed dwudziestą pierwszą. Nie wróciła, ale matka nie przejęła się za bardzo, bo podobno czasem nocowała u koleżanek. Chodziła tam do gimnazjum.

— I nie sprawdziła? Nie zadzwoniła do nich?

— Nie zadzwoniła. To zdaje się klasyczna patologia. Ojciec odszedł od nich w zeszłym roku, matka miała problemy z alkoholem. Chcieli jej nawet odebrać dzieci, ale ksiądz się za nią wstawił.

— Ten ksiądz?

— Ten sam.

Rozłucki zamyślił się. Po przeciwległej stronie jeziora, na jego dalekim, drugim brzegu widać było ciągnik jadący po polu.

— To może świadczyć, że coś jest na rzeczy – powiedział. – To

też klasyczny schemat: dysfunkcyjna rodzina i ksiądz pedofil grający rolę dobrego wujka.

— Właśnie.

— No to czeka cię interesująca sprawa. – Odwrócił się do komisarza.

— Tak. – Tamten pokiwał głową. – Miła odmiana po tych wszystkich pijackich świniobiciach, z jakimi mamy zazwyczaj do czynienia. Zapowiada się równie ciekawie, jak z Romanowskim. – Zamilkł na chwilę. – Przydzielili mnie do niej, bo dobrze mi wtedy poszło.

Rozłucki zaczął się domyślać, po co pan komisarz do niego przyjechał i czego od niego chciał. Chciał, by po raz kolejny ktoś odwalił za niego robotę. Nie był głupi, wiedział, że to nie on rozwiązał tamtą sprawę. Choć oczywiście w życiu by się do tego nie przyznał.

W każdym razie nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Skoro chce go poprosić o pomoc, nich prosi.

Zapadło milczenie. Odgłos pracującego ciągnika niósł się leniwie po wodzie i łączył z dalekim dźwiękiem ciętego piłą mechaniczną drzewa.

— Nie miałbyś ochoty się temu przyjrzeć? – spytał naraz komisarz. – Rzucić na to swoim okiem psychologa? Gdy przyjedzie Karolina, też pewnie tym się zajmie. Moglibyśmy odtworzyć nasz Wonder Team sprzed trzech miesięcy.

Sukinsyn wiedział, jak go podejść.

— Nie macie tam w policji profilerów? – spytał Rozłucki.

Komisarz prychnął lekceważąco.

— Mamy – odpowiedział. – Od jakiegoś czasu jest przykazanie, żeby w każdej komendzie wojewódzkiej był jeden. Ale wiesz, jak to u nas jest. Brakuje fachowców. Efekt jest taki, że na przykład u nas za profilera robi zwykły policyjny psycholog, który dotąd zajmował się robieniem testów kandydatom, albo pocieszaniem zestresowanych funkcjonariuszy. Tym tylko różni się od ciebie, że przeczytał jedną książkę więcej.

— Ale ją przeczytał – odparł Rozłucki. – Ja nie przeczytałem.

— Ale ty masz dryg. A to ważniejsze. I nosa.

Do odgłosów traktora i piły mechanicznej dołączył trzeci dźwięk. Z początku trudno było określić, co to. W końcu dało się go już rozpoznać – był to wysoki i głośny, coraz głośniejszy, przechodzący stopniowo w ryk odgłos pracującego na wysokich obrotach silnika samochodowego. Nagle z lasu ponad domem wypadł duży, biały kształt. Z prędkością znacznie większą, niż można się było spodziewać po samochodzie jadącym tak wąską, stromą i piaszczystą drogą, pędziło nią białe terenowe porsche cayenne. Czyste i błyszczące, jakby dopiero co wyjechało z myjni. Przeleciało obok nich, owiewając ostrym zapachem spalin i obsypując zieloną skodę komisarza fontanną piachu spod kół, a potem popędziło dalej drogą wzdłuż jeziora.

Odprowdziły je spojrzenia dwóch par zdumionych oczu.

— Gość ma fantazję – powiedział z lekkim, ale słyszalnym

podziwem w głosie komisarz.

— Nie złamał przypadkiem jakichś przepisów? – spytał Rozłucki.

— A czy ja jestem z drogówki? – Wzruszył ramionami Sądecki. – Dopóki nikogo nie zabije, nic mnie to nie obchodzi. To co, zastanowisz się? – zwrócił się do Rozłuckiego.

— Poczekam na Karolinę i wtedy zdecyduję – odparł wymijająco Rozłucki.

— Wiesz... – w głosie komisarza pojawił się jakiś wcześniej niesłyszany ton – przydałaby mi się wasza pomoc. Szykuje się tu naprawdę niezła chryja – powtórzył po raz kolejny. – Oskarżyć księdza w tym kraju, to nie jest łatwa impreza. Kuria wynajmie zapewne najlepszego adwokata w Olsztynie, a może nawet kogoś z Warszawy. Będą nam patrzeć na ręce i oprotestowywać każdy ruch. Połowa polityków w tym mieście rzuci się na mnie jak wściekłe psy. Najchętniej od razu bym wszystko umorzył i ogłosił, że dziewczyna popełniła samobójstwo, ale wtedy ta druga połowa rozszarpie mnie na strzępy.

Rozłucki zrozumiał dopiero teraz, że komisarz się boi. Jego świeża policyjna kariera wisiała na włosku. Stąpał po cienkiej linie, a po jej obu stronach była przepaść wypełniona krokodylami. Najmniejszy błąd i spadnie wprost w ich rozwarte paszcze.

— No cóż... – odpowiedział. – Przemyślę to.

— Świetnie. To leczę. Będę ci podrzucał najnowsze ustalenia. – Komisarz klepnął się zadowolony po udach, jakby decyzja, wbrew

temu, co mówił Rozłucki, była już podjęta. Wstał.

— To do zobaczenia – powiedział. – Ty masz w ogóle jakieś auto?
– spytał, rozglądając się po podwórzu.

— Nie.

— Ciężko ci tu będzie bez samochodu – powiedział.

Odjechał. Rozłucki został sam. Chwilę jeszcze patrzył na jezioro, potem pomyślał z niechęcią o czekającym go sprzątanii. Nie było już tak upalnie, jak jeszcze dwa dni temu, lecz woda na pewno była jeszcze nagrzana. Naraz podjął decyzję. Rozebrał się do majtek, odłożył ubranie na krzesło i bosy ruszył w stronę brzegu. Dość duży jego fragment pozbawiony był trzciny, tworząc idealne miejsce do kąpieli. Trawa dochodziła prawie do samej wody. Wszedł do niej, zagłębiając stopy w przybrzeżnym piasku tylko trochę zabrudzonym mułem i zbutwiałymi kawałkami trzciny. Woda pachniała. Był to zapach niezwykle, magiczny, zapach wilgotnych roślin przemieszany z subtelną wonią rozkładu. Dno dosyć szybko opadało. Po chwili stał już w wodzie po pas. Tu dno było już znacznie bardziej muliste, zanurzył się więc cały i zaczął płynąć. Delikatny plusk jego własnych ruchów wypełnił mu uszy. Płaska, lśniąca, niezmacona najmniejszą falą tafla wody była teraz na wysokości jego oczu. Jakby nosem dotykał lustro.

Karolina. Niedługo znów ją zobaczy. Próbował się z nią spotkać w Warszawie, zadzwonił nawet do niej, wcześniej kilka dni bijąc się z myślami, lecz było tak, jak przypuszczał. Nie przejawiała zbytnej ochoty. Wiedział dlaczego, pamiętał. Był świadkiem jej chwili

słabości. Chwili, w której przekroczyła granicę dzielącą dobro od zła. Wybrała zemstę, zemstę może sprawiedliwą, lecz mimo wszystko podłą. Nie chciała go widzieć, bo przypominał jej o tym. Teraz będzie musiała go spotkać. Jeśli przyjmie propozycję Sądeckiego, prędzej czy później ich drogi się przetną.

ROZDZIAŁ 4

Kościół wznosił się na wzgórzu otoczony niewysokim ceglanym, sypiącym się z lekka murkiem. Sam też nie był zbyt wysoki, raczej pękaty niż strzelisty, raczej brzydki niż ładny, choć kilkusetletnia patyna dodawała mu nieco urody. Była osiemnasta i w środku zaczynała się właśnie wieczorna msza. Rozłucki usłyszał dzwonki zwiastujące wejście księdza.

Stał na zewnątrz. Przyszedł do wsi rozejrzeć się co i jak, zobaczyć, o której ma jutro autobus do Olsztyna i kupić parę rzeczy na kolację. Autobus był parę minut po siódmej, sklep, przynajmniej ten przy kościele, był w niedzielę zamknięty, za to kościół był otwarty. Wszedł do środka.

Ciemne wnętrze, oświetlane tylko słabymi, udającymi świeceki żarówkami na czarnych, kutych z żelaza żyrandolach, owionęło go swoim wilgotnym, kadzidlany zapachem. Witraże w oknach – bardziej chyba dziewiętnastowieczne niż pochodzące ze średniowiecza – osłonięte były zabezpieczającą siatką powodującą, że dostawało się przez nie do środka jeszcze mniej światła. Ściany, kiedyś białe, obecnie szare, poprzecinane były cementowymi śladami powstałymi po zamurowaniu w nich elektrycznych przewodów. Ławki były stare i szerniały. Usiadł w jednej z nich.

Po lewej stronie, z tyłu, tak jak zawsze, gdy był w kościele.

Oprócz niego we mszy uczestniczyło kilkanaście osób, głównie starszych kobiet i mężczyzn. Wystrój kościoła nie był imponujący. Kilka obrazów różnych świętych, obowiązkowy Jan Paweł II i Matka Boska Częstochowska, stacje drogi krzyżowej rozwieszono na ścianach naokoło. Ołtarz był drewniany, niezbyt okazały. Jego centralnym punktem był brudny ze starości obraz, którego tematyki z tej odległości trudno się było domyślić.

Przed ołtarzem, przy nowym marmurowym blacie stał ksiądz. Średniego wzrostu, nieco grubawy i trochę łysiejący. Ciemne włosy na czubku jego głowy wyraźnie już odsłaniały skórę. Był dość młody. Na oko nie miał więcej niż trzydzieści lat. Otworzył właśnie mszał, rozłożył ręce i zaczął czytać.

Jego głos... Jego głos był tym, co najbardziej przykuwało w nim uwagę. Wysoki, lekko piskliwy, przepełniony był żalem. Brzmiało to, jakby się skarżył. Nawet radosne słowa wypowiedane przez niego, wszystkie te „chwalmy Pana!”, „radujmy się!”, sprawiały wrażenie wibrującej bólem skargi. Jego ruchy były kanciaste, mechaniczne, z całej jego postaci bił smutek i zniechęcenie. Rozłucki męczył się samym patrzeniem na niego.

Rozejrzał się po siedzących w ławkach ludziach. Czy oni też to słyszą? Czy wiedzą, że ich kapłan pogrążony jest w głębokiej depresji? Nie wyglądało, że są tego świadomi. Wstawali, siadali, klękali, powtarzali te same co zawsze formułki, lecz na ich twarzach nie było widać nic, nawet skupienia. Jeśli wiedzieli o

oskarżeniach wysuwanych wobec człowieka, który właśnie celebrował dla nich mszę, też nie dawali tego po sobie poznać.

Musiał wyjść. Nie mógł wprost znieść tembru tego głosu, przygniatał go on, wysysał całą energię. Przypominał czasy, gdy on sam z ledwością utrzymywał się na powierzchni życia.

Odetchnął świeżym wieczornym powietrzem. Postanowił wrócić na pętlę. Może tam spotka kogoś, kto mu powie, czy jest tu jeszcze jakiś otwarty sklep?

Pętla świeciła pustkami. Niedziela nie była widocznie dniem, w czasie którego w jego nowym miejscu zamieszkania toczyło się ożywione życie. Ludzie siedzieli w domach i oglądali telewizję. Po chwili dostrzegł jednak kogoś. Pod murem niewielkiego zamkniętego sklepu z pieczywem siedziało w kucki, opierając się plecami o ścianę, dwóch miejscowych pijaczków z puszkami taniego i bardzo mocnego piwa w dłoniach. Jeden ubrany był w znoszoną i przybrudzoną tu i ówdzie czerwono-granatowo-żółtą koszulkę Barcelony, drugi nosił się trochę bardziej elegancko – ubrany był w wytartą czarną skórzaną kurtkę i jasnoniebieskie dżinsy, które o dziwo wyglądały na niedawno prane. Ten właśnie zerknął na Rozłuckiego spode łba i obrzucił go spojrzeniem od góry do dołu. Jego twarz nie była nawet tak tępą, jak można by się było tego spodziewać.

Rozłucki podszedł do nich.

— Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam, nie wiedzą panowie może, czy jest tu jakiś otwarty sklep?

Teraz również drugi z mężczyzn odwrócił w jego stronę wzrok.

— Tam, za rogiem, jest GS – powiedział, wykonując równocześnie bliżej nieokreślony gest w stronę swoich pleców. Miał płaską twarz z szerokim, jakby przyklepanym nosem, co nadawało mu wygląd Eskimosa. – Otwarty od siódmej do dwudziestej. – Widać było, że godziny otwarcia mają dla niego istotne znaczenie. – Kup sobie coś i przyjdź tu do nas. Rozkręcamy imprezę – dodał schrypniętym głosem.

Jakby na potwierdzenie tych słów drugi z mężczyzn podniósł do ust puszkę z piwem i pociągnął z niej spory, gulgoczący łyk.

— Nie, dziękuję. – Rozłucki uśmiechnął się rozbawiony kontrastem między słowem „impreza” a widokiem, który miał właśnie przed sobą. – Chodzi mi raczej o coś do zjedzenia.

— Jedzenie też możesz przynieść – odpowiedział ten w skórzanej kurtce. – Preferujemy kiełbasę, musztardę i chleb.

Zmrużył oczy. W kącikach jego ust błąkało się coś w rodzaju uśmiechu. To był żart. Rozłucki dopiero teraz to zauważył. Mężczyzna w skórzanej kurtce z zaciekawieniem obserwował, jak zareaguje na taką propozycję. Widocznie wprawianie w zakłopotanie statecznych obywateli należało do jego stałych rozrywek.

— Może innym razem – odpowiedział Rozłucki. – Ale dziękuję za informację.

Odwrócił się i chciał odejść.

— Ej, ty! – usłyszał jednak. – Proszę pana!

Spojrzał ponownie na mężczyzn.

— Nie szukasz kogoś do roboty? – spytał mężczyzna w koszulce Barcelony. – Biorę dziesięć złotych za godzinę. Z tym że pracuję najwyżej dwie.

— Nie – odpowiedział. – Na razie nie. Ale będę o panu pamiętał.

Rozłucki obszedł budynek. GS okazał się całkiem dobrze zaopatrzonym samoobsługowym sklepem. Kupił w nim kilka podstawowych produktów: razowy chleb pokrojony w kromki, serek do smarowania, śledzie w słoiku i dwie butelki wody, bo ta, która leciała u niego z kranu, miała póki co żółtawy kolor i nie wyglądała na nadającą się do picia.

Zapłacił przy kasie. Ekspedientka była młoda, miała włosy ufarbowane na bardzo jasny kolor i dość już pokaźne odrosty. Była też całkiem ładna. Uśmiechnął się do niej, lecz ona nie odwzajemniła uśmiechu.

— Przepraszam – spytał już na odchodnym. – Jest tu u państwa ktoś, kto sprząta? Jestem tu nowy, wprowadziłem się dziś do tego domu za wsią nad jeziorem i byłbym zainteresowany.

Ekspedientka spojrzała na niego, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

— Krupińska – odpowiedziała jednak. – Ona robi takie rzeczy.

— Gdzie mieszka, mogłaby mi pani powiedzieć? Chciałbym z nią porozmawiać.

— Przyślę ją do pana. Mieszka pan w tym domu po nauczycielu?

— Tak.

- Jutro przyjdzie.
- Tylko tak po trzeciej, bo wcześniej będę w Olsztynie.
- Będzie po trzeciej.

Bez samochodu rzeczywiście było ciężko. Wstał o szóstej, zjadł szybkie śniadanie i wyruszył na przystanek. Rano było już chłodno, kilka razy zatrząsł się po drodze z zimna i żałował, że nie wziął jakiejś bluzy. Potem ponad pół godziny autobusem do Olsztyna, przesiadka pod ratuszem i kolejne piętnaście minut do szpitala. O mało się nie spóźnił.

Doktor Marcin Goczał, jego przyjaciel z dawnych czasów, czekał już na niego w swoim gabinecie. Poznali się w miejscu podobnym do tego – w szpitalu psychiatrycznym, gdzie obaj mieli praktyki w tym samym czasie. On – początkujący psycholog i Goczał – również początkujący lekarz psychiatra. Od razu przypadli sobie do gustu. Również dlatego, że doktor Marcin Goczał był jednym z niewielu znanych mu psychiatrów, którzy nie patrzyli na swoich kolegów psychologów z mieszaniną lekceważenia i pobłażania, jak na szarlatanów lub w najlepszym razie bujających w obłokach amatorów.

Uściskali się serdecznie, odnotowując przy okazji zmiany, jakie poczynił w ich wyglądzie czas. Rozłucki musiał przy tym przyznać, że z jego przyjacielem obszedł się on znacznie łagodniej. Marcin Goczał był wysoki, szczupły, wysportowany, a jego dobrze obcięte, szpakowate włosy i nieskazitelny biały kitel nadawały mu

niezwykle elegancki i jednocześnie budzący zaufanie wygląd. Gdyby Rozłucki był kobietą, od razu wskoczyłby mu do łóżka.

— Świetnie wyglądasz – powiedział.

— A ty z kolei nic się nie zmieniłeś – odwzajemnił mu się przyjaciel.

Uśmiechnęli się obaj z tej żartobliwej złośliwości.

— W życiu bym nie przypuszczał, że kiedyś zadzwonisz i poprosisz mnie, żebym ci pomógł dostać tu pracę – zaczął po chwili. – Ty, nadzieja polskiej psychologii? Gdy cię ostatni raz widziałem, profesor Konarzewski traktował cię niemalże jak swojego następcę. Myślałem, że obejmiesz po nim katedrę, a nie będziesz leczyć świrów w przychodni w prowincjonalnym mieście...

— Sporo się od tamtych czasów zmieniło – odpowiedział wymijająco Rozłucki. – Długo by opowiadać. Ty też zresztą, z tego, co pamiętam, nie najgorzej sobie radziłeś. Gdybyś został na swojej uczelni, to pewnie też miałbyś już dzisiaj doktorat.

Doktor Goczał machnął ręką.

— Nie potrafiłem sobie znaleźć miejsca w Warszawie – odpowiedział. – Jeszcze dopóki trwały studia, jakoś dawałem radę, ale potem... Ciągnęło mnie do siebie, do swoich stron. Zresztą miałem tu dziewczynę, jeszcze z liceum. Dziś już co prawda jesteśmy rozwiedzeni – zaśmiał się – ale mimo wszystko nie żałuję. Dobrze mi tu, jestem na swoim miejscu, a to przecież najważniejsze. Ale ciebie co tu przygnało? Słyszałem, że pracowałeś u starego. I co, rzuciłeś to?

— Miałem wrażenie, że pan profesor był w stosunku do mnie odrobinę zbyt opiekuńczy. Usynowił mnie chyba mentalnie i starał się podświadomie chronić. Dostawałem same banalne przypadki. Miałem ochotę spróbować czegoś prawdziwego.

— Ale dlaczego tutaj? – Jego przyjaciel uniósł brwi. – Nie mogłeś znaleźć sobie czegoś w Warszawie? Konarzewski na pewno by ci pomógł.

— Nie chciałem w Warszawie. Miałem ochotę wszystko zmienić. Dokonać Wielkiej Ucieczki, jak to raczył określić pan profesor. A że byłem tu parę miesięcy temu i spodobało mi się...

— Czyli i ciebie opętała swoim urokiem nasza Święta Warmia... – pokiwał głową z udawanym zafrasowaniem Goczał. – A przed chwilą dziwiłeś się, że wróciłem.

— Właśnie, a dlaczego święta? – zainteresował się Rozłucki. – Już któryś raz słyszę to określenie.

— Kiedyś była katolicką enklawą w morzu protestanckich krain, dlatego. Poza tym to świetnie brzmi – zaśmiał się.

— Ciągle jest taka katolicka? – spytał Rozłucki.

Doktor Goczał wzruszył ramionami.

— Dziś już chyba nie bardziej od innych regionów Polski. Protestanci zniknęli i nie ma się od kogo odróżniać.

— Chodzi mi bardziej o coś innego: czy Kościół ma tu dużo do powiedzenia?

— A gdzie w tym kraju nie ma? Chyba tylko w Warszawie jest pod tym względem inaczej.

Rozmawiali tak jeszcze przez jakiś czas wspominając praktyki w szpitalu i wspólne imprezy, na które później chodzili, narzekając na sytuację w kraju i za granicą i opisując swój aktualny status rodzinny i osobisty. Rozłucki nie miał tu za bardzo czego opisywać, za to jego przyjaciel już tak. Był szczęśliwym ojcem trójki dzieci, z których dwoje miał z pierwszego małżeństwa, a jedno, całkiem świeże, z drugiego. Mieszkał w Dywitach, niedaleko stąd, w nowym domu nad jeziorem i był raczej zadowolony ze swojego życia.

Rozłucki słuchał tego wszystkiego z coraz większym przygnębieniem. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że sporo go ominęło. Miał czterdzieści lat, nieudane małżeństwo na koncie i ani jednego dziecka. Podejmował właśnie pracę w nowym miejscu i była to praca, którą mógłby w zasadzie wykonywać już po studiach. Zaczynał wszystko od zera w miejscu, w którym większość ludzi była już wygodnie umieszczona w życiu.

— No, dobrze – doktor Goczał przerwał w końcu te pogaduszki. – To żeśmy sobie porozmawiali, a teraz czas cię zapoznać z twoimi nowymi obowiązkami. – Sięgnął po teczkę leżącą na biurku. – Na początek przydzielę ci coś na rozruch, żebyś się wdrożył, zapoznał i tak dalej. Roman Krajewski – przypadek jednocześnie łatwy i trudny.

— Dlaczego łatwy i dlaczego trudny? – spytał Rozłucki.

— Dokładnie z tego samego powodu. Absolutnie niepodatny na leczenie.

— Jak to? – zdziwił się Rozłucki.

— To psychopata – wyjaśnił Goczał. – Z bardzo wysokim wynikiem w skali obserwacyjnej skłonności psychopatycznych Roberta Hare. Tacy ludzie nie poddają się leczeniu żadną ze znanych współcześnie terapii. Nic na nich nie działa: ani psychoanaliza, ani terapia behawioralna, ani grupowa, ani psychodrama. Z jednego prostego powodu: nie czują takiej potrzeby. Mają to w nosie, krótko mówiąc. Są zadowoleni z siebie i ze swojego zachowania, uważają, że cała wina leży po stronie innych. Ich osobowość jest jak wykuta z granitu – nic nie jest w stanie skłonić ich do zmiany. O żadnym wglądzie też nie ma oczywiście mowy, nie są zdolni do żadnej autoanalizy. Choćbyś wyszedł ze skóry, tam nic nawet nie drgnie. Przepraszam, że ci to mówię, bo to na pewno wiesz, ale warto to sobie przypomnieć przed spotkaniem z kimś takim.

— Czytałem o takich przypadkach, ale nigdy nie zetknąłem się z żadnym osobiście. Przynajmniej nie zawodowo.

— Uwierz mi, teoria a praktyka to zupełnie dwie różne sprawy. Psychopaci mają magnetyczną osobowość. Trudno oprzeć się ich urokowi. Spotkanie z kimś takim na żywo to niepodrabialne doświadczenie. Nie da się na to przygotować, studiując fachową literaturę. Ale w pewnym sensie to idealny pacjent, by się z powrotem wdroić w ten młyn – nic nie popsujesz, nic nie naprawisz. Jedyne, co możesz zrobić, to siedzieć i słuchać.

— Po co w takim razie tu jest?

— Polecenie sądu. Gość dostał wybór: terapia albo odsiadka.

Głupi nie jest, więc wybrał terapię.

— To jakiś przestępca?

— Raczej drobny. Nie wszyscy psychopaci stają się od razu seryjnymi mordercami. Awantury, pobicia, drobne oszustwa, przemoc domowa. Zresztą przez to ostatecznie do nas trafił. Żona nie wytrzymała i zgłosiła się na policję. Potem był proces, a sąd skierował go do nas.

— Po co, skoro to nie ma sensu?

— Większość sędziów nie ma takiej wiedzy. To standardowa procedura w takich sprawach. W przypadku innych zaburzeń przynosi nawet pewne efekty, w przypadku tego nie przynosi żadnego. Jedyne więc, co możemy zrobić, to odbębnić określoną liczbę spotkań, a potem wystawić mu opinię. I tu musisz uważać. Psychopaci to świetni manipulatorzy. Potrafią okręcić sobie wokół palca nawet doświadczonych psychiatrów. Umieją też doskonale udawać postępy w leczeniu. Nie daj się więc zwieść. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia, bądź pod wrażeniem jego zdolności aktorskich, trzymaj wysoko gardę i napisz na koniec, że nie widzisz żadnej poprawy. Pamiętaj: ich nie da się wyleczyć. Jedyne, co można zrobić, to nauczyć ich, że określone zachowanie spotyka się z określoną karą. Dlatego więzienie jest dla nich lepsze niż terapia. Po wyjściu stąd będzie tylko uważał, że po raz kolejny udało mu się wystrychnąć wszystkich na dudka.

Roman Krajewski był człowiekiem o niezwykle ujmującym

wyglądzie. Dobrze ubrany, modnie ostrzyżony i gładko ogolony sprawiał już na pierwszy rzut oka sympatyczne wrażenie. Jego garderoba, złożona wyłącznie z markowych ubrań i to raczej tych nie najtańszych, była w nienagannym stanie. Roztaczał wokół siebie woń dobrych perfum. Na jego rękę lśnił zegarek, na który Rozłuckiego, przynajmniej już teraz, nie byłoby stać.

Gdyby nie dokumenty, z których wynikało, że jego rodzina regularnie korzysta w pomocy opieki społecznej, a jego dzieci objęte są w szkole programem dożywiania najuboższych, można by go wziąć za przedstawiciela klasy średniej.

— Dzień dobry, panie doktorze – powiedział tuż po wejściu, po czym, nie czekając na odpowiedź ani na zaproszenie, usiadł na krześle dla pacjentów i założył nonszalancko nogę na nogę. W jego zachowaniu była niezachwiana pewność siebie, głębokie poczucie własnej wartości i świadomość całkowitego kontrolowania otoczenia. Szczerze mówiąc, z ich dwojga to Rozłucki czuł się w tym gabinecie mniej pewnie.

— Dzień dobry – odpowiedział Rozłucki. – Proszę usiąść – nie potrafił sobie odmówić tej lekkiej, ciałkiem nieprofesjonalnej uszczypliwości.

Pacjent uśmiechnął się do niego uśmiechem roztapiającym lodowce.

— Przecież już usiadłem – odparł. – Ale dziękuję za zaproszenie.

— Dobrze – powiedział Rozłucki przesuwając po biurku papiery dla ukrycia swojego zdenerwowania – dobrze... – Rzucił okiem na

Krajewskiego. Pacjent przyglądał mu się z wyczekującym uśmiechem. Wyglądało to tak, jakby wyczuwał jego brak pewności.

— Proszę o pierwsze pytanie, panie doktorze – powiedział przyjaźnie. – Najtrudniej jest zacząć, potem już jakoś leci.

Prawie że poczuł do tego człowieka sympatię. Był miły, przyjacielski i pomocny. Starał się mu ułatwić zadanie. Innymi słowy – próbował przejąć nad nim kontrolę.

— Dobrze – powtórzył po raz trzeci Rozłucki. – Proszę mi powiedzieć na początek, dlaczego pan tutaj trafił?

Pacjent lekceważąco machnął ręką.

— Och, to zwykle nieporozumienie – powiedział lekkim tonem. – Naprawdę, nie ma o czym mówić.

Rozłucki zerknął w papiery leżące przed nim na biurku. Wyłaniał się z nich niezbyt ciekawy obraz pożycia małżeńskiego jego pacjenta. Znęcanie się fizyczne i psychiczne. Obdukcja żony Krajewskiego świadcząca o pobiciu.

— Jednak z jakiegoś powodu znalazł się pan w tym gabinecie – stwierdził.

Krajewski uśmiechnął się uśmiechem pełnym doświadczonej mądrości i skrywanego cierpienia.

— Wie pan, moja żona jest trochę nie zrównoważona psychicznie – powiedział. – Wszyscy mnie namawiają, żebym ją wreszcie zostawił, ale jakże ja mógłbym to zrobić? Kocham ją. Poza tym są jeszcze dzieci. Jestem za nie odpowiedzialny.

— Czym objawia się to niezrównoważenie?

— Naplotła policjantom, że niby ją pobiłem. Ja? W żadnym wypadku. Jestem niezwykle spokojnym człowiekiem, moja cierpliwość jest wprost legendarna, wszyscy to mówią. Jakże ja mógłbym ją pobić? Przecież ją kocham. To mój kwiatusek, moje serduszko. Słońce mojego życia, moja jedyna miłość. Ta kłamliwa suka wszystko zmyśliła. Powinienem dawno kopnąć ją w dupę razem z tymi jej brudnymi bachorami i wziąć sobie jakąś młodszą. Tylko mnie ogranicza. Uwiesiła się mnie i nie pozwala mi rozwinąć skrzydeł. Bez niej już dawno byłbym kimś. Mam pomysł ma świetny biznes. Może ma pan wolne środki, żeby zainwestować? Gwarantuję kilkukrotny zwrot. Wszystko mam już obmyślane w najdrobniejszych szczegółach. Tylko brakuje mi pieniędzy. Wszystko idzie na tych gówniarzy. Dlaczego ja w zasadzie mam na nich łożyć? Czy to moja wina, że ta krowa się nie zabezpieczała? Chciała mnie złapać na dziecko, żeby wygodnie żyć, to panu powiem. A teraz się dziwi, że co jakiś czas dostanie wpierdol. Niech się cieszy, że jeszcze żyje.

Wszystkie te słowa wypowiedane były swobodnym tonem, bez najmniejszych śladów agresji, wręcz z uśmiechem na ustach, jakby człowiek, który przed nim siedzi, nie zdawał sobie sprawy z sensu tego, co mówi. Nie widać też było po nim, że wie, iż początek jego wypowiedzi głęboko kłóci się z jej zakończeniem.

Było też jeszcze coś. Coś, co powodowało, że Rozłucki czuł się przy tym mężczyźnie wyjątkowo nieswojo. I nie chodziło tu tylko o to, że rozpoczynał właśnie pierwszą terapię pierwszego pacjenta w

nowym miejscu pracy. Tym czymś były jego oczy. Wpatrzone przez cały czas w Rozłuckiego, zdające się nie mrugać, przewiercające go na wylot. Oczy puste i zimne, jakby pozbawione życia, a jednocześnie obdarzone niezwykłą intensywnością spojrzenia. Oczy węża hipnotyzującego swoją ofiarę.

— Tak, rozumiem – powiedział i spuścił wzrok. Był niemal pewien, że jego pacjent uśmiechnął się w tym samym momencie z poczuciem tryumfu.

— Nic pan nie rozumie, panie doktorze – usłyszał ciepły, łagodny głos. Głos tak kontrastujący z tym wilczym spojrzeniem, że aż przeszedł go dreszcz. – Nie ma pan dzieci ani żony, prawda? Dlaczego?

Rozłucki zdumiony podniósł wzrok. To pytanie zbiło go jeszcze bardziej z tropu. Pacjent wpatrywał się w niego spokojnie, z tym samym sympatycznym i przyjacielskim wyrazem twarzy, a jego oczy wbijały w niego dwie szpilki, tak że czuł się niemal jak jakiś owad w gablocie.

— A nie, przepraszam! – Pacjent uśmiechnął się lekko. – Miał pan żonę, ale wam nie wyszło. Za dużo problemów miał pan sam ze sobą, prawda, doktorze? Był pan dla niej jednocześnie zbyt miękki i zbyt twardy. Popełniał pan ten sam błąd, co większość mężczyzn. Z kobietami tak się nie da. Można je albo podporządkować sobie, albo dać się podporządkować im. Obie te sytuacje mają swoje plusy, zależy, co się bardziej lubi. A pan próbował jeździć na klaczy, ale bał się pan ściągać jej zbyt mocno cugle. I jednocześnie co jakiś czas

dźgał ją pan ostrogą. Nic dziwnego, że pana zrzuciła. Na drugi raz niech się pan zdecyduje. To albo to. Ja osobiście preferuję ostrą jazdę, a po panu widzę, że też miałby pan na coś takiego ochotę. Co, doktoru? Jest pan inteligentny, ma pan silną osobowość, tylko za dużo wątpliwości. Wszyscy nam wokoło powtarzają, żebyśmy byli sobą, żebyśmy odkryli swoje prawdziwe ja. Niech pan to zrobi. Spodoba się panu. Kobiety są głupie, zresztą podobnie jak większość mężczyzn. Można od nich brać, co się chce. Wystarczy trochę oszukać albo postraszyć. I wie pan co? Większość z nich nie ma o to wcale pretensji. Są zadowolone, że ktoś coś zrobił z ich nic niewartym życiem.

ROZDZIAŁ 5

— I jak poszło? – Doktor Goczał siedział tak jak poprzednio za biurkiem w swoim gabinecie, lecz wypełniał tym razem jakieś papiery. Okulary zsunięte na czubek nosa sprawiały, że nie wyglądał już tak młodo, jak za pierwszym razem.

Rozłucki opadł ciężko na krzesło.

— O, bracie! – powiedział. – Jeśli to ma być łatwy przypadek na rozruch, to dziękuję bardzo.

Jego przyjaciel zaśmiał się cicho.

— Przepraszam, specjalnie wpakowałem cię na taką minę – odparł. – Chciałem, żebyś wiedział, na co się decydujesz. To nie jest łatwa ani miła praca, czasami trzeba mieć sporą odporność, żeby samemu nie zwariować. Masz jeszcze czas się wycofać. I wrócić do tych swoich banalnych przypadków u Konarzewskiego. Profesor na pewno chętnie przyjmie cię z powrotem.

— Nie, dziękuję, raczej zostanę u ciebie – odpowiedział Rozłucki, choć trzeba przyznać, że ta propozycja wydała mu się przez chwilę nad wyraz kusząca.

— Trudno, co robić. – Doktor Goczał żartobliwie rozłożył ręce. – Witamy w takim razie na pokładzie. Następny przypadek będzie znacznie prostszy. Tym razem naprawdę. Jak skończysz dyżur, idź

do administracji i załatw wszystkie formalności. Już tam na ciebie czekają. Zostaniesz zatrudniony na pół etatu na trzymiesięczny okres próbny. Potem, jeśli oczywiście będziesz chciał, możemy to zmienić na cały etat i zatrudnić cię na czas nieokreślony. Wtedy przydzielimy ci też jakąś grupę terapeutyczną.

Wyciągnął w jego stronę rękę, chcąc się pożegnać.

— Zanim pójde, powiedz mi tylko jeszcze jedną rzecz – zaczął w zamyśleniu Rozłucki. Doktor Goczał opuścił dłoń. – Już całkowicie zmieniając temat. Czy były u was ostatnio na tym terenie jakieś przypadki pedofilii wśród księży?

Jego przyjaciel uniósł brwi.

— Co jakiś czas coś takiego wypływa, ale nie przypominam sobie ostatnio niczego specjalnie głośnego, ani spektakularnego. Dlaczego pytasz?

— Wszystko wskazuje na to, że w miejscowości, w której wynająłem dom, jest ktoś taki.

— Trzeba to zgłosić na policję.

— Policja już się tym zajęła, zresztą prasa i radio również. Nie słyszałeś o tym? To świeża sprawa, sprzed dwóch dni. Podobno w Olsztynie aż huczało o tym.

Doktor Goczał wzruszył ramionami.

— Prasy lokalnej w zasadzie nie czytam, a radia słucham tylko w samochodzie. I wybieram raczej te rozgłosnie, które nadają muzykę poważną. Nie, nic nie słyszałem.

— Nieważne. Mógłbyś mi jakoś przybliżyć ten temat?

— Pedofilii wśród księży? No, cóż, nie jestem jakimś specjalnym ekspertem w tej dziedzinie, więc raczej niewiele ci powiem. Czytałem kiedyś badania, że procent pedofilów wśród księży nie jest wcale większy, niż wśród innych zawodów związanych z pracą z dziećmi, na przykład nauczycieli WF-u. Jeśli się oczywiście weźmie poprawkę na to, że księża to sami mężczyźni, a wśród nauczycieli WF-u zdarzają się również kobiety, wśród których, jak wiadomo, pedofilia jest zjawiskiem marginalnym.

— No tak, lecz ksiądz pedofil bulwersuje jednak daleko bardziej.

— Niewątpliwie. Nauczyciel WF-u to jednak zwykły człowiek, ksiądz zaś w potocznym odbiorze to ktoś niemal święty. W zasadzie nie powinien nawet jeść. Jak brytyjska królowa. Wiesz, że ona nigdy nie je publicznie? Nawet na oficjalnych obiadach. Siedzi tylko i się uśmiecha. Przerąbane.

— Ale wracając do tematu, mógłbyś mi powiedzieć o tym coś jeszcze?

— W zasadzie mógłbym dodać chyba tylko jedno. W zdecydowanej większości przypadków to pedofilia sytuacyjna, a nie preferencyjna. Dziecko nie jest dla nich wymarzoną obiektem seksualnym, jest raczej obiektem zastępczym. Nie mogą nawiązać relacji seksualnej z dorosłą kobietą lub dorosłym mężczyzną, więc wybierają dziecko, bo jest to dla nich z różnych przyczyn łatwiejsze. Taka jest zresztą geneza większości czynów pedofilskich, nie tylko wśród księży. Pedofile, dla których dziecko jest obiektem pierwszego wyboru, to zaledwie kilka procent.

— A słyszałeś kiedykolwiek o księdzu pedofilu, który by zamordował dziecko?

— O, matko! – Doktor Goczał aż odchylił się na krześle. – Nie, na pewno nie. O nauczycielu WF-u zresztą również nie. Pedofile mordercy to zupełnie inna kategoria.

— Właśnie.

— Chyba że morderstwo zdarzy się przypadkiem. Jako niezamierzony skutek zamierzonego czynu. Tak też bywa.

Wrócił do domu tuż po trzeciej. Kobieta do sprzątania już na niego czekała. Stała pod drzwiami domu i patrzyła na jezioro. Nie wiadomo dlaczego spodziewał się kogoś starszego. Jakiejś niskiej, przysadzistej baby w kwiciastym, bezkształtnym ubraniu i z włosami schowanymi pod chustką. Kobieta, która do niego przyszła, była dość młoda i miała nienaganną figurę podkreśloną przez dopasowane dzinsy. Na oko miała trzydzieści parę lat i choć była po wiejsku zniszczona przez życie, to jednak ciągle całkiem ładna.

— Dzień dobry – powiedział. – Pani Krupińska?

— Tak – odpowiedziała. – Miałam przyjść o trzeciej.

— Przepraszam za spóźnienie. Strasznie długo się tu jedzie z Olsztyna, gdy nie ma się samochodu. Już otwieram.

Podszedł do drzwi i wyciągnął klucze. Ciągle jeszcze nie pamiętał, który pasuje do którego zamka.

Kobieta podniosła z ziemi wiadro z mopem i jakimiś środkami

chemicznymi. Przyszła z własnym sprzętem. To dobrze, bo Rozłucki nie był pewien, czy w środku jest coś takiego.

— Niech się pani rozejrzy i potem poda mi swoją cenę. Dużo tego będzie, na pewno. Dom stał przez parę miesięcy pusty.

— Wiem – odpowiedziała.

Nie wyglądała na zbyt gadatliwą. To również dobrze. Ruszyła na obchód domu.

— Firanki też mam poprać? I pościel? – spytała. – Mogę to zrobić.

— Naprawdę? – ucieszył się. – Byłbym wdzięczny. – Wczoraj spał na kanapie. Przykryty śmierdzącym stęchlizną kocem. – Pralka jest w łazience. Na końcu sieni są drzwi.

— Wiem – odpowiedziała. – Byłam tu kiedyś. Chodziłam z jego bratem do szkoły.

No tak. Zapomniał, że tylko on był tu nowy.

— Razem trzeba by jakieś dwieście złotych – powiedziała. – Dużo tego. – Spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że będzie się targował.

— Dobrze – odpowiedział. – Niech będzie. Chciałbym też, żeby przychodziła tu pani częściej. Tak co dwa tygodnie. Wtedy, powiedzmy, za sto złotych.

Na to powinno go być jeszcze stać. Nie cierpiał sprzątać.

— Dobrze – zgodziła się. – Mogę przychodzić.

Zacząła pracę. Najpierw zdjęła firanki i zniosła je do łazienki. Potem wzięła się za mycie okien. Rozłucki usiadł przy stole i

otworzył laptop. Zasięg był tu kiepski, lecz był na to przygotowany. Jeszcze w Warszawie kupił małą antenkę, którą podłączało się do gniazda USB. Spełniła swoje zadanie. Odpalił Internet i zaczął szukać materiałów o pedofilii. Co jakiś czas jednak zerkał na nią. Figurę miała całkiem niezłą, ładnie zarysowane biodra i szczupłą talię. Z piersiami zdaje się był lekki kłopot, ale też z drugiej strony nie jakiś dramatyczny. Coś tam odznaczało się pod czarną bluzką. Ładna twarz poprzecinana była pierwszymi zmarszczkami. Ufarbowane na jasny blond włosy z obowiązkowymi jak widać na tych terenach odrostami upięte były na czubku głowy w niedbały kok. Było jej do twarzy w takiej fryzurze. Niespodziewanie jego myśli odpłynęły. Zaczął wyobrażać sobie, że zakochują się w sobie, biorą ślub i mają dzieci. Albo że dopłaca jej sto złotych za szybki numer. Obie te fantazje snuły się prawie jednocześnie.

— Gdzie pan będzie spał? – wyrwała go z tych sprzecznych marzeń. – Bo tam, gdzie są łóżka, okna zamurowane.

— Może być tam – odpowiedział. – W nocy i tak jest ciemno.

— Nie wybije ich pan z powrotem? Głupio tak spać jak w grobie.

— Może kiedyś. Na razie chcę tu po prostu zamieszkać.

— Jakby co, mogę panu kogoś polecić. Jest tu taki jeden.

— Pani mąż? – spytał.

— Nie, nie mam męża – odpowiedziała.

Dlaczego o to spytał? Sam nie wiedział. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jak przypuszczał, że zabrzmiało.

— A co robimy z tą plamą? – Stała przed ścianą, na którą

rozbryzwał się mózg Romanowskiego. – Widać, że ktoś ją chciał zamalować, ale z powrotem wybiło. A jak już raz zamalowane, to ja tego nie doczyszczę.

— Może zostać – odpowiedział. – Nie przeszkadza mi. Może kiedyś to zamaluję.

— To może chociaż jakiś obraz tu powiesić albo lustro? W łazience są dwa, można by jedno przewiesić. A pod zlewem stoi skrzynka z narzędziami.

— Dobrze – powiedział. – Wieczorem się tym zajmę.

— Ja to zrobię – odparła. – Samotna kobieta z dziećmi musi umieć wszystko.

„A więc są jakieś dzieci...” – pomyślał. No tak. W takich miejscowościach jak ta, nie czeka się z ciążą do trzydziestki. A mąż? Pewnie uciekł albo w więzieniu. Albo go nigdy nie było.

Kobieta poszła do łazienki i wróciła z plastikową skrzynką na narzędzia. Wyjęła z niej młotek i odszukała gwoździe. Jeden z nich wbiła w ścianę tuż nad plamą. Potem odniosła skrzynkę i przyniosła lustro. Powiesiła je na gwoździu. Plama tylko trochę wystawała.

— Może być? – spytała.

— Znakomicie. Bardzo pani dziękuję.

Był w niej jakiś smutek, dopiero teraz to zauważył. Coś nieokreślonego wybijało spod jej ruchów i głosu. Przypominała w tym tego księdza, którego widział wczoraj w kościele. Może wszyscy mieszkańcy tej krainy są tacy przygnębieni? Tak jak wszystkie

kobiety mają odrosty?

Nagle przyszło mu coś do głowy.

— Straszna historia – powiedział. – Z tą dziewczyną znaną w lesie. Znała ją pani?

Skoro już jest tu u niego, można by ją trochę wypytać. Co mówi się o tym we wsi i w ogóle. Zawsze to lepsze niż chodzenie po ulicach i zaczepianie ludzi.

— Tak – odpowiedziała.

Skończyła myć okna i zabrała się za wycieranie kurzów. Plastikowa miska z wodą i płynem do mycia naczyń stała na stole, a ona płukała w niej właśnie ścierkę. Stała tyłem, więc nie widział jej twarzy.

— Myśli pani, że rzeczywiście ksiądz miał z tym coś wspólnego? Wszyscy o tym mówią.

— Nie, to nie on – odparła.

— Dlaczego?

— To porządny człowiek.

Ścierka zanurzała się i wynurzała w misce, woda chlupała. Jej odpowiedzi były tylko trochę głośniejsze od tego dźwięku.

— Kto w takim razie mógł zrobić coś takiego? Ta dziewczyna... jak ona miała na imię?

— Ewa.

Powinien był zwrócić uwagę na zmianę w jej głosie. Był jednak zbyt zaabsorbowany swoją rolą detektywa.

— Znała się dobrze z księdzem? Przychodziła do niego czasem

na plebanię?

— Nie przychodziła.

Woda chlusnęła i wylała się z miski. Ręce ze ścierką zastygły. Teraz już zauważył, że coś jest nie tak.

— Znała ją pani? – spytał raz jeszcze.

— Tak – odparła cicho. – To moja córka.

Usłyszał coś, jakiś krótki, urwany dźwięk. Ręce zanurzone w misce wyprostowały się i napięły, jakby chciała je wcisnąć w stół. Głowa opadła do przodu. Widział teraz wyraźnie szyję ze srebrnym łańcuszkiem.

Patrzył na to jak oniemiały. Poczuł wstyd. Wielki, graniczący z paniką.

— Przepraszam – zdołał wyjąkać tylko. – Nie miałem pojęcia...

Odetchnęła głęboko. Zobaczył, jak podnosi rękę i obciera ramieniem oczy.

— Nie szkodzi – odpowiedziała, stojąc ciągle tyłem. – Skąd mógł pan wiedzieć?

Wyprostowała się. Wyjęła dłonie z miski i wycisnęła ścierkę z wody. Odwróciła się do niego. Spojrzała na niego ciemnym, pustym spojrzeniem.

— Pewnie dziwi się pan, że tu przyszedłam? – powiedziała. – Dwa dni po śmierci córki.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— A co miałam robić? – spytała. – Mam jeszcze dwójkę dzieci. We wrześniu zaczyna się szkoła. Muszę im kupić książki, zeszyty,

buty na zimę. Nie stać mnie na żałobę.

ROZDZIAŁ 6

— Masz chwilę? – usłyszał głos w komórce. Komisarz Rafał Sądecki. Nie miał go zapisanego w kontaktach.

— Tak. Nie robię akurat niczego konkretnego.

Krupińska już skończyła. Gdy wychodziła, zachowywała się, jakby nie odbyła się między nimi żadna rozmowa. Obiecała, że przyjdzie za dwa tygodnie.

— Jestem akurat we wsi. Wpadnę na moment.

— Zapraszam.

Wyniósł dwa krzesła przed dom. W środku było już czysto, ale te rozmowy na przyzbie miały coś w sobie. Poza tym musiał ochłonać. Wymiana zdań z Krupińską całkowicie wytrąciła go z równowagi. To nagłe przejście od niepoważnych samczych fantazji, do stanięcia oko w oko z największą możliwą ludzką tragedią, było jak cios w splot słoneczny. Morderstwo młodej dziewczyny, które było dla niego do tej pory czymś tylko teoretycznym i które nie wzbudzało w nim specjalnych uczuć, bo było wydarzeniem zewnętrznym, może interesującym, lecz niedotykającym w żaden sposób jego ukrytych lęków, nagle wdarło się do jego wnętrza, wywołując nieokiełznaną falę emocji. Jakby ktoś przejechał mu nożem po żywej kości. Nie miał dzieci, więc nie potrafił się przerazić wizją ich utraty. Nie

poczuł tej obezwładniającej grozy, jaka staje się udziałem wszystkich matek i ojców, gdy słyszą o innych matkach i ojcach, którzy musieli przeżyć śmierć syna lub córki. Teraz jednak ją zobaczył. Zobaczył tę grozę na własne oczy. I nie potrafił o niej zapomnieć.

Usiadł na krześle i odetchnął głęboko. Spojrzał na jezioro. Ogromna tafla wody pomarszczona była niewielkimi falami. Płynęła wśród nich rodzina perkozów – dwa dorosłe osobniki i jedno młode. Z jego lewej strony, w wysokiej trawie rosnącej wkoło przykrytego plandeką samochodu, jakiś zbłąkany, wychudzony kot rozpoczynał właśnie swoje łowy. Zaczął patrzeć raz na perkozy, raz na kota, naprzemiennie, nie ruszając głową, zatrzymując wzrok na ułamek sekundy na każdym z obiektów. Najpierw tu, potem tam, powtarzając to mechanicznie, przez trzydzieści do czterdziestu sekund. Potem wziął głęboki oddech, taki z przepony, i wypuścił powoli powietrze. Po chwili powtórzył całą sekwencję, starając się jednocześnie cały czas obserwować, co dzieje się z jego ciałem. Była to metoda, której nauczył go kiedyś na sympozjum w Londynie pewien psychoterapeuta z Meksyku. Pobudzenie do pracy ośrodków odpowiadających za koordynację ruchową miało wymusić współpracę między obiema półkulami mózgu, aktywując lewą półkulę odpowiadającą za racjonalne myślenie i wyciszając prawą odpowiedzialną za negatywne emocje. Mechanizm neurologiczny działania tej metody nie był jeszcze jednoznacznie wyjaśniony, ale badania kliniczne potwierdzały jej skuteczność. Według jednej z

teorii wodzenie wzrokiem z prawa na lewo imitowało ruchy gałek ocznych, jakie zachodzą w głębokiej fazie snu REM, kiedy to mózg przetwarza informacje uzyskane w ciągu dnia i stymulowało go do wykonywania takiej samej pracy na jawie. Głęboki oddech na koniec każdej sekwencji był szczególnie ważny. Wysyłał do mózgu sygnał, że wszystko jest w porządku. Była to reakcja fizjologiczna niezależna od świadomości. Rzeczywiście, zaczynał się powoli uspokajać. Jego myśli odrywały się od tamtej rozmowy. Pozwolił, by popłynęły własnym, nienarzuconym z góry korytem. Skupił swój wzrok na jeziorze. „Każdy człowiek powinien móc usiąść i popatrzeć na taki widok”, pomyślał. Wyniesienie krzeseł przed dom to był naprawdę dobry pomysł. Kiedyś postawi tu ławeczkę. Mieszkał w końcu na wsi. Jego babcia miała taką przed domem. Siadywała na niej z sąsiadkami i rozmawiały godzinami.

„Wszyscy jesteśmy ze wsi”, pomyślał. „Tylko niektórzy przeprowadzili się do miasta”. Wrócił w pewnym sensie do swojej ojczyzny.

Zielona skoda komisarza zjechała ze wzgórza. Ona też tu pasowała. Podobnie jak ten stary, duży fiat przykryty brązową, brudną plandeką stojący z boku podwórza. Sparciałe opony oklapły i rozpląszczyły się na ziemi. Spod kół wyrastały wysokie kępy trawy. To także był bardzo wiejski widok.

— Cześć! – powiedział komisarz, wysiadając ze swojego bolidu. – Krzeselka, widzę, już stoją. Bardzo dobrze, mamy do pogadania.

Usiadł obok Rozłuckiego.

— Dobrze, że cię zastałem – stwierdził. – Mam ciekawe informacje.

Tym razem komisarz nie wyciągnął lucky strike'ów.

— Mów – zachęcił go Rozłucki.

Komisarz klepnął się dłońmi po udach. Miał zamiar, zdaje się, od razu przejść do rzeczy. Bez całej tej poprzedniej szopki.

— Zrekonstruowaliśmy chyba ostatni wieczór życia tej dziewczyny – powiedział.

— Ewy Krupińskiej.

Komisarz spojrzał na niego zdziwiony.

— Widzę, że nie tracisz czasu. Tak, Ewy Krupińskiej.

— Używajmy jej imienia – powiedział Rozłucki. – Pamiętajmy, że zanim została ciałem leżącym w chłodni, była żywą, realnie istniejącą, młodą dziewczyną, która miała matkę, siostry i braci.

Sam zdziwił się tej swojej tyradzie. Czyżby tą nagłą demonstracją empatii próbował odpokutować swoje niedawne niestosowne myśli?

Komisarz pokiwał bez przekonania głową. Widać było, że Ewa Krupińska była dla niego właśnie tym – ciałem leżącym w chłodni. Ewentualnie ofiarą mordercy, którego trzeba złapać.

— Dobrze – powiedział. – W każdym razie wiemy już, co robiła w wieczór poprzedzający zabójstwo.

— Co?

— Pojechała do Olsztyna, tak jak mówiła jej matka. Większość czasu spędziła w klubie Chili na starym mieście, przy ulicy

Kołątąja. To duży lokal i dość popularny wśród młodzieży. W piątkowe wieczory jest tam tłoczno. Zwłaszcza pod koniec sierpnia, kiedy wszyscy chcą się wybawić przed zbliżającą się szkołą. Była tam mniej więcej do drugiej, kiedy postanowiła wrócić do domu. O tej porze nie jeżdżą żadne autobusy, więc zamówiła taksówkę. Nie podjechała jednak nią pod swój dom. Tuż przed wsią kończy się jedna strefa, a zaczyna druga. Wszyscy, którzy wracają w nocy z Olsztyna, dojeżdżają tylko do końca strefy, a resztę drogi pokonują pieszo. Tak wychodzi znacznie taniej. Ona też tak zrobiła. Jej dom znajduje się nie w samej wsi, a trochę z boku, za wzgórzem. Droga do niego prowadzi właśnie przez ten las, w którym ją znaleziono.

— Czyli wracała do domu przez las i tam ją ktoś napadł? Między drugą a trzecią w nocy?

— Na to wygląda. Ale jest jeszcze jedna ciekawa rzecz. Nie wracała tą taksówką sama. Pochodzi z dość biednej rodziny i nie byłoby ją na to stać. Jechała razem ze swoim kolegą z klasy Adrianem Tkaczem. To on zapłacił za kurs. I tu kolejna ciekawa rzecz: taksówkarz twierdzi, że Adrian próbował się do niej dobierać. Do Ewy Krupińskiej. Taksówkarz nawet w pewnym momencie zastanawiał się, czy nie interweniować, ale dziewczyna podobno dała sobie radę. Potem wysiedli i poszli razem w kierunku wsi. Oboje byli zauważalnie pijani, z tym że on trochę bardziej.

— Przesłuchaliście tego chłopaka?

— Właśnie od niego wracam.

— No i?

— Twierdzi, że w pewnym momencie pokłócili się i potem nie szli już razem. On poszedł asfaltową drogą w kierunku wsi, a ona przez las. To o tyle dziwne, że jego dom też jest za wzgórzem i powinien był wracać razem z nią. Przeszukaliśmy jego pokój. W kurtce, którą miał wtedy na sobie, znaleźliśmy paczkę prezerwatyw. Otwartą. Jednej prezerwatywy brakuje. Właśnie po raz kolejny przeszukujemy las. Tym razem na znacznie większym obszarze. Szukamy zużytej prezerwatywy.

— Znaleźliście już coś?

Komisarz uśmiechnął się.

— Problem w tym, że znaleźliśmy aż za dużo. Podobno latem przez jakiś czas na tym odcinku drogi Olsztyn – Ostróda stały przydrożne prostytutki i sporo tego towaru leży tam teraz po krzakach. Nasi technicy muszą więc określić, które z tych prezerwatyw są w miarę świeże, a potem porównać materiał genetyczny z ich środka z kodem DNA chłopaka. Paskudna robota. I trochę niestety potrwa. Ale jakoś jestem pewien, że coś znajdą. Przesłuchaliśmy też resztę dzieciaków z ich klasy. Twierdzą, że Adrian podkochał się w Ewie. I to nie pierwszy raz, kiedy się do niej dowalał.

— Czyli wygląda na to, że macie drugiego podejrzanego?

— Pierwszego – poprawił go komisarz. – Ksiądz proboszcz z naszego punktu widzenia nie jest póki co o nic podejrzany. Nie ma podstaw. Artykuły w prasie, wpisy w Internecie i plotki nie są żadnymi poszlakami.

Widać było, że jest bardzo z tego zadowolony.

— Jeśli rzeczywiście jest pedofilem i miał taki epizod w przeszłości, to już jest jakaś poszlaka – powiedział Rozłucki. – Rzekłbym nawet, że poważna. Sprawdzaliście, czy faktycznie miał coś na sumieniu w poprzedniej parafii?

— To nie takie proste. Sprawa nie została zgłoszona. To akurat sprawdziliśmy. A od instytucji kościelnych raczej niczego się nie dowiemy.

— Można pojechać na miejsce, popytać ludzi, dotrzeć do ewentualnej ofiary i jej rodziny... Ja, psycholog, nie muszę chyba tobie, policjantowi, tłumaczyć takich rzeczy?

— Jak będzie trzeba, to to zrobimy. Na razie priorytetem jest ten chłopak – powiedział z naciskiem komisarz.

— Wolałbyś, żeby to był on, prawda? – spytał Rozłucki.

Komisarz uśmiechnął się szeroko.

— O matko, pewnie! Oszczędziłoby mi to naprawdę sporo kłopotów. Wszyscy by woleli. Ale nie martw się, jak będzie trzeba, przymkniemy i księdza.

— Rozmawiałem dziś z jej matką.

Komisarz spojrzał na niego, jakby nie rozumiał do końca, o kogo chodzi. Rozłucki wykorzystał tę przerwę, by sprawdzić, czy emocje związane z tamtą rozmową nie zaatakują go ponownie. Nie zaatakowały.

— Z czyją matką? Ewy Krupińskiej?

Rozłucki pokiwał w milczeniu głową. Komisarz uniósł wysoko

brwi.

— Naprawdę nie tracisz czasu. Jak to zrobiłeś, poszedłeś do niej?

— To długa historia, pomógł mi przypadek. W każdym razie ona też twierdzi, że to nie ksiądz.

— Widzisz? Mówiłem! – komisarz ponownie klepnął się po udach.

— To jeszcze akurat o niczym nie świadczy – przerwał mu świętowanie Rozłucki. – To częsty mechanizm w przypadku pedofilii. Jeśli pedofil jest kimś z rodziny – ojcem, wujkiem, konkubentem matki albo tak jak właśnie ksiądz – osobą obdarzaną niepodważalnym społecznym zaufaniem – bliscy ofiary często do końca nie wierzą w jego winę.

— Już przestań mnie denerwować! – komisarz machnął dłońmi, jakby chciał odpędzić muchę.

— A ten Adrian, mógłbyś mi powiedzieć o nim coś więcej?

— Piętnaście lat, tak jak ofiara. Chodzili do jednej klasy. Wysoki, wyższy nawet ode mnie. Szczupły, ale wysportowany. Trenuje jazdę na longboardzie, cokolwiek by to było. Na pewno dość silny, by mógł obezwładnić bez trudu ofiarę i przypadkiem złamać jej kark. Pod tym względem więc również pasuje. Pyszczy. Dobry uczeń. Do tej pory nie było z nim żadnych specjalnych problemów.

— Zamknięty w sobie? Nieśmiały? Czy może raczej rozrywkowy? Jakieś nietypowe hobby? Sprawdziliście jego komputer? Na jakie strony wchodził? Ostre porno, SM, przemoc, filmy, na których

kobiety są wiązane, bite, upokarzane? Może jakieś dziwne grupy dyskusyjne?

Twarz komisarza wyrażała zakłopotanie.

— Tak, oczywiście, sprawdzimy to.

— Zróbcie to jak najszybciej. To samo zresztą wypadałoby zrobić z komputerem księdza.

— To na razie odpada. Nie jest na razie o nic podejrzany. Musiałbym uzyskać nakaz, a nie ma do tego specjalnych podstaw. Nie mogę tak po prostu wejść na plebanie i zabrać komputer księdzu.

— Nie macie tam w Olsztynie jakiegoś antyklerykalnego prokuratora, który aż przebiera nogami, żeby dowalić Kościołowi?

Komisarz uśmiechnął się półgębkiem.

— Pewnie by się taki znalazł.

— No to już, dawaj, dzwoń do niego.

Komisarz nie odpowiedział.

— Uważaj, Rafał. Widzę, że już zafiksowałeś się na tym przyszczatym chłopaku. Chciałbyś, żeby to był on. Ja to rozumiem. Dla wszystkich byłoby wygodniej, żeby tak było. Spokój społeczny pozostałby nienaruszony. Ale póki co nie wiemy, kto zabił tę dziewczynę. Musimy sprawdzić wszystkie możliwości.

— Sprawdzimy je, ale po kolei.

— Zachowując się tak, ryzykujesz, że skupiając się na jednym podejrzanym, przeoczysz ważne poszlaki dotyczące drugiego. Albo będziesz wręcz nagiął fakty i naciągał interpretacje, byleby tylko

pasowały do z góry upatrzonego winnego. Podświadomie oczywiście, nie posądzam cię przecież o to, że zechcesz świadomie wrobić tego chłopaka, byleby tylko nie musieć oskarżać księdza i narażać się na przypięcie etykietki wroga wiary i Kościoła.

— O to mnie lepiej nie posądzaj. — Komisarz zerknął na niego spode łba. Nie był zadowolony z tego, co usłyszał. — A czy również ty przypadkiem, podświadomie, jak wy to mówicie, nie wolałbyś, by winnym okazał się właśnie ksiądz? — przeszedł nagle do kontrataku. — Dlatego podświadomie naginasz interpretacje, by przekonać mnie, że mam się skupić na nim? Bo wiesz, że gdyby mordercą okazał się ten chłopak, to Karolina by tu nie przyjechała. Nie miałyby po co. Myślisz, że nie widziałem, jak się na nią patrzyłeś? Zresztą wcale ci się nie dziwię. I też ci powiem: uważaj. To nie jest łatwy przeciwnik. Mam w tej sprawie, jak wiesz, pewne doświadczenie, więc poradzę ci jak przyjacielowi: odpuść sobie. Tego ptaszka nie da się złapać. Za każdym razem, gdy będziesz myślał, że jesteście już razem, ona ucieknie. Nie wiem dlaczego. Tak już ma. Ty jako psycholog pewnie mógłbyś coś więcej powiedzieć o powodach takiego zachowania. Ja wiem tylko, że tak właśnie robi. Zawsze i za każdym razem. Nie zdziwiło cię, że taka kobieta nie ma dotąd faceta? A może myślałeś, że czekała właśnie na ciebie?

Spojrzał na niego wyzywająco. Rozłucki odwrócił wzrok. To była seria naprawdę celnych ciosów. Pan komisarz nie był wcale taki durny, jakiego czasami zgrywał. Czy miał rację? Czy i on również

zafiksował się na księdzu, bo chciał się po prostu spotkać z Karoliną? Nie było to wcale takie nieprawdopodobne. Nikt nie potrafi być w pełni obiektywny, wiedział o tym. Każdy ma jakieś za i jakieś przeciw. Jeden wynik pasuje mu bardziej, a drugi mniej.

Zapadła cisza. Obaj przeżuwali w milczeniu słowa, które właśnie usłyszeli. Trochę obrażeni, trochę źli, zastanawiając się, czy odgryźć się przeciwnikowi, czy może lepiej udawać, że nic się nie stało. Obaj doszli jednak do wniosku, że lepiej będzie puścić w niepamięć tę krótką wymianę uprzejmości.

— Nie twierdzę przecież, że ten chłopak nie jest winny, mówię tylko, że póki co nie można wykluczać innych możliwości – odezwał się pierwszy Rozłucki, całkowicie ignorując wątek Karoliny. Jakby nikt nic o niej nie wspomniał.

— Niczego nie wykluczam. Mówię ci tylko, że według mojej dzisiejszej wiedzy nie ma najmniejszych podstaw, by podejrzewać księdza o cokolwiek. Chyba że chcesz oskarżać ludzi na podstawie plotek. – Komisarz również postanowił najwyraźniej nie ciągnąć dalej tego tematu.

— Nie chcę go oskarżać, chcę go sprawdzić. Zginęła piętnastolatka. Motyw zabójstwa jest prawdopodobnie seksualny, tak?

— Tak.

— A w najbliższej okolicy mieszka człowiek podejrzewany – choćby tylko na podstawie plotek – o pedofilię. Nie sądzisz, że to wystarczający powód, by się nim zainteresować?

Komisarz Rafał Sądecki wpatrywał się bez słowa w przestrzeń. Ruszał przy tym szczęką, jakby liczył językiem swoje zęby. W końcu się odezwał.

— Sądzę.

— To się tym zajmij.

— Dobrze. Zajmę się. – Nie był uszczęśliwiony tą perspektywą.

— A, no i skoro macie tam w swojej komendzie profilera, choćby takiego po kursie weekendowym, niech sporządzi profil sprawcy. Chętnie go przeczytam. Zawsze dobrze spojrzeć na coś z innej perspektywy.

ROZDZIAŁ 7

Wyszedł ze szpitala tuż po drugiej. Tym razem doktor Goczał dotrzymał słowa – przypadki, którymi się dziś zajmował, nie były zanadto skomplikowane. Poza tym pierwsze rozmowy z nowymi pacjentami zazwyczaj nie są zbyt wymagające. Zadaje się pytania otwarte i pozwala im mówić. Im więcej, tym lepiej.

Przeszedł przez ulicę i stanął na przystanku. Autobus podjechał po niecałej minucie. Wsiadł do niego i pojechał w kierunku centrum. Wysiadł na przystanku pod miejskim teatrem, niedaleko ratusza. Musiał teraz przejść przez duże skrzyżowanie i dostać się na inny przystanek zlokalizowany pod murem starego więzienia przylegającego do budynku sądu. Węzienie to – duże ponure gmaszysko z czerwonej cegły otoczone wysokim, betonowym murem z drutem kolczastym na szczycie – zbudowane było w czasach, gdy to zapewne tam właśnie kończyło się miasto. Obecnie stało w samym jego centrum, naprzeciwko nowej, lśniącej blichtrzem galerii handlowej, co stanowiło widoczny i zdaniem Rozłuckiego bardzo zabawny przykład, do jakich dwóch skrajności może prowadzić nadmierne umiłowanie dóbr materialnych.

Stanął na światłach, lecz gdy zapaliło się zielone, nie ruszył się z miejsca. W zasadzie nie chciało mu się wracać do domu. Było

bardzo wcześnie, dzień był pogodny i ciepły, a on nie zwiedził jeszcze Olsztyna. Odwrócił się i poszedł w dół, w kierunku starego miasta. Przeszedł obok wielkiego neorenesansowego ratusza ze strzelistą wieżą, z balkonu której – jak dowiedział się już pierwszego dnia – przemawiał kiedyś Hitler. Ulica zaprowadziła go do wysokiej, gotyckiej bramy z czerwonej cegły. Przeszedł pod nią i wkroczył na teren starego miasta. Także i ono, jak chyba wszystko w tym mieście, położone było na wzgórzu. Z jego lewej strony wznosiła się ogromna, przysadzista wieża katedry, z prawej, trochę w dole, w zakolu, jakie tworzyła w tym miejscu rzeka Łyna, rozsiadł się zamek.

Poszwendał się trochę wąskimi uliczkami, obszedł naokoło rynek, zajrzał w podcienia stojących wokół niego kamienic, przeszedł przez most nad fosą i wstąpił na zamkowy dziedziniec. Przeczytał opis informujący go, że zamek wbrew pozorom nigdy nie należał do Zakonu Krzyżackiego, że wręcz przeciwnie, był własnością biskupów warmińskich, a w latach takich i takich mieszkał tu Mikołaj Kopernik, który to prawdopodobnie właśnie tu, a nie w jakimś głupim Fromborku, wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię. Przyjrzał się uważnie twarzy obłego i dość topornego kamiennego posągu stojącego na dziedzińcu i pochodzącego jeszcze z czasów pogańskich Prusów. Posąg ten, jak dowiedział się z tabliczki umieszczonej tuż obok, powszechnie zwany „babą pruską” przedstawiał tak naprawdę wojownika albo nawet jakiegoś pogańskiego boga. Na koniec zajrzał do ogromnej zamkowej studni

i właśnie wtedy poczuł, że jest głodny. Wyszedł z zamku i ruszył w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby coś zjeść.

Trafił w końcu do małej hamburgerowni, z rodzaju tych, które wyrastały od kilku lat w całej Polsce, a które – w opozycji do sieciowych fast foodów – próbowały podnieść hamburgera na wyżyny sztuki kulinarnej i niektórym, trzeba przyznać, nawet się to udawało. Zjadł w niej całkiem smacznego hamburgera z grillowanym bekonem, serem pleśniowym i ostrym sosem z papryczek habanero, a potem popił go równie smacznym, beczkowym piwem z miejscowego browaru. Przeglądał właśnie z nudów leżącą na stole ulotkę reklamową, zastanawiając się przy okazji, co by tu dalej robić, gdy jego wzrok padł na adres lokalu umieszczony pod informacją o warunkach i zasięgu dostawy: Hugona Kołłątaja 3. Zaraz, czy to nie przy tej ulicy mieścił się klub, w którym spędziła swój ostatni wieczór Ewa Krupińska? Zapłacił i wyszedł na zewnątrz. Drzwi hamburgerowni wychodziły na mały placzyk między budynkami, ulica Kołłątaja, jak się okazało, znajdowała się z drugiej strony kamienicy. Poszedł w tamtą stronę. Obchodząc budynek, trafił wprost na wejście do klubu Chili. Nie zastanawiając się długo, wszedł do środka.

Klub o tej porze pełnił funkcję czegoś w rodzaju restauracji. Menu łączyło w sobie potrawy kuchni amerykańskiej, meksykańskiej, śródziemnomorskiej i polskiej. Był już najedzony, więc zamówił jeszcze jedno piwo. Lokal był ładny, z dużym podświetlanym, oszklonym i bogato zaopatrzonym barem oraz

kanapami obitymi czerwonym pluszem. Na ścianach wisiały duże, czarno-białe zdjęcia przedstawiające głównie Nowy Jork z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien podejść do baru i wzorem wszystkich detektywów z wszystkich filmów zacząć wypytywać o Ewę Krupińską, ale po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że byłoby to bez sensu. Policja na pewno już to zrobiła, a on czułby się w takiej roli wyjątkowo niezręcznie. Zamiast tego spróbował wyobrazić sobie, jak to miejsce wygląda w piątek wieczorem. Puste miejsce DJ-a świadczyło, że króluje tu muzyka. Ulotka na stoliku dokładnie wyszczególniała, jaki jej rodzaj grany jest którego dnia. Dziś miała to być salsa, bachata i kizomba. Dwie ostatnie nazwy widział pierwszy raz w życiu. Sala do tańczenia znajdowała się na górze. Ogródek na zewnątrz musiał być pełen ludzi. Piwo, koktajle, drinki, kuchnia czynna do późna – wydawało się to być idealne miejsce, by przyjść tu na imprezę w letnią, piątkową lub sobotnią noc.

Rozejrzał się dookoła. Co robiła ta młoda dziewczyna w tamtą noc? Gdzie stała, z kim rozmawiała? Piła pewnie piwo – najtańszy alkohol, jaki można kupić w takim miejscu. Zakładając oczywiście, że w ogóle jej coś takiego sprzedano, w końcu była niepełnoletnia. W tym drugim przypadku zapewne wypła przed wejściem jakąś małą wiśniówkę albo już potem, w toalecie. Skądś w końcu wzięło się to, że, jak twierdził taksówkarz, była pijana.

Jego wzrok padł na kolekcję butelek stojących za barem. Mieli

tu kilka całkiem niezłych whisky. Wypatrzył nawet taliskera. Z doświadczenia wiedział jednak, że nie należy zamawiać takich alkoholi w takich miejscach. Ich cena była zazwyczaj absurdalnie wysoka. Podeszedł do blatu i przywołał barmana. Zamówił podwójnego czarnego jima beama bez lodu. Przyzwoity burbon w przyzwoitej cenie. Usiadł na stołku barowym i odwrócił się do sali. Lokal powoli się zapełniał. Kelnerki donosiły jedzenie i piwo do stolików. Pojawiły się pierwsze głośne rozmowy i śmiechy. Spojrzał na zegarek. Minęła osiemnasta. Początek wieczoru. Nagle stanęła mu przed oczami Karolina. Przypomniał sobie o niej bez powodu, jak wiele razy wcześniej. W zasadzie stale przy nim była, myśli o niej towarzyszyły mu nieustannie, czasami tylko przykryte jakimiś bardziej bieżącymi sprawami. Przechylił szklanekę i wlał do ust alkohol. Odkładając ją, stwierdził z pewnym zdziwieniem, że wypił wszystko na raz. Zamówił jeszcze raz to samo. Dawno już nie pił, starał się ostatnio ograniczać tego typu przyjemności. Tym bardziej, że po sprawie Romanowskiego i po powrocie do Warszawy trochę za bardzo popłynął w tym kierunku. Jego ucieczka na wieś miała być ucieczką także od tego. No ale raz na jakiś czas można przecież popuścić sobie wodze. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy Karolina tu w o ogóle przyjedzie i czy jest się jeszcze o cokolwiek w życiu starać.

Do baru podeszła jakaś młoda dziewczyna. Zagadał do niej. Bardzo się zainteresowała tym, że jest psychologiem. Jak się okazało, była tu z chłopakiem i znajomymi. Zaprosiła go do ich

stolika. Stała już na nim wódka. By podziękować za zaproszenie, zamówił drugą butelkę. Ich też bardzo ciekawiło, jak leczy się świrów. Ani się obejrzał, a był już pijany.

Minęła dwudziesta pierwsza i jego towarzystwo postanowiło zakończyć imprezę. Dziewczyna ze swoim chłopakiem poszli do domu, podobnie jak jeszcze jedna para. Dwóch pozostałych mężczyzn, na oko w okolicach trzydziestki, postanowiło zmienić lokal. Poszedł wraz z nimi.

Zapadł już zmrok. Szli pod górę brukowaną ulicą, przeszli przez rynek, minęli niezbyt duży kościół, ciemny jak głaz z kosmosu, po lewej stronie w oddali mignęła im podświetlona bryła zamku. Zaczął padać drobny deszcz, bruk był mokry, zrobiło się chłodniej. „Od świętej Anki zimne wieczory i ranki”, przypomniał sobie ni stąd ni zowąd ludowe przysłowie. Potem już nie mógł przestać powtarzać go w myślach. „Anki czy Hanki?”, zaczął się zastanawiać. Akurat wtedy doszli do miejsca swojego przeznaczenia, pytanie pozostało więc nierozstrzygnięte.

Rozejrzał się półprzytomnie. Znajdowali się na placu otoczonym nowymi, lecz stylizowanymi na stare kamienicami. Był tu już kiedyś. Z Karoliną. Wtedy, trzy miesiące temu. Padał deszcz, mocniejszy niż teraz. Schronili się pod tymi parasolami po drugiej stronie placu. Gdzieś tam, po lewej stronie na wzgórzu wznosiło się liceum, w którym uczył Romanowski.

Jego nowi znajomi rozmawiali z dwoma ochroniarzami pilnującymi wejścia do lokalu, nad którego drzwiami świecił się na

różowo neon układający się w słowo „Glamour”. Wielcy jak szafy ochroniarze najwyraźniej dość dobrze znali się z mężczyznami, bo ich rozmowę raz po raz przerywał rechoczący śmiech. W końcu jeden z mężczyzn kiwnął na Rozłuckiego i weszli wszyscy do środka. Zapłacili po pięćdziesiąt złotych przy stoliku stojącym tuż za drzwiami, po czym miła, ładna i dość skąpo ubrana dziewczyna przystawiła im na rękach świecące pieczątki i poprowadziła w głąb lokalu.

Wszystko tu było – zgodnie z nazwą – glamour. Czerwony, co prawda trochę już przybrudzony chodnik ścielił się po podłodze. Niewielkie lampki na ścianach rozaczały różową, delikatną poświatę. Mosiężne gałki słupków, między którymi rozpięte były grube, czerwone sznury, lśniły, wyznaczając im drogę, jakby kroczyli na ceremonię rozdania Oscarów. Weszli wreszcie na salę. Półnaga dziewczyna zaprowadziła ich do stolika. Również i tu był bar, równie lśniący, jak w klubie Chili, lecz podświetlony, jak wszystko tutaj, na różowo. Usiedli na otaczających stolik z trzech stron kanapach. Rozłucki z lewej strony, jego dwaj towarzysze w środku i po prawej. Naprzeciwko stolika była scena, na której zamontowano błyszczącą niklowaną rurę. Wyginała się przy niej tancerka. Jej nagie ciało było tylko trochę jaśniejsze od spowijającego wszystko dookoła różowego półmroku.

Niemal natychmiast pojawiły się przy nich dziewczyny. Wyglądały na całkiem nagie, lecz po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że mają na sobie kuse stringi w kolorze ciała.

Dosiadły się do nich. Jego nowi znajomi, których imion za nic nie pamiętał, najwyraźniej dobrze zaznajomieni byli z regułami rządzącymi w tym miejscu. Zamówili wódkę i szampana. Po chwili jak spod ziemi wyrosła kelnerka.

Szampan, jak się okazało, był dla dziewczyn, wódka dla nich. Rozłucki wychylił kolejny tego wieczoru kieliszek. Wszedł już na ten poziom w alkoholowej grze, że nawet niespecjalnie poczuł różnicę. Dziewczyna siedząca obok niego zagadnęła go. Była ładna. Ładna i naga. Nie miała więc najmniejszych problemów, by zainteresować go rozmową.

Dziewczyna pochodziła, jak się okazało, z Ukrainy. Studiowała na miejscowym uniwersytecie, a w ten sposób zarabiała na chesne i utrzymanie. Była w Polsce już trzeci rok, więc dość dobrze mówiła po polsku, choć z wyraźnym akcentem. Urodziła się w Połtawie, zatem Rozłucki postanowił błysnąć wiedzą i spytał ją o bitwę, jaką w osiemnastym wieku stoczyli pod tym miastem Szwedzi i Rosjanie. Wiedziała o niej, a jakże. W ogóle mądra była dziewczyna. I coraz bardziej mu się podobała.

Z początku próbował nie patrzeć się w trakcie rozmowy na jej piersi. Później jednak stwierdził, że przecież o to dokładnie chodzi w takich miejscach jak te, i już bezceremonialnie wgapiał się w jej cycki. Cierpiała na tym konwersacja, bowiem raz na jakiś czas zawieszał się wpatrzony w te dwa nadzwyczaj kształtne i znajdujące się tak blisko niego atrybuty kobiecości. Jego sąsiad z prawej strony upijał się coraz bardziej. Objawiał to między innymi

w ten sposób, że mówił coraz głośniej. Rozłucki z kolei wraz z wlewaniem w siebie kolejnych kieliszków wódki coraz bardziej milknął. Siłą rzeczy punkt ciężkości jego percepcji przesunął się więc coraz bardziej w tamtą stronę.

Mężczyzna i dziewczyna, która koło niego siedziała, rozmawiali o rzeczach daleko bardziej współczesnych niż bitwa pod Połtawą. O tym mianowicie, jakie laski przychodzą do jakiego lokalu w Olsztynie. Do którego studentki, do którego licealistki, a do którego głupie dresiary. Gdzie przesiadują, próbując udawać dorosłe, małolaty. Gdzie najłatwiej jest kogoś wyrwać. Gdzie trzeba uważać, by nie trafić na niepełnoletnią i nie narobić sobie kłopotu. Rozmowa w końcu zeszła na klub Chili. Rozłucki całe szczęście nie był aż tak bardzo pijany ani aż tak bardzo zapatrzony w piersi swojej ukraińskiej przyjaciółki, by nie zacząć przysłuchiwać się temu z zainteresowaniem.

Dziewczyna siedząca obok jego świeżego znajomego – wysoka, zdrowa blondynka, lecz o niezbyt interesującej jego zdaniem twarzy – pochodziła z Olsztyna, więc miała na ten temat wyrobione zdanie. Twierdziła, że kiedyś klub Chili był najfajniejszym lokalem w mieście, ale niestety jakiś czas temu to się zmieniło. Wszystko przez to, że upodobały go sobie małolaty, „gimbaza”, jak pogardliwie o nich mówiła. Przychodzili, udawali dorosłych, męczyli przez cały wieczór jedno małe piwo, jeśli udało im się je kupić. Jeśli nie, siedzieli godzinami nad colą lub sokiem, zajmowali miejsce i parkiet. Najgorsze było zaś to, że jak głośliła fama na

mieście, przyłaziły tam dziewczyny – małoletnie lub nie – które szukały sponsora. Efekt był taki, że przy barze przesiadywały głupie dziewczuchy, wdzięczące się do każdego gościa, który wyglądał na choć trochę śmierzącego kasą, pojawiała się też mnóstwo oblechów, niekoniecznie mających środki na tego typu imprezę, za to lubiących się poślinić za darmo i podowalać do kogo się da. Blondynka знаła podobno kogoś, kto znał kogoś, kto znał właściciela tego przybytku i z tego oto źródła miała informację, że zastanawia się on nad zwinięciem interesu. Dochód każdego tego typu lokalu bierze się głównie ze sprzedaży alkoholu, a zarówno gimbaza, jak i głupie panny i ich napaleni absztyfikanci nie byli zbyt przyforsie i niechętnie zamawiali więcej niż jednego drinka na wieczór. Normalna klientela z kolei zaczęła coraz częściej omijać to miejsce szerokim łukiem. Obrót spadał, a koszty pozostawały takie same. Właściciel próbował jakoś odwrócić ten trend, ale niełatwo jest odkleić łatkę, która raz przyklei się do jakiegoś lokalu. Powoli miał już tego wszystkiego dosyć, więc, jak prorokowała blondynka, to już ostatni sezon, gdy można tam pójść i potańczyć. A szkoda, bo sala do tańczenia na piętrze jest całkiem spoko, a i muzykę puszczali zawsze niezłą.

W pewnym momencie dziewczyna doszła najwyraźniej do wniosku, że dość już tych czczych i bezpłatnych rozmów, i zaproponowała mężczyźnie prywatny taniec w VIP-roomie. Towarzysz Rozłuckiego zgodził się na to chętnie, wydając przy tym serię głośnych okrzyków, które musiał podpatrzeć w jakimś

amerykańskim filmie. Wstali i zaczęli się przeciskać do wyjścia. Wybrali niestety stronę Rozłuckiego. Kobieta omal nie przejechała mu sutkami po twarzy.

Jego ukraińska towarzyszka wkrótce zaproponowała mu to samo. Z początku opierał się, ale gdy wstała i zaczęła przy nim zmysłowo tańczyć, ciągnąc go jednocześnie za rękę, potulnie poszedł za nią.

Znowu znalazł się przy stoliku, przy którym płacił za wejście. Uścił tam opłatę za indywidualny taniec – dwieście złotych. Zdążył tylko przez chwilę pomyśleć, że rujnuje w ten sposób swój tak dobrze zbilansowany miesięczny budżet, bo oto dziewczyna pociągnęła go w lewo, gdzie widać było kilkoro obitych czerwonym pluszem drzwi. Z jednych z nich ktoś właśnie wychodził. Jakaś para, która najwyraźniej już skończyła to, co oni za chwilę będą robić. Niska brunetka z czarnymi, kręconymi włosami i łysiejący mężczyzna w rozchełstanej na piersiach koszuli. Ten mężczyzna kogoś mu przypominał, tylko kogo? Przecież na dobrą sprawę nikogo nie znał w Olsztynie, z wyjątkiem może komisarza Sądeckiego, a komisarz Sądecki to nie był na pewno.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, gdyż jego dziewczyna otworzyła drzwi obok i wciągnęła go do środka. VIP-room okazał się być niezbyt dużym pokojem z czerwoną tapetą na ścianach i czerwoną wykładziną na podłodze. Na wszystkich jego ścianach wisiały duże lustra, a pod jedną, tą naprzeciwko drzwi, stała spora czerwona kanapa. Dziewczyna poleciła mu na niej

usiąść, poinformowała jeszcze dla porządku, że to nie burdel, a ona nie jest prostytutką, więc żeby nie liczył na nic więcej niż taniec, nacisnęła przycisk w stojącym na małym stoliku magnetofonie i zaczęła swój pokaz.

Światło, różowe oczywiście, bo jakżeby inaczej, było tu chyba jeszcze nawet bardziej przyćmione niż na sali. Dziewczyna wiła się i przeginała w rytm muzyki. Jej szczupłe, zgrabne ciało odbijało się w wiszących na ścianach lustrach. W końcu ściągnęła swoje cieliste majteczki i podeszła do Rozłuckiego. Tańczyła teraz naprawdę blisko, dotykając raz po raz udami jego kolan. Czas stracił już dawno swój linearny charakter. Byli teraz w jakimś jego bąblu, w bańce niezależnej i autonomicznej wobec wszystkiego, co było kiedyś, i wszystkiego, co zdarzy się jutro.

Wyciągnął rękę, próbując dotknąć tych wszystkich migających mu przed oczami cudów. Dziewczyna trochę się odsuwała, a trochę nie. Udało mu się w końcu chwycić ją za piersi, potem spróbował włożyć dłoń między jej nogi. Jeśli czegoś się później wstydził, przypominając sobie ten wieczór, to właśnie tego. Jeśli zaś coś go bawiło, to to, że nie przestał przez cały ten czas analizować swojego zachowania. Mały psycholog siedział ciągle w jego głowie i szeptał mu do ucha swoje obserwacje. Może nie był zbyt odkrywczy, może jego uwagi nie były do końca profesjonalne, w końcu alkohol działał także i na niego, ale na pewno nie poszedł spać. „Tak... – mówił – to kiedy ty w ogóle ostatnio uprawiałeś seks? Nawet nie pamiętasz, co? Stłumione potrzeby zawsze w końcu znajdą drogą na

powierzchnię, chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. A to jest właśnie tego efekt. Alkohol rozhamowuje, a w twoim przypadku także schamia. Znajdź sobie wreszcie kogoś, z kim mógłbyś normalnie, bez popadania w konflikt ze swoim resztkowym superego, realizować swoje naturalne przeciwieństwo seksualne potrzeby. Karolina czy nie Karolina – dla twojego libido naprawdę nie ma to żadnego znaczenia”.

Opłacony czas dobiegł końca. Dziewczyna skończyła tańczyć i wyłączyła magnetofon. Poczekała jeszcze chwilę, jak sobie to dopiero później uświadomił, pewnie na napiwek, po czym wyszła z pokoju. Wstał i również wyszedł. Wrócił na salę. Jego znajomych już na niej nie było. Może poszli, a może zamawiali kolejne tańce w VIP-roomach? Postanowił ewakuować się z tego miejsca, póki był jeszcze w stanie podejmować jakiegokolwiek decyzje. Przy wyjściu dowiedział się, że musi opłacić swoją część należności za wódkę i szampana. Dobrze, że miał kartę i dobrze, że rachunek, przy którego wysokości omal nie jęknął, nie przekroczył jej limitu. Wyszedł w końcu za zewnątrz. Deszcz przestał już padać, lecz w powietrzu ciągle unosiła się wilgoć. Betonowy bruk na placu lśnił w blasku ulicznych latarni. Niemal natychmiast podjechała taksówka. Wsiadł do niej. Taksówkarz odwrócił się do niego i z obleśnym uśmiechem zaproponował kurs do agencji towarzyskiej. Nie pamiętał, co odpowiedział, taksówkarz najprawdopodobniej musiał jednak wziąć to za zgodę, bowiem następny przeblysł świadomości miał, gdy wysiadał pod jakimś jednorodzinny

domkiem. Potem pamiętał jakieś pomieszczenie, w którym siedziały na krzesłach pod ścianą częściowo ubrane i półspiące kobiety. Jedna z nich przypominała mu w czymś Karolinę. Machnął na nią i poszli do pokoju na górze. Potem znowu miał dziurę, a następną rzeczą, którą pamiętał, był hałas i krzyki. Na szczęście był ubrany – już? jeszcze? – wyszedł więc na korytarz. Hałas dobiegał z dołu, więc zszedł na dół. W pomieszczeniu, w którym jeszcze przed chwilą oczekiwały na swoją kolej ospałe prostytutki, było pełno policji. Granat ich mundurów zabawnie kontrastował z białością ciał rozebranych kobiet i z bladoczerwonymi cielskami ich klientów. Jeden z nich leżał skuty kajdankami na podłodze. Stała nad nim kobieta, która również najwyraźniej była policjantką, choć nie była w mundurze. Wysoka, szczupła, nawet bardzo, o dziewczęcej sylwetce i długich prostych włosach w kolorze ciemnego brązu. Na nogach miała wysokie szpilki i obcisłą spódnicę do kolan, na ramionach dopasowaną garsonkę. Wyglądała, jakby wyszła właśnie z biura lub kancelarii adwokackiej, a nie stała na środku burdelu. Może była prokuratorem? W każdym razie wszystko wskazywało na to, że to ona zawiaduje tym zamieszaniami.

Rozlucky stanął niepewnie w połowie schodów. Jeden z policjantów zauważył go i sprowadził na dół. Naprawdę dobrze, że był ubrany. Kobieta obrzuciła go spojrzeniem od góry do dołu. Była ładna, choć w nieoczywisty i bardzo interesujący sposób. Mogła mieć koło trzydziestu lat.

Adrenalina związana z widokiem policji trochę go otrzeźwiła.

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział na tyle wyraźnie i stanowczo, jak tylko w tym momencie potrafił:

— Dobry wieczór. Nazywam się Zygmunt Rozłucki. Jestem psychologiem. Znam komisarza Sądeckiego. Współpracujemy przy sprawie tej zamordowanej piętnastolatki.

Niepotrzebnie użył słowa „piętnastolatka”. Było za trudne do powiedzenia w jego obecnym stanie. Wywalił się na nim jak dzieciak.

Kobieta patrzyła na niego spokojnie i uważnie.

— Tu ze sobą współpracujecie? – spytała z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

Mówiła niezbyt głośno. W jej słowach była jednocześnie nieśmiałość i stanowczość. Zaczął nagle żałować, że przedstawił jej się w taki sposób i w takich okolicznościach.

Kobieta odwróciła się i powiedziała coś do jednego z policjantów. Policjant podszedł do niego, wyprowadził na zewnątrz i wsadził do radiowozu. Ruszyli. Rozłucki zsunął się w dół na kanapie samochodu i oparł głowę o zagłówek. Cały alkohol wywietrzał z niego bez śladu, choć wiedział, że to tylko złudzenie i że rano kaci nie da mu żyć. Całe szczęście nie musiał jutro iść do poradni. Praca na pół etatu miała swoje plusy.

Nie wiedział, dokąd jechali – do aresztu czy do izby wytrzeźwień. Szczerze mówiąc, było mu wszystko jedno. Starał się nie myśleć o niczym. Chyba zasnął.

Obudził się pod swoim domem. Świtało. Policjant był do niego

odwrócony i coś mówił. Nie zdziwił się, że się tu znalazł. Nie był w odpowiednim stanie, by się czemukolwiek dziwić.

Podziękował policjantowi i wysiadł z radiowozu. Nigdy jeszcze nie jechał taką taksówką. Otworzył drzwi do domu i wszedł do środka. Usłyszał odgłos odjeżdżającego samochodu. W jego sypialni bez okien pachniało świeżo wypraną pościelą. Rzucił się na nią w ubraniu. Ostatnim wysiłkiem świadomej woli, zahaczając stopą o stopę, zzuł buty. Ten mężczyzna, którego widział w klubie go-go. Ten, który wychodził z VIP-roomu. Chyba wiedział, kto to był. A może mu się tylko wydawało?

W każdym razie był podobny do księdza.

ROZDZIAŁ 8

Obudził go ból głowy. Próbował zmienić pozycję, inaczej ułożyć głowę na poduszce, by w ten sposób go zmniejszyć lub całkiem wyeliminować, ale nie na wiele to się zdało. Otworzył oczy. W pokoju było ciemno jak w najczarniejszą noc, zamurowane okna nie pozwalały stwierdzić, czy jest ranek, południe czy wieczór. Zaczął szukać ręką komórki, którą wczoraj zapewne gdzieś tu położył. W końcu ją znalazł – leżała przy łóżku na podłodze. Spojrzał na wyświetlacz. Był ciemny jak cała reszta. Komórka musiała się wyładować, a on był zbyt pijany, by podłączyć ją do prądu.

Powinien wstać. Sprawdzić, która godzina, znaleźć ładowarkę i wziąć coś od bólu głowy. A potem zobaczyć, czy znowu nie wysyłał wczoraj po pijaku SMS-ów do Karoliny. Albo czy nie wchodził na jej profil na Facebooku, by pogapić się na jej zdjęcia.

Usiadł na łóżku. Świat zawirował dookoła, a zawartość jego żołądka próbowała się wydostać na zewnątrz. Przez chwilę siedział w tej pozycji, czując, jak na czoło występuje mu zimny pot. Później opuścił nogi na podłogę i znowu chwilę posiedział bez ruchu. Wreszcie zdecydował się wstać.

Nie było tak źle, choć głowa bolała go jak wszyscy diabli. Zatruty i odwodniony mózg przy każdym kroku obijał się o czaszkę.

Otworzył drzwi i wyszedł do sieni. Tu także nie było zbyt jasno, lecz światło przebijające przez matową szybę drzwi do drugiego pokoju świadczyło, że noc już się skończyła. Przeczłapał przez korytarz, nacisnął klamkę i wszedł do swojego living roomu. Za jego oknami było jasno, choć ciągle nie wiedział, która to godzina. Nie mógł znaleźć zegarka ani ładowarki, a radia ani telewizora nie miał.

Przynajmniej wiedział, gdzie są tabletki. Głowa bolała go często, więc miał zawsze kilka opakowań schowanych w różnych miejscach. Odnalazł jedno z nich, wycisnął na rękę dwie pigułki, popił je wodą z butelki i usiadł w fotelu, czekając, aż zadziałają. „Ciekawe, która godzina?”, pomyślał po raz kolejny. To zabawne, że tego nie wiedział, i nie miał póki co jak się tego dowiedzieć. Znowu tkwił w rzeczywistości poza czasem, a kac tylko to wrażenie potęgował. Zamknął oczy. Przypominał sobie po kolei wydarzenia wczorajszego wieczoru. Niektóre z tych wspomnień bolały bardziej niż głowa. Jego ręce wyciągające się w kierunku nagich piersi tancerki, wizyta w burdelu i spotkanie z tą dziwną policjantką, wobec której wygłupił się jeszcze bardziej, niż to wynikało z nie najszcześniejszych okoliczności. Powoływał się na znajomości z Sądeckim i swój udział w śledztwie... Boże! Co też musiała sobie o nim pomyśleć? Naprawdę dobrze, że był chociaż ubrany. Miał tylko nadzieję, że nie znała Sądeckiego zbyt dobrze i nie opowie mu o tym wszystkim, bo pan komisarz na pewno nie omieszkałby komentować tego przez najbliższy miesiąc.

Głowa powoli przestawała go boleć. Obyło się też również bez

wizyty w łazience mimo kilku dość solidnych skurczów żołądka, które udało mu się całe szczęście przeczekać. Zebrał się w końcu w sobie, wstał i odnalazł ładowarkę. Podłączył komórkę do gniazdka przy blacie kuchennym, poczekał, aż poziom naładowania baterii osiągnie jeden procent, po czym włączył aparat. Telefon przez dłuższą chwilę logował się w sieci. Zegar na wyświetlaczu wskazywał dwunastą zero dziewięć. Jeszcze nie tak źle, biorąc pod uwagę, że kiedy wrócił, musiała być czwarta lub piąta nad ranem. Wreszcie jego telefon odnalazł sieć i na wyświetlaczu pojawiły się te wszystkie kreski i symbole, co zwykle. Tuż potem przyszedł SMS. Od Sądeckiego. Otworzył go z niechęcią. Chyba wiedział, co tam będzie. Nie pomylił się.

„No brawo! Widzę, że przemówiłem ci trochę do rozsądku. Chociaż jak drugi raz będziesz chciał zaaplikować sobie takie lekarstwo, spytaj najpierw mnie. Polecę ci jakąś lepszą aptekę”.

— Kurwa! – powiedział na głos. A więc ta policjantka przekazała wszystko Sądeckiemu. Dlaczego był taki głupi!? Gdyby nie podawał jej swojego nazwiska i nie powoływał się nie wiadomo po co na znajomość z nim, nikt by się o niczym nie dowiedział. Najwyżej by go spisali, nie zrobił przecież nic złego. Wizyta w agencji towarzyskiej nie jest póki co karalna. A tak pan komisarz już do końca ich znajomości będzie mógł sobie z tego żartować, dworować, nawiązywać do tego niby przypadkiem w rozmowie, puszczać oko, rechotać rubasznie, stukając go pięścią w ramię albo dźgając łokciem w bok, a znając go, Rozłucki był pewien, że nie ominie

żadnej z tych możliwości. „Oby tylko nie pospieszył wygadać tego wszystkiego Karolinie...”, przemknęło mu przez głowę.

Nie miał czasu jednak dłużej o tym rozmyślać, bo na jego komórkę zaczęły spływać kolejne SMS-y. Tym razem informujące go o próbach połączenia się z tym numerem w czasie, gdy telefon był wyłączony. Wszystkie próby podjął komisarz Sądecki.

„Czego on jeszcze ode mnie chce?”, pomyślał ze znużeniem. „Nie może się doczekać, żeby się nade mną poznęcać?”

Rzucił telefon ze złością na blat. Odwrócił się, chcąc znowu opaść na fotel, gdy usłyszał dźwięk informujący o nadejściu kolejnej wiadomości. Sięgnął ponownie po telefon. Znowu od Sądeckiego. „Co jest?”, pomyślał. Miał już naprawdę tego dość.

„Ty sobie śpisz, a my pracujemy” – przeczytał. – „Mamy mordercę! I nie jest to ten chłopak. Jak się obudzisz, przyjedź do mnie na komendę”.

Cholera jasna! Szybko wybrał numer komisarza. Tym razem jednak to on nie odbierał. Spróbował jeszcze raz i jeszcze. Wysłał SMS: „kto!!!?”, ale nie otrzymał na niego odpowiedzi. Czyżby chodziło o księdza? Przypomniawszy sobie twarz, którą widział wczoraj w klubie go-go. Nie, gdyby chodziło o księdza, ton wiadomości byłby inny, nie tak beztroski. Więc kto? Ktoś całkiem nowy, kogo nie brano do tej pory pod uwagę. Przypomniawszy sobie to, co usłyszał wczoraj o klubie Chili. O młodych dziewczynach poszukujących sponsora i obleśnych facetach przychodzących ich poudawać.

Czyżby chodziło o kogoś takiego? Tylko jak taki ktoś znalazłby się w lesie kilkanaście kilometrów od Olsztyna? Ewa Krupińska wróciła przecież taksówką z kolegą. Świadkiem jest ten kolega oraz taksówkarz. Czyżby jechał za nimi? Wydawało się to mało prawdopodobne.

Poszedł szybko do łazienki, nie zważając na przypominający o sobie co jakiś czas ostrym ukłuciem ból głowy, umył zęby, przemył twarz, przeczesał włosy, wrócił do sypialni, zmienił skarpetki, odszukał walające się pod łóżkiem buty, założył je i wyszedł na zewnątrz. Tak, przydałby mu się teraz samochód. Spróbował jeszcze raz dodzwonić się do komisarza. Bez skutku. Zamknął drzwi na klucz. Jego wzrok padł na przykrytego plandeką starego dużego fiata. Może dałoby się go jakoś uruchomić? Nie teraz oczywiście. Teraz będzie musiał iść do wsi, poczekać na autobus i pojechać nim do Olsztyna. Bo po wczorajszych ekscesach raczej nie będzie go przez najbliższy czas stać na to, by jeździć taksówkami.

— O, już jesteś... – Komisarz Sądecki wszedł do swojego pokoju, w którym czekał na niego Rozłucki. Dotarcie tu zajęło mu prawie godzinę. Z początku próbował jeszcze dzwonić do komisarza, potem zrezygnował. Doszedł do wniosku, że nie ma to sensu, skoro i tak zaraz się spotkają.

— Przepraszam, że nie odbierałem, ale przesłuchiwałem podejrzanego. – Komisarz obszedł biurko i usiadł na swoim krześle. Za jego plecami było okno, a za nim tory kolejowe.

— No i kto to jest? – spytał Rozłucki. Był już spokojny. Całe jego podekscytowanie wywietrzało podczas przydługiej podróży środkami komunikacji miejskiej.

— Nikt specjalny – odpowiedział komisarz, kręcąc się z lekka na obrotowym krześle. – Wszystko wskazuje na to, że to kolejne banalne morderstwo, jakich tysiące w tym kraju. Takich jak większość morderstw, z którymi miałem do czynienia w czasie swojej kariery – sprawa Romanowskiego była tu chyba jedynym wyjątkiem. Pijany mąż zabija żonę, żona dźga męża nożem w czasie kłótni, dwóch kolegów w czasie picia wódki zaczyna się sprzeczać i jeden zarąbuje siekierą drugiego. Myślałem przez chwilę, że tym razem będzie choć odrobinę inaczej...

— Powiesz mi wreszcie, kto to jest, czy będziesz dalej mówił zagadkami?

— Powiem, powiem. – W głosie komisarza słyhać było zmęczenie. – To miejscowy pijak, pijaczek w zasadzie, menel, jeśli wolisz. Z rodzaju tych, co wystają pod wiejskim sklepem, pijąc kolejne tanie piwa. Co przychodzą pod ten sklep o szóstej rano i czekają na otwarcie o siódmej, bo tak ich suszy, że budzą się o piątej. No więc ktoś taki.

Po torach za plecami komisarza przejechał pociąg. Monotonny stukot kół o szyny rozbrzmiewał przez dłuższą chwilę. Przez jakiś czas przysłuchiwali się temu dźwiękowi w milczeniu. Rozłucki przypomniał sobie dwóch mężczyzn siedzących pod murem zamkniętej piekarni przy przystanku. Może to któryś z nich?

— Jak dowiedzieliście się, że to on? – spytał w końcu Rozłucki.

— Pamiętasz, jak ci mówiłem, że dziewczyna nie miała majtek? – Komisarz przysunął jakąś rzecz na swoim biurku. – No więc on je miał. Chwalił się nimi kolegom spod sklepu. Jeden z nich powiedział o tym swojej babie, a ta była na tyle przytomna, że zawiadomiła policję.

— Macie te majtki? To na pewno jej?

— Tak, jej. Matka je rozpoznała. Przed chwilą tu była. – Zamilkł na chwilę. – Nigdy się nie przyzwyczaję do takich scen. Nasz radiowóz odwozi ją właśnie do domu. Wykonamy oczywiście odpowiednie badania, pobierzemy próbki DNA i tak dalej, ale nie sądzę, żeby ich wyniki były specjalnie zaskakujące.

— A co on na to? Przyznał się?

— Na razie nie. Na początku mówił, że znalazł je w lesie, potem, że nic nie pamięta, a teraz w ogóle przestał cokolwiek mówić. Ale spokojnie, przyzna się. Tacy jak on prędzej czy później się przyznają. To nie jest żaden zatwardziały bandzior ani zdegenerowany pedofil, tylko zwykły pijak, który zrobił coś, czego być może nawet nie pamięta, w stanie kompletnego zamroczenia. Potrzymamy go dzień lub dwa w areszcie bez alkoholu, wytrzeźwieje, dotrze do niego, co się stało, sumienie go ruszy i przyzna się. Jeszcze będzie płakał na przesłuchaniu.

— Domyślasz się już, jak to się mogło stać?

— No cóż... – Komisarz odchylił się na krześle. – Pewnie wracała przez ten las, a on tam był. Dopijał jakąś flaszkę albo spał

po pijaku. Natknęła się na niego, a on w tym swoim pijanym widzie uznał, że przyszła do niego. Że los mu ją podesłał albo coś w tym stylu. Pewnie podobała mu się już wcześniej, w końcu mieszkali w tej samej wsi, wodził za nią wzrokiem, komentował z kolegami, jak wyrosła. A tu nagle bóg pijaków zsyła mu taki prezent... Zaczął coś od niej chcieć, ona zareagowała obrzydzeniem, on ją złapał, ona zaczęła się wyrywać, to on ją złapał jeszcze mocniej, ona zaczęła krzyczeć, chciał ją uciszyć... Jakoś tak.

— Powinieneś się cieszyć, to odsuwa podejrzenia od księdza.

— Niby powinienem. – Komisarz pokiwał głową. – Oszczędzi mi to naprawdę sporo nerwów i kłopotów. Tylko to takie bez sensu... Śmierć w takim wieku, w taki sposób i z takiego powodu... Przygnębiająco bez sensu.

Znowu przesunął coś na biurku.

— Ty z kolei – dodał po chwili – nie powinieneś być specjalnie zadowolony – uśmiechnął się smutno – bo to oznacza, że Karolina na pewno nie przyjedzie.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby i jemu było z tego powodu przykro.

— Macie jakieś inne dowody? – zmienił temat Rozłucki. Był zbyt zmęczony, zbyt skołowany i zbyt skacowany, by chciało mu się teraz o tym myśleć. – Nie wiem, nie znam się na prawie, ale to, że miał te majtki, to chyba nie do końca wystarczy. Mógł je przecież rzeczywiście znaleźć.

— Zaraz wyślę ekipę, żeby przeszukała jego dom. Nie ma co się

spieszyć, bo mieszka sam, więc raczej nikt nie zatrze ewentualnych śladów. Poza tym on się przyzna. Zaufaj mojemu policyjnemu doświadczeniu.

— Jeśli był tak pijany, że nic nie pamięta z tamtej nocy, i jeśli go odpowiednio przyciśniesz, odcinając od alkoholu i maglując ciągłymi przesłuchaniami, to przyzna się nawet do tego, czego nie zrobił.

Komisarz spojrział na niego ze znużeniem.

— A ty zawsze musisz szukać dziury w całym? – spytał.

— Jakoś tak mam.

— To on, uwierz mi. Jestem tego pewien. Poza tym nie musisz się obawiać – dołożymy wszelkich starań. Sprawdzimy ślady biologiczne znalezione na ciele i ubraniu tej dziewczyny, porównamy z jego profilem DNA, jeszcze raz wszystkich przesłuchamy. W końcu coś znajdziemy. Zresztą, może sam chcesz z nim porozmawiać? Mógłbym ci załatwić status biegłego.

— Ja? – zdziwił się Rozłucki. – A to nie trzeba być na jakiejś oficjalnej liście?

— Nie trzeba. Wystarczy, że sąd uzna, że twoja wiedza może pomóc w postępowaniu. To się nazywa „biegły *ad hoc*”. Każdy może nim być. A ty jesteś psychologiem, więc nie powinno być z tym specjalnego problemu.

Rozłucki nie zdążył odpowiedzieć, bo za jego plecami rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, a potem stukot damskich obcasów. Odwrócił się. I zamarł. Do pokoju komisarza Sądeckiego weszła

policjantka, którą poznał dziś w nocy.

— Przyznał się – oznajmiła, rzucając jakąś kartkę na biurko Sądeckiego. – I podpisał protokół.

— Szybko ci poszło – powiedział z uznaniem komisarz. – Opisał przebieg zdarzenia?

— Nie. Powiedział, że niewiele pamięta. I żeby dać mu spokój. Myślę, że faktycznie na dziś ma już dosyć. Jutro się nim znowu zajmę.

Przez cały ten czas policjantka ani razu nie spojrzała na Rozłuckiego. Jakby w ogóle nie istniał.

— Powiedział, że nie pamięta, czy że niewiele pamięta? – spytał. – To dość istotna różnica.

Policjantka dopiero teraz zaszczyliła go spojrzeniem.

— Raz mówił tak, a raz tak – odpowiedziała. – Wszystko jest w protokole.

Sądecki spojrzał najpierw na nią, potem na Rozłuckiego i uśmiechnął się pod nosem.

— Poczekajcie! Gdzie moje maniery? – powiedział. – Poznajcie się: Weronika Stankiewicz, moja najzdolniejsza podwładna. Zygmunt Rozłucki, psycholog.

— Pan Rozłucki już mi się dzisiaj przedstawił – odpowiedziała policjantka.

Sądecki puknął się teatralnie otwartą dłonią w czoło.

— A tak! Zapominałbym! No przecież! Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Komisarz odzyskał najwyraźniej swój dobry humor. Rozłucki za to poczuł, jak czerwienieją mu uszy. Zresztą nie tylko one. Poczuł jak cały, łącznie z szyją oblewa się rumieńcem. Czasami żałował, że nie jest psychopata, jak ten facet, z którym rozmawiał pierwszego dnia w przychodni. Psychopaci nie czują strachu ani wstydu. Przyłapani na kłamstwie albo niestosownym zachowaniu, uśmiechają się i po prostu zmieniają temat. Jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Chciałby mieć taką umiejętność. Teraz, zwłaszcza teraz.

Policjantka dzięki Bogu oszczędziła mu dalszych upokorzeń. Najwyraźniej nie był dla niej kimś, na kogo warto byłoby zwracać uwagę dłużej niż na chwilę.

— Masz dla mnie jeszcze coś? – spytała Sądeckiego.

— Nie – odpowiedział komisarz. – Na dzisiaj to chyba wszystko. Możesz iść do domu. Do zobaczenia jutro.

Policjantka odwróciła się w kierunku drzwi.

— Zaraz, zaraz! Poczekaj! – zawołał naraz Sądecki. Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. – Pan Rozłucki też już wychodzi, prawda? Możecie iść razem. Mogłabyś go podrzucić do centrum? Biedaczek nie ma samochodu...

Policjantka spojrzała na Rozłuckiego w sposób, który aż nadto dobrze mówił, co sądzi o takim pomysle. Rozłucki obdarował podobnym spojrzeniem komisarza.

— No co jest, robaczki? – Komisarz Sądecki był bardzo z siebie zadowolony. – Idźcie już!

Nie zdążyli jednak wyjść, bo drzwi do pokoju komisarza otworzyły się i pojawiła się w nich głowa młodego policjanta w mundurze.

— Panie komisarzu, ma pan gościa – powiedział. – Ksiądz proboszcz przyjechał. Ten od tej sprawy. Chce się z panem zobaczyć. Mam go przyprowadzić?

— Ksiądz? – zdziwił się Sądecki. – Czego chce?

— Mówi, że to on.

Oczy wszystkich wbiły się w młodego policjanta.

— Co on?

— Że to on jest mordercą.

ROZDZIAŁ 9

— Cześć! – usłyszał głos w słuchawce. – To ja, Karolina.

— Cześć. Miło cię znowu słyszeć.

Wiedział, że zadzwoni, spodziewał się tego. Odkąd w drzwiach pokoju komisarza Sądeckiego pojawił się młody policjant i przekazał wszystkim nowinę, że ksiądz przyznał się do zamordowania piętnastoletniej Ewy Krupińskiej, wiedział, że Karolina prędzej czy później musi się do niego odezwać. Czekał na ten telefon od czterech godzin. Coraz bardziej się denerwując. Układając sobie w głowie wciąż od nowa wszystko to, co mógłby jej powiedzieć. Z żołądkiem ściśniętym z nerwów aż do mdłości. Ale gdy w końcu zadzwoniła, wszystko to minęło. Ten głos... Matko jedyna! Jak dawno go nie słyszał...

— Co tam u ciebie słyhać, wszystko dobrze? – spytała.

— Tak, w porządku. – Gardło też miał ściśnięte. Aż musiał odchrząknąć.

— Naprawdę mieszkasz w tym strasznym domu?

— Tak, właśnie w nim jestem.

Byli ostrożni. Oboje. Badali siebie niepewni, co mogą znaleźć po drugiej stronie. W głosie Karoliny słyhać było rezerwę, w jego zresztą też. Coś kiedyś między nimi było, to nie ulega wątpliwości.

To coś było czym innym dla niego, a czym innym dla niej, i teraz, po tych trzech miesiącach, oboje się zastanawiali, na jakim etapie jest relacja między nimi.

— Słyszałam, że ksiądz proboszcz się przyznał – powiedziała.

— Sądecki do ciebie dzwonił? – spytał.

— Wysłał mi SMS-a.

— Tak, przyznał się. Dość niespodziewanie.

— Coś jeszcze mówił? Jak to zrobił i dlaczego?

— Sądecki ci nie pisał?

— Nie. Tylko to, że się przyznał. I że bym o całą resztę pytała ciebie.

Komisarz Rafał Sądecki? Bardzo miły gest z jego strony. Nie spodziewał się po nim czegoś takiego.

— Nie, nic więcej nie powiedział. Tylko to, że to on. Potem odmówił zeznań. Został aresztowany, a poprzedni podejrzany wypuszczony.

— Ten pijaczek?

— Ten pijaczek.

W słuchawce oprócz głosu Karoliny słyhać było charakterystyczny szum. Pewnie jak zwykle rozmawiała przez telefon, prowadząc samochód.

— Jedziesz swoim new beatlem? – spytał. – Drogą krajową numer siedem? Przekraczając wszystkie możliwe ograniczenia prędkości?

Kilka razy jechał z nią tą drogą w taki właśnie sposób. O mało

nie umarł wtedy ze strachu. Choć teraz wspominał to z rozrzewnieniem.

Zaśmiała się.

— Nie mam już tego samochodu – odpowiedziała. – Zaraz po powrocie do Warszawy całkiem mi się rozkraczył. Mechanik powiedział, żebym go naprawiła i sprzedała, bo będą z nim już tylko same kłopoty. Teraz jeżdżę czarnym bmw. Ale takim niedużym i kilkuletnim. Reszta się zgadza.

— To może poczekaj, aż się spotkamy? Opowiem ci wszystko na miejscu. Nie chciałbym mieć cię na sumieniu.

— Spokojnie, jadę dwupasmówką. Droga jest prosta jak strzeł. Poza tym włączyłam tempomat. Mogłabym puścić kierownicę i nic by się nie stało.

Powoli lody między nimi topniały. Zaczynali rozmawiać swobodnie, jak kiedyś.

— To jak z tym księdzem, powiesz mi coś więcej?

— Co ci mam powiedzieć? Przyznał się i tyle.

— Ale co ty o tym sądzisz?

— Ja? No nie wiem. Mam pewne wątpliwości...

— Ty zawsze masz wątpliwości.

— Zbytńia pewność to najpewniejsza oznaka głupoty.

— Tak, tak, wiem! – powiedziała z udawanym zniecierpliwieniem. – Słyszałam to już od ciebie parę razy. Jakie to wątpliwości?

— Słuchaj, może naprawdę pogadamy o tym, jak przyjedziesz?

— Daj spokój, nudzę się na tej dwupasmówce. Mów.

— Poczekaj, wyjdę na zewnątrz. Mam tu wystawione dwa krzesła przed domem. Bardzo przyjemnie siedzi się na nich i patrzy na jezioro. Jak przyjedziesz, może ci pozwolę na jednym z nich usiąść.

— Muszę przyznać, że nikt mnie jeszcze nigdy nie podrywał na krzesła. Oryginał z ciebie. No dobra, poczekam. Wyłaź!

Flirt. Znow się pojawił, tak jak kiedyś. Flirt, który do niczego nie prowadzi. Może Sądecki miał rację mówiąc, że ona zawsze na końcu ucieka?

Wyszedł przed dom i usiadł na jednym z krzesel.

— Jestem już.

— To mów.

Zastanawiał się, od czego zacząć. Myślał o tym przez ostatnie cztery godziny, na zmianę z wyczekiwaniem telefonu od Karoliny. Nie były to jakieś sprecyzowane wątpliwości, raczej niejasne przeczucia.

— No czekam – usłyszał głos Karoliny. – Jakbym wiedziała, że będziesz taki milczący, to bym raczej włączyła radio zamiast do ciebie dzwonić.

Uśmiechnął się pod nosem. Takie złośliwe uwagi to była jej specjalność. Brakowało mu tego.

— No więc po pierwsze: dlaczego się w ogóle przyznał? Nie miał specjalnego powodu. Było dwóch lepszych podejrzanych od niego. Jednego z nich właśnie aresztowała policja pod zarzutem

morderstwa. Jego nikt oficjalnie o nic nie podejrzewał. Przestępcy przyznają się zazwyczaj dopiero wtedy, gdy policja przedstawi im dowody świadczące o ich winie. W innym przypadku działa instynkt samozachowawczy. To bardzo silny, bardzo pierwotny mechanizm. Włącza się u każdego.

— Nie wiem, może sumienie go ruszyło, gdy zobaczył, że aresztowano niewinnego człowieka? Jest w końcu księdzem, siłą rzeczy powinien być więc bardziej wyczulony na takie sprawy.

— Bardzo romantyczna wizja. Tylko dlaczego ktoś tak moralny zabija wcześniej piętnastolatkę?

— Może zrobił to w jakiś sposób przypadkiem? W pierwszym odruchu uciekł, ale przemyślał sprawę. Zobaczył, że za jego zbrodnię może ponieść odpowiedzialność ktoś inny, i to przeważało szalę.

— I przypadkiem ściągnął tej dziewczynie majtki, a potem przypadkiem zadarł jej sukienkę na głowę?

— No tak. Poczekaj, a może chodzi o coś innego? Może wie, że istnieje mocny dowód świadczący o jego winie i że ten dowód prędzej czy później zostanie odkryty. Przyznaje się więc, żeby uprzędzić to wydarzenie i zyskać okoliczność łagodzącą w przyszłym procesie?

Rozłucki zastanowił się.

— To już brzmi bardziej prawdopodobnie – powiedział. – Ale jest jeszcze inna kwestia.

— Jaka?

— Co on tam w ogóle robił? W tym lesie o tej porze? Jest dwóch świadków, że dziewczyna wracała w nocy z Olsztyna. Potem szła przez ten las. Między drugą a trzecią w nocy. To teraz mi wytłumacz, co tam robił ten ksiądz? O ile można w logiczny sposób wytłumaczyć obecność pierwszego podejrzanego, czyli jej kolegi – w końcu wracali razem – a także drugiego podejrzanego, czyli miejscowego pijaka, to jak wytłumaczyć tam obecność księdza? Co tam robił? Szukał grzybów, zbierał rosę? Modlił się?

— Czekał na nią.

— Ale jak? Skąd w ogóle wiedział, że ona tam będzie?

— Może miał obsesję na jej punkcie? Zobaczył, że jedzie do miasta na imprezę. Mógł ją zobaczyć choćby na przystanku. Wiedział więc, że prędzej czy później będzie wracała. Wiedział, że będzie szła przez ten las. Mógł na nią czekać całą noc.

No tak. Mogło tak być. Karolina miała rację. O tym nie pomyślał.

— W każdym razie musimy dobrze podrażyc ten temat. Ja i ty – powiedziała. – Co ty na to? Nieźle nam się współpracowało poprzednim razem. Powtórzymy to?

Pewnie, że tak! Nawet nie wiedziała, jak bardzo czekał na tę propozycję.

— Czemu nie? – odpowiedział. – Nie mam teraz nic ciekawszego do roboty. Od czego chcesz zacząć?

— Pochodzimy po wsi i popytamy. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Ja bym zaczął od czegoś innego – powiedział. – Od wizyty w poprzedniej parafii księdza i od sprawdzenia, czy plotki o jego epizodzie pedofilskim są prawdziwe. Jeśli się okaże, że tak i jeśli do tego tamten przypadek będzie w jakiś sposób podobny do tego, byłaby to poważna poszlaka świadcząca o jego winie. Przestępcy seksualni często powtarzają pewien wzór. Jeśli go odnajdziemy, będziemy w domu.

— Wzoru nie ma, bo przecież tam zdaje się nikogo nie zabił.

— Nie o to chodzi. Musimy sprawdzić, czy tamta dziewczyna była podobna do tej, czy była w podobnym wieku, pochodziła z podobnej rodziny. Morderstwo mogło być wynikiem eskalacji, rozwinięcia się pewnych tendencji. Albo mogło zostać popełnione przypadkiem, jako swoisty wypadek przy pracy. Próbowałem zasugerować coś takiego Sądeckiemu, ale nie wykazał specjalnego zainteresowania.

— OK. Masz rację. To dobry pomysł. Wiesz, gdzie była ta parafia?

— Sądecki na pewno wie. Albo jest w stanie się dowiedzieć. Teraz będzie musiał tam przecież pojechać. Zadzwoń do niego.

— Nie. Na razie nic mu o tym nie powiemy. Lepiej, żebyśmy dotarli tam pierwsi, przed policją, nie sądzisz? Nie będziemy mu więc o tym specjalnie przypominać. Niech zajmie się na razie swoimi sprawami. Podzwonię raczej po znajomych z olsztyńskich redakcji. Może ktoś z nich już dotarł do tej informacji. A ty się szykuj. Za dwadzieścia minut będę u ciebie. I ruszamy.

Uśmiechnął się. Karolina nie miała zwyczaju czekać ani odkładać niczego na później. Pomysł od razu wchodził w fazę realizacji.

— A właśnie – powiedziała – a co z moim kochanym Rafałem? Bardzo jest przestraszony tym, że musiał aresztować księdza? Zdaje się, że ze wszystkich sił starał się tego uniknąć.

— Nie. Wręcz przeciwnie. Odetchnął z ulgą. W końcu ksiądz sam się przyznał. To dla Sądeckiego najbardziej komfortowa sytuacja. Nikt nie może mu niczego zarzucić. Wszyscy obrońcy wiary i Kościoła nabiorą teraz wody w usta.

ROZDZIAŁ 10

Jechali już prawie godzinę. Karolina za kierownicą, Rozłucki w fotelu pasażera. Jej czarne bmw, choć niezbyt wielkie, było jednak o niebo wygodniejsze od volkswagena, a i Karolina prowadziła je jakby spokojniej, choć może wymuszała to po prostu niezbyt szeroka i pełna zakrętów droga.

Gdy zobaczył, jak podjeżdża pod jego dom, ten dom, w którym kiedyś przeżyli tyle dramatycznych chwil, w pierwszej chwili miał ochotę uciec, wskoczyć do jeziora i się utopić. Patrzył sparaliżowany, jak jej samochód zatrzymuje się na podwórku, szyba od strony kierowcy odsuwa się, a ona macha do niego, ponaglając go z żartobliwą niecierpliwością. Zmieniła się, ufarbowała włosy na inny kolor. Były teraz znacznie ciemniejsze. Czerwień jej szminki także była intensywniejsza niż dawniej. Poza tym była równie piękna. A on był nią równie zauroczony.

Kiedy wreszcie pokonując odrętwienie i tłumiąc kazającą mu uciekać jak najdalej stąd panikę, wsiadł do jej samochodu, a ona pocałowała go na przywitanie w policzek, wszystkie systemy w jego mózgu zaczęły wariować, jakby trafił w nie piorun. Nagły wyrzut adrenaliny do krwi, przyspieszone bicie serca, rozszerzone źrenice skutkujące niezbyt ostrym widzeniem, potliwość i drżenie rąk –

żaden z fizjologicznych symptomów zakochania nie został mu oszczędzony. Miał tylko nadzieję, że ona tego nie dostrzegła.

Przez większość drogi był więc spięty, najeżony i milczący. Patrzył w okno i odpowiadał na jej pytania zdawkowo, prawie nieuprzejmie. W końcu zauważyła to i spytała:

— Coś ty dzisiaj taki mrukliwy? Stało się coś?

— Nie, nic – odpowiedział. – Miałem wczoraj ciężką noc. Chyba wypłukałem sobie wszystkie elektrolity. Przydałaby się kawa.

Dojechali w końcu do miejscowości, której nazwę przekazał im jeden ze znajomych Karoliny w olsztyńskim radiu. Była to mała wieś tuż za Lidzbarkiem Warmińskim połączona z nim w zasadzie w jeden organizm. Wjechali do niej i zatrzymali się pod kościołem. Był on równie gotycki i równie surowy w formie jak wszystkie kościoły, które do tej pory widział w tej krainie.

— Słuchaj – przypomniało mu się nagle – jak się w zasadzie nazywa ten ksiądz?

Uświadomił sobie, że do tej pory wszyscy zawsze mówili o nim właśnie tak: „ksiądz”. Nikt nigdy nie używał jego imienia i nazwiska.

— Stolarek – odpowiedziała. – Ksiądz Andrzej Stolarek.

— Stolarek? – pokiwał głową. – Dobre chłopskie nazwisko. Założę się, że pochodzi ze wsi, był najmłodszym dzieckiem w rodzinie, a jego matka zawsze chciała, żeby został księdzem.

— Być może – odpowiedziała. – A to ma jakieś znaczenie?

— Nie – odparł. – Chyba nie. A może? Nie umiem tego

wytłumaczyć, ale jest mi go w jakiś sposób żal.

— Żal ci pedofila, który zamordował piętnastoletnią dziewczynę?

– Spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie wiemy jeszcze, czy ją zamordował. Poza tym to tylko takie moje odczucie. Sam nie wiem, skąd się wzięło. Widziałem go kiedyś w kościele jak odprawiał mszę. Sprawiał dość żalodne wrażenie. Jakby był głęboko nieszczęśliwy. Może to stąd?

Tak naprawdę – i dopiero teraz to sobie uświadomił – poczuł z nim wówczas jakiś rodzaj wspólnoty. Wspólnoty losu. Jakby zobaczył w tym drugim, nieszczęśliwym człowieku swoje własne odbicie. Jakby patrząc na niego rozumiał, choć w intuicyjny i niewypowiedziany sposób, skąd się bierze jego stan, bo sam kiedyś takiego doświadczał z podobnych powodów. Wspólnota losów z pedofilem? Czemu w sumie nie? Zbrodnia często bierze się z nieszczęścia, choć to jej przecież nie usprawiedliwia. Człowiek, który jej dokonuje, przekazuje tylko pałeczkę dalej. Zbrodnia rodzi zbrodnię, a nieszczęście sprowadza nieszczęście. Zamknięty krąg krzywdy i przemocy. Znał go z własnego domu. Ciągłe w pewnym sensie w nim tkwił.

Nie powiedział jej jednak tego. Nie zrozumiałaby zapewne. Nawet on tego nie do końca rozumiał.

Wysiedli z samochodu.

— Znasz nazwisko tej dziewczyny? – spytał.

— Nie – odpowiedziała. – Ale to mała miejscowość. Wystarczy popytać.

Ruszyła w kierunku małego sklepu umiejscowionego, a jakże, w pobliżu kościoła. Poszedł za nią. „Kościół, sklep, przystanek”, pomyślał. „Święta Trójca każdej niewielkiej miejscowości w Polsce. Te trzy miejsca wystarczą, by mogło się toczyć życie”.

Weszli do środka. Za kontuarem stała grubawa i na oko pięćdziesięcioletnia kobieta. Spojrzała na nich z ciekawością. Zapewne nie często odwiedzali jej sklep ludzie, których nie znała od dziesięcioleci.

Karolina zaczęła kręcić się między regałami, udając, że czegoś szuka, Rozłucki przystanął przy półce z gazetami. Leżały na niej same tygodniki telewizyjne i plotkarskie magazyny o życiu gwiazd. Nie było ani jednego opiniotwórczego tygodnika czy ogólnopolskiego dziennika. Honor prasy informacyjnej ratowała „Gazeta Olsztyńska” – lokalny dziennik o ponad stuletniej tradycji.

Wziął do ręki jakiś kolorowy szmatławiec. Z jego okładki, wydymając usta, patrzyła na niego skandalizująca piosenkarka. Przerzucił kilka stron czekając, aż Karolina zagadnie wreszcie sprzedawczynię. Spojrzał w jej stronę. Stała za ladą i wyciągała szyję, chcąc mieć lepszy widok na Karolinę, która schowała jej się właśnie za jedną z półek. Za plecami kobiety prezentował swe wdzięki regał z alkoholami. Zaczął z ciekawością przyglądać się ich etykietom. Tanie wódki, tanie wina, kilka likierów i wermutów oraz obowiązkowy Johnnie Walker z czerwoną etykietą. Już miał wrócić do przeglądania plotkarskiej gazety, gdy jego uwagę przykuł kształt odróżniający się od innych. Odłożył magazyn na półkę i

podszedł do kontuaru. Przez chwilę nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Na półce stał najprawdziwszy osiemnastoletni Glendronach! Jedna z jego ulubionych whisky.

— Przepraszam, mógłbym obejrzeć tę fioletową butelkę? – zwrócił się do sprzedawczynie.

— Tą? – spytała kobieta, wskazując na wysmukłą butelkę.

— Tak, tę – odpowiedział, starając się, by użycie poprawnej formy nie zabrzmiało jak poprawianie.

Sprzedawczynie podała mu to, o co prosił.

Butelka wyglądała na oryginalną. Pasek akcyzy był porządnie naklejony, etykieta, choć odrobinę wypłowiała, także wyglądała na niepodrobioną. Przeciągnął palcem po charakterystycznych, lekko wypukłych, złożonych literach.

— Skąd pani to ma? – spytał.

Kobieta machnęła dłonią.

— A daj pan spokój! Namówił mnie taki jeden przedstawiciel handlowy od alkoholi. Że niby w każdym sklepie powinien być choć jeden alkohol z wyższej półki. I tak mnie czarował, aż się, głupia, zgodziłam. Ale kto tu u nas coś takiego kupi? No i stoi to teraz i się kurzy. Już pewnie ze trzy lata będzie.

Cena faktycznie wyglądała na taką sprzed kilku lat. Bardzo dobra cena.

— Ja to kupię – powiedział Rozłucki i wyciągnął portfel. Kolejna wyrwa w jego budżecie. Ale okazja była tak wielka, że grzech byłoby z niej nie skorzystać.

— Naprawdę? – ucieszyła się kobieta. – Z nieba mi pan spadł! Już myślałam, że nigdy tego dziadostwa nie sprzedam. U nas powyżej stu złotych to żaden alkohol nie schodzi. Jeszcze jak był poprzedni proboszcz, to czasem coś droższego kupował. Ale go potem przenieśli. A ten nowy to chyba w ogóle nie pije.

Usłyszał, jak Karolina podchodzi do niego od tyłu.

— Przenieśli go? – spytała. – Pewnie na emeryturę?

— A gdzie tam, pani! – Kobieta ucieszona pozbyciem się kłopotu rozgadała się na dobre. – Na jaką emeryturę? Młody był, aż dziw, że takiego młodego księdza zrobili proboszczem. Ale podobno jakiegoś wujka biskupa miał, czy coś takiego.

— To czemu go przenieśli?

Sprzedawczyni nachyliła się w ich stronę konfidencjonalnie.

— Zaciążył z parafianką, dlatego. Ale się skandal zrobił, mówię pani! Jej ojciec to nawet z siekierą na plebanię latał. No i przenieśli go, a szkoda. Dobry był z niego ksiądz, przystojny. Ładnie mówił, miły był, porozmawiał z każdym, nie był wyniosły, jak niektórzy.

Rozłucki z Karoliną wymienili się spojrzeniami. Ta ciąża to było coś nowego.

— To i policja pewnie się tym interesowała? – spytała Karolina.

— A co miała do tego policja? – zdziwiła się sprzedawczyni. – To już prędzej inkwizycja! – zaśmiała się, ukazując w dolnej szczęce wyrwę po zębie.

— A ta parafianka, to nie była jakaś młoda? – spytał Rozłucki.

— Nie no, młoda to była. – Uniosła brwi. – Matury jeszcze nie

zrobiła. Z siedemnaście lat wtedy miała. Ale i on niestary. Nie miał jeszcze trzydziestki. Było między nimi z dziesięć lat różnicy. Jak między mną i moim mężem.

Spojrzenia jego i Karoliny spotkały się po raz drugi.

— Można płacić kartą? – spytał Rozłucki.

— Można, a pewnie – kiwnęła głową kobieta. – U nas nie całkiem taka zabita dechami wieś.

Wyciągnęła spod lady terminal i położyła go przed Rozłuckim.

— A żona nic nie bierze? – Wskazała brodą na Karolinę.

Rozłuckiemu jakieś dziwne ciepło rozlało się po sercu.

— Poproszę paczkę L&M-mów. Tych niebieskich – powiedziała Karolina. – Ale sama zapłacę. Nie jesteśmy małżeństwem.

— A to przepraszam – odparła kobieta. – Wyglądacie, jakbyście byli. Pasujecie do siebie.

— Też tak sędzę – uśmiechnął się Rozłucki. – Ale koleżanka uważa inaczej. – Zobaczył, jak Karolina piorunuje go wzrokiem.

— To pewnie ta dziewczyna już tutaj nie mieszka – powiedział szybko, żeby zagadać swoje wzruszenie i zmieszanie. – Po czymś takim...

— Nie, dlaczego, mieszka. – Sprzedawczyni po raz kolejny uniosła brwi. – Gdzie ma mieszkać, jak nie tu? Jej rodzice mają gospodarstwo ogrodnicze, za ich domem stoją cztery tunele foliowe, tego nie da się spakować w walizkę i przenieść w inne miejsce. A ona sama to gdzie pójdzie? I to jeszcze z dzieckiem... Zresztą wie pan, tu jest wieś. Ludzie na początku trochę pogadali, jedna z

drugą za nią splunęła, ale potem wszyscy się przyzwyczaili. I teraz jest tak, jakby nic się nie stało. Tutaj każdy ma coś za uszami. Ten pije, ten żonę bije, tamten w więzieniu siedział. – Machnęła ręką. – Gdybyśmy mieli każdemu wszystko pamiętać, nie dałoby się razem żyć.

— Tu mieszka, we wsi? – spytał Rozłucki. Najnaturalniejszym, pełnym niewinnej ciekawości tonem, na jaki go było stać.

— A pewnie. O, tam! – Wskazała coś przez okno. – W tym żółtym domu za remizą. Nie miała daleko na plebanię. Wystarczyło przejść przez ulicę.

— Nieźle to rozegrałeś – powiedziała Karolina. – Jestem pełna podziwu. Rozwijasz się. Ta zagrywka z whisky była naprawdę świetna. W życiu bym na coś takiego sama nie wpadła.

On też by na to w życiu sam nie wpadł, ale nie powiedział jej tego. Naprawdę przecież chciał kupić tę butelkę.

— Ciekawych rzeczy żeśmy się dowiedzieli, nie sądzisz? – odparł zamiast tego. – Ksiądz miał co prawda romans, ale trudno go nazwać pedofilem. Siedemnastolatka nie jest może zgodnie z prawem dorosła, ale nie jest też dzieckiem. Utrzymywanie z nią stosunków seksualnych nie jest karalne. To dlatego policja nic do tego nie miała.

— To skąd ta plotka o pedofilii? – spytała Karolina.

— Stąd, skąd biorą się wszystkie plotki – wzruszył ramionami – z wyolbrzymienia, ze złej woli, ze stereotypu księdza pedofila, który

jakoś tam funkcjonuje w społecznej świadomości. I z powszechnego u wszystkich zamiłowania do obgadywania bliźnich.

— To nam trochę odsuwa podejrzenia od niego, prawda?

Zastanowił się.

— Niekoniecznie. Wszystko zależy od tego, jak ten ich romans przebiegał. Na przykład czy był z jej strony całkowicie dobrowolny. Czy nie zmusił ją do niego podstępem, wykorzystaniem swojego autorytetu księdza, czy szantażem. Albo po prostu zwyczajną przemocą. Siedemnastolatkę od piętnastolatki nie dzieli aż tak znowu duża różnica. Mogą wyglądać bardzo podobnie. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Odkrycie schematu ciągle jest jeszcze możliwe.

— Czyli co, musimy z nią porozmawiać?

— I tak byśmy musieli.

— Idziemy?

— Poczekaj, zostawię tylko tę butelkę. Otworzysz na chwilę samochód?

Poszli na piechotę. Dom dziewczyny był na tyle blisko, że nie opłacało się wsiadać do auta. Weszli na nowy chodnik z betonowej kostki, minęli remizę Ochotniczej Straży Pożarnej i już po chwili stali pod pomalowanym na żółto domem ze spadzistym dachem. Przy furtce nie było domofonu, weszli więc na podwórko. Przestrzeń między domem a płotem wyglądała nadzwyczaj schludnie. Wszystko obsadzone było kwiatami, zaś między

rabatkami pasł się mały plastikowy jelonek. Nie wyglądało to w każdym razie na miejsce, w którym mieszka dysfunkcyjna i patologiczna rodzina.

Podeszli do drzwi i nacisnęli dzwonek. Otworzyła im dość gruba, choć całkiem ładna blondynka. Rozłucki w pierwszej chwili zakwalifikował ją jaką starą, dopiero po chwili zreflektował się, że przecież mogła być mniej więcej w jego wieku.

— Tak, słucham?

— Dzień dobry. – Tym razem zaczęła Karolina. – Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

— W jakiej sprawie? – spytała rzeczowo. – Mąż jest w tunelach. Jeśli chodzi o pomidory, to najlepiej do niego.

— Nie, my w innej sprawie. Jesteśmy dziennikarzami. Prowadzimy śledztwo dziennikarskie w sprawie księdza, który był poprzednim proboszczem w tej parafii. Nie wiem, czy doszły do pani te informacje, ale jest on oskarżony o zamordowanie piętnastoletniej dziewczyny. Słyszeliśmy, że kiedyś skrzywdził również pani córkę. Informacje, które pani posiada, mogłyby pomóc w jego skazaniu.

Twarz kobiety zmieniła się. Rysy ściągnęły się i wyostrzyły.

— Nie mam na ten temat nic do powiedzenia – powiedziała.

— Proszę pomyśleć – włączył się Rozłucki – ten człowiek zniszczył już życie dwóm bardzo młodym dziewczynom. Jedną z nich prawdopodobnie zabił. Za to, co zrobił pani córce, nie poniósł żadnych konsekwencji. Został tylko przeniesiony do innej parafii,

gdzie znowu zrobił to samo. Jeśli go nie powstrzymamy, jeśli pozwolimy, by zło, które wyrządził, kolejny raz uszło mu bezkarnie, być może znowu skrzywdzi następną młodą, niewinną dziewczynę.

— Moja córka wcale nie była taka niewinna – odparła ostro kobieta. – A ja nie mam na ten temat nic do powiedzenia. To sprawa policji, nie moja. Przyjechaliście na darmo.

Zamknęła im drzwi przed nosem.

Spojrzelili na siebie.

— To co? – spytała Karolina. – Może faktycznie przejdziemy się do tych tuneli? Skoro ojciec latał na plebanię z siekierą, to może ma większą ochotę na wyrównanie rachunków?

— Nie sądzę – odparł Rozłucki. – Przez te lata zdążyli już wypracować wspólny pogląd na tę sprawę. Nawet jeśli kiedyś chciał się mścić z siekierą w rękę, teraz myśli pewnie tak jak żona. Poza tym, nie wiem, czy zauważyłaś – było to widać, jak otworzyła drzwi – w przedsionku ich domu wisi krzyż.

— Tak jak w wielu polskich domach, to o niczym nie świadczy. – Wzruszyła ramionami. – Nawet ja, choć nie jestem specjalnie religijna i z kościołem mi naprawdę nie po drodze, mam mały krzyżyk na ścianie.

— Ten nie był mały. Był duży. No i to nie wszystko. Na framudze między przedsionkiem a resztą domu jest przymocowane małe metalowe naczynko. Kiedyś na wsiach było to bardzo popularne, moja babcia takie miała. Teraz raczej rzadko się coś takiego spotyka. To, że oni to mają, świadczy o dużej religijności.

Ta sprawa z księdzem i ich córką musiała być dla nich olbrzymim wstrząsem. Czymś, co zachwiało posadami ich świata. W takich przypadkach można albo całkowicie zrewidować swój światopogląd, albo jeszcze bardziej go usztywnić. Oni, jak sędzę, wybrali to drugie. Prawdopodobnie to córkę bardziej winią za to, co się stało, niż jego. Że go uwiodła, sprowadziła na pokuszenie. Słyszałaś, co powiedziała? „Nie była wcale taka niewinna”. Niczego się od nich raczej nie dowiemy.

— Musimy w takim razie porozmawiać z córką.

Pokiwał głową.

— Ona może być podwójną ofiarą. Jego i ich. Zapewne będzie miała większą ochotę na zwierzenia. Jeśli jest tak, jak myślę, to w jej domu się raczej o tym nie mówi i nigdy nie mówiło. Po początkowych awanturach sprawa została wyparta z ich rodzinnej świadomości i teraz wszyscy zachowują się, jakby nic takiego nigdy się nie wydarzyło. A ona bardzo potrzebuje o tym z kimś porozmawiać.

— Myślisz, że jest teraz w domu?

— A która jest? – Spojrzał na zegarek. – Prawie osiemnasta. Jeśli pracuje gdzieś w Lidzbarku, to może niedługo będzie wracać.

— Pan to chyba z Warszawy, prawda? – spytała z ironią w głosie. – W takich miejscowościach jak Lidzbark pracuje się do piętnastej albo szesnastej. Jeśli w sklepie, to do siedemnastej. Jeśli więc pracuje w Lidzbarku, to dawno powinna być już w domu.

— A jeśli pracuje w Olsztynie?

— To może właśnie wracać.

— Chyba że po prostu pomaga rodzicom w gospodarstwie. Ma małe dziecko, równie dobrze może siedzieć z nim całymi dniami w domu.

— Nawet jeśli, to czasami chyba musi gdzieś wyjść. Do sklepu, z dzieckiem na spacer, do kościoła...

— Do niedzieli jeszcze parę dni. Miejmy więc nadzieję, że chodzi na spacer. W każdym razie musimy poczekać i to sprawdzić.

Wrócili do samochodu. Karolina przeparkowała go tak, by stał przodem do drogi i by mogli, siedząc w nim, widzieć dom, w którym mieszka dziewczyna. Odsunęli szyby i włączyli cicho radio.

— Przydałaby się kawa w papierowych kubkach i pączki – powiedział. – Na filmach policjanci zawsze w takiej sytuacji piją kawę i jedzą pączki. Takie z dziurką w środku.

— Ciekawe, gdzie potem sikają – mruknęła.

— O tym filmy milczą – odpowiedział.

Rozpoczęli obserwację. Dziewczyna nie pracowała najwyraźniej ani w Lidzbarku, ani w Olsztynie, bowiem nadjechał jeden autobus, a potem drugi i nikt, kto by choć trochę przypominał dwudziestoletnią kobietę nie wysiadł z niego i nie ruszył w stronę żółtego domu. Rozłucki spojrzął na zegarek.

— Za piętnaście siódma – powiedział. – Powoli robi się za późno na spacer z dzieckiem. A jeśli nie wyjdzie?

— Kiedyś wyjdzie – odparła wpatrzona w żółty dom. – Jak nie dziś, to jutro.

— Chcesz tu czekać do jutra? – spytał. – W samochodzie?

— Jak będzie trzeba.

— To mała miejscowość. Jak ktoś zobaczy dwoje ludzi śpiących w nocy w aucie, wezwie policję.

— Nie wezwie. Tutaj ludzie pilnują swoich spraw i nie wtrącają się w cudze.

Całe szczęście nie musieli tego sprawdzać, bo drzwi domu otworzyły się i wyszła z nich młoda dziewczyna. Jasne włosy miała spięte w koński ogon, była dość szczupła i raczej niska. Ubrana była w szarą bluzę i granatowe dresowe spodnie. Wyglądała po domowemu, jakby miała zamiar wyjść tylko na chwilę.

— Idzie do sklepu – powiedziała Karolina. – Gdzie indziej by się tak nie ubrała.

Dziewczyna zamknęła furtkę i ruszyła chodnikiem w ich stronę. Rozłucki mimowolnie wstrzymał oddech.

— Kto do niej podchodzi? Ty czy ja? – spytała Karolina.

— Ty – odpowiedział. – Mężczyzny może się przestraszyć. Ale poczekaj, aż wyjdzie ze sklepu.

— Zaprosić ją do samochodu?

— Nie wiem. Musisz to wyczuć w trakcie rozmowy. Do niczego jej w każdym razie nie zmuszaj. Musi czuć się bezpiecznie.

Dziewczyna zbliżała się do nich szybko. Obserwował ją uważnie. Wyglądała bardzo kobieco, nawet w bezkształtnych dresach. Niektóre kobiety w jej wieku ciągle wyglądają jak nastolatki, a nawet jak dzieci. Ciekawe, jak wyglądała trzy lata temu? Czy już

tak dojrzałe, czy to dopiero ciąża ją zmieniła? Innymi słowy, czy ksiądz poleciał na dziecko, czy raczej na młodą kobietę? Próbował ocenić, jak duże ma piersi. Bluza dosyć wyraźnie wybrzuszała się z przodu. Biodra też wyglądały na szerokie. Mimo iż była szczupła, nie miała dziewczęcej sylwetki.

Dziewczyna minęła ich i weszła do sklepu. Nie zabawiła tam długo. Po chwili wyszła, niosąc małą przezroczystą torebkę z dwoma czy trzema produktami.

Karolina otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Podeszła do dziewczyny i cicho coś powiedziała. Wyłączył radio. Ulicą przejechał samochód, skutecznie zagłuszając ich rozmowę. Po chwili dziewczyna odeszła, a Karolina wróciła do samochodu.

— I co? Nic z tego? – spytał, gdy już wsiadła.

— Wręcz przeciwnie – uśmiechnęła się. – Bardzo chętnie porozmawia. Ale nie dziś i nie tutaj, gdzie wszyscy ją widzą. Jutro jedzie z synkiem do Lidzbarka do lekarza. Mały ma jakąś alergię pokarmową. Po wizycie spotka się z nami.

— Jak w ogóle na to wszystko zareagowała?

Karolina spojrzał na niego w zamyśleniu.

— Bardzo poruszyło ją to, że ksiądz jest oskarżony o morderstwo. Ale wiesz co...

— Co?

— Nie sprawiała wrażenie dyszącej żądzą zemsty. Wręcz przeciwnie. Wyglądała, jakby się o niego martwiła.

ROZDZIAŁ 11

Siedzieli na zewnątrz, w ogródku małej restauracyjki w Lidzbarku Warmińskim tuż przy przysadzistej, gotyckiej bramie z czerwonej cegły. O tej porze w lokalu nie było zbyt wielu klientów, a oni wybrali do tego stolik w samym rogu jego ozdobionego reklamą piwa ogrodzenia. Tu nikt nie powinien im przeszkadzać ani słyszeć, o czym mówią.

Noc spędzili w miejscowym hotelu. Nie, nie w wielkim i luksusowym Hotelu Krasicki, na który nie było ich stać, lecz w małym hoteliku niedaleko rynku. Rozłucki spróbował zasugerować wspólną kolację przy winie, mając nadzieję, że uda im się powtórzyć wieczór, który kiedyś spędzili w zamku w Rynie, lecz Karolina wymówiła się zmęczeniem.

Ogródek ten miał też i tę zaletę, że na jego środku, tuż przy wejściu do restauracji znajdował się mały kącik zabaw dla dzieci zaopatrzone w kartki, kredki i kilka sfatygowanych zabawek. To przy nim siedział właśnie teraz mały człowieczek, zawzięcie rysując coś ogryzkiem ołówka. Jego ubrudzona koktajlem truskawkowym i lodami czekoladowymi buzia pochylała się nad kartką, a blond loki skutecznie zasłaniały resztę twarzy.

Chłopczyk na imię miał Adaś, a jego mama, siedząca z nimi przy

stoliku – Monika. Na razie dowiedzieli się tylko tyle.

Dziewczyna była spięta, wystraszona i najwyraźniej onieśmielona, zwłaszcza siedzącym naprzeciwko niej Rozłuckim. Jeszcze przed spotkaniem z nią zastanawiali się, czy nie lepiej będzie, gdy Karolina porozmawia z nią sama, ale Rozłucki w końcu zdecydował, że chciałby mimo wszystko być obecny przy tej rozmowie. Karolina mogłaby nie dostrzec wszystkich tych pozawerbalnych sygnałów, które każdy człowiek wysyła w trakcie mówienia, a które czasami zaprzeczają zupełnie jego słowom, a przynajmniej stawiają je w zupełnie innym kontekście. Umówili się więc, że zadawać pytania będzie głównie Karolina, a Rozłucki będzie się włączał, tylko jeśli uzna to za absolutnie niezbędne.

— Możemy już zacząć naszą rozmowę? – spytała Karolina. Do tej pory wymieniali głównie uwagi dotyczące zamówienia, pogody oraz tego, jak przebiegła i czym skończyła się wizyta u lekarza małego Adasia. Tematu najbardziej interesującego wszystkich przy tym stoliku nie poruszali.

Dziewczyna kiwnęła głową i pociągnęła przez słomkę kolejny łyk truskawkowego koktajlu na jogurcie. Zarówno ten koktajl, jak i rozpuszczone dziś i opadające na oczy włosy stanowiły najwyraźniej jej tarczę.

— Czy Adaś jest dzieckiem księdza Andrzeja Stolarczyka? – spytała Karolina. Jej głos był łagodny i pełen zrozumienia.

Dziewczyna kiwnęła głową, nie podnosząc oczu.

— On wybrał dla niego to imię?

Tym razem głowa pokręciła się na boki.

— Spójrz na mnie, nie bój się – powiedziała Karolina. – Nie zrobimy ci krzywdy. Sama chciałaś z nami porozmawiać, prawda?

Dziewczyna spojrzała na Karolinę i ponownie pokiwała głową.

— Dlaczego?

Dziewczyna odłożyła koktajl na stolik.

— On tego nie zrobił – powiedziała stanowczo.

Karolina i Rozłucki spojrzeli na siebie.

— Czego? – spytała Karolina.

— Nikogo nie zabił.

— Dlaczego tak sądzisz?

— To dobry człowiek. Nieszczęśliwy, ale dobry. Nie zrobiłby czegoś takiego.

— Nawet przypadkiem? – spytał Rozłucki.

Spojrzała na niego z przestraszeniem.

— Nie, na pewno nie – odpowiedziała szybko. – Nie on.

— Ciebie wykorzystał.

— Wcale nie – odpowiedziała. – Nikt mnie nie wykorzystał. Po raz pierwszy i jak dotąd jedyny zrobiłam to, co chciałam.

Spojrzała mu w oczy. Śmiało i pewnie. Mówiła prawdę. Zobaczył to w tym spojrzeniu. Jak również, że to, co się wtedy wydarzyło, miało dla niej ogromne znaczenie.

— Opowiesz nam o tym? – spytał.

Po raz kolejny pokiwała głową. Przez chwilę milczała, jakby zbierała się w sobie.

— Nie chcieliśmy tego. Przynajmniej na początku. Ani on, ani ja – zaczęła, patrząc w stolik. – Bronił się przed tym, widziałam to. Ja też się broniłam. Ale było nam ze sobą tak dobrze. Tak dobrze nam się rozmawiało. Nikt nigdy wcześniej tak ze mną nie rozmawiał. Ani ojciec, ani matka, ani brat, ani w szkole... Nikt nie rozmawiał ze mną, jakbym była człowiekiem, a nie kimś, kto ma się słuchać i robić to, co mu każą. Przychodziłam do niego na początku jak do księdza. To była taka spowiedź, tylko bez całego tego ceremoniału. Bez klękania, pukania w konfesjonał, bez tych wszystkich formułek. Zwierzałam mu się, opowiadałam o wszystkich swoich głupich dziewczynskich problemach. A on słuchał. Był pierwszą osobą, którą ciekawiło, co mówię. Nawet jeśli to, co mówiłam, było naiwne i niedojrzałe, bo teraz wiem, że takie było. Radził mi, opowiadał też o sobie. O tym, co myślał w moim wieku. Coraz dłuższe były te nasze rozmowy. I w pewnym momencie... – uśmiechnęła się – coś się pojawiło.

— Co? – spytała Karolina.

— Nasze pocałunki na pożegnanie, takie normalne, w policzek, nabrały innego znaczenia. Coraz częściej dotykaliśmy się, niby przypadkiem, niechcący. Dotyk rodzi więź, czytałam o tym ostatnio. W ogóle dużo teraz czytam. Nie chcę być już taka głupia jak kiedyś.

Przerwała na chwilę. Nad fiołki kwitnące w malutkiej doniczce stojącej na stoliku nadleciał trzmiel. Jego niskie brzęczenie cięło ciszę i mieszało się z odgłosami przebiegającej za gotycką bramą ulicy. Rozłucki wstrzymał oddech, jakby bał się, że dźwięk

wciąganego i wypuszczanego z płuc powietrza spłoszy dziewczynę i przerwie ten niezwykły monolog.

— Aż wreszcie któregoś dnia, a w zasadzie którejś nocy – zaczęła znowu – kiedy leżałam w łóżku, zrozumiałam, że chcę to zrobić. Że to najważniejsza rzecz, jaka wydarzyła się w moim dotychczasowym życiu, że tak naprawdę to jedyna ważna rzecz, która mi się przydarzyła. I że nie mogę tego zmarnować. Poszłam do niego następnego dnia. Boże, jak on się bał! Drżał cały, trząśnięty ze zdenerwowania. Moja matka miała rację, to ja go uwiodłam. – Spojrzała hardo prosto w oczy Rozłuckiemu. – Ale nie czuję się z tego powodu zła ani grzeszna. I powiem wam jedno: dla niego to też było najlepsze, co mogło mu się przytrafić. Gdyby go potem nie zaszczuli, gdyby się nie przestraszył, mógłby być teraz szczęśliwy.

— Zaszczuli go? – spytała Karolina.

Dziewczyna po raz kolejny kiwnęła głową.

— Jak się okazało, że jestem w ciąży. Poszłam najpierw do niego, powiedziałam mu. Przestraszył się, jakby nie wiedział, że tak to się może skończyć. A potem dowiedziała się matka. Zauważyła, że w koszu nie ma... no wiecie. Wtedy, gdy powinny być. Zawsze bardzo mnie we wszystkim pilnowała, ale w końcu i tak nie upilnowała. Niepotrzebnie przyznałam się, że to z nim. Mogłam coś wymyślić albo powiedzieć, że nie wiem, ale sama byłam za bardzo przerażona. Przycisnęła mnie, a ja wszystko wypaplałam.

— I co się wtedy stało?

— A co się mogło stać? Masakra. Ojciec latał na plebanię z siekierą, matka szalała, we wsi wszyscy gadali, przyjeżdżali różni z kurii. Ja się nie złamałam, on tak. Nie dał rady. Nie potrafił rzucić tego wszystkiego, czym było jego dotychczasowe życie. Poddał się i zgodził na wszystko. Potem go przenieśli. Strasznie to szybko poszło. Nigdy go więcej nie widziałam.

Zamilkła. Spojrzała na swojego synka bawiącego się przy stoliku. Chłopczyk miał w rączkach dziwną zabawkę złożoną z przymocowanych do drewnianej podstawy powyginanych drutów, na które nawleczone były drewniane klocki o różnych kształtach i kolorach. Jakichś dwóch mężczyzn weszło do ogródka. Usiedli przy stoliku od nich. Mieli ze sobą piwo i zachowywali się dość głośno.

— Czy bywał brutalny, kiedy to robiliście? – spytał Rozłucki. Musiał o to spytać, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— On? – odpowiedziała. – Na początku musiałam go niemalże prowadzić za rękę. Nie miał żadnego doświadczenia. To już ja miałam większe.

— Nie próbował cię zmuszać do czegoś, na co nie miałaś ochoty?

Uśmiechnęła się smutno.

— To najdelikatniejszy, najczulszy mężczyzna, jaki mnie kiedykolwiek dotykał. Byłam dla niego cudem. Tak mi mówił. Boję się, że już nikt nigdy nie będzie mnie tak traktował.

Mężczyźni przy stoliku dalej wybuchnęli śmiechem. Deptakiem wzdłuż płotu ogródka przejechał ktoś na rowerze.

— Niedawno zrobiłam maturę, wiecie? Dopiero teraz, bo przez ciężę musiałam przerwać naukę. Teraz pójdę na studia. Do Olsztyna, choć wolałabym gdzieś dalej. Chcę być taka mądra jak on. Ale będę silniejsza.

Pożegnali się serdecznie, wręcz czule. Jakby znali się od dawna. Dziewczyna wzięła syna za rękę i poszli razem powoli w dół, w kierunku parku nad Łyną. Karolina z Rozłuckim zawrócili i ruszyli ulicą w stronę zamku, pod którym na parkingu zostawili swój samochód.

— I co, znalazłeś wzór? – spytała Karolina.

Nie odpowiedział.

— To wszystko chyba świadczy, że to nie on? – spytała ponownie.

— Nie wiem – odpowiedział. – Przyznał się.

— Sam mówiłeś, że to dość dziwne, że to zrobił.

— Tak mówiłem. A teraz myślę, że jeśli nie ma innych przesłanek, to może lepiej przyjmować najprostsze wytłumaczenie. A najprostszym wytłumaczeniem tego, dlaczego się przyznał, jest to, że to zrobił.

— Ten miły, delikatny, nieśmiały człowiek? Którego ta dziewczyna niemalże siłą zmusiła do seksu? Halo! Słuchałeś w ogóle tego, co ona mówiła?

— Słuchałem. I zastanawiam się, jak to wszystko na niego wpłynęło.

— Jak to, jak to na niego wpłynęło?

Przez chwilę szedł, wpatrując się intensywnie w betonową kostkę pod ich stopami. „Czy wszystkie miasta w Polsce muszą być wyłożone taką kostką?”, pomyślał.

— Wyobraź to sobie – zaczął wreszcie. – Facet jest księdzem, prawdopodobnie wychowywał się w tradycyjnej, katolickiej rodzinie. Poszedł do seminarium po ukończeniu liceum lub technikum, czyli miał osiemnaście lat. Prawdopodobnie z racji wychowania nie miał żadnych doświadczeń seksualnych lub miał ich bardzo niewiele. Prawdopodobnie również jego powołanie było szczere. Nie ma powodu, by zakładać, że było inaczej. Miał pewne wyobrażenie siebie, świata i swojego w nim miejsca. Ponieważ było to wyobrażenie oparte na wierze, było zapewne bardzo silne i nie podlegające dyskusji. I oto nagle to wszystko wali mu się na głowę. Cały porządek świata i jego obraz samego siebie wałą się w gruzy. I to nie jeden raz, a dwa razy. Za pierwszym razem, gdy zakochuje się w kobiecie i łamie święte śluby czystości, i za drugim, gdy musi tę miłość porzucić, wyrzec się jej pod presją otoczenia. Skąd wiesz, jak to na niego wpłynęło? Jak odbudował swoją pogruchotaną osobowość po czymś takim? Dziewczyna opisuje go takim, jakim był trzy lata temu, przed katastrofą, która podała w wątpliwość wszystko, w co wierzył. Skąd wiesz, że nie stracił wiary, także w siebie? Że nie stał się cynicznym, zgorzkniałym skurwielem, który mści się na ludziach i świecie za to, jak go potraktowali? A może po prostu nie zdołał się poskładać i jest w depresji? Gdy go widziałem,

takie właśnie sprawiał wrażenie. Może próbował powtórzyć tamto tak ważne dla niego doświadczenie, tylko ta dziewczyna, Ewa Krupińska, dla odmiany wcale tego nie chciała? Może zabił ją, bo nie chciała być jak ta pierwsza? Nie chciała odgrywać przypisanej jej roli w tym najważniejszym dla niego, najświętszym misterium? Albo zginęła faktycznie przypadkiem, gdy próbował ją do tego zmusić.

Weszli na mały, brzydki rynek zabudowany okropnymi budynkami z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Tylko na jednej z jego pierzei zachowały się kamieniczki wyglądające na zabytkowe. Było to widome świadectwo tego, jak wielkich zniszczeń doznały te okolice w czasach ostatniej wojny.

— Zawsze, gdy wydaje mi się, że wiem, co o tej sprawie sądzić, ty wywracasz wszystko na drugą stronę – poskarżyła się Karolina.

— Przepraszam – odpowiedział. – Po prostu wiem, częściowo po sobie, jak pokrętne bywają ścieżki ludzkiej psychiki.

Przypomniał sobie swój ostatni wieczór w klubie go-go i w burdelu. Był pijany, mocno pijany. I rozżalony, bo myślał, że Karolina nie przyjedzie. Czy gdyby sytuacja osunęła się w jakąś nieprzewidzianą stronę, również i on mógłby uczynić rzeczy, o które nigdy by siebie nie podejrzewał? Zapewne tak. A czy mógłby też zabić? Przypadkiem, niechcący, w czasie jakiegoś nagłego wybuchu tłumionych przez lata żądz i frustracji? Niestety nie mógł jednoznacznie stwierdzić, że byłoby to niemożliwie.

— To co – spytała zrezygnowana – mamy jakąś konkluzję z

naszego dzisiejszego spotkania czy nie mamy?

— Mamy taką, że trudno wydawać opinię o stanie pacjenta, gdy się z nim nigdy nie rozmawiało – odpowiedział.

Doszli do zamku, a w zasadzie do tej jego części, która zamieniona była na luksusowy hotel. Jego druga część, oddzielona od tej mostem i suchą fosą – gotycki zamek Biskupów Warmińskich – wznosiła się dumnie z lewej strony.

— Poczekaj. – Przystanął nagle. Przypomniał sobie o czymś. – Twój były chłopak, komisarz Sądecki, zaproponował mi coś dzisiaj. Potem wynikła ta sprawa z przyznaniem się księdza i zupełnie o tym zapomniałem.

— Mógłbyś wreszcie przestać nazywać go moim byłym chłopakiem? – spytała poirytowana. – Co ci zaproponował?

— Że mógłby mi załatwić status biegłego *ad hoc*, tak, żebym mógł rozmawiać z podejrzanym. Chodziło wówczas co prawda o tego pijaczka, ale może można by tak samo postąpić, jeśli chodzi o księdza?

Spojrzał na nią.

— Moglibyśmy go wtedy o to wszystko spytać.

ROZDZIAŁ 12

— Dlaczego w sumie miałbym się teraz na to godzić? – spytał komisarz Sądecki. – Księżulek się przyznał. Mnie to zupełnie zadowala. Sprawa jest zakończona.

— Dobrze wiesz, że nie jest – odpowiedział Rozłucki. Siedzieli w trójkę w pokoju komisarza. Za jego szerokimi plecami ubranymi w nie najświeższą czarną koszulkę jak zwykle widać było okno, a za nim tory kolejowe. Rozłucki nie mógł się powstrzymać, by się nie zastanawiać, kiedy wreszcie przejedzie po nich pociąg. – Ja także mam kolegów z liceum – spojrzał znacząco najpierw na Sądeckiego, potem na Karolinę – i tak się składa, że jeden z nich jest adwokatem. Zadzwoiłem do niego dziś i spytałem go o tę sprawę. Powiedział mi, że samo przyznanie się do winy, jeśli nie jest poparte innymi dowodami czy chociażby dokładnym opisem zdarzenia dokonany przez oskarżonego i zawierającym szczegóły, które mógł znać wyłącznie morderca, jest dosyć łatwe do zakwestionowania w sądzie. A ty, z tego, co wiem, nie masz żadnych innych dowodów. Jedynym więc sposobem, by zakończyć tę sprawę, jest przekonanie księdza proboszcza, by opisał nam dokładnie, co się wtedy wydarzyło.

Grymas, który pojawił się na twarzy komisarza, był dość

wyraźną poszlaką wskazującą, że Rozłucki miał rację.

— Przesłuchiwałem go kilka razy osobiście – powiedział. – Pytałem, jak dokonał tego morderstwa. I nic. Dlaczego tobie miałby coś powiedzieć?

— Bo nie będę go o to pytał. Zacznę od czegoś innego. I będę czekał, aż sam mi powie.

Komisarz sapnął, a potem podrapał się za uchem.

— No dobrze – powiedział. – Co mi w sumie szkodzi? Porozmawiam, z kim trzeba.

— To kiedy moglibyśmy zacząć? – spytała Karolina.

— My? – zdziwił się komisarz. – O tobie, moja droga, nie ma najmniejszej mowy.

— Chcesz mnie od tego odsunąć? – Karolina aż podskoczyła na krześle z oburzenia.

— Nie tyle nawet chcę, co muszę – odparł Sądecki. – Jesteś dziennikarką, nie pamiętasz? Istnieje coś takiego, jak tajemnica śledztwa. Nie mogę dopuścić do przesłuchiwania nieskazanego prawomocnym wyrokiem podejrzanego przez kogoś, kogo zawód polega na rozpowszechnianiu w prasie, radiu i telewizji zdobywanych wszelkimi dostępnymi metodami informacji. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, miałbym naprawdę gigantyczne kłopoty. On to co innego. – Wskazał na Rozłuckiego. – Jest lekarzem, obowiązuje go tajemnica lekarska.

— A mnie obowiązuje tajemnica dziennikarska – nie dawała za wygraną Karolina.

— Z tego, co wiem, te dwie tajemnice mają odrobinę inne zakresy. On nie może wyjawić, czego się dowiedział, a ty nie możesz wyjawić, od kogo się tego dowiedziałas. To zasadnicza różnica, nie sądzisz?

Karolina aż fuknęła. Nie była zadowolona z tego, co usłyszała.

— A, i jeszcze jedno! – dodał komisarz. – Ty – wskazał palcem na Rozłuckiego – nie możesz powiedzieć jej – teraz palec wycelował w Karolinę – niczego, o czym się dowiesz, jasne? Wszystko ma zostać między nami.

— Czyli co, mam wracać do Warszawy!?! – Karolina była naprawdę wściekła.

— Nie. To dotyczy tylko tych rozmów z księdzem. Co będziecie robić poza tym, to mnie nie obchodzi. Możecie rozmawiać, z kim chcecie, szperać, węszyć – to wasza sprawa. Ale ksiądz proboszcz jest w policyjnym areszcie. Jest podejrzany w sprawie o morderstwo. I jest pod moim nadzorem. Sorry, Karolina. Od niego musisz się trzymać z daleka.

Młody policjant w mundurze wprowadził podejrzanego. Ubrany był w zwykłe cywilne ciuchy: jasne dżinsy i brązową bluzę z długim rękawem. Bez sutanny wyglądał aż do bólu zwyczajnie, wręcz niepoważnie. Ot, mężczyzna po trzydziestce, mocno łysiejący, z wyraźnie już zaznaczonym brzuszkiem, na najlepszej drodze ku starości.

Rozłucki czekał na niego w pokoju przesłuchań, siedząc za

kwadratowym stołem z porysowanym blatem. Pod ręką miał notatnik, długopis i szklankę z wodą. Druga taka sama stała po drugiej stronie stołu, tam, gdzie za chwilę usiądzie podejrzany. Czuł się dziwnie. Nigdy dotąd nie brał udziału w podobnym przesłuchaniu. Rozmowy, które prowadził z pacjentami, to było jednak zupełnie co innego. Przynajmniej pozornie relacja w ich trakcie powinna być partnerska. Pozornie, bo oczywiście nigdy tak naprawdę taka nie była. Tu o żadnym partnerstwie nie mogło być nawet mowy. Należał teraz do aparatu przymusu, władzy i represji. To od niego w pewnym sensie zależało, czy ten człowiek wyjdzie na wolność, czy zostanie skazany i trafi do więzienia. Nie czuł się za dobrze z tą świadomością. Choć z drugiej strony nie mógł nie przyznać, że było to w jakiś sposób ekscytujące.

Policjant zostawił ich i wyszedł, zamykając drzwi. Mężczyzna stał teraz przed stołem, dokładnie naprzeciwko Rozłuckiego. Nie miał kajdanek. Nie wiedzieć czemu Rozłucki bezwiednie oczekiwał, że będzie je miał.

— Przesłuchiowano mnie już wielokrotnie – powiedział. – Najpierw policjant, potem policjantka. Nie sądzę, bym powiedział panu coś więcej niż im.

— Nie jestem policjantem – odparł Rozłucki. – A to nie jest przesłuchanie. Nazywam się Zygmunt Rozłucki. Jestem psychologiem. Zostałem powołany na biegłego w tej sprawie. Proszę, niech ksiądz siada – powiedział i wskazał na krzesło po drugiej stronie stołu.

— Niech mnie pan tak nie nazywa – odparł mężczyzna. – Straciłem prawo do tego tytułu.

Jego głos był szary i matowy, pełen bezbrzeżnego zmęczenia.

— W każdym razie niech pan siada.

Mężczyzna usiadł.

— Z tego, co wiem – powiedział, patrząc na mężczyznę – nawet grzech ciężki nie anuluje ślubów kapłańskich. Może pan trafić do piekła, a księdzem i tak pan być nie przestanie. Choćby był pan największym zbrodniarzem, może pan nadal odprawiać msze i udzielać sakramentów. I te sakramenty będą ważne, choćby miał pan ręce po łokcie we krwi.

Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony. Opłacało się ślęczyć wczoraj cały wieczór w Internecie.

— Tak, to prawda – odpowiedział. – Taka jest doktryna. Chodzi mi bardziej o moje wewnętrzne odczucie.

— O sumienie?

— Tak, o sumienie.

— To ono kazało się panu przyznać? Powiedzieć prawdę?

Mężczyzna zamrugnął oczami. Zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

— Tak, to ono.

Rozlucky wyczuł jakiś fałszywy ton. Nie wiedział tylko póki co, czym był on spowodowany. Co go wywołało? Wspomnienie o sumieniu, czy wspomnienie o prawdzie? A może to zestawienie tych dwóch pojęć wywołało ten zgrzyt?

— To jaka jest ta prawda? Może mi pan to jeszcze raz powiedzieć?

— Prawda jest taka, że jestem mordercą.

Słowo to wypowiedziane w tej małej przestrzeni policyjnego pokoju przesłuchań miało wagę tonowego głazu. Zabrzmiało to szczerze, przekonująco. Fałszywy ton, jeśli w ogóle był, gdzieś się ulotnił. Rozłucki prawie zobaczył, jak przygniata go ono, przygina w stronę stołu. Jednocześnie wypowiedziane zostało niemal uroczyście. Zaczął się zastanawiać, czym to zostało spowodowane? Być może ksiądz przez lata codziennego odprawiania liturgii po prostu nabrał takiej manieri. A może chodziło o coś innego.

— To jednak nie jest cała prawda – powiedział. – Czy niecała prawda, prawda częściowa, jest jeszcze prawdą? Czy jest już kłamstwem? Co na to pana sumienie? – Poczul się nagle jak Piłat rozmawiający z Jezusem. Użył nieświadomie prawie takich samych sformułowań. Brakowało tylko, żeby spytał: „Czymże jest prawda?”.

— To cała prawda, jaką jestem gotów wyznać – odpowiedział ksiądz.

Stop. Poszedł nie w tę stronę. Przez chwilę było ciepło, teraz znów zrobiło się zimno. Miał nie pytać bezpośrednio o morderstwo, nie zaczynać od tego.

Udał, że coś zapisuje w notatniku, by zyskać czas na zastanowienie. Kilka nic nieznaczących słów i na samym końcu jedno znaczące: „Karolina”. Uśmiechnął się do siebie. Jego podświadomość przypomniała mu właśnie o tym, o czym przecież

doskonale wiedział.

— Rozmawiałem wczoraj z Moniką, pana poprzednią ofiarą – postanowił uderzyć teraz z tej strony. Specjalnie użył słowa „ofiara”. Był ciekaw, jak na to zareaguje.

Ksiądz spojrzał na niego zaskoczony. W jego oczach pojawiły się żywsze refleksy. Po chwili jednak spuścił głowę i pokiwał nią, jakby godził się na takie postawienie sprawy.

— Co u niej? – spytał cicho.

— Radzi sobie – odpowiedział Rozłucki. – Chce iść na studia.

Czyżby zobaczył na jego twarzy cień uśmiechu?

— To dobrze – usłyszał. – To mądra dziewczyna. Cieszę się, że nie całkiem zmarnowałem jej życie.

— Nie mówi o panu z nienawiścią. – W dalszym ciągu uważnie obserwował jego reakcje.

Ksiądz podniósł głowę. Żywsze refleksy w jego oczach stały się jeszcze żywsze.

— Wybaczyła mi? – spytał.

— Tak to chyba można określić.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na przeciwległą ścianę, jakby zastanawiał się, co począć z tą tak najwyraźniej niespodziewaną dla niego informacją.

— Ja w każdym razie sobie nie wybaczyłem – odparł i spuścił ponownie głowę.

— Czy ta druga, Ewa Krupińska, była do niej podobna?

Ksiądz w dalszym ciągu wpatrywał się w podłogę. Rozłuckiemu

wydało się, że jego ciało zeszywniało. „Reakcja obronna”, pomyślał. „Tylko czym spowodowana?”

— Tak – odpowiedział. – W pewnym sensie tak. Też była pogubiona.

Wypowiedziane to zostało po chwili namysłu. I zabrzmiało nie do końca wiarygodnie. Jak coś, co powinno zostać powiedziane.

— Znał ją pan dobrze?

— Mówiłem już o tym pana kolegom z policji. Nie chcę o tym mówić. To zbyt trudne.

Garda unosiła się, gdy tylko Rozłucki wspominał o morderstwie lub jego ofierze. Warte odnotowania. Kolejny dowód, że trzeba zachodzić go z innej strony. Postanowił wyciągnąć ostatniego asa z rękawa.

— Mam wrażenie, że już ześmy się raz spotkali – powiedział. – Pamięta pan, gdzie?

— Był pan w kościele?

— To też, ale chodzi mi o inne miejsce, w Olsztynie.

— Nie przypominam sobie.

— Klub Glamour, taki ze striptizem. Wychodził ksiądz z VIP-roomu z taką niewysoką, nagą brunetką.

Mężczyzna uniósł szybko głowę. Chyba się zaczerwienił. W każdym razie mieszało go to. A o to przecież chodziło.

Po chwili jednak odzyskał równowagę.

— Chce pan poznać całą historię mojego upadku? – spytał z sarkazmem w głosie.

— Bardzo chętnie.

Wzruszył ramionami.

— W sumie czemu nie? Na prawdziwą spowiedź nie mam póki co ochoty. I może już nigdy nie będę miał. Równie dobrze może być coś takiego.

— To w końcu wy wymyśliliście, że rozmowa może pomóc uleczyć duszę. Freud to tylko podpatrzył i twórczo rozwinął.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Można to i tak ująć.

— To co, zaczynamy?

— Ale nie dzisiaj. Proszę przyjść jutro. Jestem zmęczony. Poza tym muszę to wszystko... – zawahał się.

— Przemodlić?

— Nie. Już nie – uśmiechnął się smutno. – Przecierpieć.

ROZDZIAŁ 13

— I jak ci poszło? – spytał Sądecki.

— Na razie nijak. Zgodził się dalej rozmawiać. To już i tak sukces – odparł Rozłucki.

Opadł ciężko na krzesło przed biurkiem komisarza. Czuł się zmęczony. Rozmowa z księdzem, choć nie była długa, wyciągnęła z niego całą energię, której i tak przecież nie miał zwykle zbyt wiele. Zaczął się zastanawiać, dlaczego? Co powodowało, że było aż tak trudno? Nie zdążył dojść do żadnych wniosków, bo przerwało mu następne pytanie.

— Jak myślisz, ile to potrwa? To znaczy zanim on zacznie mówić.

Wzruszył ramionami.

— Może otworzyć się jutro, po kilku spotkaniach, po kilkunastu, albo nigdy.

— Czy to ma w takim razie sens? Z doświadczenia, nie tylko zawodowego, ale także życiowego, może nawet przede wszystkim życiowego – komisarz uśmiechnął się pod nosem – wiem, że zawsze bardziej prawdopodobne są gorsze scenariusze. Czyli że nie zacznie mówić nigdy.

— Nie wiem. Być może. Ale to, że w ogóle się zgodził na

następne rozmowy, stanowi raczej dobrą wróżbę. Poza tym póki siedzi u was w areszcie, co on i ja mamy lepszego do roboty?

— Może i tak. Dobra. To co, widzimy się jutro?

Sądecki wyciągnął w stronę Rozłuckiego rękę na pożegnanie. Rozłucki wstał, uścisnął dłoń komisarza i wyszedł.

Już za drzwiami omal nie zderzył się z Weroniką Stankiewicz, która najwyraźniej szła właśnie do Sądeckiego.

— Dzień dobry – wydusił z siebie. Zawsze, gdy ją widział, czuł lekkie przerażenie. Wynikało ono zapewne, tak to sobie przynajmniej tłumaczył, z niezbyt szczęśliwych okoliczności, w których się poznali.

— Dzień dobry – odparła obojętnie, próbując go wyminąć. Ta obojętność jakoś go dziwnie rozdrażniła. Zagroził jej drogę.

— Niech mnie pani nie ocenia po pierwszym wrażeniu. – Nie wiedział, co go w ogóle podkusiło, by zacząć tę rozmowę. – Podobno przy bliższym poznaniu zyskuję.

Nie odpowiedziała. Stała po prostu i czekała, aż się odsunie. Jakby był szlabanem albo drzwiami w windzie.

— Za to przy jeszcze bliższym tracę – dodał po chwili.

Chyba dostrzegł na jej twarzy coś w rodzaju uśmiechu.

Karolina czekała na niego pod komendą.

— Podrzucić cię do domu? – spytała.

— Chętnie – odpowiedział. – Ale nie do domu, tylko do szpitala.

Nie było to daleko stąd, ale zaczął właśnie padać drobny deszcz,

a jemu nie uśmiechało się iść na przystanek. Wiedział oczywiście, po co na niego czekała – chciała podpytać go o przebieg rozmowy – ale nie widział powodu, by tego nie wykorzystać do ułatwienia sobie życia. Poza tym każda chwila spędzona w jej towarzystwie była na wagę złota.

Wsiadli do samochodu. Karolina odpaliła silnik i wyjechała na ulicę.

— I jak poszło? – spytała.

— Pierwsze koty za płoty – odpowiedział.

Dojechali do skrzyżowania i wjechali na wiadukt nad torami.

— Będzie coś z tego?

— Mam nadzieję. Jutro znów do niego przyjdę.

— Chętny do zwierzeń, czy nie bardzo?

— I bardzo, i nie bardzo. Gdy zahaczam o morderstwo tej dziewczyny, natychmiast się jeży i milknie, ale na inne tematy być może uda nam się porozmawiać.

— Na jakie tematy?

— Tamta pierwsza dziewczyna, jego powołanie, dlaczego został księdzem, czy jeszcze wierzy, czy nie. Zobaczymy, w którą stronę to się potoczy. Nie będę specjalnie naciskał. Niech mówi, o czym chce.

— Tylko co to nam da, że będziesz wiedział, dlaczego został księdzem?

— Może nic, a może coś. Poza tym nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby nawiązać relację, zdobyć zaufanie. Jest teraz samotny jak nigdy dotąd. Sam z wielkim ciężarem, który go przygniata. A ja

będę chciał go wysłuchać. Nie przesłuchać, a właśnie wysłuchać. Każdy człowiek tego potrzebuje i pragnie, a już zwłaszcza w takiej sytuacji, jak on. Jeśli rzeczywiście popełnił to morderstwo, to gdzieś w głębi duszy chce zrzucić z siebie ten ciężar. Opowiedzieć o tym komuś, opisać dokładnie, jak to było, wypowiedzieć się. Jest w końcu księdzem, więc ten schemat grzech – spowiedź – odpuścić winy tkwi w nim bardzo głęboko. Jest wdrukowany w jego myślenie o świecie. Teraz jeszcze działają w nim jakieś mechanizmy obronne, więc tego nie robi. Nie wiemy, jakie to mechanizmy i dlaczego się włączyły. W końcu przyznał się, więc nie chodzi o zwykły instynkt samozachowawczy, tylko o coś innego. Ale jeśli poczuje się ze mną bezpiecznie, poczuje się rozumiany i w jakimś sensie akceptowany, być może uda mi się je przełamać.

— To trochę cyniczne podejście. Chcesz udawać jego przyjaciela, żeby wydobyć od niego informacje, które go zniszczą.

— Próbuję po prostu zrozumieć. Coś mi tu nie gra. Przyznał się do zamordowania tej dziewczyny, ale nie chce powiedzieć nic więcej. Dlaczego?

— Jeśli ci się to uda, trafi na wiele lat do więzienia. Czy to aby na pewno zgodne z zasadą nieszkodzenia pacjentowi?

— Ale może dzięki temu uratuje swoją duszę? – odpowiedział. – Lepiej stracić wszystko, a duszę zachować. Wiesz, kto to powiedział? Jego bezpośredni przełożony.

Dojechali na miejsce. Wysiadł. Pomachał jej jeszcze na pożegnanie, po czym wszedł za bramę szpitala. Idąc w kierunku

przychodni, myślał wciąż o tym, co mu powiedziała i co on jej na to odpowiedział. Nie był całkiem szczery, wiedział to. Tak naprawdę bowiem miała rację. Trudno było nie zauważyć, że jego postępowanie było nie do końca etyczne, że angażując się w tę sytuację łamał kilka punktów Kodeksu Etyki Psychologa, którego zasady jeszcze parę lat temu sam tłumaczył swoim studentom. Problem polegał na tym, że nie potrafiłby przestać. Za bardzo wciągnął się w tę sprawę. Spodobało mu się to. Nie myślał już jak psycholog, myślał jak... policjant. Aż przystanął, gdy to sobie uświadomił. Chciał po prostu rozwiązać tę zagadkę. To go tak naprawdę kręciło. Tylko że nie był policjantem. Musiał o tym pamiętać.

Następnego dnia nie było jednak żadnej drugiej rozmowy. Gdy tylko Rozłucki przekroczył próg komendy i zbliżył się do gabinetu komisarza Sądeckiego, poczuł, że coś jest nie tak. Drzwi były uchylone, słychać było zza nich podniesione głosy, gdy zaś podszedł bliżej, próbując wejść, znów o mało nie zderzył się z Weroniką Stankiewicz, która wybiegła niemalże ze środka, nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem.

W pokoju oprócz komisarza było jeszcze dwóch policjantów ubranych po cywilnemu. Wszyscy stali naokoło biurka.

— Dobrze, że jesteś – powiedział Sądecki, gdy tylko go zobaczył.
– Choć już sobie raczej z księdzem nie pogadasz.

Rozłucki poczuł nagłe ukłucie w dołku. Przez krótką chwilę

zobaczył obraz, który przywołał wszystkie demony z jego własnej przeszłości. Pętla zrobiona ze spodni i przywiązana do piętrowego łóżka lub kraty. I zwisające na niej ciało. Zadzierzgnięcie – tak to się chyba nazywa w ich terminologii.

— Co z nim? – spytał z zaciśniętym gardłem.

— Z kim? – Komisarz spojrzał na niego zdziwiony.

— Z księdzem.

— Wszystko dobrze. Niedługo będzie mógł zacząć szykować się do wyjścia.

— Nie rozumiem.

— Mamy kolejną ofiarę.

ROZDZIAŁ 14

— Dobrze, panowie, do roboty! – Komisarz Sądecki klasnął w dłonie, zwracając się do stojących w jego pokoju mężczyzn. Policjanci wyszli. Rozłucki jeszcze przez chwilę milczał, zaskoczony zarówno tym, co usłyszał, jak i tym, czego nie usłyszał.

— Jaką ofiarę? – spytał w końcu.

— Prawdopodobną – odparł komisarz. – Trzynastoletnia dziewczyna z tej samej wsi nie wróciła dziś na noc do domu. Matka przed chwilą zgłosiła zaginięcie. Chodź! – Machnął na niego ręką. – Rozpoczynamy poszukiwania.

Wyszli. Ruszyli szybkim krokiem przez korytarz.

— Cholera jasna! – powiedział Rozłucki.

— Właśnie. Jeśli to jest to, na co wygląda, to mamy wszyscy kurewski problem. Z wyjątkiem księdza oczywiście, bo w trakcie popełniania ewentualnej póki co zbrodni siedział spokojnie w areszcie.

— Myślisz, że to...? – Weszli na schody.

— Seryjny? Oby nie. Oby dziwnym zbiegiem okoliczności w przeciągu kilku dni dwóch zupełnie różnych sprawców zamordowało w tej samej miejscowości dwie nastoletnie dziewczyny w podobnym wieku.

Schodzili, w zasadzie zbiegali w dół. Twarz komisarza Sądeckiego była ściągnięta. Rozłucki uświadomił sobie, że mimo całego jego cynizmu i niewątpliwego podszycia lekkim skurwysyństwem, posiada on jednak jakieś uczucia. Świadomość, że być może gdzieś w jego rejonie jest ktoś, kto morduje kilkunastoletnie dziewczynki, musiała wstrząsnąć także nim.

— Czekaj – uchwycił się nagle zbawczej myśli. – Może ta druga jeszcze żyje, może ją znajdą?

— Może... – odpowiedział bez przekonania komisarz.

Wyszli z komendy tylnym wyjściem prowadzącym na parking. Komisarz podszedł do srebrno-niebieskiej kii z napisem „Policja” na drzwiach i kogutem na dachu. Za jej kierownicą siedział już policjant w mundurze.

— Wsiadasz? – spytał Rozłuckiego.

— Biorę oficjalnie udział w śledztwie?

— Oficjalnie to ja cię podwożę do domu, bo taki uprzejmy jestem. Wsiadaj.

Ruszyli. Policjant włączył syrenę. Rozłucki po raz pierwszy jechał samochodem na sygnale. W środku nie było tak głośno, jak by się mogło wydawać.

— Co teraz? – Spytał Rozłucki.

— Przeczeszemy lasy, w pierwszej kolejności ten, w którym znalezioną tę pierwszą. Jak to nic nie da, będziemy szukać w jeziorze.

Rozłucki aż się wzdrygnął. Przypomniał sobie Justynę

Wasilewską, której ciało przez ponad dwadzieścia lat leżało w mule na dnie tego samego akwenu.

— A znajomi? – spytał. – Może po prostu została u kogoś na noc.

Sądecki kiwnął głową.

— Weronika już to sprawdza. Ale na to bym specjalnie nie liczył. Jej matka twierdzi, że nigdy wcześniej tak nie robiła. Zawsze wracała o czasie, a czasami nawet przed.

— Niedobrze. Trzynaście lat?

— Trzynaście.

— Trochę za młoda, żeby pójść w tango.

— Otóż to.

Jechali na sygnale przez prawie pusty o tej porze Olsztyn. Nieliczne samochody zjeżdżały im z drogi. Było to, co musiał przyznać Rozłucki, całkiem przyjemne. Można by się było w każdym razie przyzwyczaić.

— Kiedy go wypuścicie? – spytał.

— Księdza? No nie, na to jest jeszcze za wcześnie. Póki nie znajdziemy ciała i nie porównamy *modus operandi* obydwu zbrodni, nie ma o tym mowy. Tym bardziej, że przecież się przyznał.

— A właśnie – powiedział Rozłucki. – Może by uruchomić tego waszego profilerą. Skoro już prawie na pewno wiemy, że nie wiemy, kto jest mordercą, jego opinia mogłaby się do czegoś przydać.

Komisarz znowu kiwnął głową.

— Już do niego dzwoniłem. Co prawda menda zaczęła marudzić,

że nie jest jeszcze gotowy, bo przerwał pracę, kiedy ksiądz się przyznał, ale mu powiedziałem, żeby się nie mazał, tylko wziął dupę w troki i przyjeżdżał z tym, co ma. Powinien być na miejscu mniej więcej wtedy, co my.

— No i wypadałoby zadzwonić do Karoliny – powiedział niby mimochodem Rozłucki. – Te obiekcje, które miałeś, są już chyba nieaktualne.

Sądecki wzruszył ramionami.

— Chcesz, to dzwoń.

Po kilkunastu minutach dojechali na miejsce. Przy lesie, w którym znaleziono ciało Ewy Krupińskiej, stało już kilka radiowozów. W jednym z nich, przy otwartych drzwiach siedziała Weronika Stankiewicz z laptopem na kolanach. Długie włosy opadały jej z obu stron głowy na twarz. Jej oczy wpatrywały się z uwagą w ekran. Była bardzo ładna z tym wyrazem skupienia na twarzy.

Podeszli do niej.

— I co? – spytał Sądecki.

— Na razie nic – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od komputera. – Tyralliera złożona z naszych i miejscowych ochotników przeszukuje las. Póki co nic nie zgłosili.

— Sprawdziłaś znajomych tej dziewczyny?

— Matka do nich dzwoniła. Nic. Jej córka nie nocowała u żadnej ze znanych jej osób. Sprawdzam teraz jej konta na portalach społecznościowych. Facebooku, Snapchacie, WhatsAppie. Nic

ciekawego. Same bzdury. Mnóstwo selfie i zachwyty nad różnymi zespołami. Żadnej niepokojącej korespondencji od dziwnych znajomych, żadnych informacji o tym, co miała zamiar wczoraj robić.

W tej samej chwili podjechał kolejny samochód. Stary volkswagen polo w kolorze butelkowym. Wysiadł z niego mężczyzna w marynarce. Miał dłuższe, kręcone ciemne włosy i małą kępkę zarostu na samym czubku brody.

— A oto i nasz profiler! – powiedział z lekkim przekąsem komisarz. – Dawaj tu! – krzyknął do niego.

„Jaki młody”, pomyślał Rozłucki. Facet miał nie więcej niż trzydzieści lat. Nie wiadomo dlaczego zdziwiło go to. Jakby zapomniał, że sam też miał kiedyś trzydzieści lat i też był już wtedy psychologiem.

Mężczyzna zgarnął z bocznego siedzenia plik luźnych kartek i podszedł do nich.

— Mów, co tam masz! – rozkazał Sądecki, nie bawiąc się w przedstawianie sobie kogokolwiek.

— No więc, jak już panu mówiłem – zaczął niepewnie profiler, patrząc zagubionym wzrokiem w kartki – analiza nie jest jeszcze gotowa. Przerwałem pracę nad nią, gdy przyznał się ten ksiądz, bo profil wykonuje się zawsze dla nieznanego sprawcy, a tu wydawało się, że sprawca jest już znany...

— Przestań pierdolić, tylko mów! – powiedział z irytacją komisarz. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie mamy czasu.

Zaginęła trzynastoletnia dziewczynka. Dalej! – ponaglił go.

— No więc... – powtórzył mężczyzna. Część kartek wypadła mu na ziemię. Podniósł je i próbował z powrotem poukładać w odpowiedniej kolejności.

— Dalej!

Mężczyzna odetchnął, opuścił kartki i spojrzał na Sądeckiego.

— Szczerze powiedziawszy, dziwnie to wygląda, panie komisarzu – oznajmił. – *Modus operandi* sprawcy jest niekonsekwentny, jeśli tak można powiedzieć.

— Niekonsekwentny!?! Co to, u diabła, znaczy?

— To znaczy, że ślady, które zostawił, odsyłają nas do różnych motywów. Przynajmniej według mojej wiedzy.

— Mógłbyś to jakoś, z łaski swojej, wytłumaczyć po ludzku?

— Weźmy na przykład ułożenie zwłok. – Profiler ponownie zerknął w kartki. – Ciało leżało równo, porządnie. Z rękoma złożonymi na piersiach, z wyprostowanymi, stykającymi się nogami. Włosy były rozłożone po obu stronach głowy, jakby ktoś specjalnie je tak udrapował. Oczy i usta zamknięte. Ciało i ubranie czyste. Takie ułożenie zwłok świadczy zazwyczaj o tym, że mordercą był ktoś związany emocjonalnie z ofiarą. Osoba bliska w jakiś sposób. Członek rodziny, bliski znajomy, partner. Osoba, która żałuje tego, co zrobiła, i chce, choćby w ten sposób, wynagrodzić to swojej ofierze. Przez takie swoiste okazanie szacunku.

Rozłucki coraz uważniej tego wszystkiego słuchał. Gość zdawał

się wiedzieć, o czym mówi. Jeśli przeczytał, jak twierdził Sądecki, tylko jedną książkę o profilowaniu, to na pewno przeczytał ją uważnie.

— No i co w tym dziwnego? – spytał komisarz.

— Gdyby w grę wchodziło tylko to, nie byłoby w tym nic dziwnego – odpowiedział profiler. – Zawężyłoby to nam dosyć znacznie krąg podejrzanych. Ale jest tu jeszcze jeden, dodatkowy element. Do tego niepasujący w żaden sposób do całości.

— Jaki? – spytał Rozłucki, choć już wiedział, o czym mówi mężczyzna.

— O dół. Stan, w jakim morderca pozostawił dół ciała ofiary, jest kompletnie niedopasowany do stanu, w jakim pozostawił jego górę. Sukienka jest zadarta i narzucona prawie na głowę, majtki są ściągnięte i zabrane. W każdym razie nie ma ich. Wzgórek łonowy jest odsłonięty i obnażony. To się zupełnie nie klei z charakterystyką przestępcy, która wyłania się z analizy tego, o czym mówiłem wcześniej.

— Motyw seksualny – wtrącił Rozłucki – nie wyklucza tego, że mordercą może być ktoś bliski.

— Tyle że według mojej wiedzy – profiler znowu zerknął w kartki, jakby nie tyle szukał tam informacji, co pewności siebie – obnażenie zwłok niekoniecznie świadczy o motywie seksualnym. To znaczy świadczy, oczywiście, ale, przynajmniej według opracowań, które czytałem, ważniejsze jest co innego: chęć upokorzenia ofiary. Jeśli zostawia się ciało zamordowanej osoby z obnażonymi

częściami intymnymi, robi się to po to, żeby ją odczłowieczyć, sprowadzić do roli przedmiotu seksualnego, upokorzyć ją w oczach tych, którzy ją znajdują. No i wreszcie zemścić się. Nie zawsze na tej konkretnej osobie, czasami chodzi o symboliczną zemstę na przykład na wszystkich kobietach. W każdym razie mamy tu mordercę, który z jednej strony traktuje ofiarę z szacunkiem, a z drugiej strony ją upokarza. Z punktu widzenia profilu nieznanego sprawcy, który właśnie próbuję stworzyć, to bardzo kłopotliwe. Jego podstawowym celem jest zawężenie kręgu podejrzanych, docelowo do jednej osoby. W tym konkretnym przypadku nie bardzo zaś wiadomo, jakimi kryteriami się posłużyć do takiego zawężenia.

— A tak na szybko, jakby pan mógł spróbować wyjaśnić tę sprzeczność? – spytał Rozłucki.

Profiler zastanowił się.

— Przychodzą mi do głowy w zasadzie tylko dwa wyjaśnienia – powiedział. – Pierwsze jest takie, że morderca mógł przeczytać jakąś pozycję dotyczącą profilowania i specjalnie zostawił takie sprzeczne ślady, żeby zmylić tropy. Zwłaszcza ci inteligentniejsi przestępcy często tak robią. Przygotowują się do zbrodni, czytając różne fachowe opracowania. To by świadczyło, że morderstwo było zaplanowane.

— A drugie wyjaśnienie? – spytał komisarz.

— Drugie jest takie, że mamy do czynienia z mordercą seryjnym, a to jest jego podpis.

— Podpis? – Zasłuchani w to, co mówił profiler, nie zauważyli, że podeszła do nich Karolina.

— Podpis, czyli zestaw pewnych charakterystycznych cech morderstwa dotyczących na przykład sposobu jego dokonania, postępowania z ofiarą przed, w trakcie i po zabójstwie, a także właśnie stanu, w jakim sprawca pozostawił zwłoki. U seryjnych morderców te cechy się powtarzają, co więcej często są swoistym przekazem, listem, jaki wysyłają oni do świata.

— A co ten konkretny list miałby nam powiedzieć? – spytał komisarz.

— Na to jest jeszcze za wcześnie – odparł profiler. – Po pierwsze nie wiemy, czy to rzeczywiście seryjny. Dopiero gdy znajdziemy ciało tej drugiej dziewczyny – oby oczywiście nie, oby wciąż żyła – i ono będzie w podobnym stanie, jak to pierwsze, będzie się można spróbować nad tym zastanowić. Ale gdyby tak było, może to świadczyć o jeszcze jednej rzeczy.

— Jakiej? – spytał grobowym głosem komisarz.

— Ten podpis, o ile oczywiście to jest podpis, sprawia wrażenie dopracowanego w najmniejszych szczegółach. To może świadczyć z kolei, że... – profiler przerwał na moment, jakby sam nie miał ochoty usłyszeć tego, co za chwilę powie – że został złożony nie pierwszy raz.

— Aha – powiedział komisarz. – Oby twoje słowa zamieniły się w gówno.

— Też bym nie miał nic przeciwko temu, panie komisarzu –

odparł profiler.

— Macie tu jakąś kawę? – Sądecki odwrócił się, mając już dość słuchania niedobrych nowin. Wyglądał, jakby się nagle postarzał. A w zasadzie, jakby nagle wydorósł.

— Autobus cateringowy jeszcze nie dojechał – odpowiedziała z przekąsem znad laptopa Weronika.

— Czyli nie macie. No i chuj. Jeszcze i to.

ROZDZIAŁ 15

Poszukiwania w okolicznych lasach nie przyniosły póki co rezultatu. Minęło kilka początkowo nerwowych i pełnych napięcia, później jednak coraz bardziej męczących i nudnych godzin. Rozłucki siedział na krześle przed swoim domem i przypatrywał się bez zainteresowania ciemnozielonemu pontonowi, z pomocą którego ekipa płetwonurków z Olsztyna przeszukiwała jezioro od drugiej, wewnętrznej strony pasa przybrzeżnych trzcin. Nie spodziewał się, że coś znajdą. Jego przekonanie nie wynikało jednak z jakichś szczególnych przesłanek, ani z głębokiego namysłu, po prostu nie spodziewał się tego. Wpływ na to mogło mieć co najwyżej pewne stare powiedzenie, które usłyszał kiedyś, choć nie pamiętał, od kogo, ani gdzie, że kula nie trafia nigdy dwa razy w to samo miejsce. Więc skoro w tym samym jeziorze przez prawie dwadzieścia lat leżały zwłoki Justyny Wasilewskiej, to prawdopodobieństwo, że teraz pływa w nim ciało kolejnej, młodej dziewczyny, wydawało mu się nikłe.

Dopijał kawę z obtłuczonego kubka, kolejną tego dnia. Na parapecie za nim stały inne szklanki, kubki i filiżanki, z których kilkadziesiąt minut temu raczyli się czarnym, zaparzonym w garnku napojem Karolina, komisarz Sądecki, przymłody profiler, a

nawet Weronika. Weronika z komisarzem odeszli już do swoich zajęć, profiler wrócił do Olsztyna, a Karolina stała teraz nad brzegiem jeziora i wpatrywała się w jego toń. Ciekawe, czy i ona przypominała sobie sprawę sprzed trzech miesięcy? Pewnie tak. Trudno było w tym miejscu i w tej sytuacji uciec od takich porównań.

Patrzył nie bez przyjemności na jej sylwetkę. Długie włosy upięła w niedbały kok. Okulary przeciwsłoneczne podkreślały tylko tajemniczość, której i tak przecież niepozbawione były rysy jej twarzy. Ta tajemniczość, niedopowiedzenie, pewna niewypowiedziana nigdy wprost obietnica nie wiadomo czego, były chyba tym, co najbardziej go w niej pociągało. Oprócz oczywiście niewątpliwej urody. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, skąd to się brało? Czy rzeczywiście skrywała w sobie jakąś tajemnicę, jakąś zdrę? Wcześniej nie brał tego pod uwagę, dopiero to, co powiedział mu o niej Sądecki, jej były bądź co bądź chłopak, naprowadziło go na tę myśl. Jako psycholog powinien był zwrócić na to uwagę wcześniej. No ale cóż, był zakochany.

Jakiś samochód zjeżdżał ze wzgórza za domem. Nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Pewnie znowu policyjny radiowóz. Może to komisarz Sądecki wracał, by dopić swoją zimną już kawę?

Nie był to jednak Sądecki ani nikt z policji. Drogą wzdłuż boku jego domu jechał biały porsche cayenne. Już go tu kiedyś widział. Tym razem terenowy samochód nie pędził jednak tak szybko, jak za pierwszym razem. Staczał się z góry powoli, jakby z namysłem.

Przejechał majestatycznie obok Rozłuckiego i zjechał dalej w dół, aż do jeziora. Dopiero tam się zatrzymał. Tuż za Karoliną.

Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna. Podeszedł do Karoliny, która odwróciła się, by zobaczyć, kto też za nią przystanął. Mężczyzna był średniego wzrostu, ale szczupły i dość przystojny. Ubrany był w śnieżnobiałą koszulę, która zdawała się odbijać jak lustro promienie słońca, i czarną, dopasowaną marynarkę. Całość dopełniały wąskie, ciemne spodnie przepasane paskiem z niewielką, ale bardzo błyszczącą klamrą i buty, które nawet stąd wyglądały na bardzo drogie. Wszystko prezentowało się razem znakomicie. Na tyle znakomicie, że Rozłucki poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Elegancja tego ubioru była może odrobinę przesadna, ale niewątpliwie robiła wrażenie.

Mężczyzna uśmiechnął się szerokim, sympatycznym uśmiechem i powiedział coś do Karoliny. Ta odwzajemniła mu się uśmiechem, który, przynajmniej na gust Rozłuckiego, był troszkę za bardzo promienny jak na pierwsze spotkanie z kimś, kogo się nie zna. Nie słyszał, o czym mówią. Nagle zapragnął wstać i podejść do nich. Nie wiedział dlaczego, ale poczuł bardzo silną, przemożną chęć, by odgonić tego samca od tej samicy. Nie namyślając się wiele, poderwał się z krzesła i ruszył w dół w ich kierunku. Nie zdążył jednak do nich dojść, bo mężczyzna powiedział coś jeszcze, dotknął lekko, jakby na pożegnanie, ramienia Karoliny, po czym wsiadł do samochodu i odjechał. To dotknięcie, lekkie muśnięcie właściwie, podziałało na Rozłuckiego jak smagnięcie szpicrutą przez twarz.

— Kto to był? – spytał, trochę zbyt ostro, gdy już stał już obok Karoliny.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Andrzej Gorbała. Jakiś tutejszy przedsiębiorca. Zaofiarował pomoc w poszukiwaniach. Powiedziałam, żeby zgłosił się z tym raczej do policji niż do mnie. Bardzo sympatyczny człowiek.

— Właśnie widziałem – odparł. I nie udało mu się ukryć swojej irytacji.

— O co ci chodzi? – spytała lekko już najeżona.

Był rozdrażniony. Kurwa, jak bardzo! Nie wiedział dlaczego, ale ta krótka rozmowa, którą widział z oddali, wyprowadziła go z równowagi jak już dawno nic. Gorbała? Słyszał o nim od tej agentki, która wynajęła mu dom. Miejscowy bogacz. Właściciel kurzej fermy i terenów nad jeziorem. Nie spodziewał się, że jest tak młody. I tak przystojny. Wyobrażał sobie raczej statecznego, brzuchatego gościa pod sześćdziesiątkę.

— Okej – powiedział. Spróbował ochłonąć. Później zastanowi się, dlaczego zareagował aż tak emocjonalnie.

— Okej? – Teraz już i ona była rozdrażniona. – Widzę, że zgodziłeś się łaskawie, bym mogła z nim rozmawiać. Czy ty nie wyobrażasz sobie przypadkiem za wiele?

Odwróciła się ostentacyjnie w stronę jeziora.

„Kurwa!”, zaklął w duchu. To się nazywa umieć sobie nagrabić. Stał jeszcze chwilę jak palant za jej plecami, po czym odwrócił się i wrócił na swoje krzeselko. Może po prostu nie powinien już pić

więcej kawy?

Sytuacja, w której się teraz znaleźli wspólnie z Karoliną, nosiła wszelkie znamiona klinczu. Ona wciąż stała nad jeziorem, nie chcąc najwyraźniej wracać pod dom i z nim rozmawiać, ale też nie mając nad tym jeziorem już nic specjalnego do roboty, on siedział na swoim krześle, czekając nie wiadomo na co. Trwało tu już z dwadzieścia minut i powoli stawało się nieznośne, całe szczęście życie samo rozwiązało ten problem, wprowadzając do tej układanki nowy element. Był nim komisarz Rafał Sądecki, którego radiowóz zjechał właśnie ze wzgórza i zatrzymał się pod domem Rozłuckiego.

Komisarz wysiadł i już od pierwszego rzutu oka na jego zmęczoną i poszarzałą twarz widać było, że nie ma zbyt dobrych wieści.

— Jak tam? – zagadnął go Rozłucki.

— Chujowo – odparł komisarz. – Nic. Kamień w wodę – spojrzał nagle na tafłę jeziora, skrzywił się i dodał: – To znaczy oby nie. – Wzdrygnął się. – Każdym razem nie znaleźliśmy jej. Nie ma jej nigdzie: ani u znajomych, ani w szpitalach, ani w lasach, ani na polach, ani póki co tam. – Wskazał głową na rozciągający się za jego plecami akwen. – Jeśli jej matka nie kłamie, to należy też wykluczyć ucieczkę z domu. Sprawa nie wygląda za ciekawie. Zbliża się wieczór, a statystyki wyraźnie mówią, że jeśli dziecko nie odnajdzie się w ciągu doby od swojego zaginięcia, to potem szanse na to gwałtownie maleją.

Usiadł na krześle obok Rozłuckiego. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Chwilę potem dołączyła do nich Karolina.

— Jedyne nadzieje w tobie. To znaczy w was – poprawił się. – Przemyślcie jeszcze raz to wszystko. Zwłaszcza ty. – Spojrzał na Rozłuckiego. – Wiesz dużo o tej sprawie. Pewnie tyle samo, co i ja. Może masz jakiś pomysł? Czas nas goni, więc nie baw się w jakieś krygowanie się, we wszystkie te „nie jestem pewien”, „mam za mało danych” i tak dalej. Mów, co ci ślina na język przyniesie. Gdzie ona może być? Zakładając, że nie uciekła z domu, nie padła ofiarą przypadkowego wypadku, ani że kosmici nie wciągnęli jej laserem do swego statku. Zakładając, że ktoś ją porwał i że jeszcze żyje.

Patrzył na Rozłuckiego ciężkim, pełnym napięcia wzrokiem. Rozłucki czuł niemalże, jak za pomocą tego spojrzenia komisarz przekłada na jego barki ciężar, który jego samego najwyraźniej przerastał. Nagle przypomniał coś sobie.

— Sprawdziliście może, czy nie chodziła do tego klubu Chili? – spytał.

— Tak. – Sądecki kiwnął z wysiłkiem głową. – To znaczy nie, nie chodziła. W klubie nikt z obsługi jej nie rozpoznał. Matka też zarzeka się, że jej córka nie chadzała do takich miejsc. Czemu pytasz? Tak w ogóle czy z jakiegoś konkretnego powodu?

Rozłucki przygryzł dolną wargę. Przez cały ten czas wpatrywał się w zielony ponton, który sunął powoli wzdłuż trzcin. Właśnie w tej chwili płetwonurek w czarnym, lśniącym kombinezonie, z butlą tlenową na plecach i maską na twarzy odchylił się do tyłu i poleciał

z burty pontonu na plecy wprost w zielonkawą wodę. Jego czarne płetwy jeszcze przez chwilę załśniły w powietrzu, lecz wkrótce i one zniknęły.

— Przypomniałem właśnie sobie, co usłyszałem, kiedy tam byłem – powiedział. – Podobno przychodzą tam dziewczyny szukające sponsora. Zjawiają się tam też oczywiście ci, którzy są czymś takim zainteresowani. A także ci, którzy udają, że takim sponsorem mogliby być.

— Tak – odparł komisarz. – Słyszałem o tym. Myślisz, że...

— Można by sobie wyobrazić sytuację, że ktoś poluje w takim klubie na dziewczyny, mami je perspektywą pieniędzy, a potem wywozi gdzieś i wykorzystuje.

— I zabija – dokończył ponuro Sądecki. – Tylko jak wyjaśnić to, że obie pochodziły z tej samej miejscowości? Że z całego tłumu wybrał właśnie te dwie? Przypadek?

— Albo że też tu mieszka. I że je wcześniej znał, choćby z widzenia.

Od razu stanął mu przed oczami Gorbała, ale szybko odegnał tę myśl od siebie. Wiedział, że pojawiła się tylko dlatego, że mężczyzna ten rozmawiał przed chwilą z Karoliną i że tak bardzo go tym zirytował.

— Wyhacza je tam, zagaduje. – Komisarz ciągnął już dalej sam. – Jest mu łatwiej, bo przecież go znają, więc ufają bardziej niż komuś kompletnie nieznanemu. Potem w odpowiedniej chwili proponuje podwiezienie do domu. To też nie budzi obaw, bo w

końcu mieszkają w tej samej miejscowości. A potem...

Zamilkł na chwilę.

— Ale zaraz, chwileczkę! – zaczął znowu. – Przecież ta pierwsza, Ewa Krupińska, wróciła taksówką z tym swoim kolegą. Jak mu tam... Nieważne. Więc to się nie klei.

— A może to właśnie on? – wtrąciła Karolina. – Dlaczego go z góry wykluczasz?

— Piętnastoletni chłopak? Dziecko w zasadzie? Bój się Boga, Karolina! – Komisarz złapał się za głowę.

— Dlaczego nie? – odparła. – Może za pierwszym razem przydarzyło mu się to trochę przypadkiem, ale spodobało się na tyle, że postanowił to powtórzyć. Ten seryjny morderca z Krakowa z lat sześćdziesiątych, ten, co napadał dzieci i staruszki, ile miał wtedy lat?

— Karol Kot – odparł komisarz. – W chwili popełnienia pierwszego morderstwa nie miał jeszcze osiemnastu. Zawsze to trochę więcej.

— Jak się nad tym głębiej zastanowić, to w tych jego zeznaniach rzeczywiście coś się nie zgadza – pociągnął Rozłucki. – Mówiliśmy nawet o tym – zwrócił się do komisarza – ale potem pojawił się ten pijaczek, a potem ksiądz, i to odwróciło naszą uwagę. Dobierał się do Ewy Krupińskiej w taksówce, potem wracali razem przez las, potem się podobno pokłócili i wracali już oddzielnie, bo on poszedł nie wiadomo dlaczego okreśną drogą. A rano znaleziono jej zwłoki. W sumie aż dziw, żeśmy tak łatwo go skreślili. Może w tym lesie

znowu się do niej spróbował dobierać, tym razem ostrzej, bo nie było świadków? Ona się broniła i ją zabił. Przypadkowo lub nie.

— Sprawdziłeś alibi tego chłopaka na wczorajszy wieczór? – spytała Sądeckiego Karolina.

— Nie – odparł komisarz.

— Dzwon do Weroniki – powiedział Rozłucki. I w sumie nie wiedział, dlaczego to właśnie powiedział.

ROZDZIAŁ 16

Nie było potrzeby dzwonić do Weroniki. Komisarz Sądecki uznał, bardzo rozsądnie zresztą, że skoro chłopak mieszka kilkaset metrów od miejsca, gdzie aktualnie przebywają, o wiele prościej będzie pojechać tam i go samemu o to spytać. Wsiedli we trójkę do policyjnego radiowozu i ruszyli tym razem w górę wzgórza. Wyglądało na to, że zostali właśnie nieoficjalnie włączeni do ekipy dochodzeniowej.

Rodzice chłopaka, Adriana Tkacza, mieszkali w sporym, dość ładnym nowym domu w pierwszej linii zabudowy, patrząc od strony jeziora. Ich długa, lecz wąska działka, łagodnie opadająca w stronę brzegu, w całości zarośnięta była równo przystrzyżoną trawą. Kilka niewielkich krzaków i drzewek świadczyło o tym, że ogródek założony został niedawno i rośliny nie zdążyły jeszcze podrosnąć na tyle, by zniwelować wrażenie, że dom stoi na końcu dziwnej, obsianej trawą i otoczonej siatką pustki.

Rodzice Adriana Tkacza, jak należało się tego spodziewać, na prośbę komisarza Sądeckiego, czy by nie mógł porozmawiać z ich synem, zareagowali ledwo skrywanym niepokojem. Komisarz, zbyt zmęczony, by próbować być uprzejmym, wyjaśnił im, że chodzi tylko o kilka rutynowych pytań, a poza tym, jeśli mają ochotę,

zawsze mogą pofatygować się z synem na komisariat, być może nawet teraz, policyjnym radiowozem. Ten argument trafił zdaje się do przekonania tych dwojga ludzi w średnim wieku: męża znajdującego się najwyraźniej właśnie w fazie próby przeciwdziałania przemijaniu za pomocą zwiększonej aktywności fizycznej i żony pogodzonej z tym przemijaniem odrobinę zbyt szybko.

Weszli do środka. Wystrój wnętrza tego domu nad jeziorem był przykładem typowego dla aspirującej klasy średniej manifestowania swojego statusu za pomocą trochę zbyt chłodnego minimalizmu. Wrażenie braku przytulności dopełniały kamienne płyty na podłodze ciągnące się od przedpokoju, przez sień, aż do salonu. Stąpając po nich, Rozłucki nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wkracza raczej do jakiegoś pokazowego apartamentu, a nie do miejsca, gdzie naprawdę mieszkają ludzie. Poczul naraz nagłą, przemożną tęsknotę za dywanem. Nawet takim brzydkim, tanim, udającym nieudolnie perski, jakie można często znaleźć w znacznie biedniejszych polskich domach.

Przesłuchanie, czy też raczej zwykła, rutynowa rozmowa, jak to określił komisarz Sądecki, miało się odbyć początkowo w jadalni połączonej z kuchnią i salonem. Matka Adriana zaczęła już nawet robić kawę w dużym ciśnieniowym ekspresie i wykladać na stół ciasteczka, lecz Rozłucki stwierdził, że tak duża, otwarta na wszystkie strony przestrzeń nie będzie temu sprzyjać. Przede wszystkim obawiał się, że obecność rodziców, choćby nawet

wyproszono ich z tego wielkiego, wielofunkcyjnego pomieszczenia, będzie powodowała, iż chłopak może nie być do końca szczery. Świadomość tego, że mogą słyszeć, co mówi, będzie go blokowała. zaproponował wobec tego przeniesienie całej imprezy do ogrodu, gdzie przez okno nad kuchennym blatem dostrzegł dużą drewnianą ogrodową huśtawkę, stół i trzy krzesła. Tam co prawda przestrzeń była jeszcze większa, lecz przynajmniej nie było obawy, że ktoś ich może podsłuchiwać. Matka chłopaka zareagowała na tę propozycję lekką paniką. Podstawowym problemem przeszkadzającym w jej realizacji było według niej to, że tu już przecież stały kawa i ciastka. Rozłucki w odpowiedzi chwycił więc w jedną rękę swoją filiżankę z kawą, w drugą wziął srebrną tacę z ciastkami i ruszył w kierunku wyjścia do ogrodu. Za nim poszli inni.

Komisarz Sądecki zamknął bardzo dokładnie duże, przeszkłone drzwi. Rozłucki postawił tacę na stole. Usiedli. Chłopak na huśtawce, Karolina i Rozłucki na metalowych krzesłach ogrodowych. Komisarz Sądecki stał z boku z rękami splecionymi na piersiach.

Rozłucki dał mu gestem znak, że chciałby zacząć. Komisarz kiwnął nieznacznie głową na zgodę.

Rozłucki spojrzał na chłopaka. Siedział na huśtawce ze splecionymi dłońmi wciśniętymi między uda. Był wysoki, chudy i kościsty. Wyglądał, jakby niedawno mocno urósł i jego skóra oraz mięśnie nie nadążyły jeszcze za wzrostem. Twarz pokrywał mu

młodzieńczy trądzik. Jasne mocne włosy sterczały w górę.

— Dawno się tu przeprowadziliście? – spytał Rozłucki.

Chłopak spojrział na niego zdziwiony. Nie takich pytań się spodziewał.

— W zeszłe wakacje – odparł.

— Lubisz to miejsce?

— Nienawidzę – skrzywił się.

— Dlaczego?

— Nikogo tu nie znam. Wszyscy koledzy zostali w Olsztynie. No i nie ma gdzie jeździć.

— Na deskorolce? – Rozłucki specjalnie użył nie do końca poprawnej nazwy.

— Na longboardzie – poprawił go chłopak.

— To nie to samo? Czym się one różnią? – udał zdziwienie Rozłucki.

— Longboard jest dłuższy. Nie da się nim robić trików, nie da się podskakiwać i szaleć na skateparku. Ale jest szybszy. O wiele.

— Nie możesz jeździć nad jeziorem? – spytała Karolina. – Tam jest tak ładnie.

Chłopak prychnął.

— Gdzie, na tym żwirze? Pani chyba żartuje. Do longboardu potrzebna jest twarda nawierzchnia, najlepiej asfalt. A tu nawet we wsi wszędzie ta jebana kostka betonowa. A na szosie ojciec mi nie pozwala.

Tak ordynarne słowo w ustach tak młodego chłopaka, dziecka w

zasadzie, zabrzmiało jak przejechanie nożem po szybie. Rozłucki spojrzał na niego uważnie. Nie wyrwało mu się to. I nie był speszony, że to powiedział. Dlaczego wobec tego to zrobił? Chciał ich sprowokować? Pokazać swój bunt? A może po prostu stroszył swoje świeżo wyrosłe piórka przed starszymi kogutami?

Komisarz Sądecki sapnął. Miał już najwyraźniej dość tego gadania o nieistotnych rzeczach. Rozłucki dał mu ręką znak, by jeszcze trochę wytrzymał.

— Co robiłeś wczoraj wieczorem? – spytał.

— Byłem na rybach – odpowiedział chłopak.

— Cały wieczór?

— Tak.

— Łowisz ryby? – zdziwiła się Karolina.

Chłopak uśmiechnął się sarkastycznie.

— Ojciec kupił mi wędkę, żebym nie siedział cały czas w domu i nie grał w gry. Nie po to, mówi, przenieśliśmy się za miasto, żebyś się zamykał w swoim pokoju i psuł oczy przed komputerem. No to biorę tę wędkę, idę nad jezioro, wyciągam komórkę i gram.

— Cały wieczór? Nie rozładuje ci się? – spytała.

— Mam trzy powerbanki – oznajmił z wyższością chłopak.

— Widziałeś tam kogoś? – spytał Rozłucki.

— Kogo?

— Na przykład tę dziewczynkę, co zaginęła, Alicję?

— Tę krzywą? Nie, nie widziałem.

— Dlaczego „krzywą”? – spytała Karolina.

— Widziała ją pani? – spytał chłopak. Było w jego głosie coś bardzo nieprzyjemnego. – Wygląda jak przerośnięty niemowlak. Jest gruba i ma krzywe zęby.

— Nieładnie tak mówić o koleżance – powiedziała z naciskiem Karolina. – Zwłaszcza takiej, która zaginęła i nie wiadomo, co się z nią teraz dzieje.

— Dlaczego? – Chłopak wzruszył ramionami. – Przecież to prawda. Kijem bym jej nie ruszył, jeśli o to wam chodzi. Zresztą nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał.

Rozłucki usłyszał jak komisarz zgrzytnął zębami.

— To co się z nią stało, jak myślisz? – spytał.

— Może ktoś pomylił ją ze świnią i przerobił na kielbasę? – zaśmiał się. Rzucił przy tym krótkie, szybkie spojrzenie na Karolinę. Rozłucki nagle zrozumiał, o co chodzi. To dla niej był przeznaczony ten teatrzyk. No tak! Piętnaście lat to już ten wiek. Pewnie cały dzisiejszy wieczór będzie walił konia na jej cześć.

— A tak poważnie, jak myślisz? – spytał.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Podobno lubiła sobie przypalić. Może weszła na wyższy level i odleciała?

— A ciebie ktoś tam widział? – spytał komisarz. Najwyraźniej miał już dosyć stania z boku i słuchania.

— Ten pijak, jak mu tam – odparł chłopak. – Robercik. Kupiłem nawet od niego parę ryb, żeby się ojciec nie dziwił, że ciągle łązę nad to jezioro, a nic nie przynoszę. Dał mi w zamian napić się piwa.

— To ten? – Rozłucki spytał komisarza.

Sądecki kiwnął głową.

— Co potem zrobił? – Spytał chłopaka.

— Robercik? A co miał robić? Poszedł do sklepu. Dałem mu tyle, że na flaszkę już by starczyło. Albo na dwa jabole.

— A ty, co potem robiłeś? – spytał komisarz.

— No już zaraz też wróciłem. Chłodno się trochę zrobiło, a już miałem te ryby. No i wszystkie powerbanki mi siadły.

— No to raczej nie masz alibi – zauważył komisarz. Nie lubił tego chłopaka, to było widać.

— Jak to nie mam, mam. – Chłopak nonszalancko wzruszył ramionami.

— A to niby jakie?

— Grałem w World of Tanks – wyjaśnił.

— W co?! – Komisarz zmarszczył brwi.

— World of Tanks. Taka gra. Jeździ się czołgiem i rozwala inne czołgi.

— I jakie to alibi? – prychnął komisarz.

— To gra sieciowa – wyjaśnił chłopak ze spokojem. – Gra się w nią online z innymi zalogowanymi graczami. Ja mam swój własny pluton i to z nimi zazwyczaj gram. Wczoraj też z nimi grałem. Możecie to sprawdzić. Możecie sprawdzić moją aktywność w sieci, możecie sprawdzić, od której do której grałem, ile bitew rozegrałem, a nawet ile czołgów zniszczyłem. Możecie sprawdzić, czy nie miałem wystarczającej przerwy w grze, żeby gdzieś

wyskoczyć i kogoś zabić – nie miałem. Grałem longiem cały wieczór. Możecie też sprawdzić, na którym urządzeniu grałem i gdzie to urządzenie logowało się w sieci. Możecie wreszcie spytać moich kolegów z plutonu, czy na pewno z nimi grałem. Z tym ostatnim może być kłopot, bo jeden z nich mieszka na Węgrzech, a dwóch na Białorusi. Zapewne któryś z was zaraz mi powie, że ktoś mógł grać za mnie. Nie ma takiej opcji. Znamy się w plutonie jak łyse konie, mamy swoje strategie, rozumiemy się bez słów. Na pewno poznaliby, gdyby ktoś grał zamiast mnie. Możecie to wszystko sprawdzić. Jeśli oczywiście potraficie. – Spojrzał sceptycznie na komisarza.

ROZDZIAŁ 17

To był w zasadzie koniec przesłuchania. Spytali jeszcze chłopaka o wieczór, w którym zginęła Ewa Krupińska, ale nie powiedział im nic więcej ponad to, co zeznał poprzednim razem. Rozłucki miał co prawda wrażenie, że nie mówi im do końca wszystkiego, ale nie potrafił go zmusić ani zachęcić, by powiedział coś więcej. Spektakularne zwycięstwo, jakie odniósł nad nimi, przedstawiając swoje sieciowe alibi, upokarzając ich do tego obnażeniem ich kompletnej ignorancji w tej materii, spowodowało, że poczuł się zbyt pewnie. Źle to rozegrali. Powinni, czy też raczej Rozłucki powinien, zacząć od tamtego pierwszego wieczoru. Spróbować go zawstydzić, wykorzystując do tego celu Karolinę, sprawić, by chciał się przed nią zrehabilitować, nastroszyć swoje świeżo wyrosłe piórka, odsłaniając przy okazji więcej niż by chciał. Gdy włączają się hormony, zwłaszcza w tak młodym wieku, instynkt samozachowawczy przestaje działać. No ale już trudno, za późno. Chłopak wygrał. Może następnym razem.

— Myślicie, że to prawda, co on powiedział? – spytała Karolina, gdy już siedzieli w radiowozie. – To z tymi gramami w Internecie?

— Weronika to sprawdzi – odparł komisarz. – Ale brzmi to niestety wiarygodnie. Moje dzieciaki grają w takie bzdury. Z tego,

co wiem, wygląda to dość podobnie.

Zaczynało zmierzchać. Wieczór pod koniec sierpnia przychodził już znacznie szybciej. To był długi dzień. I kończył się póki co niczym.

— Czyli to nie on? – spytała. – Bo skoro ma alibi na wczorajszy wieczór, to skreśla go to z listy podejrzanych. Nawet jeśli nie potrafi dokładnie wytłumaczyć, co robił tamtego pierwszego wieczoru.

— Tylko jeśli przyjmiemy, że za oboma tymi wydarzeniami stoi ta sama osoba – zauważył komisarz.

— A jest jakieś inne wytłumaczenie? – spytała Karolina.

— Możliwych wytłumaczeń jest nieskończoność – stwierdził Rozłucki. – Niestety. Poczynając od miejscowej sekty pedofilskiej, a skończywszy na całkiem przypadkowej zbieżności dwóch absolutnie niezależnych od siebie wydarzeń. To ostatnie jest może mało prawdopodobne, ale zupełnie wykluczyć się tego nie da.

— Sekta pedofilska... – westchnął komisarz Sądecki. – Mógłbyś przestać gadać takie rzeczy? Mam wrażenie, że one się potem spełniają.

Komisarz odpalił silnik, wrzucił pierwszy bieg, lecz nie ruszył. Ciągle trzymał nogę na sprzęgle.

— A co sądzisz o tym pierwszym morderstwie? – spytał Rozłuckiego. – Chłopak może mieć z tym coś wspólnego, czy nie?

Rozłucki wzruszył ramionami.

— Niewątpliwie nie jest z nami do końca szczery, jeśli chodzi o

tamten wieczór. Wygląda na to, że jest coś, czego nam nie chce powiedzieć. Ale to może być cokolwiek, nic szczególnie ważnego. Chłopak ma piętnaście lat i trądzik. Mógł ją chcieć pocałować, a ona mu powiedziała, że ją brzydzą jego pryszcze. I jest to dla niego tak wstydliwie i tak upokarzające, że nawet hipnozą tego z niego nie wyciągniemy.

— Ale mógł ją na przykład uderzyć za to i zabić – powiedziała Karolina.

— Autopsja nie wykazała żadnych tego typu obrażeń – zaproponował Sądecki. – Nie ma w każdym razie śladu po żadnym silnym ciosie. Jest co prawda ślad na policzku i drobne stłuczenie z tyłu głowy, ale nasz patolog twierdzi, że w żaden sposób nie mogły one zagrażać życiu. Prawdopodobnie powstały, gdy morderca chcąc ją uciszyć, odkręcał jej głowę do tyłu, co doprowadziło do złamania karku.

— Czyli co? – próbował podsumować Rozłucki. – Wygląda na to, że hipoteza jednego sprawcy jest póki co ciągle najbardziej prawdopodobna.

— I nie jest to ten chłopak – dodał komisarz.

— Skoro nie on, to kto? – spytała Karolina.

Silnik ciągle chodził, a bieg był wrzucony.

— Pijaczek – powiedział Rozłucki. – Miał majtki pierwszej dziewczyny i kręcił się wczoraj w pobliżu. Ten chłopak to zeznał. Czy to wystarczające przesłanki, by uznać go za podejrzanego?

— Nie – odparł Sądecki. – Ale ta druga dziewczyna gdzieś tam

ciągłe jest. I może ciągle jeszcze żyje. Więc tak.

Zdjął nogę ze sprzęgła. Samochód ruszył.

— Wiem, gdzie on mieszka – powiedział. – To też za wsią, tylko w drugą stronę. Pod tym cholernym lasem.

Gdy dojechali na miejsce, było już prawie ciemno. Niebo zasnuwały chmury, co przyspieszyło jeszcze nadejście zmroku. Dom Roberta Nadolskiego, bo tak naprawdę nazywał się osobnik określony przez chłopaka mianem „Robercik”, stał pod samym lasem ocieniony jeszcze przez wielkie, dawno nie przycinane drzewa i porozrastane ponad wszelką miarę krzewy. Sam jednak budynek wyglądał nieco inaczej niż wyobrażał to sobie Rozłucki. Nie był walącą się rudera, jakiej można by się było spodziewać po człowieku, którego głównym zajęciem było wystawanie pod sklepem i picie alkoholu, a całkiem porządnym, murowanym domem, zaniedbanym co prawda i zapuszczonym, ale zdradzającym objawy dawnego dostatku. Wysoka piwnica z dużymi oknami, płaski dach i ułożona z potłuczonych talerzy mozaika na tynku świadczyły, że zbudowany on został w latach siedemdziesiątych, bo takie właśnie domy stawiano wówczas na terenach wiejskich, gdy wzbogaceni rolnicy porzucali swoje stare, niskie chałupy i przenosili się do wysokich, murowanych, „miastowych” domów.

Komisarz Sądecki przez całą prawie drogę rozmawiał przez telefon z Weroniką.

— Dobrze – powiedział. Nie zatrzymał się pod samym domem, a

kilkadziesiąt metrów przed nim, schowany za krzak rosnącego tuż przy drodze głogu. – Poprosiłem, żeby ktoś tu przyjechał i mi pomógł, ale mogą być najwcześniej za dwadzieścia minut. Wszystkie radiowozy już się porozjeżdżały, bo jakiś kretyn w komendzie ogłosił koniec akcji poszukiwawczej na dziś. Trochę słabo wyszło, bo podobno to ja nią kierowałem. No ale najwyraźniej ktoś nią kierował bardziej – sapnął ze złością. – Za to dowiedziałem się od Weroniki parę ciekawych rzeczy o naszym pijaczku. Rozpracowywała go jeszcze wtedy, gdy wyszła sprawa tych majątków. I nie skończyła, gdy ksiądz się przyznał, tak jak my wszyscy. Ta dziewczyna naprawdę nie odpuszcza – dodał z podziwem w głosie.

— No i? – spytała Karolina.

— No i to bardzo ciekawa postać – odparł komisarz. – Nietuzinkowa, można powiedzieć. Nie jest to taki zwykły pijaczek, jakich paru się znajdzie w każdej wsi.

— A co w nim takiego niezwykłego? – spytał Rozłucki.

— Na przykład to, że wszystko świadczy o tym, iż meneli się zupełnie świadomie. Jeśli tak można oczywiście powiedzieć. Odziedziczył po rodzicach spore i całkiem dobrze prosperujące gospodarstwo. Wcześniej skończył Akademię Rolniczą w Olsztynie, więc był do jego prowadzenia całkiem dobrze przygotowany. Robił to nawet jakiś czas po śmierci ojca, lecz kiedy tylko umarła i matka, natychmiast wydzierżawił całą ziemię, sprzedał maszyny i zwierzęta i zajął się głównie piciem.

— Może załamał się po śmierci rodziców? – spytał Rozłucki.

— No właśnie chyba nie. Sąsiedzi twierdzą, że jeszcze przed śmiercią matki odgrażał się, że tak właśnie zrobi. Taki miał można powiedzieć plan na życie. I jak tylko umarła, zaczął go realizować. Twierdzą też, że to całkiem niegłupi facet. I że gdyby tylko chciał, mógłby być kimś. Ale nie chce. Woli nic nie robić i chlać.

— Też miewałem w życiu takie pomysły – stwierdził Rozłucki.

— Ale ich nie zrealizowałeś.

— W zasadzie to nie wiem dlaczego.

— Podobno też, gdy latem stały w lesie przy drodze prostytutki, regularnie jeździł do nich na rowerze – dodał komisarz. – To chyba nadwyrężyło jego budżet, bo sprzedał niedawno dwa hektary ziemi po rodzicach.

— Coraz bardziej mi się podoba ten gość – powiedział Rozłucki.

— Ale najciekawszego Weronika dowiedziała się dzisiaj. – Komisarz zawiesił głos. – Rozmawiała z jakąś babą pod sklepem. Taką, co to zanim odpowie na zadane pytanie, najpierw opowie o wszystkim dookoła. No i ta baba twierdzi, że u początków chlania naszego Robercika leży nieszczęśliwa miłość.

— Hm – mruknął Rozłucki. Jeszcze chwila, a go polubi.

— Podobno w młodości zakochał się strasznie w miejscowej pannie. Ale ta go nie chciała. Wybrała innego. Nie zgadniecie, kto to był. Matka Ewy Krupińskiej.

Zapadło milczenie. Trzy pary oczu wpatrywały się w dom pod lasem. Na jego piętrze w jednym z okien właśnie rozbłysło światło. Światło paliło się także w jednym z pomieszczeń w piwnicy.

— I co ty o tym sądzisz? – Komisarz Sądecki zwrócił się do Rozłuckiego. Ten pogładził się w zamyśleniu ręką po policzku.

— To może być on – powiedział. – Nie musi, ale może. Puzzli jest za mało, ale te, co są, pasują do siebie. Załamanie spowodowane nieszczęśliwą miłością świadczy o niestabilnej konstrukcji psychicznej. Normalni ludzie wychodzą prędzej czy później z takich rzeczy. Długotrwałe picie zaburza odczuwanie uczuć wyższych, wręcz powoduje zmiany w mózgu. Jeśli dodać do tego, że pierwsza ofiara była córką kobiety, od której to wszystko się zaczęło, to jestem w stanie to sobie wyobrazić.

— Dobra. – Komisarz walnął dłonią w podłokietnik. – Dość tego. Idę. Nie będę czekał na tych kretynów w radiowozach. Jeszcze tu przyjadą na sygnale i wszystko zepsują. Ona może tam być – wyciągnął z kabury pistolet.

— Idziemy z tobą – rzuciła szybko Karolina.

— Nie ma mowy – odparł komisarz. – Jesteście cywilami, zostajecie tutaj.

— Idziemy z tobą – powtórzyła. – Jeśli ci się to nie podoba, możesz na nas nakrzyczeć i wszystko zepsuć.

Ruszyli. Komisarz przodem z wyciągniętym przed siebie pistoletem, potem Rozłucki i Karolina. Podchodzili powoli, osłaniany przez rosnące w przydrożnym rowie krzaki i samosiejki drzew. Dom zbliżał się do nich, łypiąc swoimi dwoma rozjaśnionymi oczami. Jednym na górze, wpatrzonym wprost przed siebie, drugim

piwnicznym wbitym krzywo w ziemię. W jednym i drugim nie było zasłon. W oknie na piętrze wisiały tylko stare i szerniałe firanki poobrywane w niektórych miejscach z żabek. Nie stanowiły one specjalnej przeszkody w zajrzeniu do środka, lecz okno to było na tyle wysoko względem ziemi, że z perspektywy idących po niej ludzi widać było tylko rozjarzony gołymi żarówkami żyrandol.

Podeszli do drewnianego płotu. Także i on nie był żadną zaporą w dostaniu się do środka. Bramy nie było. Musiała już dawno temu przewrócić się, rozpaść i zostać porąbana na opał. Weszli na teren podwórza. Nie było też psa, który by ostrzegł o ich nadejściu szczekaniem, ani latarni, która by wydobyła ich sylwetki z mroku. Podeszli do elewacji. Idąc wzdłuż niej, zbliżyli się do rozświetlonego piwnicznego okna. Komisarz Sądecki wychylił się i ostrożnie zajrzał do środka. Po chwili cofnął się, odwrócił do nich twarz i pokręcił przecząco głową. Rozłucki również wychylił się i spojrzał w głąb. Za przybrudzonymi szybami widać było zwykle piwniczne pomieszczenie z nieotynkowanymi ścianami i składowiskiem najróżniejszych rzeczy stojących pod ścianami i leżących na podłodze. Nie było tam jednak żywej duszy, ani właściciela, ani nikogo innego. Nie było też żadnych śladów, że ktokolwiek kiedykolwiek mógł tam być przetrzymywany. Schował się i dał znak Karolinie. Także i ona zajrzała do środka, a potem cofnęła się z takim samym wyrazem rozczarowania na twarzy.

W Rozłuckim już od jakiegoś czasu kołatała się jakaś niewyraźna myśl. Jeszcze jak szli wzdłuż rowu, nie mógł oprzeć się

wrażeniu, że coś tu jest nie tak, jak powinno być. Teraz zrozumiał. Już raz kiedyś zaglądali tak przez okno do środka. Trzy miesiące temu, gdy podchodzili pod dom, w którym teraz mieszkał. Czy jest możliwe, by historia aż tak bardzo się powtórzyła? I to w tej samej miejscowości, w przeciągu tak krótkiego czasu? Teoretycznie oczywiście było to do pomyślenia, ale w praktyce wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. A może właśnie nie, może przypadkiem powiedział prawdę kilkanaście minut temu? Niechcący odkrył prawdziwe wytłumaczenie tej dziwnej zbieżności tak podobnych zdarzeń? Sekta pedofilska, jakiś rodzaj spisku, porozumienia miejscowych wielbicieli wynaturzonych rozrywek... Brzmiało niewiarygodnie, ale takie historie przecież już się przytrafiały. Belgia, miasto Juarez w Meksyku, autostrada zaginionych dziewcząt w Kanadzie... Epidemie zbrodni, ludzie zarażający się nawzajem występkiem, a w zasadzie jedną jego konkretną postacią, która, jeśli nie zostawała zawczasu wypalona rozgrzanym żelazem zastosowanego z bezwzględnością prawa, miała tendencję do rozprzestrzeniania się jak choroba właśnie, infekując kolejnych, dotychczas wydawałoby się praworządnych obywateli ośmielonych brakiem nieuchronności kary i cichym społecznym przyzwoleniem albo po prostu odwracaniem oczu...

Może coś takiego właśnie rozgrywało się w okolicznych domach? Może katalizatorem były te wydarzenia, które działy się tu trzy miesiące temu, a w których oni brali bezpośredni udział? Uchyliły furtkę, przez którą wlało się zło? Może to one uruchomiły lawinę

wydarzeń, która z przerażającym pomrukiem przetaczała się teraz przed ich oczami?

ROZDZIAŁ 18

Komisarz wskazał lufą pistoletu okno na górze. Rozłucki kiwnął głową. Musieli zajrzeć teraz tam. Wzdłuż całego piętra ciągnął się długi balkon otoczony barierką z zespawanych metalowych rurek. Problemem pozostawało tylko, jak się tam dostać? Wejście zapewne prowadziło przez drzwi balkonowe od strony domu, a to z ich punktu widzenia odpadało. Aby tam wejść, musieliby więc znaleźć jakąś drabinę. Sądecki cofnął się, minął ich i zaczął obchodzić dom z drugiej strony. Ruszyli za nim. Mieli szczęście. Balkon z lewej strony domu, jak się okazało, przechodził w coś w rodzaju tarasu, który z racji wznoszącego się w tym kierunku terenu, położony był znacznie niżej niż ta jego część, która znajdowała się od frontu. Co więcej, nie było tam żadnych barierek.

Komisarz Sądecki wszedł na niego pierwszy. Za nim wgramolił się Rozłucki. Niezbyt zgrabnie, zarzucając w górę prawą nogę i kładąc się potem niemalże brzuchem na starą, brudną i popękaną papę. Z perspektywy idącej za nim Karoliny musiało to wyglądać doprawdy pokracznie. Odwrócił się i wyciągnął w jej kierunku rękę, by jej pomóc. Nie skorzystała z tego. Opierając obie dłonie o krawędź, wybiła się ku górze, po czym lekko i zgrabnie wskoczyła na taras. Najwyraźniej tylko on był w tym towarzystwie taką

łamagą.

Na tarasie prócz kilku starych cegieł i kałuży wody na środku po ostatnim deszczu nie było nic. Wychodziły na niego dwa okna, lecz w odróżnieniu od tych z przodu nie paliło się za nimi żadne światło i nic nie dało się przez nie zobaczyć. Po cichu, by nie wywołać najmniejszego hałasu mogącego zdradzić ich obecność, ruszyli wzdłuż ściany. Doszli do rogu budynku. Jak na złość chmury rozstały się nieco i wyszedł zza nich blady księżyc. Jego trupi blask rozświetlił czarną niemal dotychczas przestrzeń przywracając drzewom, krzakom i przedmiotom ich utracone po zachodzie słońca cienie.

Komisarz zajrzał za róg domu, potem ostrożnie zza niego wyszedł. Trzymał w wyciągniętych, choć lekko opuszczonych rękach pistolet, jakby mieszkający tu człowiek był uzbrojonym po zęby bandytą, który w każdej chwili mógł zacząć do nich strzelać. Byli teraz po frontowej stronie domu, od okna, w którym świeciło się światło, dzieliło ich raptem kilka metrów. Wcześniej było jednak jeszcze jedno okno, zupełnie ciemne. Jeśli ktoś byłby w znajdującym się za nim pokoju, mógłby ich bez trudu zobaczyć na rozświetlonym srebrnym blaskiem księżycy balkonie.

Komisarz Sądecki najwyraźniej również to zrozumiał, bo opadł na kolana. Poszli w jego ślady. Rozłucki poczuł przez materiał spodni, jak jego kolano rozgniata jakąś mokrą maź. Mógł mieć tylko nadzieję, że był to nasączony wodą mech albo kupka zbutwiałych liści. Na czworakach zaczęli posuwać się w stronę

drugiego okna. W oddalonej stąd o kilkaset metrów wsi zaszczeakał pies. Wkrótce dołączyły do niego kolejne. Rozlucky poczuł suchość w gardle. Bał się, a przynajmniej czuł bardzo silny, przygniatający niepokój. Dekoracje tego dramatu, musiał to przyznać, były świetnie zaprojektowane. Noc, księżyc, szczekające w oddali psy, stary, zapuszczony dom na odludziu, w którego oknie pali się światło. I oni próbujący zajrzeć do jego wnętrza, by odkryć potworną, na co wszystko wskazuje, tajemnicę.

Zrobiło mu się niedobrze. Jeszcze chwila i dołoży coś do tej lepkiej wilgoci, którą czuł po swoich kolanami i dłońmi. „Spokojnie”, pomyślał. Najprawdopodobniej nic tam nie znajdą. Zawsze, gdy czegoś się boimy i wyczekujemy tego ze strachem i obawą, to coś nie nadchodzi. Jak barbarzyńcy w wierszu Kawafisa. Tak już po prostu jest. Naprawdę przerażające rzeczy przydarzają się zawsze niespodziewanie.

Dotarli wreszcie pod rozświetlone okno. Komisarz odwrócił się do nich. Ich spojrzenia spotkały się. Kiwnął głową. Trzy głowy i jedna lufa pistoletu niemal równocześnie zaczęły się podnosić. Minęły blaszany, podobiany parapet, minęły pomalowaną na biało, łuszczącą się framugę i zajrzały do środka. Na lastrykowym parapecie po wewnętrznej stronie okna stały doniczki z dawno pousychanymi kwiatami. Bardzo brudna, lecz całe szczęście niezbyt gęsta firanka pozwalała dość dobrze przyjrzeć się wnętrzu pokoju. Na ścianie po prawej stronie stał regał. Ciemny, lakierowany na wysoki połysk, typowy dla lat osiemdziesiątych. Leżało na nim

wszystko, co tylko można sobie wyobrazić: książki, kubki, gazety, elementy garderoby, narzędzia i butelki po różnych napojach. Zwłaszcza butelki. Pod oknem, tuż za parapetem stał telewizor. Widać było tylko górną część jego obudowy i ustawioną na nim, rozkładaną na dwie strony antenę. Naprzeciwko, pod przeciwległą względem okna ścianą, stały dwa fotele rozdzielone niewielkim, niskim stolikiem równie zawałonym najprzeróżniejszymi rzeczami, jak regał. Jeden z foteli miał podartą tapicerkę i służył już głównie jako rodzaj zastępczej szafy z ubraniami. W drugim siedział, a w zasadzie pólleżał właściciel tego apartamentu. Jego odrzucona do tyłu głowa oparta była o zagłówek. Otwarte usta wydawały zapewne odgłos chrapania zagłuszany przez dźwięk włączonego telewizora. Spał. W jego prawej ręce tkwiła wypita już prawie całkiem butelka taniego wina. To, że nie wysunęła się z niej lub nie przechyliła, wylewając resztę swojej zawartości na niemiłosiernie brudny dywan lub spodnie trzymającego ją mężczyzny, można uznać za mały cud lub dowód na przysłowiowe pijackie szczęście. Rozłucki pewnie nawet uśmiechnąłby się na ten widok, bo było w nim coś nieodparcie komicznego, gdyby nie to, co dostrzegł chwilę potem i co zadawało kłam sformułowanej niedawno przez niego zasadzie o nienadchodzeniu spodziewanego nieszczęścia. Na łóżku stojącym w rogu po lewej stronie pokoju leżało ciało. Nagie, kobiece ciało z rękami rozłożonymi na boki i przywiązanymi do oparcia łóżka, z podobnie rozłożonymi, choć już nieprzywiązanymi nogami i twarzą zasłoniętą narzuconym na nią fragmentem garderoby.

Poczuł jak zimna ręka ściska go za gardło wtlaczając przy okazji ciepłą krew w podbrzusze.

— Kurwa! – usłyszał obok stłumiony głos komisarza.

— Wchodzimy! – krzyknął komisarz. Stał już na równych nogach, szarpiąc i próbując otworzyć okno od zewnątrz. Przez moment wziął zamach, jakby chciał rozbić okno rękojęścią pistoletu, lecz najwyraźniej perspektywa przebijania się przez podwójną szybę powstrzymała go przed tym.

— Przez drzwi! – rzucił tylko, mijając ich biegiem. Pobiegli za nim.

Przebiegli taras, zeskoczyli z niego i obiegli dom od tyłu. Drzwi wejściowe były z drugiej strony na szczycie niewielkich betonowych schodków. Komisarz wbiegł po nich i naparł z całej siły na klamkę. Aż tak wielka siła nie była, jak się okazało, potrzebna, bo drzwi nie były zamknięte. Wpadli do małej sieni i przebiegli przez nią w ciemności, nie zwracając sobie głowy szukaniem włącznika światła. Na jej końcu były drugie drzwi, te dla odmiany zamknięte. Komisarz naparł na nie ramieniem, a potem uderzył z całej siły barkiem. Zamek nie puścił, lecz drzwi trzasnęły głucho, wskazując na to, że nie są zbyt solidną przeszkodą.

— Razem! – krzyknął do Rozłuckiego komisarz. – Raz, dwa, trzy!

Rzucili się we dwóch całym swoim ciężarem do przodu. Drzwi trzasnęły jeszcze głośniejsze i wypadły z framugi. Polecieli siłą impetu

w przód, wpadając do środka i o mało nie przewracając się o stojące po drugiej stronie wszędzie buty.

— Tam! – powiedział komisarz, wskazując pomieszczenie, z którego dochodził odgłos włączonego telewizora. Rzucili się w tamtym kierunku. W pokoju, do którego wbiegli, unosił się zaduch moczu, brudnych ubrań i przetrawionego alkoholu. W telewizorze leciał właśnie jakiś film. Rozłuckiemu mignęła na ekranie twarz Morgana Freemana. Stanęli, ciężko dysząc. Chwilę potem podeszła Karolina. Z tego miejsca dokładnie widać było leżące na łóżku ciało. Widać było też miejsce między jego nogami. Rozłucki odwrócił wzrok. Skurwysyn, który siedział w fotelu, nawet się nie obudził. Słysząc było jego głębokie, zwierzęce niemalże chrapanie.

Komisarz Sądecki podszedł do łóżka. Dotknął przywiązanej do ramy ręki.

— Zimna – powiedział.

ROZDZIAŁ 19

Sądecki opadł ciężko na stojące przy łóżku krzesło. Oparł łokcie o kolana i zwiesił głowę. Oddychał głęboko.

— Nie żyje – powiedział.

„A więc nie zdążyliśmy”, pomyślał Rozłucki. „Nie tym razem. Historia powtarza się, ale nie zawsze dokładnie tak samo”. Spojrzał na leżące na łóżku martwe ciało. Nie czuł nic specjalnego. Ani złości, ani żalu, ani grozy. Na razie odcięty był od swoich uczuć. Wiedział jednak, że prędzej czy później to się zmieni. Nieuniknione porównania z siostrą, której też nie zdążył pomóc na czas, w końcu się pojawiają.

Zapadło ciężkie, przyginające ku ziemi milczenie. Słysząc tylko chrapanie mordercy i niski, pełen głębokiej wewnętrznej mądrości głos Morgana Freemana zdający się mówić o nieuchronności śmierci i żalonym końcu wszelkich ludzkich dążeń. Rozłucki podszedł do telewizora i, nie mogąc znaleźć w tym przedpotopowym modelu wyłącznika, ze złością wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

— Nie ruszaj – usłyszał głos komisarza. – To miejsce zbrodni. Nie powinniśmy tu niczego dotykać.

Karolina weszła głębiej do pokoju. Stała przy łóżku.

— Nie wygląda na trzynastolatkę – powiedziała.

Głowa komisarza podniosła się powoli.

— A już na pewno nie grubą i krzywą, jak to raczył być określić ten gówniarz. Jest świetnie zbudowana.

Rozłucki podszedł bliżej. Ciału leżącemu na łóżku rzeczywiście niczego nie brakowało. Pełne, okrągłe i jędrne piersi, brzuch, pod skórą którego subtelnie, lecz wyraźnie zaznaczały się mięśnie, smukłe nogi i piękne blond włosy – ktoś, kto miał takie ciało, musiał za życia wyglądać imponująco.

— Myślisz, że to nie ona? – spytał Sądecki.

— Raczej na pewno nie – odparła Karolina. – Widziałam w życiu parę trzynastolatek, ale żadna nie wyglądała w ten sposób. Mogę? – spytała, wskazując na brudną, męską podkoszulkę zakrywającą twarz ofiary.

— Nie powinniśmy... – zaczął komisarz, ale Karolina nie czekała, aż skończy. Chwyła w dwa palce materiał i odsunęła go na bok.

Twarcz, która im się ukazała, była równie piękna. Zamknięte powieki z długimi rzęsami, pełne, czerwone, lekko rozchylone usta i białe jak perły zęby. Jej uroda była tak idealna, że prawie nierzeczywista. Wyglądała, jakby spała, albo czekała, aż ktoś ją przeleci.

Rozłucki podszedł jeszcze bliżej. Wyciągnął palec i dotknął nim piersi kobiety. Skóra była niewątpliwie zimna, lecz była też sprężysta. Gdy cofnął palec, zobaczył, jak dołek powstały w wyniku

jego nacisku, powoli znika.

— Co robisz?! – niemal krzyknął Sądecki. – Jesteś zboczony, czy co?

Rozłucki odwrócił w jego stronę twarz.

— Nie jestem lekarzem, tylko psychologiem, ale coś niecoś wiem. Czy skoro ona jest zimna, to nie powinna być też sztywna? To znaczy, czy nie powinno występować stężenie pośmiertne?

— Stężenie pośmiertne po jakimś czasie ustępuje – odparł komisarz.

— Tak, ale pojawiają się wtedy plamy opadowe, następuje zwiotczenie mięśni, wyostwiają się rysy twarzy, puszczają zwieracze... A ona wygląda, jakby umarła przed chwilą. Albo jakby w ogóle nie umarła.

Rozłucki nachylił się na łóżkiem. Delikatnie, za pomocą jednego palca uniósł powiekę kobiety i spojrzał jej w oko. Potem rozchylił usta i uniósł wargę. Na koniec zajrzał między nogi. Tego akurat nie musiał już robić, ale po prostu był ciekaw.

— To nie jest człowiek – powiedział. – To lalka.

— Co? – komisarz zamrugnął powiekami.

— Bardzo realistyczna lalka do seksu. Produkują takie w USA. Mają idealnie odwzorowane szczegóły anatomiczne, miękką, silikonową powłokę doskonale imitującą skórę i wyjmowane moduły ust i waginy umożliwiające ich mycie. Są bardzo drogie, jedna kosztuje tyle, ile niewielki samochód. To pewnie na to poszły pieniądze z tych dwóch sprzedanych hektarów.

Wyszli na zewnątrz. Nawet tu słychać było chrapanie Robercika. Nie obudził go ani niepowstrzymany śmiech Karoliny, ani głośne przekleństwa komisarza Sądeckiego, ani nawet to, jak zaczął on kopać z całej siły w fotel, w którym spał. Komisarz, gdy już się wreszcie uspokoił i przestał krzyczeć „kurwa! kurwa!”, sprawdził jeszcze dla pewności pozostałe pomieszczenia domu. Nie odnalazł w nim oczywiście żadnej związanej nastolatki. Historia tym razem nie powtórzyła się.

Stali teraz przed domem w bladym blasku wychodzącego wciąż zza chmur i chowającego się za nimi z powrotem księżyca i palili papierosy. Sądecki zadzwonił wcześniej do Weroniki i odwołał jadące im z pomocą radiowozy.

— Dobrze, że nie zdążyli przyjechać – mruknął. – Śmiechom i żartom ze mnie nie byłoby końca.

Karolina znów zaczęła się śmiać. Zgięła się w pół i nie mogła przestać.

— No i co cię tak bawi? – spytał urażony komisarz.

— Przypomniałam sobie twoją minę – odpowiedziała, gdy w końcu udało jej się przestać.

— Szkoda, że nie widziałaś własnej – odburknął Sądecki.

— Sorry, Rafał. – Klepnęła go dłonią w przedramię. – Chyba w ten sposób odreagowuję. Ja też myślałam, że to trup. A nie gumowe ruchadło – ponownie zaczęła chichotać. Tym razem komisarz też się uśmiechnął.

— Co z nim teraz zrobisz? – spytał Rozłucki, wskazując na wciąż

świecące się okno.

— Nic. — Wzruszył ramionami komisarz. — Ładowanie w coś takiego nie jest póki co karalne. Choć według mnie powinno być. Co to w ogóle za zboczony pomysł? — znów się zapalił. — Nie może sobie znaleźć normalnej baby? Nawet taki pijak jak on w końcu by sobie jakąś znalazł. Mało to samotnych kobiet na świecie?

Tym razem to Rozłucki wzruszył ramionami.

— Z pewnego punktu widzenia to nawet dość racjonalna decyzja – odparł. — Na kogo mógłby liczyć ktoś taki jak on? Na jakąś starą, grubą babę bez zębów, pijaczkę, taką jak on sam. Która do tego ciągle by czegoś od niego chciała i miała o wszystko pretensje. A tu? Ma laskę pierwsza klasa, jakiej nigdy w życiu nie zdołałby poderwać, nawet gdy jeszcze był młody i nie chlał. Co z tego, że sztuczną?

— Ale to nienormalne! — niemal krzyknął komisarz.

— A spędzanie życia w małżeństwie, w którym oboje małżonkowie nie tylko już się nie kochają, ale wręcz nie lubią, jest normalne? Albo tłumienie swoich potrzeb, bycie samotnym i zgnębionym, tylko po to, żeby inni o nas źle nie pomyśleli, jest? Część z tych, którzy kupują takie lalki, jest z nimi potem bardzo szczęśliwa. Siadają z nimi przy stole, jedzą wspólnie posiłki, wystawiają je na balkon, żeby się poopalały, jeżdżą z nimi na samochodowe wycieczki...

— Mówisz tak, jakbyś sam miał ochotę kupić sobie taką lalę – zauważyła Karolina.

— Może nawet i miałbym. To, podobnie jak powolne zachlewanie się na śmierć, jest pomysł, w którym w zasadzie nie znajduję słabych punktów. Niestety nie mam dwóch hektarów, które mógłbym sprzedać, by go zrealizować.

— A dajcie wy mi wszyscy święty spokój! – Komisarz uniósł obie ręce otwartymi dłońmi do góry.

— Ty, w odróżnieniu od tego gościa na górze, mógłbyś sobie jeszcze znaleźć jakąś fajną babkę – powiedziała Karolina. – Nawet taką, która miałaby wszystkie zęby. Dlaczego nie próbujesz?

Spojrzał na nią z ukosa.

— Znasz jakąś? – spytał.

— Może nawet bym i znała.

W tym momencie zadzwonił telefon. Muzyka z *Ojca chrzestnego* niedwuznacznie wskazywała, że jest to telefon komisarza.

Sądecki odebrał.

— Cześć, Weronika! Co tam znowu?

Słuchał przez chwilę w milczeniu. Potem opuścił rękę z aparatem.

— Kurwa mać! – powiedział. – Chyba się dzisiaj uchleję.

— Co się stało? – spytała Karolina.

— Znaleźli tę dziewczynę. Nic jej nie jest. Przed chwilą zadzwoniła do matki. Zaćpała na jakiejś imprezie i bała się wrócić do domu.

ROZDZIAŁ 20

„Może nawet bym i znała”... Myślał o tym zdaniu, odkąd je usłyszał. Myślał o nim wtedy, gdy wsiadali wszyscy troje do samochodu Sądeckiego, myślał, gdy komisarz z Karoliną wysadzili go pod jego domem i odjechali razem w kierunku Olsztyna, i przez pół następującej po tym nocy. Myślał o nim także teraz, gdy w pokoju przesłuchań czekał, aż przyprowadzą do niego księdza na kolejną rozmowę. Co miała na myśli? Czy siebie? Chciał, próbował wrócić do tego wątku już w samochodzie, ale dyskusja, kłótnia prawie, jaka rozgorzała w nim po informacji o odnalezieniu zaginionej trzynastolatki, skutecznie mu to uniemożliwiła. Znowu byli w punkcie wyjścia, a to nie poprawiało atmosfery. Oba tropy: irytującego chłopaka na deskorolce i pijaczka erotomana wywiodły ich w pole. Pozostawał tylko ksiądz. Może więc to naprawdę on?

Drzwi szczęknęły i wprowadzono przez nie aresztanta. Policjant w mundurze poczekał, aż usiądzie on na miejscu naprzeciwko Rozłuckiego, po czym wyszedł. Przez chwilę obaj milczeli. Ksiądz wpatrywał się w stół, a Rozłucki w księdza. Widać było, że schudł. Przez te parę dni pobytu w areszcie wyraźnie wyostrzyły mu się rysy twarzy. Przestawał powoli być nalany, tłustym plebanem. Wyprzystojniał. Teraz można już było zrozumieć, że zakochała się

w nim tamta dziewczyna.

Powód tak szybkiej utraty wagi mógł być tylko jeden: główną przyczyną wcześniejszej nadwagi był alkohol. Alkohol wiąże wodę w organizmie. Człowiek, który pije, puchnie. Odstawienie powoduje szybki spadek wagi o trzy – cztery kilogramy.

„A więc jesteśmy kolegami”, pomyślał Rozłucki.

— Jak się księdzu spało? – spytał, by jakoś zacząć rozmowę.

Ksiądz podniósł na niego wreszcie wzrok.

— Prosiłem, by mnie tak nie nazywać – odparł. – Nie czuję się już księdzem.

— To jak mam się do pana zwracać? Panie Andrzeju? Panie Stolarek? Czy może wolałby pan, żebyśmy przeszli na ty?

— Wolałbym, żebyśmy pozostali przy oficjalnych formach.

— To jak mam do pana mówić?

Zastanowił się.

— Dobre pytanie – odpowiedział. – Nie wiem. Nie czuję już więzi ze swoim imieniem i nazwiskiem. Za długo byłem księdzem. Z drugiej strony księdzem już chyba też nie jestem. W ostateczności może się pan do mnie zwracać „panie Andrzeju”, ale najlepiej, gdyby pan obył się bez wymieniania imienia.

— Spróbuję. Więc jak się panu spało?

— Dobrze. Bardzo dobrze. Paradoksalnie odkąd jestem w areszcie, sypiam wyśmienicie. Jakbym zostawił za jego murami wszystkie gryzące moje sumienie demony. Ale pan, widzę, w odróżnieniu ode mnie raczej się nie wyspał.

Rozłucki uśmiechnął się.

— Moje demony z kolei są ze mną przez cały czas. Może też powinienem spędzić parę dni w areszcie?

— Nie chodzi o areszt – odparł ksiądz. – Chodzi o podjęcie decyzji. Jasne i stanowcze. Wykluczające wszelkie wątpliwości i przekreślające wszystkie wcześniejsze rozterki. Jest w pana życiu coś takiego?

Pomyślał o Karolinie. O tej ich dziwacznej, niedopowiedzianej i niedookreślonej nigdy do końca relacji. Może najwyższy czas, by ją dopowiedzieć? Określić, czy jest taka, czy taka. Nawet jeśli to by oznaczało, że będzie żadna.

— Coś by się znalazło – odpowiedział.

— To proszę to zrobić. Podjąć decyzję. Świat po podjęciu decyzji od razu staje się prostszy. Nawet jeśli ta decyzja powoduje niezbyt przyjemne skutki.

— Dla pana stał się?

— Tak.

— Jak dla Jezusa w ogrodzie Getsemani – zauważył Rozłucki. – Najpierw pocił się krwawym potem, ale gdy przyszli strażnicy świątynni, był już spokojny i opanowany. Podjął decyzję.

Ksiądz drgnął. Spojrzał szybko na Rozłuckiego. Było w tym spojrzeniu zaskoczenie, ale było też jeszcze coś. Tylko Rozłucki nie do końca wiedział co. Po to to właśnie zrobił. Chciał zobaczyć, jak zareaguje na przypomnienie mu tej najważniejszej dla jego poprzedniego życia postaci, której on, ksiądz powinien być

przedstawicielem na ziemi. Efekt został osiągnięty, tylko Rozłucki nie potrafił go zinterpretować.

— Co się stało? – spytał. – Mam nie używać takich porównań?

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Nie, dlaczego? Nie mam nic przeciwko temu. Zareagowałem na to, jak diabeł na święconą wodę, prawda? Pewnie nie bez powodu.

— A jaki to powód?

— Powód jest taki, że jestem mordercą.

— Zabił pan tę dziewczynę?

Ksiądz poprawił się na krześle.

— Wie pan co? – powiedział. – Wolałbym akurat na ten temat nie rozmawiać. Skoro faktycznie to nie jest przesłuchanie, jak pan twierdzi, a zwykła rozmowa, to mam do tego chyba prawo?

— Oczywiście. Przepraszam.

— Niech pan nie przeprasza. Nie jestem kimś, kogo należałoby za cokolwiek przepraszać.

Przez chwilę milczeli. W końcu Rozłucki spytał:

— To o czym mamy rozmawiać?

Ksiądz spojrział na niego uważnie. Jakby usilnie się nad czymś zastanawiał. Jakby podejmował decyzję.

— Chciał pan poznać historię mojego upadku, prawda? Może o tym.

— Bardzo chętnie.

Zapadła cisza. Wbrew zapowiedziom spowiedź się nie zaczęła.

Ksiądz spuścił wzrok i wpatrywał się w jakiś punkt na podłodze.

— Zadawać pomocnicze pytania? – spytał Rozłucki. – Tak będzie panu łatwiej?

— Tak, chyba tak.

— Wierzy pan w Boga?

Ksiądz uśmiechnął się.

— Może nie od razu aż takie. Zacznijmy od czegoś łatwiejszego.

— Wierzył pan?

— Tak, oczywiście. Gdy szedłem do seminarium i potem, gdy je kończyłem, wierzyłem bardzo mocno. Byłem szczery i idealistyczny. Prawie święty. To nawet dość zabawne, gdy myślę o tym z dzisiejszej perspektywy.

— Co to zmieniło?

Ksiądz zastanowił się.

— Codziennosc – odpowiedział. – To, że było zupełnie inaczej, niż to sobie wcześniej wyobrażałem. I inaczej, niż nam to opisywali w seminarium.

— To znaczy?

— Już jak byłem wikarym, zauważyłem, że jest nie do końca tak, jak myślałem, że będzie. Mój proboszcz był dobrym człowiekiem, ale bardzo prostym. Chłopski syn, który parafię traktował jak swoje gospodarstwo, a mnie jak kogoś w rodzaju parobka. Takiego, z którym się nie rozmawia, tylko wydaje polecenia. Nie mówię, że to źle. Dziś myślę, że tacy proboszczowie są właśnie najlepsi. Parafia była dla niego całym światem, a on był

w swoim żywiole. Był oschły, patriarchalno-pryncypialny. Nie było w nim miejsca na choćby cień wątpliwości. Wiara była dla niego jednym z obowiązków, a on swoje obowiązki traktował bardzo poważnie. Nie było nad czym się zastanawiać. Trzeba było wierzyć, tak jak trzeba było naprawić płot wokół cmentarza, a przed Bożym Narodzeniem kupić parę choinek i ustroić nimi kościół.

— Pan nie jest chłopskim synem?

— Jestem. Ale świat za bardzo już się zmienił. Tamto pokolenie było chyba ostatnim, które wierzyło w tak prosty i niewzruszony sposób. Nam wąż już podtyka jabłko. Jesteśmy przez to albo zawzięci, albo wątpiący. On nie musiał być zawzięty, żeby nie wątpić. Bardzo mu tego zazdroścę.

— Pan zaczął wątpić?

— Wtedy jeszcze nie. Wtedy wydawało mi się, że jak tylko dostanę własną parafię, wszystko się zmieni.

— Zmieniło się?

— Tak, na gorsze.

— Dlaczego?

— Wie pan, jak wygląda życie księdza z małej, wiejskiej, biednej parafii? Takiej, którą na dobrą sprawę dawno już powinno się zlikwidować i przyłączyć do innej, ale ponieważ ma ponad sześćset lat, nikt tego nie robi?

— Jak?

— Można je opisać w dwóch słowach: nuda i samotność. Nie wiem, co jest bardziej dokuczliwie. W dni powszednie są dwie msze:

rano i wieczorem. W niedzielę cztery. Śluby, chrzciny i pogrzeby zdarzają się rzadko, bo ludzi jest coraz mniej. Wymarli albo wyjechali. Oprócz tego niewiele jest zajęć. Odezwać się nie ma do kogo, czasem całymi dniami. Poza tym ksiądz to nie jest ktoś, z kim się rozmawia. Tak zwyczajnie, jak człowiek z człowiekiem. Księdza można o coś prosić, a gdy się pyta, odpowiedzieć. Za każdym razem, gdy próbowałem nawiązać z kimś rozmowę, miałem nieodparte wrażenie, że ten ktoś chciałby jak najszybciej skończyć. Że go to krępuje. Wieczorami nie ma nic do roboty. Można tylko oglądać telewizję albo siedzieć w Internecie. Albo pić. Albo pić i siedzieć w Internecie. A tam: pokusa za pokusą. Gdziekolwiek by wejść. W prawdziwym życiu nie lepiej. Wie pan, że niektóre parafianki nawet do kościoła przychodzą z dekoltami po pępek? Kiedyś odprawiam mszę, patrzę, a w pierwszej ławce siedzi taka jedna. Zobaczyłem to, dopiero jak wstała. Miała dzinsy biodrówki, takie nisko opuszczone w pasie. I bluzkę niezakrywającą brzucha. Wie pan, że było jej widać stringi? Wyobraża pan to sobie? Stojąc przy ołtarzu, widziałem jej majtki! W kościele!

— Ulegał pan tym pokusom?

— Z początku nie. Na początku moja wiara była dość silna, bym trzymał się w ryzach.

— Potem osłabła?

Ksiądz spojrzał w bok, jakby patrzył przez nieistniejące okno.

— Wie pan, nie. To trudno w ogóle wytłumaczyć, ale nie zaczęło się od tego.

— A od czego?

— Od nudy. Takiej wszechogarniającej, wysysającej tlen z powietrza nudy. Bycie proboszczem w takiej parafii to najnudniejszy zawód świata. Także dlatego, że pozbawiony możliwości odczuwania jakichkolwiek uczuć. Może gdybym był mistykiem, człowiekiem o żarliwej, płomiennej wierze, nie czułbym takiego deficytu. Mistyczne uniesienia zastępowałyby mi to wszystko. Ale moja wiara zawsze była spokojna, pozbawiona ognia. Skonfrontowana z rutyną posługi i parafialnej codzienności po prostu przegrała. Mówi się, że najstraszliwszym i najskuteczniejszym orężem szatana jest zniechęcenie. W moim przypadku sprawdziło się to doskonale.

— Wypalenie zawodowe.

— Słucham?

— To, co pan opisuje, to klasyczne objawy wypalenia zawodowego. Trzeba było pójść do psychologa. Z tym, że raczej nie do mnie.

— Dlaczego nie?

— Odczuwam to samo.

Ksiądz uśmiechnął się. Nawiązała się chyba między nimi jakaś nić porozumienia.

— A prestiż? – spytał Rozłucki. – Szacunek ludzi? Bycie jednym z dwóch, trzech najważniejszych ludzi w okolicy. Nie rekompensowało to panu tego?

— Na początku oczywiście to mile łechce próżność. Ale potem

człowiek się przyzwyczajają i jest tak samo jak wcześniej. Poza tym...

— Poza tym co?

— Wie pan, mam wrażenie, że ten szacunek jest już trochę... jakby to powiedzieć... pustą formą. Nie jest autentyczny, wynika z pewnego przyzwyczajenia, z poczucia, że tak właśnie powinno być, choć już tak nie jest.

— Co pan ma na myśli?

— Prestiż zawodu kapłana spada. I to nie tylko wśród ateistów, lewaków i ludzi obojętnych wobec religii. Także wśród wierzących katolików. To jakiś podskórny, niemożliwy do zatrzymania proces. Jesteśmy coraz bardziej archaiczni, nieprzystający do współczesnych czasów. Jesteśmy trochę jak kowale. Kowal był kiedyś tym, czym dziś jest informatyk. Wprowadzał ludzkość w nową erę. Wykuwał, dosłownie i w przenośni, nowe jutro. Dziś jest już tylko elementem folkloru. My, kapłani, też staliśmy kiedyś na czele pochodu ludzkości. Ale już dawno nie stoimy. Ludzie to czują, nawet ci, którzy uważają się za wiernych synów Kościoła. Odnoszą się do nas ze skrywanym, mimowolnym lekceważeniem. Nie wiem, może tylko ja tak czułem, może są jeszcze księża obdarzeni autentyczną charyzmą, na pewno są, ale ja nie byłem jednym z nich.

— Jest aż tak źle?

— Tak. Wie pan, każda epoka ma taki zawód, który przyciąga, zasysa najbardziej inteligentne, światłe i rzutkie jednostki swoich czasów. Zawód księdza już dawno przestał być czymś takim. Widać

to chociażby w seminariach. Trafiają tam ludzie pogubieni, niepewni siebie. Tacy jak ja.

— A powołanie, wiara, bycie depozytariuszem bożej prawdy na ziemi? To wszystko się nie liczy?

Ksiądz pokiwał powoli głową.

— Tak, to tylko nas jeszcze ratuje. To daje nam ciągle poczucie wyjątkowości. Pozwala przetrwać samotne noce na zapyziałych, rozpadających się plebaniach. Co jednak, jeśli to wszystko nieprawda? Iluzja, w którą wierzymy od dwóch tysięcy lat?

— Większość rzeczy, które pozwalają nam w miarę normalnie funkcjonować na tym świecie, jest z jakiegoś punktu widzenia iluzją.

— Zgrabnie powiedziane. Ale dla kogoś, kto oparł swoje życie na wierze, taka odpowiedź nie wystarczy. Dla nas to kwestia życia i śmierci.

— Te wszystkie wątpliwości, o których pan mówi, nie usprawiedliwiają jednak tego, że stał się pan mordercą.

Ksiądz spojrzał na niego ciężko.

— Ma pan rację, nie usprawiedliwiają.

— Mogłyby usprawiedliwiać depresję, alkoholizm, wizyty w klubach ze striptizem albo nawet w burdelach, ale nie to. Dlaczego więc do tego doszło, powie mi pan?

— Mówiłem już. Akurat o tym wolałbym nie rozmawiać.

— A co by się mogło stać, gdyby mi pan o tym powiedział?

— O tym też wolałbym nie rozmawiać.

Mur więc ciągle tu stał. Nie udało się go ani trochę naruszyć.

— A wie pan – Rozłucki postanowił przestać w niego póki co walić – że o mało byśmy pana nie wypuścili?

„My”?, Powiedział „my”? Nie jest policjantem, jest psychologiem, nie może o tym zapominać.

— Dlaczego?

— Pojawiło się podejrzenie, że zostało dokonane jeszcze jedno, podobne morderstwo. Którego sprawcą nie mógł być pan. Policja wytypowała dwóch podejrzanych. Byli pewni, że mordercą, także tej pierwszej dziewczyny, jest któryś z nich. Obaj to pana parafianie.

— Którzy?

— Adrian Tkacz, ten chłopak, który wracał z Ewą Krupińską taksówką tamtej nocy, gdy zginęła, i Robert Nadolski, miejscowy pijaczek.

— Robercik? – spytał ksiądz. – Też mi pomysł. To na pewno nie on. Zresztą ten drugi też nie.

— Teraz to i my to wiemy. Ta druga dziewczyna się odnalazła.

Znowu to „my”! Czyżby zaczął przechodzić na drugą stronę?

ROZDZIAŁ 21

Wrócił do siebie. Po drodze w sklepie przy pętli zrobił jeszcze zakupy. Duże, bo w jego domu nic prawie nie było, a lodówka była niemal pusta. Foliowe torby pełne jedzenia omal nie odcięły mu palców podczas długiego marszu drogą nad jeziorem. Dobrze, że udało mu się powstrzymać i nie kupił tej butelki jacka danielsa, która tak uwodzicielsko uśmiechała się do niego z półki za sprzedawczynią. Postanowił jednak ograniczyć na razie spożycie alkoholu. Ograniczyć spożycie, a zintensyfikować życie. Taki sobie bon mot na poczekaniu wymyślił.

Gdy doszedł do domu, był nieludzko zmęczony i spocony, mimo że nie było wcale aż tak gorąco. Niewiele myśląc, położył siatki pod drzwiami, rozebrał się i w samych tylko majtkach wszedł do jeziora. Woda wydawała się wręcz cieplejsza od powietrza. Zanurzył się cały razem z głową. Przez chwilę, nie otwierając oczu, trzymał ją pod powierzchnią, a potem wychynął ponad tafłę, pozwalając, by zielona, pachnąca glonami woda spływała mu po włosach i twarzy.

Odetchnął głęboko, odgarnął mokre włosy z czoła i zaczął płynąć. Przed siebie, na środek jeziora. Nie był może zbyt dobrym pływakiem, opanował w zasadzie tylko jeden styl pływania – żabkę,

ale potrafił utrzymać się na powierzchni. Co więcej, sprawiało mu to od czasu do czasu niekłamaną przyjemność. Tak, pływanie było jedyną formą aktywności fizycznej, na którą był w stanie od biedy się zgodzić.

Gdy dopłynął już wystarczająco daleko, zawrócił. Postanowił dla odmiany spróbować płynąć na plecach. Odwrócił się, wyciągnął na powierzchni wody i zaczął poruszać nogami. Potem dołączył ręce. Poruszał nimi naprzemiennie, najpierw prawą, potem lewą. Dalekie, mocne wyrzuty za głowę. Nie było to, szczerze mówiąc, specjalnie przyjemne, bo nie potrafił odpowiednio zgrać wyrzutów rąk z oddechem, poza tym woda zalewała mu oczy. Zawziął się jednak i płynął. Jeszcze trochę. I jeszcze.

Gdy miał już naprawdę dosyć, zatrzymał się, opuścił nogi i poszukał stopami dna. Dotknął palcami miękkiego mułu, tuż pod nim był twardy grunt. Stanął i podniósł ręce do oczu. Obtarł je z wody, zaczesał włosy do tyłu i dopiero teraz otworzył. Tuż przed nim, na brzegu jeziora stało zaparkowane czarne bmw serii 1. O jego charakterystyczny, jakby podkulony tył opierała się Karolina. Ręce miała splecione na piersiach i uśmiechała się ironicznie.

— Bardzo ładnie – powiedziała. – Jestem pod wrażeniem. Chociaż trochę cię znosi w lewą stronę. Gdybyś płynął dostatecznie długo, zrobiłbyś kółko.

Nie odpowiedział. Był zbyt zaskoczony. Jego serce najpierw nieomal stanęło, potem zaczęło bić jak szalone. Uspokoił je oddechem, odgarnął jeszcze raz włosy z czoła i zaczął iść w stronę

brzegu. Przez cały czas taksowała go wzrokiem, z tym samym lekko uśmiechniętym wyrazem twarzy.

— Hmm. – Uniosła lewą brew, gdy woda sięgała mu już tylko do kolan. – Nagi mężczyzna w samych tylko mokrych, czarnych majtkach. Dawno nie widziałam równie seksownego widoku. Mam nadzieję, że chociaż są czyste.

— Teraz już są – odpowiedział.

Wyszedł na brzeg. Stał przed nią. Bez żenady patrzyła na przyklejony do jego ciała cienki, bawełniany materiał. Poczł się dość nieswojo. Poprawił bokserki, by oderwać je od przyrodzenia.

— Co ty tutaj robisz? – spytał. Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie.

— Zostawiłeś coś u mnie, nie pamiętasz?

Otworzyła bagażnik samochodu i wyciągnęła stamtąd owinięty w białą foliową torebkę kształt. Jego whisky! Osiemnastoletni glendronach allardice kupiony w sklepie pod Lidzbarkiem Warmińskim. Zupełnie o nim zapomniał.

— Nie musiałaś się fatygować – burknął. – Mogłaś mi to dać przy następnym spotkaniu.

— Jakoś tak nagle zapragnęłam cię zobaczyć – odparła niezrażona. – Choć, jak widzę, było to uczucie bez wzajemności. Skoro jednak już tu jestem, mam zamiar wprosić się na kawę. Tylko się ubierz, bo widzę, że jesteś trochę skrępowany. Nie możesz aż tak bardzo bać się kobiet. – Położyła mu teatralnym gestem dłoń na ramieniu. – Chyba że masz zamiar jak Robercik spędzić resztę

życia w towarzystwie silikonowej piękności z Ameryki.

To jej dotknięcie, jej ciepła dłoń na jego schłodzonej wodą, nagiej skórze, miały temperaturę rozżarzonego żelaza. Odwrócił się szybko, by jego przylegające do ciała bokserki nie ujawniły więcej, niż by chciał.

— Chodź – rzucił krótko i ruszył w stronę domu. Starał się iść po trawie, by nie pobrudzić mokrych stóp. Usłyszał za plecami dźwięk zamykanego pilotem samochodu.

Doszedł do domu, otworzył drzwi kluczem niezgrabnie wygrzebanym z kieszeni spodni, chwycił w jedną rękę ubranie, a w drugą zakupy i wszedł do środka. Czuł, że ona przez cały czas mu się przygląda. Pewnie dlatego miał wrażenie, że wszystko, co robi, robi powolnie i niezgrabnie.

Weszła za nim. Potknął się i o mało nie przewrócił w progu. Czekał na jej śmiech, lecz nic takiego nie nastąpiło.

— Wejdz do pokoju. – Wskazał jej drzwi. – Ja przebiorę się tylko i przyjdę.

W łazience szybko ściągnął majtki, założył spodnie, skarpetki, buty i koszulę. Nie zwracał sobie głowy wycieraniem. Umył tylko jeszcze ręce, bo przecież ręce zawsze trzeba umyć – od tej zasady nie było wyjątków – i wrócił do pokoju.

Stała na środku i przyglądała się lustru, zza którego widać było fragment brunatnej plamy. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Był to już inny uśmiech niż ten znad jeziora.

— Nie byłam tu od tamtego dnia – powiedziała. – Jak możesz tu

mieszkać?

Wzruszył ramionami.

— Tobie przypomina to złe chwile, a mnie dobre. W jakimś sensie, oczywiście.

— Jakie dobre chwile? – Spojrzała na niego zdziwiona.

Zawahał się. Przez chwilę chciał zbyć to pytanie albo obrócić je w żart, ale przypomniał sobie swoją rozmowę z księdzem. To był chyba dobry moment na określenie ich wzajemnej relacji.

— Nigdy wcześniej ani później nie byliśmy z sobą tak blisko – powiedział. Spojrzył jej w oczy. Pewnie miał wzrok szczeniaka czekającego w schronisku na adopcję.

Uśmiechnęła się po raz drugi. Tym razem cieplej.

— A wtedy, na zamku w Rynie? – spytała. – Myślałeś, że nic nie pamiętam? Że urwał mi się film i nie wiem, co się działo? Zachowałeś się wtedy bardzo rycersko.

Wytrzymał jej spojrzenie, choć ze wszystkich sił pragnął uciec. Decyzja jednak już została podjęta. Doprowadzą dzisiaj tę rozmowę do końca.

— Może niepotrzebnie? – spytał.

— Potrzebnie. Dlatego stoimy teraz z sobą i rozmawiamy.

Miał w głowie pustkę. Wielką, cholerną, sięgającą aż do wnętrza ziemi pustkę. Chciałby powiedzieć coś, żeby... Ale nie potrafił.

Położyła mu dłoń na piersi. Materiał koszuli przylepił się do jego niedokładnie wytartego ciała.

— Dobrze wyglądasz – powiedziała. – Schudłeś i

wyprzystojniałeś. Podoba mi się to. Poza tym jesteś wysoki i inteligentny. Te dwie cechy zawsze pociągały mnie u mężczyzn.

Dojrzał na jej twarzy pierwsze zmarszczki. W kącikach oczu i naokoło ust. Czy miała je już trzy miesiące temu? A może po prostu lepiej było je widzieć, bo zbliżyła swoją twarz do jego?

— I znowu nie wzięłaś tej swojej butelczyny. — Pokazała mu trzymaną w dłoni owiniętą białą torebką foliową butelkę. — Mam wszędzie ją za tobą nosić? — dodała z uśmiechem.

Wziął butelkę i wyjął ją z torebki. Złote litery na fioletowym tle.

— Może byś mi nalał trochę? — powiedziała. — Aż jestem ciekawa, co to za cudo.

— Przecież jesteś samochodem. — Spojrzał na nią zdziwiony.

— Aleś ty niedomyślny — odpowiedziała. — Naprawdę wszystko ci trzeba tłumaczyć?

ROZDZIAŁ 22

Następnego dnia rano wstała, ubrała się, pocałowała go w czoło i odjechała. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Dlaczego? Nie wiedział. Chciał jej coś powiedzieć, ale wszystkie słowa, które przychodziły mu do głowy, wydawały mu się tak banalne, że nie chciał zakłócać nimi tego czegoś, co w tym momencie wydawało mu się nieomal święte. Jedyne, na co się zdobył, to dotknięcie dłonią jej przedramienia, gdy przechodziła obok. Podtrzymanie fizycznego kontaktu, który jeszcze parę godzin temu był tak bardzo intensywny.

Odwróciła się wtedy do niego i uśmiechnęła. Potem odeszła. Dopiero później zrozumiał, że był to smutny uśmiech, a pocałunek w czoło był raczej zamknięciem niż rozpoczęciem pewnego etapu.

Zrozumienie tego zajęło mu jednak całe następne dwa dni. Dwa dni, podczas których dzwonił do niej, lecz ona nie odbierała. Podczas których wysyłał jej smsy, na które nie odpisywała.

Zdaje się, że właśnie określili swoje wzajemne relacje. Dopowiedzieli niedopowiedziane. Trochę inaczej to sobie wyobrażał.

Gdy to zrozumiał, zadzwonił do przychodni w Olsztynie, że dziś raczej nie przyjdzie. Potem wyjął z szafki czystą szklanekę i nalał do niej whisky z otwartej tamtego wieczoru butelki. Nalał do pełna, aż

prawie pod samą krawędź. Potem podniósł do oczu. Osiemnastoletnia whisky single malt trzymana w beczkach po hiszpańskiej sherry. Płyn w tej szklance musiał kosztować pewnie ze sto złotych. Wypił ją całą, do dna. Nie zwrócił uwagi na zapach ani smak.

Jego duszę lub to coś, co przywykliśmy określać umownie tym mianem, przygniatał wielki, wyciskający powietrze z płuc ciężar. Odetchnął głęboko, aż do samej prawie granicy płaczu. Nie pomogło. Zmora siedziała mu na piersi, demon rozpaczyny owinał mu się wokół szyi i gniótł ramiona. Czy miał jeszcze coś, dla czego warto żyć? Jakiś cel w życiu, dla którego warto się starać? Nie.

Napełnił ponownie szklanekę, potem odstawił pustą już butelkę na stół. Zamknął oczy. Wypije jeszcze to, a potem zdecyduje, co dalej.

Szedł powoli ulicą przy pętli. Zmierzchało, o tej porze dnia wokoło nie było już nikogo. Spacer do wsi otrzeźwił go trochę, lecz miał zamiar zaraz temu zaradzić. Wszedł do sklepu. Za ladą stała ta sama kobieta co zawsze. Tylko odrosty miała coraz dłuższe.

Wciągnął powietrze przez nos i starając się mówić swobodnie i wyraźnie, poprosił butelkę jacka danielsa. Dobrze mu poszło. Póki co upijał się, można powiedzieć, na trzeźwo. Zachowywał się normalnie, mówił wyraźnie i myślał jasno. Nie był to zbyt dobry znak, gdyż doświadczenie uczyło, że prędzej czy później, i to raczej całkiem niespodziewanie, urwie mu się film i zupełnie odleci.

Sprzedawczyni spojrzała na niego uważnie. Zbyt wielu widziała w swoim życiu pijaków udających trzeźwych, by dać się oszukać. Najwyraźniej jednak uznała, że nie posiada on w wystarczającym stopniu znamion osoby wyczerpującej definicję słowa „nietrzeźwy” z tabliczki widniejącej za jej plecami i obwieszczającej, że osobom takowym w tym sklepie alkoholu się nie sprzedaje, bowiem odwróciła się i sięgnęła do półki.

Miał ochotę klepnąć ją w tyłek, całe szczęście jednak powstrzymał się. Znaczyło to jednak, że nie był tak do końca trzeźwy, jak mu się wydawało. I bardzo dobrze zresztą. Uśmiechnął się szeroko i to akurat w tym momencie, gdy odwróciła się do niego z butelką w dłoni.

— Co panu tak wesoło? – spytała podejrzliwie.

— Określiłem swoją sytuację – odpowiedział znacznie już mniej wyraźnie. – Przeciąłem wątpliwości. Życie stało się prostsze. Może bardziej chujowe, ale na pewno prostsze.

— Bardzo mnie to cieszy – odparła obojętnie. – Osiemdziesiąt dziewięć złotych poproszę.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze i położył na blacie. Odebrał resztę i chwycił butelkę za szyjkę.

— Dobranoc – powiedział.

— Dobranoc.

Elegancko wyszło. Zadowolony ruszył do wyjścia. Nie trafił co prawda do końca w drzwi i uderzył prawym ramieniem we framugę, lecz całe szczęście nie wypuścił butelki.

— Dobranoc – powtórzył jeszcze w proggu.

Wyszedł na zewnątrz. Wieczór, jak na koniec sierpnia, był dosyć ciepły. To znowu bardzo dobrze, bo wychodząc z domu, nie wziął ze sobą kurtki ani bluzy. Rozejrzał się dokoła. Czekająca go druga ostatnimi czasy bardzo ważna decyzja: wrócić do domu czy wypić wszystko na miejscu? Wybrał iście salomonowe rozwiązanie: będzie wracał, pijąc po drodze.

Spojrzał na kwadratową, prawie czarną butelkę. Czy jeśli wypije ją całą, umrze? Pewnie nie, ale spróbować warto.

Odkręcił butelkę, mocując się przez chwilę z folią oklejającą szyjkę. Potem przytknął ją do ust i uniósł denkiem do góry.

— Kurwa! – powiedział na głos.

Zaopatrzona w specjalny, plastikowy korek niekapek szyjka nie nadawała się specjalnie do picia z gwinta. Uniósł butelkę trochę ponad usta i potrząsnął. Coś tam poleciało, lecz efekt był wyraźnie niezadowolający.

— Kurwa... – powtórzył.

— Trzeba wyłamać korek – usłyszał męski głos. – Najlepiej nożem. Ale tego sposobu nie polecam, bo można się upierdolić w paluch. Prościej będzie wrócić do sklepu i kupić jednorazowe kubeczki.

Rozejrzał się. Głos dochodził z boku sklepu. Przy bocznej ścianie, do której nie dochodziło światło stojącej przy drodze latarni, ktoś siedział.

Mruknął coś pod nosem i wrócił do sklepu. Na kontuarze czekały

już na niego plastikowe, przezroczyste kubeczki. Twarz sprzedawczyni wyrażała bezbrzeżne znużenie. Musiała widzieć wszystko przez szklane drzwi.

— Złoty dziewięćdziesiąt dziewięć – powiedziała.

Zapłacił i wyszedł. Stał na progu, patrząc w mrok, z którego doszedł go tamten głos.

— Skoro już masz te kubeczki, chodź tu i nalej mi trochę – usłyszał.

Ruszył w tamtą stronę. Ta propozycja komplikowała co prawda realizację pomysłu zapicia się dziś na śmierć, ale przecież co się odwlecze, to nie uciecze.

Pod ścianą, oparty o nią plecami, tuż za granicą ciemniejącego coraz bardziej mroku siedział na ziemi mężczyzna. Na jego wyciągniętych przed siebie nogach leżała paczka papierosów, a obok stała pusta już butelka po piwie. Ubrany był w skórzaną, mocno wytartą kurtkę i jasne dżinsy. Chyba go już tu kiedyś widział. Podeszedł bliżej.

Mężczyzna wyciągnął z paczki papierosa i włożył go sobie do ust. Potem zapalił zapalniczkę. Jej płomień oświetlił mu twarz.

— Robercik! – Rozłucki dopiero teraz go poznał. Gdy spał na fotelu w swoim domu, ubrany był zupełnie inaczej.

— Wkurwia mnie, jak się mnie tak nazywa. – Mężczyzna spojrzał na niego spode łba i podpalił papierosa. – Czy ja też mam na ciebie mówić Zygmunek?

— Skąd wiesz, jak mam na imię? – Po pijacku zdziwił się

Rozłucki.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— To mała wieś. Wszyscy wiedzą, że do domu po tym świrze wprowadził się pan psycholog z Warszawy. To imię to po Freudzie?

— Nie, po królu Zygmuncie Auguście. Moja matka zaczytywała się *Polską Jagiellonów* Jasienicy.

— Znam, czytałem – kiwnął głową. – Albo przynajmniej chciałem przeczytać. Chyba jednak to drugie. – Wypuścił dym. – Siadaj. – Wskazał mu miejsce obok siebie. – I nalej mi trochę tego czarnego gówna, bo widzę, że jestem wyraźnie trzeźwiejszy od ciebie. A w ten sposób długo nie pogadamy.

Rozłucki usiadł, pokonując irracjonalną w jego obecnym stanie psychicznym niechęć przed zabrudzeniem sobie spodni ziemią. Czy ktoś, kto przed chwilą całkiem poważnie zastanawiał się nad pomysłem popełnienia samobójstwa za pomocą alkoholu, może martwić się perspektywą pobrudzenia sobie siedzenia? Może. Wiedział o tym. Te dwie emocje operowały na dwóch zupełnie różnych poziomach świadomości.

Ściana za jego plecami była chropawa. Wyczuwał przez materiał koszuli grudkowatą fakturę tynku. Postawił butelkę obok siebie i otworzył zapakowane w folię kubeczki. Jeden z nich podał mężczyźnie, drugi zostawił sobie. Pozostałe cztery odłożył na bok. Wziął butelkę i polał. Robercikowi prawie cały kubeczek, sobie połowę. W końcu musieli jakoś wyrównać poziomy upicia.

— Nie kupiłem coli – powiedział. – Bo ja raczej piję bez. Jak

chcesz, mogę jeszcze pójść.

— Whisky z colą jest dobra dla dzieci – odparł mężczyzna i pociągnął spory łyk.

— Też tak myślę – pokiwał z uznaniem głową Rozłucki.

Po chwili też się napił. Czarniawy płyn nie był taki zły. Nie umywał się oczywiście do dobrych słodowych whisky ze Szkocji czy z Japonii, ale bez przesady – dało się go wypić i to nawet z przyjemnością. Na pewno był o niebo lepszy od wszelkich mieszanych gówien w rodzaju johnniego walkera czy ballantinesa.

— Jestem fanem kukurydzy – powiedział do mężczyzny. – Wszystko, co jest zrobione z kukurydzy, jest dobre. Burbon, tennessee whisky... – zastanowił się. – I to w zasadzie tyle.

— Kiedyś lubiłem gotowaną kukurydzę z KFC – odpowiedział mężczyzna. – Wtedy, gdy chciało mi się jeszcze jeździć do Olsztyna.

Wypili. Rozłucki polał następną kolejkę. Robercik wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów. Rozłucki wziął ją w rękę, przyjrzał się obrzydliwemu zdjęciu mającemu odstraszać od palenia, po czym przeczytał głośno napis:

— „Palenie zabija”. Przekonuje mnie to – powiedział i wyjął papierosa. Robercik podał mu ogień.

— Jaka to dzisiaj okazja? – spytał. – Dzień psychologa?

— Dzień samotnego frajera – odparł Rozłucki. Zaciągnął się głęboko.

— Taki dzień jest co dzień – odparł mężczyzna. – I dlatego ja na ten przykład świętuję codziennie.

Rozłucki uśmiechnął się i podniósł do ust kubeczek. Zaczynał właśnie chyba odczuwać alkoholowy efekt Dopplera. Fale wypitych zbyt szybko porcji alkoholu nakładały się na siebie, kumulując w jedną, potężną falę uderzeniową.

— À propos – powiedział. – Widziałem twoją dziewczynę.

— Którą? – Mężczyzna odwrócił w jego stronę głowę.

— Tę z Ameryki – zaśmiał się pijackim śmiechem. – Byłem wtedy z policją w twoim domu. Kiedy to było? Ze trzy dni temu. Nie zamęczali cię potem specjalnie?

— Nie. Nie poczekali nawet, aż się obudzę. Zostawili mi tylko kartkę na stole z wezwaniem na komendę. Wyrzuciłem ją do kosza. Od tej pory się nie odzywali. Czego żeście w ogóle ode mnie chcieli?

— Szukaliśmy tej zaginionej dziewczyny.

— Której?

— Tej, która się potem odnalazła.

— U mnie? Dlaczego?

— Podejrzewaliśmy, że jesteś seryjnym mordercą.

— Aha.

Rozłucki polał po raz kolejny. Robercik zapalił następnego papierosa. Było już zupełnie ciemno.

— To jest jeszcze jakaś inna? – spytał Rozłucki.

— Kto?

— Dziewczyna. Kiedy powiedziałem, że widziałem twoją dziewczynę, spytałeś „którą?”.

Robercik pokiwał powoli głową.

— Nie tyle jest, co była.

— Kto?

— Nie bądź taki ciekawy, bo kociej mordy dostaniesz. Tak mówiła moja babcia.

— Moja mówiła: „Bo cię pająki za obraz wciągną”.

— Zdrowie naszych babć.

— Zdrowie. Tym bardziej, że obie już pewnie nie żyją.

Stuknęli się plastikowymi kubeczkami. Wypili. Rozłucki polał, potem wypili znowu.

— Skończyło się – stwierdził ze zdziwieniem. W pełnej jeszcze do niedawna butelce nie zostało już ani kropli.

— Ano skończyło – przytaknął mężczyzna. – Pora na ciebie.

— Mogę pójść po następną.

— Nie możesz. Ty masz już dość, a mnie wystarczy.

ROZDZIAŁ 23

„Przyjedź na komendę. Mamy do pogadania. Możesz być o trzynastej?” – SMS o takiej treści był pierwszą rzeczą, jaką zobaczył następnego dnia rano. Głowa bolała go, ale tylko trochę. To plus piasek w oczach i ogólne lekkie otumanienie były jedynymi śladami po wczorajszej nocy. Widocznie półgodzinny powrót do domu drogą nad jeziorem dobrze mu zrobił. Kac, ten demon, którego Bóg postawił u wrót alkoholowego rajy, byśmy nie chodzili non stop pijani, tym razem obszedł się z nim wyjątkowo łagodnie.

W pierwszej chwili, gdy zobaczył ikonkę wiadomości na wyświetlaczu swojego telefonu, pomyślał, że to od Karoliny. Lawina uczuć, myśli i fantastycznych nierzadko interpretacji jej dwudniowego milczenia przetoczyła się przez jego mózg. Może zgubiła telefon, wpadł jej do wody, albo po prostu wyjechała gdzieś, gdzie nie ma zasięgu? Kliknięcie w ikonkę zburzyło ten jakże szybko postawiony domek z kart. Wiadomość była od komisarza Sądeckiego.

„Będę o trzynastej”, odpisał.

Zaraz, zaraz! Ale która to w zasadzie była godzina? Spojrzał ponownie na wyświetlacz. Minęła jedenasta. Czyli nie tak źle. Licząc godzinę na dojazd, zostawała mu jeszcze prawie godzina na

doprowadzenie się do porządku.

Wstał i poszedł do łazienki. Wszystkie poranne czynności szły mu dzisiaj wyjątkowo wolno. Gdy wyszedł, była za kwadrans dwunasta. Niewiele czasu pozostało na śniadanie. Podeszedł do lodówki i wyjął z niej słoik obsmażanych śledzi w occie. Dobrze, że zrobił dwa dni temu tak duże zakupy. Razowy chleb ma prawdziwym zakwasie był jeszcze całkiem dobry. Zjadł dwa płaty, zagryzając je kromką chleba. Dopiero teraz umył zęby. Miał nadzieję, że nie śmierdzi mu z ust przetrawionym alkoholem.

Podczas podróży autobusem trochę jeszcze przysypiał. Zbierało się na deszcz, ciśnienie musiało być wyjątkowo niskie, a to nie pomagało. Wszedł do budynku Wojewódzkiej Komendy Policji w Olsztynie i z wysiłkiem wspiał się na pierwsze piętro. Kac z opóźnieniem, ale jednak się odzywał. Drzwi do pokoju komisarza Sądeckiego były lekko uchylone. Była za dwie trzynasta. Niezwykle wyczucie czasu.

Pchnął drzwi i bez pukania wszedł do środka. Komisarz Sądecki siedział za swoim biurkiem, po jego drugiej stronie, na krześle siedziała Weronika. Nie miał dziś siły krępować się jej obecnością.

— Cześć! – powiedział i ciężko opadł na drugie krzesło.

— Cześć! – odpowiedział komisarz. – Nie wyglądasz dzisiaj zbyt świeżo.

Rozłucki w odpowiedzi wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Napiłbym się kawy – powiedział. – Bez niej nic ze mnie dzisiaj nie będzie.

— Weronika, mogłabyś? – spytał Sądecki.

— Przypominam, że nie jestem twoją sekretarką – odpowiedziała. – Ani tym bardziej jego.

— To nie polecenie, tylko prośba.

Brak odpowiedzi. Komisarz westchnął znacząco.

— No dobrze, to ja zrobię.

W tym momencie do pokoju weszła Karolina.

— To ja też poproszę – powiedziała. – Przepraszam za małe spóźnienie.

Wzięła spod ściany trzecie krzesło i usiadła między Weroniką a Rozłuckim.

Mógł się spodziewać, że tu będzie. Mógł się tego spodziewać, ale jednak zaskoczyło go to. Poczul, jak cały martwieje, zamienia się w kamień. Spojrzał na nią, licząc ostatnim wysiłkiem umierającej nadziei, że odpowie mu spojrzeniem, uśmiechnie się, położy mu dłoń na kolanie, zrobi lub powie coś, co unieważni te dwa milczące dni i przywróci do życia to, co było między nimi tamtego wieczoru. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Karolina wpatrywała się obojętnie w okno za biurkiem, jakby czekała, aż znowu przejedzie za nim pociąg.

Komisarz Sądecki wrócił z dwoma kubkami kawy w przezroczystych kubeczkach z uchem.

— Zrobiłem wam sypaną – powiedział – bo nienawidzę rozpuszczalnej. Mleko się niestety skończyło, ale cukier gdzieś tu mam.

— Ja i tak nie słodzę – powiedziała Karolina.

— Ani ja – dodał Rozłucki.

— No to jedną rzecz mamy już dziś ustaloną – oznajmił komisarz, stawiając przed nimi kubeczki. – Pozostaje cała cholerna reszta.

— Zanim zaczniemy – odezwała się Weronika – chciałabym oficjalnie stwierdzić, że nie za bardzo podoba mi się, iż do omawiania śledztwa, które, jak wiadomo, objęte jest tajemnicą, włącza się cywilów.

— Pan Rozłucki – odparł komisarz – ma status biegłego w tej sprawie.

— A pani Janczewska?

— A pani Janczewskiej jakby tu nie było.

Weronika uniosła dłonie.

— To twoje śledztwo, ty je prowadzisz – powiedziała. – Chciałam tylko wyrazić swoje stanowisko.

— Zostało ono odnotowane.

Komisarz poprawił się na krześle.

— No dobrze, to już druga rzecz, którą dziś ustaliliśmy. Czas się zająć poważnymi sprawami.

Rozłucki wziął do ręki swoją szklanę. Powierzchnię świeżo zaparzonej kawy pokrywał gruby, czarno-brunatny kożuch. Przydałaby się łyżeczka, by móc to wszystko zamieszać. Spojrzał na komisarza Sądeckiego. Ten po chwili zrozumiał, o co mu chodzi.

— Łyżeczki! – powiedział. Rozejrzał się bezradnie dookoła. –

Zupełnie o nich zapomniałem. Zaraz przyniosę.

— Czy moglibyśmy wreszcie zacząć? – spytała Weronika.

Rozłucki machnął ręką.

— Daj spokój. Poradzę sobie.

Wziął z podajnika na biurku komisarza drewniany ołówek i jego niezaostrzonym końcem zamieszał kawę w kubeczku. Potem ostukał go o brzeg szklanki i wyciągnął w stronę Karoliny.

— Chcesz też? – spytał. Napotkał jej zdumiony wzrok.

— Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Poczekam, aż sama opadnie.

Odstawił szklankę na biurko, wytarł ołówek o połę swojej koszuli, po czym włożył go z powrotem do podajnika. Potem wziął szklankę i napił się kawy. Była gorąca, kwaśna i mocna. Dokładnie takiej było mu trzeba.

Komisarz chrząknął. Rozłucki podniósł wzrok. Wszyscy troje wpatrywali się w niego w milczeniu. Było mu to naprawdę obojętne.

— Możemy zaczynać – powiedział.

Komisarz znowu odchrząknął.

— Tak więc – zaczął oficjalnym tonem – zebrałem was tutaj, by porozmawiać, co dalej z naszą sprawą. Twoje wątpliwości, droga Weroniko, wydają się być, przyznaję, do pewnego stopnia uzasadnione, jednak w świetle tego, co chcę wam powiedzieć, chyba już nieistotne. Podjąłem bowiem decyzję, że czas zakończyć śledztwo.

Tym razem oczy wszystkich zwróciły się na komisarza.

— Dlaczego? – pierwsza zareagowała Karolina.

— Widzisz jakieś inne wyjście? – spytał. – Wasze tropy – patrzył teraz na Rozłuckiego i Karolinę – okazały się, najogólniej mówiąc, błędne. Zarówno ten dotyczący chłopaka na deskorolce, jak i ten dotyczący pijaczka. Na placu boju pozostał już tylko jeden podejrzany – ksiądz. Który w dodatku się przyznaje. Nie widzę w obecnej sytuacji powodu, by mu nie wierzyć.

„Wasze tropy”... Komisarz Sądecki wchodził chyba właśnie w swoje stare buty – niepowodzenia zwał na nich, sukcesy chętnie przypisałby sobie.

— Z tym chłopakiem na deskorolce to jeszcze bym poczekał – wtrącił Rozłucki. – Z tego, co pamiętam, jego alibi dotyczyło tej drugiej dziewczyny. Tej, która, jak się okazało, wcale nie została porwana. Wszelkie wątpliwości dotyczące tego wieczoru, gdy zginęła Ewa Krupińska, pozostają w mocy. Adwokat księdza z pewnością chętnie to uwypukli.

— Adwokat księdza nie będzie niczego uwypuklał – odparł komisarz.

— Skąd wiesz? – zbystrzała nagle Karolina.

Komisarz spojrział na nią przeciągle.

— Nie jestem pewien, czy mogę o tym mówić – powiedział. – Zwłaszcza przy tobie, Karolina.

— To po co mnie tu zaprosiłeś? – spytała. – Czy nie po to, żeby mi właśnie o tym powiedzieć?

— No, tak – odparł komisarz. – Zaprosiłem tu ciebie i jego –

wskazał na Rozłuckiego – bo uważam, że jestem wam to winny. Stanowiliście, w pewnym sensie oczywiście, część ekipy, sam prosiłem was swego czasu o pomoc. Muszę cię jednak prosić, Karolina, by wszystko, co tu za chwilę usłyszysz, zostało między nami.

— Jestem dziennikarką. Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać.

Komisarz sapnął.

— Jesteś pewna, że taka była twoja rola w tej sprawie? Że zachowywałaś się i myślałaś jak dziennikarka? Moim zdaniem nie. Przeszłaś na naszą stronę, Karolina. On zresztą też. Dlatego proszę cię, proszę was, byście zachowali lojalność wobec grupy, do której zostaliście nieformalnie przyjęci.

Karolina pokiwała głową.

— Chyba masz rację. Wkręciłam się w to wszystko odrobinę za bardzo. I chętnie zresztą wkręciłabym się jeszcze bardziej. Dobrze, mów. Zachowuję sobie jednak prawo do zasugerowania w moim przyszłym artykule rzeczy, o których się dzisiaj dowiem, bez utrzymywania, że wiem je na pewno i bez podawania ich źródła.

— Okej. – Komisarz odgiął się do tyłu na krześle. – To mi pasuje.

— Powiesz wreszcie, o co chodzi? – spytał Rozłucki. – My tu z Weroniką trochę się nudzimy.

Spojrzał na nią. Chyba się lekko uśmiechnęła.

Komisarz Sądecki nachylił się z powrotem i oparł łokcie o biurko.

— Rozmawiałem wczoraj z pewnymi ludźmi z naszej kurii – powiedział. – Przedstawili mi swoje stanowisko w tej sprawie. Stanowisko rzecz jasna nieoficjalne.

— No proszę – odezwała się Karolina. – Zaczyna się robić ciekawie.

— Powiedzieli mi, że nie będą specjalnie bronić naszego księżulka. Uznają jego winę i pragną, by proces zakończył się jak najszybciej i wywołał jak najmniej zgorszenia. Dlatego adwokat, którego zatrudnią, nie będzie specjalnie przeszkadzał prokuratorowi. Nie będzie też wnosił o apelację. W tej sytuacji przyznanie się księdza do winy powinno wystarczyć do jego skazania. Po uprawomocnieniu się wyroku ksiądz zostanie wydalony ze stanu duchownego, czy jak to się tam nazywa. Sprawa zostanie zakończona i zapomniana.

Gdy skończył mówić, zapadła cisza. Każdy w milczeniu trawił to, co przed chwilą usłyszał.

— Aha – odezwała się w końcu Karolina. – A więc tak się sprawy mają. Czy mi się jednak wydaje, czy to, co powiedziałaś o nieprzeszkadzaniu prokuratorowi, stoi w niejkiej sprzeczności z powinnościami i przysięgą adwokacką?

— Szkoda, że nie żyje stary Jakubiec – rzucił Rozłucki. – Byłby idealny do tej fuchy.

Dlaczego to powiedział? Wiedział przecież, że musiało ją to zranić. Czyżby odgrywał się za to, co się między nimi wydarzyło? Nieładnie.

— O, daj spokój, Karolina! – zachnął się komisarz. – Powiedzmy, że mamy do czynienia ze stanem wyższej konieczności. Poza tym nie mówimy przecież o człowieku niewinnym.

— Skąd ta pewność?

— Z racjonalnej oceny sytuacji. Po pierwsze, przyznał się. Po drugie, nie mamy lepszych kandydatów. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to on jest mordercą.

— Ja mam – odezwał się Rozłucki.

ROZDZIAŁ 24

Oczy wszystkich zwróciły się znowu na niego. Komisarz po raz kolejny poprawił się na krześle.

— Czy mógłbyś w takim razie nam je łaskawie wyjawić? – spytał.

Czy mógłby? Dobre pytanie. Tym lepsze, że słowa, które wypowiedział, były zaskoczeniem także dla niego. Jakoś tak samo mu się to powiedziało. Czy to z powodu kaca, czy ostatnich przejść z Karoliną, czy jeszcze z jakiejś innej przyczyny, nagle zapragnął być przeciw. A teraz wypadałoby uzasadnić swoje stanowisko.

By zyskać trochę na czasie, napił się kawy. Im była chłodniejsza, tym gorzej smakowała.

— Słuchamy – powiedziała Weronika. Spojrzał na nią. Patrzyła na niego uważnie. Nie potrafił się zdecydować, co wyczuł w jej głosie: ironię, zaciekawienie czy też może zachętę? Po raz kolejny złapał się na tym, że myśli, jak ładnie wygląda.

— Zacznę może od tego, co już powiedziałem – rozpoczął powoli. – Od tego chłopaka, kolegi Ewy Krupińskiej. To, że przedstawił nam wiarygodne alibi na wieczór, w którym, jak nam się wydawało, zginęła druga dziewczyna, nie znaczy, że wiemy, co robił w nocy, gdy zginęła Ewa. To samo dotyczy Robercika. Nasza wpadka z jego

gumową przyjaciółką, którą wzięliśmy za zwłoki, nie powoduje automatycznie, że wyjaśnia się, skąd miał majtki ofiary. Czujemy zażenowanie z powodu tamtej pomyłki, jest nam wstyd, gdy przypomnimy sobie swoje ówczesne emocje i to, jak bardzo sami siebie wtedy oszukaliśmy. Dlatego podświadomie staramy się wypchnąć go z kręgu podejrzanych, żeby nie musieć sobie przypominać tamtego swojego upokorzenia. Ale obiektywnie rzecz biorąc, powody, dla których go wtedy podejrzewaliśmy, nie zniknęły.

Znowu zapadło milczenie. Rozłucki spojrział na Weronikę. Ich spojrzenia na krótką chwilę się spotkały. Czyżby dostrzegł w jej wzroku uznanie?

— No dobrze – powiedziała Karolina – a nie znaleźliście żadnych biologicznych śladów na ciele ofiary, które by mogły powiązać jej śmierć z którymś z tych trzech podejrzanych?

— Właśnie – powiedział komisarz. – Bo zapomniałem wam powiedzieć. Dostałem wczoraj wyniki z laboratorium.

— Zapomniałeś nam powiedzieć?! – Karolina nie potrafiła ukryć zdumienia. – I co wynika z tych wyników?

— Sęk w tym, że nic. Pewnie dlatego o nich zapomniałem. Na ciele ofiary nie stwierdzono żadnych śladów. Patolog twierdzi, że zostało dokładnie umyte i przebrane w czyste rzeczy. Rozmawialiśmy już z taksówkarzem i z tym kolegą – obaj potwierdzili, że Ewa Krupińska tamtej nocy ubrana była inaczej, bardziej wyzywająco. Jechała w końcu na imprezę do klubu.

Znaleźliśmy ją natomiast w dość skromnej sukience. Matka twierdzi, że nigdy jej wcześniej nie widziała.

— Nie zauważyła tego podczas identyfikacji zwłok?

— Była w dość ciężkim szoku. Trudno było z nią w ogóle nawiązać jakiś kontakt.

— Ten brak śladów sam w sobie jest istotnym śladem – zauważył Rozłucki. – Czy mi się wydaje?

— Oczywiście – przyznał Sądecki. – Problem w tym, że do niczego nas nie odsyła.

— Rozmawiałam na ten temat z naszym profilerem – odezwała się wreszcie Weronika. – Twierdzi, że może on świadczyć o dwóch rzeczach.

— Jakich? – spytała Karolina.

— Po pierwsze, o chęci zatarcia śladów. Czasami się zdarza, że mordercy, zwłaszcza seryjni...

— Znowu... – jęknął komisarz. – Myślałem, że mamy to już za sobą...

— Powtarzam tylko to, co powiedział Krzysiek – odpowiedziała Weronika.

„Krzysiek”? pomyślał Rozłucki. „Czyżby tych dwoje coś z sobą łączyło?” Poczul coś dziwnego, jakby lekkie ukłucie zazdrości. Zaraz się jednak zmytł. Co go to w ogóle obchodzi?

— Dobra, dobra, mów! – Machnął dłonią Sądecki.

— A więc czasem się zdarza, że mordercy postępują w ten sposób. Zwłaszcza ci bardziej inteligentni. Myją zwłoki po

wszystkim i przebierają, żeby nie zostawić na nich żadnych śladów mogących naprowadzić na ich trop. Takie rzeczy zdarzały się również w Polsce. Czasami jest tak, że zbrodnię dokonuje się pod wpływem impulsu, nie jest więc planowana, a chęć zatarcia śladów pojawia się w momencie, gdy morderca już trochę ochłonie i zaczyna uświadamiać sobie jej możliwe konsekwencje. Tu jednak mamy najwyraźniej do czynienia z innym przypadkiem: skoro ta sukienka nie należała do dziewczyny, oznacza to, że morderca musiał ją wcześniej kupić specjalnie w tym celu, a to oznacza z kolei, że zbrodnia została zaplanowana.

— A nie mogło na przykład być tak, że morderca miał tę sukienkę już w domu? – spytał Rozłucki. – Bo na przykład, czy ja wiem, ma córkę w podobnym wieku?

— Nasi technicy twierdzą, że sukienka jest fabrycznie nowa. Nie była nigdy wcześniej prana ani noszona.

— Po czym to można poznać?

— Często ubrania są jeszcze w fabryce spryskiwane specjalną substancją zapobiegającą gneceniu. Ta substancja spiera się podczas pierwszego prania. Na tej sukience ciągle jeszcze jest.

— Czy to jednak nie wyklucza nam z kręgu podejrzanych tego chłopaka? – spytał komisarz. – Trudno sobie przecież wyobrazić, by to umycie i przebranie zostało wykonane w lesie. Ktoś musiał więc tę dziewczynę, jeszcze żywą lub już martwą, zabrać gdzieś, do jakiegoś domu czy szopy, tam to zrobić, a potem przywieźć z powrotem. Ten chłopak mieszka z rodzicami. Nie łatwo byłoby mu

to zrobić, będąc przez nich niezauważonym.

— Dlaczego? – spytał Rozłucki. – Była noc, rodzice spali. Mógł ją, czy ja wiem, wnieść do jakiejś piwnicy...

— Ten dom nie ma piwnicy – przerwał mu komisarz. – Nowoczesne budownictwo. Wszystko na jednym poziomie. Co za tym idzie, wszystko pięknie słychać.

— Rodzice mogli być w zмовie – wtrąciła Karolina.

— W zмовie?!

— To znaczy, przepraszam, źle się wyraziłam, mogli po wszystkim pomagać mu zacierać ślady. Żeby uchronić swego synalka. Mieliśmy przykład takiego zachowania w sprawie, którą zajmowaliśmy się trzy miesiące temu.

— No tak – wtrącił Rozłucki – ale to jest w zasadzie argument przemawiający przeciwko takiemu scenariuszowi. Jest dość mało prawdopodobne, by ten sam schemat powtórzył się ponownie.

— Ale nie jest nieprawdopodobne.

— Nie jest.

— W jakiś sposób wyklucza nam to też Robercika – zauważył komisarz Sądecki.

— Dlaczego? – spytał Rozłucki.

— Gdyby zrobił to on, prawdopodobnie zrobiłby to po pijaku, pod wpływem impulsu. Mógłby obnażyć zwłoki, ale raczej by ich nie mył i nie przebierał. To zwykły pijaczek, mamy w policji często do czynienia z takimi morderstwami.

— Niekoniecznie – odparł Rozłucki. – Rozmawiałem z nim

wczoraj, wcale nie wydaje się taki zwykły. Jest w nim jakaś tajemnica. Potrafię sobie wyobrazić, że planuje to wszystko z dużym wyprzedzeniem. Może miał jakąś obsesję na punkcie tej dziewczyny? Albo po prostu upatrzył sobie ofiarę.

— To po co mu w takim razie ta lalka? – spytała Karolina. – Skoro tak postanowił rozładowywać swoje napięcie seksualne, po co kupował jeszcze lalkę?

— Wiadomo, kiedy ją kupił? – spytał Rozłucki.

— Kiedy przeszukiwaliśmy jego dom po morderstwie Ewy Krupińskiej, jeszcze jej nie było – poinformowała Weronika.

— Ale musiał ją zamówić znacznie wcześniej – zauważyła Karolina. – Skoro szła z Ameryki...

— Wcale nie – wtrącił komisarz. – Poczytałem sobie ostatnio w Internecie o tych lalkach – powiedział niewinnym głosem. – Jest w Niemczech sklep, który je sprzedaje. Jeśli nie zamawia się indywidualnej konfiguracji, tylko wybiera model z katalogu, mogą ją przysłać w dwa–trzy dni.

— Panie komisarzu! – udała oburzenie Karolina. – Nie wystarczy już panu żona?

— Służbowo to sprawdzałem, pani redaktor, służbowo.

— Można sobie w takim razie wyobrazić sytuację – zaczął Rozłucki – że Robercik zabija tę dziewczynę, dokonuje tej planowanej od dawna zbrodni, ale w jakiś sposób efekt go przeraża. Prawdziwy gwałt i prawdziwe umieranie to jednak coś o wiele bardziej drastycznego niż fantazje o nich. Postanawia więc kupić

sobie taką realistyczną lalkę, by móc na niej realizować swoje fantazje i nie musieć już więcej zabijać.

— Słuchaj, Zygmunt. – Komisarz Sądecki chyba po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. – Wyobrazić to sobie można dowolną rzecz. Jednak na mój prosty, policyjny rozum, wszystkie te twoje scenariusze są palcem na wodzie pisane. Może i faktycznie jest sporo wątpliwości co do tego, co ten chłopak i Robercik robili w tamtą noc, ale to ksiądz się przyznał. I to jest niepodważalny fakt. Dlaczego aż tak bardzo nie chcesz, żeby to był on?

Oczy wszystkich ponownie zwróciły się na Rozłuckiego, a on nie mógł nie przyznać, że to pytanie jest jak najbardziej zasadne. Dlaczego?

— Po prostu wydaje mi się, że to nie on zamordował tę dziewczynę.

— Na jakiej podstawie?

Właśnie, na jakiej? Wiedział, że jest jakiś powód, tylko jaki? Ktoś coś powiedział, ktoś coś zrobił, gdzieś w tym wszystkim jest szczelina, przez którą sączy się światło. Spróbował cofnąć się do minionych słów i wydarzeń, przewinąć jeszcze raz taśmę na podglądzie.

Po chwili już wiedział. Albo przynajmniej wydawało mu się, że wie.

— Kiedy rozmawiałem z nim poprzednim razem – zaczął – powiedziałem mu o naszych podejrzeniach względem chłopaka i Robercika. Zareagował na to w zastanawiający sposób.

— Jaki?

— Powiedział: „To na pewno nie oni”.

— Co w tym zastanawiającego?

— Wsłuchaj się w to, Rafał. Kiedy byś wypowiedział takie zdanie? W jakiej sytuacji?

— Gdybym wiedział, że to nie oni.

— Dlaczego?

— Bo to ja byłbym mordercą.

— Nie. Gdybyś to ty był mordercą, użyłbyś innego sformułowania. Powiedziałbyś po prostu: „To nie oni”. Użycie zwrotu „na pewno” świadczy, że on wie, kto to zrobił, ale że to nie był on.

Komisarz popatrzył na niego przeciągle.

— I to dlatego uważasz, że jest niewinny? – spytał.

— Tak.

— Nie przekonuje mnie to. A was? – zwrócił się do pozostałych.

Odpowiedzią była cisza.

— Zaufajcie mi – odparł Rozłucki. – Poprzednim razem moja intuicja was nie zawiodła.

Komisarz po raz nie wiadomo który poprawił się na krześle. Skrzywił się przy tym z bólu.

— Strasznie ciągnie mnie noga – powiedział. – Nie mogę tak długo siedzieć. Muszę z tym wreszcie pójść do lekarza.

— Na moje oko to rwa kulszowa, panie komisarzy – oceniła Weronika. – Jedna z pierwszych oznak starości. Mój ojciec to ma.

— Bardzo ci dziękuję, kochana, za tę szybką i jakże delikatnie postawioną diagnozę – odparł komisarz. – To co proponujesz? – zwrócił się do Rozłuckiego.

— Daj mi parę dni. Spróbuję się jeszcze czegoś dowiedzieć.

— Masz na to jakiś pomysł?

— Mam. Wczoraj na niego wpadłem. Po pijaku.

Komisarz wbił w niego wzrok, jakby rozważał wszystkie za i przeciw.

— Niestety – odparł w końcu. – Przykro mi. Musisz wiedzieć, że pomysł z zakończeniem śledztwa jest nie tylko mój. Naciska mnie góra. A ją z kolei naciska jej góra. Podobno sam ratusz się tym interesuje. Żeby to ciągnąć dalej, musiałbym mieć jakąś poważną poszlakę, coś, co mógłbym pokazać przełożonym, a oni nie mogliby tego zignorować. To, co powiedziałaś, nie jest czymś takim. Szczerze powiedziawszy, mnie samego to nie przekonuje. Więc tym bardziej nie będę narażał dla czegoś takiego swojej dupy. Sorry, śledztwo uważam za zamknięte.

— Ratusz? – zdziwiła się Karolina. – Myślałem, że oni są z tej przeciwnej opcji. I że taki skandal jest im nawet na rękę.

— Nikomu w mieście to nie jest na rękę. Jesteśmy stolicą Warmii i Mazur, jednego z trzech najważniejszych turystycznych regionów Polski, nie pamiętasz? Mamy się kojarzyć ze słońcem, z jeziorami, żaglami i wypoczynkiem. A nie z księdzem mordującym nastolatki.

ROZDZIAŁ 25

Nie był pewny, czy głównym celem pomysłu, o którym mówił na komendzie, było rzeczywiście odkrycie prawdy o śmierci Ewy Krupińskiej. Czy nie chodziło po prostu o to, by wymyślić wiarygodne, przede wszystkim dla samego siebie, usprawiedliwienie umożliwiające mu rzucenie się głową w dół w nurt rwącej alkoholowej rzeki? Faktycznie wymyślił to wczoraj po pijaku. Siedząc pod sklepem z miejscowym menelem, podejrzewanym do tego o morderstwo, najpierw zdziwił się, co on, szacowny doktor psychologii, tu robi. Z jego wykształceniem i pozycją społeczną powinien był raczej należeć do gatunku wysoko funkcjonujących alkoholików, gości, którzy wieczorem dają ostro w palnik, a rano myją się, golą, łykają witaminy i idą odnosić kolejne sukcesy. Tacy ludzie nie piją pod sklepem. Sączą whisky lub popijają wino w zaciszu domowych gabinetów. Rzygają w czystych, wyłożonych włoską terakotą łazienkach. Nie brudzą sobie spodni, siedząc na ziemi i opierając się o betonową ścianę. Nie przypijają plastikowymi kubeczkami do zapijaczonych aborygenów.

Wyobraził sobie wówczas, że jest kimś w rodzaju naukowca uczestniczącego w badaniach terenowych prymitywnych plemion. „Obserwacja uczestnicząca”, tak to się chyba nazywa. Czytał o tym

kiedyś w jakiejś książce. Polega ona na tym, że antropolog, zamiast przypatrywać się życiu interesującego go plemienia z boku, zapisując wszystko w swoim kajeciku niczym ornitolog obserwujący przez lornetkę ptaki, stara się wejść w jego życie, stać się jednym z jego członków i dopiero z tej perspektywy poznać wierzenia i zwyczaje badanego ludu.

W zasadzie dopiero następnego dnia rano myjąc powoli zęby, w tym krótkim przeblysku owej niezwyklej jasności umysłu, jaki pojawia się czasem między przebudzeniem a nadejściem kaca, uświadomił sobie, że byłaby to całkiem niezła metoda prowadzenia śledztwa. Ta wieś, której mieszkańcem był od niedawna, a w której w przeciągu niezbyt długiego okresu doszło do dwóch tak spektakularnych zbrodni, musiała skrywać wiele tajemnic. Wiele zadawnionych urazów, sąsiedzkich konfliktów, buzujących pod powierzchnią namiętności. Może jest coś, coś, o czym nie mówi się obcym, a co mogłoby rzucić nowe światło na morderstwo Ewy Krupińskiej? Nie mówi się zaś może po prostu dlatego, że obcy nie wiedzą, o co pytać? Najszybszym zaś sposobem, by przestać być obcym, jest zacząć z nimi pić. Na inne – zasiedzenie się, zapoznanie, opatrzenie się miejscowym – nie było dość czasu. Alkohol skraca perspektywę i zmniejsza dystans. Już w jeden wieczór można stać się czyimś najlepszym przyjacielem. Jest jak wehikuł czasu zamknięty w butelce.

Poza tym można realizować w ten sposób swoje własne suicydalne skłonności. Nasilone szczególnie po ostatnich

wydarzeniach.

Byłby to więc jednocześnie i niezły pomysł, i dobry pretekst. Podwójne trafienie.

Myślał o tym na chłodno, jakby nie chodziło już o niego. Rozważał różne za i przeciw. Wydawało mu się nawet zabawne, że staczając się w alkoholowe otchłanie, będzie próbował załatwić jeszcze przy okazji jedną sprawę dla dobra ludzkości. Jakby pogrążając się w bagnie, przycinał jeszcze krzaczki naokoło. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że nie o krzaczki mu tak naprawdę chodzi, a o bagno. Krzaczki są tylko rodzajem usprawiedliwienia. Nie po to będzie pił, by poznać prawdę. Będzie próbował poznać prawdę, by mieć pretekst do picia i nie odczuwać z tego powodu nadmiernych wyrzutów sumienia. Jego nowa metoda śledcza będzie więc rodzajem pokrowca w kwiatki na nóż, którym miał zamiar podciąć sobie gardło.

Jakkolwiek by było naprawdę, humor mu się znacznie poprawił. Jego stara, dobra przyjaciółka – depresja, która już powoli wypełzała ze swojej skrytki pod podłogą, ponownie się do niej schowała. Szedł w stronę wsi i nawet lekko pogwizdywał. Przepęłniała go dziwna, radosna energia, jaka często włącza się pijakom, gdy widzą przed sobą perspektywę chlania. Ale chodziło nie tylko o to. Znowu miał przed sobą cel. Coś się działo. Świat z powrotem zaczynał się kręcić, a on siedział w samym środku tej karuzeli. Nie bez znaczenia była też mała i raz za razem tłumiona myśl, odradzająca się jednak wciąż jak rozdeptywany nogą chwast

– że może kiedy wreszcie odkryje prawdę, rozwiąże zagadkę, dowie się, kto był mordercą małej Ewy Krupińskiej, ona, Karolina, znowu spojrzy na niego tak, jak tamtego wieczoru trzy dni temu. I to nawet lepiej, że Sądecki zakończył śledztwo, tym większa będzie jego chwała. Wiedział, jak iluzoryczna, jak kłamliwa była to nadzieja. Wiedział, że nie tak to działa. Kobiet nie zdobywa się, wchodząc na szczyty, odkrywając wiekopomne wynalazki i tworząc wspaniałe dzieła. Kobiety zdobywa się, gdy chcą być zdobyte. A ona najwyraźniej nie chciała. Był dla niej epizodem, kaprysem władczyni, ofiarą złożoną jakimś własnym, wewnętrznym demonom. Kiedyś należałoby się zastanowić, jakie to demony. Póki co jednak było mu dobrze z tą myślą, więc nie miał zamiaru się od niej ostatecznie uwalniać. Pozwalała mu ona unosić się, przynajmniej przez jeszcze jakiś czas, na powierzchni życia.

Okłamywanie siebie. Czym byśmy byli bez tego?

Doszedł pod sklep. Nikogo w nim ani przed nim jeszcze nie było. Znużona sprzedawczyni siedziała na schodku i paliła papierosa. Była ładna. Jakimś takim przydeptanym, niezniszczonym jeszcze i nieroztytym do końca powabem. Za chwilę stanie się zgorzkniałą, grubą babą, ale to za chwilę. Teraz jeszcze była całkiem niczego sobie.

Minął ją, mówiąc „dzień dobry”, i wszedł do sklepu. Odłożyła palącego się papierosa na schodek i weszła za nim. Kupił piwo z miejscowego, olsztyńskiego browaru. Kosztowało prawie dziesięć złotych, więc zapewne nie było na nie zbyt wielu chętnych wśród

miejscowych koneserów. Wyszedł na zewnątrz i usiadł pod ścianą, w tym samym miejscu co wczoraj. Otworzył butelkę kluczami. Piwo było ciepłe, bo w lodówce stały tylko butelki i puszki wielkich koncernów, które z piwem miały wspólną jedynie nazwę. Ale i tak było smaczne. Żytnie IPA, cokolwiek by to znaczyło.

Starał się pić je powoli. Zbliżał się wieczór, było więc kwestią czasu, aż pojawi się tu któryś ze stałych rezydentów. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Zabijał czas, przyglądając się światu. Spróbował starej zabawy, tak polecanej przez wszystkie pseudoporadniki dobrego życia. Bądź tu i teraz. Ciesz się terażniejszością. Nie myśl o przeszłości i przyszłości. Napawaj się bieżącą chwilą. No więc tu i teraz było nudno. Trochę bolał go tyłek od siedzenia na twardym. Za lewym uchem coś go swędziało, a majtki niezbyt przyjemnie uwierały go w krocze. Pociągnął z butelki kolejny łyk piwa, tym razem większy. Od razu lepiej.

Po godzinie czy nawet półtorej ktoś się wreszcie zjawił.

Nie był to Robercik, ale ten drugi. Ten, którego spotkał pod sklepem poprzednim razem. Ubrany w przybrudzoną koszulkę Barcelony, z płaską twarzą Eskimosa. Przechodząc koło Rozłuckiego, przyjrzał mu się ciekawie. Wszedł do sklepu, a po chwili z niego wyszedł, trzymając w dłoni plastikową czarną butelkę z najtańszym, ale za to bardzo mocnym piwem.

Usiadł pod ścianą sklepu parę metrów od Rozłuckiego. Odkręcił butelkę i pociągnął z niej spory łyk. Rozłucki napił się ze swojej.

Zastanawiał się, czy już spróbować do niego zagadać, czy jeszcze chwilę poczekać? Postanowił trochę się jeszcze wstrzymać. Dzikie zwierzęta należy najpierw oswoić ze swoim widokiem.

Innym pytaniem było: co też w zasadzie miałby powiedzieć? Spytać, co słyhać i jak leci? Nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w rozmowach z menelami, a już żadnego w wyciąganiu od nich potrzebnych informacji. Jedyna nadzieja, że alkohol ustanowi między nimi tymczasowy most informacyjny. Oraz że uda mu się, co może nie być takie trudne, odnaleźć menela w sobie.

Jak się okazało, niepotrzebnie się martwił. Komunikacja nawiązała się, można powiedzieć, sama. Jego oddalony o trzy metry chropowatego muru towarzysz narzucił sobie dość ostre tempo. Czarna plastikowa butelka o pojemności na oko znacznie przekraczającej pół litra już po chwili była pusta. Mężczyzna zaczął kręcić się i rozglądać nerwowo. W końcu odwrócił w jego stronę ogorzałą, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami twarz i spytał schrypniętym głosem:

— Lubisz cytrynowkę?

Bezpośredniość tego pytania jeszcze raz uzmysłowiła Rozłuckiemu, że wszystko jest znacznie prostsze, niż to się wydaje ludziom cierpiącym na przerost wyobraźni i intelektu.

— Lubię – odpowiedział, choć, na Boga, nigdy chyba czegoś takiego nie pił.

— To kup – usłyszał. – Potem ci oddam.

Niepotrzebnie aż tak oszczędzał to swoje piwo. Nie wypił go

nawet do połowy, a kontakt z tubylcami był już nawiązany. Pociągnął jeszcze jeden, długi łyk, potem odstawił butelkę pod ścianę i wstał.

— Tylko lubelską – poinstruował go mężczyzna. – Nie krupnik.

Rozlucky wszedł do sklepu, kupił cytrynowkę i – nauczony doświadczeniem – jednorazowe kubeczki. Czekaając, aż sprzedawczyni nabije to wszystko na kasę, z ciekawością zerknął na etykietę. „Napój spirytusowy”, przeczytał. „Tradycyjna receptura”. Tradycyjna receptura oznaczała zapewne, że składał się on z taniego spirytusu, cukru i chemii. Zapłacił i wyszedł.

Jego przyszły współbiesiadnik czekał już na niego, stojąc przy schodach.

— Chodźmy za sklep – powiedział. – Tam jest bardziej przytulnie.

Obeszli budynek z prawej strony i wyszli na jego tyły. Był tam mały, stary zbiornik przeciwpożarowy zarośnięty rzęsą i otoczony pokrzywionym płotem z siatki. Obraz dopełniały wysokie na ponad metr chwasty, sprasowane i ściągnięte taśmą paczki z kartonowymi pudłami po produktach ze sklepu oraz walające się wszędzie najprzeróżniejsze śmieci. Jeśli było tu przytulnie, to znaczy, że definicja tego pojęcia ostatnimi czasy radykalnie się zmieniła.

Poszli jednak jeszcze trochę dalej, obeszli zbiornik i usiedli w cieniu ni to krzewów, ni to drzew rosnących tuż za nim. Butelki po różnych alkoholach oraz wysiedziana trawa świadczyły, że było to

stałe miejsce tego typu biwaków. Rozłucki wyjął dwa kubeczki i nalał do nich jasnożółtego napoju. Jeden podał mężczyźnie, a drugi podniósł do ust.

Smak tego dziadostwa był ohydny. Czuć było wyraźnie ostry, bardzo kiepskiej jakości alkohol, słabo zamaskowany dużą ilością cukru i kwaśnawym posmakiem, który z prawdziwymi cytrynami niewiele miał raczej wspólnego. Trzeba jednak przyznać, że całość była w miarę pijalna i, co chyba istotne, można to było wlewać w siebie bez zapojki.

— Uhhh... – westchnął rytualnie mężczyzna, co miało zapewne znaczyć, że alkohol był mocny, a co za tym idzie, dobry. Po cytrynowce w jego kubku nie było już nawet śladu. Wyciągnął go w kierunku Rozłuckiego, by ten napełnił go ponownie. Rozłucki pospiesznie przełknął swoją porcję i uzupełnił płyn w obu naczyniach.

Z niejakim zdziwieniem stwierdził, że napój spirytusowy o tradycyjnej recepturze, choć podły, działa tak samo, jak najlepsza osiemnastoletnia whisky single malt. Poczuł w żołądku przyjemne ciepło. Myśli zaczęły biec szybciej i swobodniej. Mięśnie rozluźniły się. Jego towarzysz najwyraźniej odczuwał to samo. Wypił szybko zawartość drugiego kubeczka, po czym rozciągnął się na wygniecionej trawie w pozycji półleżącej, z wyrazem twarzy pogodzonego z losem Buddy.

— A gdzie Robercik? – spytał Rozłucki, który uznał, że sytuacja dojrzała, by rozpocząć konwersację.

— Kto go tam wie? – odparł niedbale mężczyzna. – Miał być. Ale jego zawsze gdzieś nosi. Raz przyjdzie, raz nie przyjdzie. Nawet jak mówi, że przyjdzie, to może nie przyjść. A ty się potem, człowieku, martw.

Znaczyło to zapewne, że to Robercik zazwyczaj kupował alkohol, przynajmniej ten mocniejszy. Jego absencja powodowała, że mężczyzna, z którym teraz rozmawiał, musiał się obejść piwem. Pojawienie się w tym momencie Rozłuckiego, jako niespodziewanego sponsora, musiało być dla niego swoistym darem niebios. Warto by było to wykorzystać.

Nagle Rozłucki przypomniał coś sobie.

— Jak rozmawialiśmy za pierwszym razem, spytałeś, czy potrzebuję kogoś do roboty, bo chętnie byś się najął. Ale że pracujesz najwyżej dwie godziny. Dlaczego tylko dwie? – Naprawdę go to ciekawiło.

— Biorę dziesięć złotych za godzinę – wyjaśnił rzeczowo mężczyzna. – Dwadzieścia złotych kosztuje butelka wódki. Po co mi więcej?

— No tak – pokiwał głową Rozłucki. – To ma sens.

— A co, miałbyś coś?

— W zasadzie to nie. – Rozłucki pomyślał przez chwilę o zamurowanych oknach w sypialni, ale uznał, że aby się zachlać na śmierć, nie potrzebuje porannych promieni słońca oświetlających mu wezłowie.

— Naprawdę nic? W każdym domu jest coś do roboty.

Rozłucki zastanowił się.

— Jeśli już, to przydałby mi się mechanik. Znasz kogoś?

— Może i znam – odparł mężczyzna. – A o co chodzi?

— Stoi u mnie na podwórku samochód przykryty plandeką.

Zastanawiam się, czy nie dałoby się go uruchomić. Przydałoby mi się auto.

— Co to jest?

— Chyba duży fiat.

Mężczyzna pokiwał głową.

— Mogę kiedyś zerknąć. Skończyłem technikum samochodowe – popatrzył w niebo z namysłem – będzie z dwadzieścia lat temu. Tych nowych samochodów bałbym się dotknąć, ale dużego fiata mógłbym rozłożyć i złożyć z zamkniętymi oczami. Wpadnę jutro rano, to zobaczymy.

Zrobiło się jakoś tak leniwie. Leniwie i przyjemnie. Słońce prześwitywało przez liście drzewa, pod którym siedzieli. Wiał lekki wietrzyk. Gdzieś w oddali buczała szosa. Rozłucki pomyślał, że w zasadzie odechciało mu się wypytywać kogokolwiek o cokolwiek. Jedyne, co mu się chciało, to dokończyć tę cytrynowkę i pójść po następną.

Przemógł się jednak i spytał:

— A ten Robercik to co?

ROZDZIAŁ 26

O mało sam nie parsknął śmiechem, kiedy usłyszał, jak pokraczne zadał pytanie. Najwyraźniej jednak przekaz dostosowany był do odbiorcy, bo jego rozmówca wzruszył tylko ramionami i odparł:

— Robercik? Robercik nic. Chodzi to to po świecie nie wiadomo po co i przepija majątek po rodzicach. Też bym tak chciał, ale żona nie pozwala.

— Masz żonę?

— Zaraz żonę. Łazi mi taka baba po domu, forsy pilnuje i o wszystko ma pretensję. Musi co żona.

— A Robercik nie miał nigdy?

— Żony?

— Żony, dziewczyny, narzeczonej...

— Nie. To znaczy miał, ale nic z tego nie wyszło.

— Kogo?

Mężczyzna machnął ręką.

— Po co do tego wracać.

Rozlucki nachylił się w jego stronę i wlał mu resztę cytrynowki do kubeczka. Potem przypił do niego swoim kubkiem. Stuknęli się tymi plastikowymi kielichami i wypili. Wiedział, że chodziło o matkę Ewy Krupińskiej, zastanawiał się tylko, dlaczego jego

towarzysz trzyma to w tajemnicy.

— Skończyła się – stwierdził mężczyzna. – Wódka jest jak życie – powiedział z udawanym patosem – niby wiadomo, że kiedyś się skończy, ale jak przychodzi co do czego, zawsze jest to nieprzyjemne zaskoczenie.

— Kupić jeszcze jedną? – spytał Rozłucki.

— Ja pójdę. Tylko forszę daj.

Wstał nieporadnie i podszedł do Rozłuckiego.

— Palisz? – spytał.

Rozłucki zrozumiał aluzję.

— Nie, ale możesz kupić paczkę. – Dał mu czterdzieści złotych. – Wystarczy?

— Powinno.

Patrzył, jak mężczyzna odchodzi w stronę sklepu. Jego chód przypominał trochę chód słońca. Stawiał kroki powoli i z namysłem, jakby starał się zmarnować na przemieszczanie tylko taką ilość energii, jaka jest do tego absolutnie niezbędna.

Po chwili wrócił. Stał przed siedzącym Rozłuckim i wyciągnął w jego stronę dłoń z butelką, prawie podstawiając mu ją pod sam nos.

— Kupiłem inną – oznajmił. – Antonówkę. Jest trochę słodsza, ale bardziej aksamitna.

— Może być.

— Bo jest jeszcze ananasówka. Ale ona jest moim zdaniem za słodka.

— Ta jest w porządku – odparł Rozłucki, który chciał tylko, by mężczyzna przestał przystawiać mu butelkę do samej twarzy.

— Bo w zimę najlepsza jest wiśniówka – dodał mężczyzna, lecz całe szczęście opuścił już rękę z butelką.

Rozłucki odetchnął z ulgą i pomyślał z pewnym zdziwieniem, ile to różnych smaków da się wytworzyć, korzystając z pomocy odległej, niemieckiej fabryki chemii.

Mężczyzna siadł na swoim dawnym miejscu i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

— Na pewno nie chcesz? – spytał.

Rozłucki pokręcił głową. Mężczyzna wyjął jednego papierosa i odpalił go jednorazową, przezroczystą zapalniczką. Zaciągnął się z lubością, po czym spojrzał na paczkę. Widniało na niej ohydne zdjęcie przedstawiające jedną z chorób, jakich się można nabawić, paląc, i duży czarny napis w ramce.

— „Palenie powoduje impotencję” – przeczytał. – To zupełnie jak moja stara.

Odkręcił sprawnym, znamionującym wieloletnie doświadczenie gestem butelkę i mrużąc powieki, by dym z trzymanego wciąż w ustach papierosa nie wpadał mu do oczu, nalał alkohol do kubeczków.

— Jak ty się w zasadzie nazywasz? – spytał.

— Zygmunt.

— A ja Krzysiek.

Wypili.

Antonówka była całkiem niezła. I faktycznie, co stwierdził z niejakim zdziwieniem, bardziej aksamitna od cytrynówki. Rozłuckiemu te dziwne wynalazki smakowały coraz bardziej. Zaczął się wręcz zastanawiać, po co wydawać dwieście złotych na whisky single malt, skoro za dwadzieścia można kupić takie чудо?

— To jak było z tą dziewczyną Robercika? – spytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— A jak miało być? Kochali się, kochali, a potem przestali. Niby zawsze tak jest, mi z żoną też się ta sztuczka udała. Tylko że nam zajęło to dziesięć lat, a oni uwinęli się w jedno lato.

— Kiedy?

— Dawno. Mieli chyba z osiemnaście lat wtedy.

— Normalna sprawa. Każdy coś takiego przechodził. Ja też.

— Niby tak, ale on się już po tym nie wyprostował.

— Jak to?

— Ano tak to. Nie miał już potem innej dziewczyny. Ani żony, ani nikogo. Jakby tamto lato wszystko w nim wypaliło.

— Stało się wtedy coś?

— Po co do tego wracać? – odparł po raz kolejny mężczyzna.

Rozłucki uznał, że przyda mu się jeszcze trochę wspomagacza szczerości. Wyciągnął dłoń po butelkę i nalał płyn do obu kubeczków. Wypili. Tempo było ostre. Zaczynało mu się już powoli kręcić w głowie.

— A tak w ogóle to jak tu u was jest? – postanowił zacząć z innej beczki.

— Gdzie?

— No, tu u was, na wiosce.

Mężczyzna zaśmiał się.

— Na wiosce?! – spytał. – U nas tak się nie mówi. Widać, że przyjechałeś z Warszawy.

— To jak się mówi?

Mężczyzna zastanowił się.

— W miejscowości. Bo w zasadzie to cholera wie, co to w ogóle jest. Wieś raczej nie, ale miasteczko też nie. Miejscowość. I nie próbuj tu mówić po wioskowemu, bo tylko na głupka wyjdiesz. Tu się normalnie mówi, jak w telewizorze. Nie mamy tu żadnej gwary, czy czegoś takiego. I nigdy nie mieliśmy.

— Dlaczego?

— Nas tu na te ziemie wszystkich pociągami przywieźli po ostatniej wojnie. Jak już Rusczy wygnali stąd Niemców. Całkowita wymiana ludności. Tym już dziękujemy, a tych zapraszamy. Powinni do nas wycieczki zwozić, bo nie ma drugiego takiego miejsca w Europie. Jedni przyjechali z Litwy, inni z Białorusi, jeszcze inni, jak ty, z Mazowsza. Jest też trochę Ukraińców wysiedlonych z Bieszczad, paru Niemców, co się ostali. I trochę polskich Warmiaków, których dopiero polskiej władzy udało się zgermanizować. To się wszystko wymieszało, przegryzło i teraz już wszyscy jesteśmy stąd.

— A tu u was, w miejscowości, skąd ludzie są?

— Jest parę rodzin jeszcze sprzed wojny, ale oni to raczej siedzą

w tych gospodarstwach rozrzuconych po okolicy, gdzieś pod lasem albo nad jeziorem. Niektórzy, zwłaszcza ci najstarsi, do tej pory między sobą po niemiecku gadają. Tu u nas to w większości ludność napływowa, z różnych stron. No i są ci nowi, co to ostatnio sobie tu działki kupili i wille pobudowali. Z Olsztyna głównie.

— Są jakieś konflikty między wami? Lubią się tu ludzie czy raczej krzywo na siebie patrzą?

— To różnie. Kiedyś, jak jeszcze byłem młody, to się autochtonów nie lubiło, że to niby Niemcy. Teraz to się bardziej tych nowych nie lubi. Bo nosy zadzierają i patrzą na nas z góry, jak na jakichś Murzynów w koloniach.

— Były tu jakieś większe kłótnie?

— A były, były. Jak jeszcze stary Gorbała żył. Ten to się lubił kłócić ze wszystkimi. Ale i ludzie z nim się kłócić lubili, bo jego bogactwo w oczy kłuło. Teraz to już ludzie są przyzwyczajeni, że ktoś ma pieniądze, normalna sprawa. Ale kiedyś? Wszyscy mieli w miarę po równo, a tu jeden bogacz! Pan na kurnikach! To ludziom gula skakała. Ale z drugiej strony stary trzymał wszystkich w garści, bo pieniądze miał. Księdzu na dach w kościele dołożył, sypnął groszem na gminną kanalizację, komputery do szkoły kupił. Więc go ludzie nie lubili, ale zadzierać z nim za bardzo nie chcieli, a i nawet wdzięczni trochę byli. I przez tę wdzięczność go jeszcze bardziej nie lubili.

— A ten młody?

— Andrzejek? O, ten to jest dopiero miglanc! Ale zawsze taki

był.

— „Andrzejek”? Znacie się?

— No ba! Chodziliśmy wszyscy do jednej klasy w podstawówce. Ja, on i Robercik.

— Naprawdę? – Rozłuckiemu jakoś nie mogło pomieścić się w głowie, że ten zapijaczony, powłóczący nogami menel był kolegą wymuskanego gościa z białego porsche cayenne.

— Co się tak dziwisz? – obruszył się mężczyzna. – Wtedy nie było jeszcze prywatnych szkół. Nawet jak miałeś forsy jak lodu, to twój dzieciak musiał chodzić do zwykłej podstawówki, razem z innymi.

— Dlaczego z niego taki miglanc?

— Dopóki stary żył, to jeszcze się jakoś trzymał. Kłócili się, raz nawet pobili, ale Andrzejek udawał dobrego syna, bo stary umiał trzymać wszystko twardą ręką i jakby mu synalek podskakiwał, nie zawahałby się go wydziedziczyć. Ale jak stary umarł parę lat temu i Andrzej odziedziczył majątek, to już zupełnie się urwał ze smyczy. Matkę oddał do domu opieki, a żonie z córkami kazał się wyprowadzić do Olsztyna, do mieszkania, które im tam kupił. Chodziło niby o to, żeby dziewczynki miały bliżej do gimnazjum, ale tak naprawdę chciał się ich pozbyć z domu, żeby mu nie przeszkadzały. No i się wtedy zaczęło! Imprezy, chłanie, sprowadzanie panienek, dziwek nawet. Mówię ci, Zygmunt, Robercik i ta jego gumowa lala to nic przy tym, co się wyprawia w pałacu Gorbały. Zresztą oni są do siebie w jakiś sposób podobni. I

mają podobny pomysł na życie. Z tym że Robercik przepija gospodarke rodziców na smutno i z rozmyslem, a Andrzejek trwoni majatek na wesoło i z głupoty. Ale uważa się za wielkiego biznesmena! Ile on pomysłów miał, to głowa mała! A na każdym miał zbić taki majatek, że pół Polski potem jego. Maszyny jakieś dziwne sprowadzał – stoją teraz zakurzone w jego kurnikach. Miał otworzyć fabrykę w spółce z jedną firmą z Holandii – nic z tego nie wyszło. Teraz z kolei hotel będzie ogromny budował nad jeziorem – już to widzę. Prawda jest taka, że to, co jego ojciec ciężką pracą i duszeniem każdego grosza zbudował, to Andrzej teraz w szybkim tempie rozpirza. Podobno już długi ma. Oj, coś mi się wydaje, że nie minie parę lat i spotkamy się z nim pod tym sklepem. Znowu we trzech, jak w podstawówce. Tylko tym razem nie na lodach.

Pociągnął z kubeczka wyraźnie zadowolony z możliwości upadku swojego dawnego kolegi.

— Chyba że wcześniej trafi do więzienia – dodał lekko już bełkotliwie. – Bo tam akurat się nie wybieram.

— Dlaczego miałby trafić do więzienia? – spytał Rozłucki i sam siebie ledwo zrozumiał. Jego towarzysz najwyraźniej jednak rozumiał języki ludzi i aniołów albo po prostu przez lata wysiadywania pod sklepem miał już ucho przyzwyczajone do nonszalanckiej pijackiej wymowy, bo odpowiedział od razu:

— Dlaczego? – zaśmiał się nieprzyjemnie. Widać było, że obgadywanie dawnego kolegi z klasy wprawia go w niezdrowe podniecenie. – Już raz o mało tam nie trafił.

— Za co? – Rozłucki spróbował jeszcze raz się skoncentrować, choć właśnie przekroczył granicę oddzielającą spokojną pijacką równinę, po której, jak to się wydaje na początku, można maszerować bez końca, od stromego alkoholowego urwiska, z którego da się już tylko zjeżdżać w dół.

— Za gwałt.

Rozłucki mocno przygryzł wargę, żeby w ten sposób choć trochę otrzeźwieć. To mogło być dokładnie to, czego szukał. „Żeby to tylko zapamiętać!”, pomyślał. „Żeby tego, kurwa, nie zapomnieć!”

— Jak to? – spytał, resztkami sił utrzymując swój umysł ponad powierzchnią cytrynowo-antonówkowego oceanu.

— Tak to. Od jakiegoś czasu w tych swoich kurnikach zatrudnia Ukraińców. W całej okolicy zresztą tak jest. Niby tu u nas bezrobocie i bieda, a jak potrzeba pracowników, to trudno kogoś znaleźć. A Ukrainiec przyjedzie, mniej weźmie, a przykłada się bardziej. Z tym że nasz Andrzejek zatrudnia raczej Ukrainki, a nie Ukraińców. I to wybiera te ładniejsze. Już od dawna mówiło się, że nie mają z nim lekko. No i z rok temu jedna oskarżyła go o gwałt.

— To czemu nie siedzi?

— Wycofała oskarżenie. Przekupił ją pewnie, bo wyjechała wkrótce potem.

Rozłucki wstał gwałtownie. O mało się przy tym nie przewrócił.

— Muszę już iść – powiedział. Zrozumiał, że jeśli jakoś nie zapisze tego, co przed chwilą usłyszał, jutro może o tym nie pamiętać.

Ruszył chwiejnie ścieżką w stronę sklepu. Jego towarzysz ani się tym nie zdziwił, ani tego nie skomentował.

Było już ciemno, a on był pijany. Bardzo, bardzo pijany. Z każdym krokiem uświadamiał to sobie coraz dobitniej. Nalewkopodobne wynalazki, którymi się dziś raczył, okazały się mocno zdradliwe. Piło się je łatwo i równie łatwo było przeoczyć moment, w którym skumulowane stężenie alkoholu w organizmie przekracza jakikolwiek rozsądny poziom. Póki jeszcze siedział, nie czuł tego aż tak bardzo. Gdy wstał, gdy jego pobudzone ruchem serce zaczęło szybciej tłoczyć przealkoholizowaną krew do tętnic, o mało nie stracił przytomności. Ledwo widział, dokąd idzie, ledwo pamiętał po co.

Doszedł do tylnej ściany sklepu i oparł się o nią wyciągniętą ręką. Rzeczywistość kołysała się wokół niego, jakby płynął statkiem.

— Kurwa... – powiedział głośno. – Kurwa! – krzyknął.

Trochę pomogło. Zaraz, co to takiego miał zrobić? Aha, już sobie przypomniał. Sięgnął drugą ręką do kieszeni i wyciągnął komórkę. Gdzieś tu miał aplikację do robienia notatek. Gdzieś, kurwa, na ekranie startowym... Rozjarzony wyświetlacz oślepił go w pierwszej chwili. Pijany mózg miał problemy z akomodacją. Spróbował patrzeć jednym okiem, z bliska, a potem pod kątem, ale i tak ledwo widział. W końcu ją znalazł i otworzył.

Wprowadzanie liter układających się w zrozumiałe słowa przekraczało jednak jego możliwości. Aplikacja do tego co i raz

zamykała się albo kasowała to, co już zapisał, gdy jego na wpół sparaliżowane paluchy dotykały nie tego, co trzeba. Spróbował użyć funkcji rozpoznawania mowy, lecz i ta próba skończyła się spektakularną klęską. Najwyraźniej jego pijacka artykulacja stanowiła zbyt wielkie wyzwanie dla internetowych serwerów.

Schował telefon do kieszeni i ruszył wzdłuż ściany sklepu. Wspierając się o nią wciąż jedną ręką, obszedł go i dotarł do drzwi. Kupi albo pożyczy długopis i kartkę, a potem zapisze to, co chce zapamiętać, choć w tym momencie nie był już pewny, co to było. Ale gdy się skupi, będzie w stanie to sobie jeszcze przypomnieć, był tego pewien.

Pierdolony próg pokrzyżował i ten plan. Nie zauważył go, potknął się i wywalił jak długi wprost na szybę w drzwiach, która nie stłukła się tylko dlatego, że przywalił w nią nosem. Sprzedawczyni widząc to, podeszła szybko i przekręciła zamek. Zebrał się z ziemi i nie bacząc na krew ciekącą po brodzie, zaczął krzyczeć, by go wpuściła i walić dłońmi w drzwi. Nawet jeśli zrozumiała, co mówił, nie zrobiło to na niej wrażenia. Wymownym gestem pokazała na telefon, sugerując w ten sposób, że zadzwoni na policję, jeżeli nie odejdzie.

Zrozumiał, że w tym stanie i po tym, co zrobił, nie zdoła jej przekonać. Jedynym dostępnym w tym momencie rozwiązaniem było więc spróbować dojść do domu i tam zapisać wszystko na kartce. W kuchni na blacie leżał długopis, a w szufladzie był jakiś zeszyt, jeszcze po Romanowskim.

Odwrócił się plecami do sklepu i spojrzał przed siebie. Kilka wysokich latarni dawało nikłe światło. Za nim rozciągało się nieskończone pole mroku. Ruszył w tę stronę.

ROZDZIAŁ 27

Obudził go punktowy, kłujący ból głowy. Następną rzeczą, którą poczuł, była suchość w ustach. Spróbował przełknąć ślinę. Aż zaboląło. Język, który leżał między zębami, najwyraźniej nie był jego. Ktoś musiał wyjąć ten jego w nocy i zamienić na jakiś inny.

Nie otwierał oczu, licząc, że uda mu się jeszcze wrócić tam, gdzie przed chwilą był i gdzie nic go nie bolało. A tych bólów z każdą chwilą przybywało. Bolało go właściwie całe ciało: krzyż, szyja, bok, ręka. Było mu też zimno. Szczerze powiedziawszy, był przemarznięty do szpiku kości.

Spróbował zmienić pozycję i wtedy zrozumiał, że nie leży na łóżku. Ani swoim, ani jakimkolwiek innym. Leżał na ziemi. Wyraźnie czuł pod plecami gałęzie i nierówności terenu. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą korony drzew i jasne błękitne niebo. W normalnych okolicznościach uznałby ten widok za ładny, dziś jednak wcale mu się nie podobał. Przekręcił głowę w lewo, żeby zobaczyć, gdzie jest. Leżał w lesie, tuż przy drodze prowadzącej do jego domu.

Musiało być wcześniej rano, poznał to po charakterystycznej ciszy, w której tym donośniej rozbrzmiewały odgłosy zwierząt i ptaków. Po ściółce tuż przed jego oczami szedł czarny żuk. Gramolił

się powoli na kolejne zeschnięte liście w swej upartej drodze nie wiadomo dokąd.

Powinien wstać, wiedział o tym. Pójść do domu, rozebrać się, wziąć tabletkę od bólu głowy i położyć na normalnym łóżku. Wcześniej może jeszcze wyrzygać się raz lub dwa. Ale nie miał siły. Spojrzał ponownie w niebo. Czubki drzew kołysały się lekko poruszane łagodnym wiatrem. W zasadzie, gdyby było mu wygodniej i gdyby nie bolała go głowa, mógłby tu zostać całe życie.

Przemógł się wreszcie i usiadł. Demon, który siedział w środku jego głowy, aż zawył z radości. Jego zatruty mózg jeszcze przez dobrych kilka sekund obijał się o wewnętrzne ściany czaszki niczym piłeczka z numerkiem podczas losowania totolotka.

Wstawał na nogi już znacznie wolniej. Podpierając się rękoma, ostrożnie, jakby był glinianym golemem, któremu w każdej chwili grozi pokruszenie. Wreszcie udało się. Stał teraz na równych nogach, wyprostowany, a ból głowy, choć wzmógł się z powodu wysiłku, był jednak do wytrzymania. Naraz coś poczuł. Coś bardzo niepokojącego. Myśl straszna przeszła jego umysł jak błyskawica. Myśl, od której na jego czoło wystąpił zimny pot. Spojrzał w dół na swoje spodnie. Uff... Były wciąż suche. Tej granicy całe szczęście jeszcze nie przekroczył. Był po prostu przemarznięty.

Ruszył powoli w stronę domu. Ataki mdłości i bólu głowy dopadały go na przemian, niczym dwie szturmujące twierdzę armie. Szedł jednak dzielnie. Zauważył, że jeśli posuwa się w stałym tempie i stara w miarę prosto trzymać głowę, armie

odstępują.

To były jedne z najdłuższych dwudziestu minut w jego życiu. Od dziś żaden maraton, triathlon ani sratlon nie będzie na nim robił wrażenia. Spróbujcie, cwaniaczki, tego! Spróbujcie wracać leśną drogą nad ranem do domu z eksplodującą raz za razem głową, z żołądkiem kręcącym się jak bęben pralki, z zimnym potem na czole i uginającymi się nogami! To jest dopiero przekraczanie swoich możliwości, to jest prawdziwe sprawdzanie siebie!

Dotarł wreszcie do domu. Otworzył drzwi kluczem, którego całe szczęście nie zgubił. Żeby udowodnić sobie, że wciąż jest człowiekiem, poszedł do łazienki i umył zęby. Potem odnalazł tabletki od bólu głowy, połknął dwie i popił je wodą z kranu. Dopiero wtedy ostrożnie położył się na łóżku.

Obudził się parę godzin później. Światło, którego zapomniał zgasić w tym pokoju bez okien, raziło go w oczy, lecz głowa już nie bolała. Czuł się nadspodziewanie dobrze. Wstał i poszedł do kuchni sprawdzić, która jest godzina i czy jest jeszcze dzień czy już noc.

Była dwunasta dwadzieścia trzy. Za oknem świeciło całkiem miłe słońce. Rozładowany telefon leżał na stole. Znalazł ładowarkę i podłączył go do prądu. Począł, aż poziom naładowania baterii osiągnie dwa procent, i dopiero wtedy go włączył. Chwilę trwało, nim telefon zalogował się do sieci. Miał kilka nieodebranych połączeń i dwa SMS-y. Najpierw sprawdził połączenia. Wszystkie były od Marcina Goczała, jego dawnego przyjaciela, a obecnie przełożonego w przychodni przy szpitalu psychiatrycznym w

Olsztynie. No tak... Powinien był tam się dzisiaj pojawić...

Potem sprawdził SMS-y. Pierwszy był również od doktora Goczała. „Bardzo bym cię prosił, byś na przyszłość uprzedzał mnie o swoich nieobecnościach. Mamy potem problem z pacjentami, a sam wiesz, że nie są to za spokojni ludzie. Mam nadzieję, że nic się nie stało?”

Drugi był od Karoliny. „Wyjeżdżam dzisiaj. Nic tu już po mnie. Artykuł napisałam i wysłałam. Może masz ochotę się spotkać?”

Usiadł. Dobrze, że miał kaca i wszystko docierało do niego przytłumione i rozmyte. „Tak”, odpisał. „Chętnie. Gdzie i o której?”

Odpowiedź przyszła po chwili: „Właśnie wyjeżdżam. Jesteś u siebie? Mogę podjechać. To nie do końca po drodze, ale poświęcę się”.

Odpisał szybko: „Jestem. Przyjeżdżaj”. Ile tu mogła jechać z Olsztyna? Dwadzieścia minut? Pół godziny? Tyle miał czasu na umycie się i doprowadzenie do ładu. Po raz trzeci go w ten sposób zaskakiwała. Pierwszy raz wtedy, trzy miesiące temu, po zamachu w telewizji. Także wtedy był po nocy spędzonej na picciu. W zasadzie od tego zaczęła się ich znajomość. Czyżby w ten sam sposób miała się również skończyć?

Gdy podjechała pod jego dom, był już umyty, przebrany i ogolony. Mokre włosy zaczesał do tyłu. Siedział na krześle i wystawiał twarz na promienie słońca.

Patrzył na nią, gdy szła w jego stronę. Wysoka, smukła,

elegancka nawet w dzinsach i podkoszulce. Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił ten uśmiech, choć miał wrażenie, że wyszło mu to trochę krzywo. Przełknął ziarenko kawy, które gryzł, bo gdzieś kiedyś wyczytał, że tłumi to zapach alkoholu z ust lepiej niż guma miętowa.

Podeszła do niego i usiadła na krześle obok. Przez chwilę milczeli, patrząc na jezioro. Dzień był ładny i nawet dosyć ciepły, lecz słońce świeciło już bardziej jesiennie niż letnio. Spojrzała wreszcie na niego.

— Myłeś włosy? – spytała. – Dopiero wstałeś?

— Miałem obfitującą we wrażenia noc. I dość ciężki poranek.

— Co robiłeś?

— Piłem cytrynowkę z miejscowymi pijaczkami. Próbowałem w ten sposób czegoś się od nich dowiedzieć.

— I co, udało ci się?

— Nie.

Pokiwała głową. Zobaczył to kątem oka, bo wciąż na nią nie patrzył.

— To był ten twój plan, o którym mówiłeś u Sądeckiego?

Tym razem to on pokiwał głową.

Znów przez chwilę milczeli.

— A ty, napisałaś ten swój artykuł? – spytał.

— Tak. Dziś go wysłałam mailem.

— Jaka jest jego konkluzja?

— Że winny jest ksiądz. Ale napisałam też o twoich

wątpliwościach.

— Przekonałem cię?

— Nie. Ale tak jest ciekawiej.

Spojrzał na nią.

— Czyli co? – powiedział. – Kończymy naszą drugą przygodę?

Nie była może tak spektakularna, jak pierwsza...

— ...ale bardzo miła – dokończyła za niego. – Zostaniemy przyjaciółmi? – spytała, nie patrząc mu w oczy.

Zaśmiał się cicho.

— Tak, zostaniemy. Choć wolałbym coś innego.

Położył jej dłoń na kolanie. Co mu szkodziło?

Delikatnie zdjęła jego rękę. Uśmiechnęła się smutno.

— Będę już lecieć. Trzymaj się – powiedziała. Wstała.

— Dlaczego to wtedy zrobiłaś? – spytał. – Dlaczego się ze mną przespałaś?

Popatrzyła na niego poważnie.

— Bo cię lubię – odpowiedziała. – I dlatego, że chciałam.

— Teraz już mnie nie lubisz?

— Lubię. Ale już nie chcę.

Odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu.

— Przed czym uciekasz? – spytał.

Odwróciła się ponownie.

— Słucham?

— Przed czym uciekasz? – powtórzył. – Sądecki mówił, że z wami było tak samo. Że uciekłaś. Że zawsze uciekasz. Ostrzegał

mnie przed tobą. I miał, jak się okazuje, rację. Mogę ci polecić w Warszawie paru psychologów.

Podeszła do niego bliżej. Jej oczy stały się zimne.

— Nie używaj tego w stosunku do mnie – powiedziała. – Wiem, że potrafisz, ale nie rób tego.

— Co to było? – leciał już w dół bez asekuracji. – Dominujący ojciec? Brak czułości w domu?

— Miałam szczęśliwe dzieciństwo – odpowiedziała.

— Ludzie zablokowani często tak mówią. Ale może było szczęśliwe tylko formalnie? Rodzice zajmowali się tobą jak należy, nie bili, nie molestowali, spełniali wszystkie swoje funkcje, wypełniali obowiązki, nawet całowali cię na dobranoc, ale za tym wszystkim czaił się emocjonalny chłód?

— Spierdalaj! – powiedziała. Odwróciła się i odeszła. Trzasnęła drzwiami od samochodu tak, aż zahuczało. Po chwili jej czarne bmw zniknęło w lesie na wzgórzu.

— No i chuj – powiedział na głos. Skończyło się. Skończyło się definitywnie. Jak kończyć, to tylko tak. Żadne tam „zostańmy przyjaciółmi”. Komu potrzebny taki teatr?

Wstał i wszedł do domu. Chyba miał jeszcze jakąś butelkę single malta ze starych zapasów. Wleje ją dziś w siebie. Nie miał ochoty, nie po tym, co było wczoraj, ale zmusi się. Skoro podjął decyzję, że zachleje się na śmierć, nie może czekać, aż mu się zachce.

ROZDZIAŁ 28

Kolejny poranek i kolejny kac. Zaczynało to już robić się nudne. Pomyślał, że mimo wszystko długo tak nie wytrzyma. Spojrzał z niechęcią na zamurowane okna w swojej sypialni. To także go już męczyło. Przez otwarte drzwi wpadało światło z innych pomieszczeń. Wstał i z ulgą wszedł do kuchni. Nie było dziś tak słonecznie jak wczoraj, lecz mimo wszystko od razu poczuł się lepiej.

Spojrzał na butelkę stojącą na stole. Dwunastoletnia whisky Cragganmore ze Speyside, bardzo dobra pomimo stosunkowo młodego wieku. Lekko słodkawa z wyraźnym słonawym finiszem. Dostał ją kiedyś od przyjaciela, profesora Konarzewskiego na urodziny. Wczoraj wypił prawie trzy czwarte butelki. To, co zostało, było ostatnim single maltem w jego domu, ostatnim łącznikiem ze starymi czasami. Teraz, gdy doktor Goczał wywali go ze swojej przychodni, co prędzej czy później nastąpi, nie będzie go stać na takie luksusy. Pozostanie już tylko cytrynówka.

Zakorkował otwartą butelkę i schował ją do szafki. Tego już raczej nie wypije. Będzie trzymał na pamiątkę jak zasuszony kwiat.

W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Komisarz Sądecki we własnej osobie. Odebrał.

— Cześć, Rafał! – powiedział. Zdaje się, że przy poprzednim spotkaniu wskoczyli już na ten poziom zażyłości.

— Cześć, Zyga! – usłyszał głos komisarza. Ostatni raz nazywała go tak jego była żona. – Jak tam, wszystko w porządku?

— Funkcje życiowe zachowane – odparł Rozłucki.

— Karolina wyjechała, słyszałeś?

— Tak, wiem. Była wczoraj u mnie się pożegnać.

— No, proszę. Jak romantycznie. Miło było?

— Jak cholera. Zdaje się, że pożegnaliśmy się ostatecznie i definitywnie.

— To pewnie nawet i lepiej. Znajdę ci jakąś babę, nie przejmuj się. Żona ma taką koleżankę. Trochę gruba, ale bardzo sympatyczna. I ma mocno rozwinięty instynkt opiekuńczy. Na pewno chętnie przygarnie takiego boćka ze złamanym skrzydłem jak ty.

— Chyba jednak dziękuję.

— Dobra, dobra. Teraz tak mówisz. Pogadamy za jakiś czas. Każdy chłop potrzebuje przytulić się do cyca. A jak jest duży i tłusty, to nawet lepiej.

Komisarz Sądecki miał ewidentnie bardzo dobry humor. Rozłuckiemu zaczęło się to trochę udzielać.

— No dobra, ale ja nie w tej sprawie – powiedział komisarz. – Masz może ochotę wpaść do nas i pogadać znowu trochę z naszym księżulkiem?

Rozłucki zdziwił się.

— Myślałem, że śledztwo jest już zamknięte.

— Oczywiście – odparł komisarz. – Ale póki proces się nie rozpoczął, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście kontynuowali te wasze pogawędki. Ciągłe masz status biegłego. A nam, szczerze mówiąc, przydałoby się trochę więcej szczegółów. Rozumiesz, samo przyznanie się do winy w tej sytuacji powinno wystarczyć, ale gdy sprawca opisuje przebieg zbrodni, a już zwłaszcza z detalami, zawsze to lepiej wygląda.

Komisarz Sądecki obawiał się chyba, że proces nie będzie aż taką formalnością, jak to przedstawiał dwa dni temu. A może po prostu chciał się zabezpieczyć na wszelkie ewentualności?

— Okej – odparł Rozłucki. – Czemu nie? Co mam w sumie lepszego do roboty?

— To świetnie! – ucieszył się komisarz. – Wpadaj, kiedy tylko chcesz. Nasz księżulo póki co nigdzie się nie wybiera, więc raczej na pewno go zastaniesz.

Rozłucki pomyślał chyba po raz pierwszy, że lubi tego gościa. Znał jego wszystkie wady i ograniczenia. Wiedział, że jest interesowny, że lubi wyręczać się innymi i przypisywać sobie ich zasługi, ale był w tym wszystkim jakiś autentyczny i na swój sposób sympatyczny.

— Dobra – powiedział. – Ogarnę się trochę i przyjadę.

— Czekamy z utęsknieniem – odparł komisarz. – Jakby mnie nie było, wal do Weroniki.

Sąddeckiego faktycznie nie było. Zamiast niego przy jego biurku siedziała Weronika, wpatrując się w ekran laptopa. Ledwo zwróciła uwagę na wejście Rozłuckiego.

— Komisarz prosił, żebym przekazała panu, że musiał wyjść w bardzo ważnej sprawie – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad ekranu.

— A kiedy wróci? – spytał Rozłucki.

— Jak zje – odparła.

Trochę obawiał się, że ją tu spotka. Rzut oka na swoje odbicie w lustrze tuż przed wyjściem uświadomił mu, że trzydniowe wyczynowe picie nie pozostało bez wpływu na jego wygląd. Przybyło mu parę kilo, twarz opuchła, a pod oczami pojawiły się niezbyt estetyczne wory. Nie wiedzieć czemu, ta kobieta ciągle go onieśmiałała. Krępowało go, że tak źle wygląda w jej obecności. Pewnie wpływ na to miały niezbyt chwalebne dla niego okoliczności ich poznania. Czy już do końca świata będzie się jej wstydzić?

Postanowił to jakoś przezwyciężyć.

— Znamy się już dość długo – powiedział. – Może przejdziemy na ty?

— Nie – odpowiedziała.

Zamknęła laptop.

— Komisarz prosił też, żebym zaprowadziła pana do podejrzanego. Chodźmy więc.

Więc poszli. Weronika przodem, on tuż za nią. Pokorny jak cielę, po takim potraktowaniu.

„Ciekawe, czy ma faceta?”, pomyślał. „I czy też nim tak poniewiera?”

Po chwili byli na miejscu. Wszedł do pokoju przesłuchań. Jednego z najsmutniejszych miejsc, w jakich do tej pory był. Szarej przestrzeni o kształcie sześcianu z jednym stolikiem, dwoma krzesłami, drzwiami i lustrem weneckim na ścianie. Zalany trupim światłem jarzeniówki umieszczonej na suficie. Księdza jeszcze nie było. Musieli go dopiero doprowadzić. Usiadł na krześle pod ścianą. Zawsze tak siadał, jeśli miał możliwość: plecami do ściany, twarzą do drzwi. Był to jakiś atawizm, podobno częstszy u mężczyzn niż u kobiet. W ten sposób objawiała się chęć kontrolowania przestrzeni i podświadomy odruch zabezpieczania się przed niespodziewanym atakiem. Po chwili zastanowienia przesiadł się jednak na drugie miejsce. To nie on miał się czuć w trakcie tej rozmowy bezpiecznie.

Po paru minutach wprowadzono księdza. Schudł chyba jeszcze bardziej, ale wyglądał dość zdrowo. Uśmiechnął się na widok Rozłuckiego.

— Pan psycholog! – powiedział. – Brakowało mi rozmów z panem. Straszne tu nudy, gorzej niż na plebanii.

Usiadł na krześle pod ścianą.

— Mam dla pana dobre wieści – oznajmił mu Rozłucki. Postarał się, by sarkazm był wyraźnie wyczuwalny w jego głosie. – Pozostał pan jedynym podejrzanym. Proces w zasadzie ma pan już w kieszeni.

— Świetnie – odparł ksiądz. Zabrzmiało to zastanawiająco szczerze.

— To o czym dziś sobie porozmawiamy? – spytał Rozłucki.

— Nie wiem – uśmiechnął się ksiądz. – To pan prowadzi w tym tańcu.

Był spokojny i odprężony. Nie wyglądał na kogoś, komu grozi dożywocie.

— No dobrze – odezwał się Rozłucki. – Zacznę może od tego, co u mnie. No więc poszedłem za pana radą i podjąłem decyzję. Postanowiłem wyjaśnić pewną sprawę w moim życiu i zrobiłem to.

— I co pan czuje, ulgę?

— Nie. Pustkę. Ta iluzja, bo to okazało się iluzją, była wszystkim, co miałem.

— Skoro to była iluzja, to jej także pan nie miał. Nie można mieć czegoś, co nie istnieje. Gdy to pan zrozumie, pojawi się i ulga.

— Stare pytanie: czy lepiej oszukiwać się i być szczęśliwym, czy stanąć w prawdzie i zapłakać.

Ksiądz uśmiechnął się melancholijnie.

— „Prawda was wyzwoli” – powiedział, jakby przypominał sobie tekst dawno niesłyszanej piosenki.

— Albo zniszczy – odparł Rozłucki.

— Jedno nie wyklucza drugiego.

Rozłucki pokiwał głową. Patrzył teraz na rysy na odrapanym blacie stolika. Nagle podniósł wzrok i odnalazł spojrzenie księdza.

— A pan, nie ma ochoty się wyzwolić? – spytał.

Zadziałało. Ksiądz nie miał twarzy pokerzysty. Jej wyraz zmienił się, widać było, że ten cios nie chybił celu. Rozłucki był już pewien: ten człowiek coś ukrywa. Tylko co?

Jego rozmówca jednak dość szybko się pozbierał.

— Prawda jest taka, że jestem mordercą – odpowiedział. – Mówiłem to już panu. – Nie sprawiał teraz wrażenia kogoś, kto kłamie.

O co tu chodziło? Ksiądz ewidentnie nie mówił całej prawdy, lecz to, co mówił, brzmiało szczerze i przekonująco. Jeśli był mordercą, to co ukrywał? Jeśli nim nie był, to dlaczego jego przyznanie się brzmiało tak wiarygodnie?

— W więzieniu nie jest fajnie – powiedział Rozłucki. – Ksiądz, morderca i pedofil w jednym nie będzie miał tam łatwo.

— Nie jestem pedofilem – zaprotestował mężczyzna.

— To dlaczego ją pan zabił?

Brak odpowiedzi.

— Wie pan, że miewam myśli samobójcze? – powiedział Rozłucki. – W zasadzie od zawsze miałem. Dziedziczne obciążenie, można powiedzieć. Dwie osoby z mojej najbliższej rodziny odebrały sobie życie. Ostatnio te myśli nawet się nasiliły. Zastanawiam się właśnie, czy nie zapić się na śmierć.

Ksiądz spojrzał na niego spode łba.

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Bo to, co pan robi, to w zasadzie samobójstwo. Czemu się pan w ogóle nie broni?

— Za morderstwo należy się kara.

— Szczerze powiedziawszy, mam poważne wątpliwości, że to pan zabił tę dziewczynę – postanowił zaatakować z tej strony, choć tak naprawdę miał już poważne wątpliwości co do tych swoich wątpliwości.

— Wątpić jest rzeczą ludzką.

Ta rozmowa do niczego nie prowadziła. Było tak samo jak za poprzednimi dwoma razami. Zawsze, gdy wydawało mu się, że wspiął się trochę na mury tej twierdzy, dostawał potężnego kopniaka i spadał.

— Kłamać też.

— Ja nie kłamię.

— Ale nie mówi pan wszystkiego.

— Mam do tego prawo.

— Niecała prawda to kłamstwo. Dawanie fałszywego świadectwa. Pan je daje wobec siebie.

— Literalnie rzecz biorąc, to przykazanie odnosi się tylko do bliźniego. „Nie dawaj fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”.

— Czyli przeciw sobie można? Można szkodzić sobie samemu? Nie jest to przypadkiem grzech? Skoro jesteśmy stworzeni przez Boga, to czy nie jest grzechem świadome uszkodzenie jego dzieła?

Ksiądz zastanowił się.

— Nie, jeśli robimy to w dobrej intencji – odpowiedział. – Na przykład gdy narażamy życie, broniąc swojej rodziny, nie jest to

grzechem.

— Pan to robi?

Znów brak odpowiedzi. Chociaż nie, odpowiedź nadeszła, ale po dłuższej chwili.

— Moja rodzina nie ma tu nic do rzeczy. Ojciec nie żyje, a matka... – Głos mu się lekko załamał.

— Matka też tego wszystkiego nie przeżyje – dokończył za niego Rozłucki. – To pan chciał powiedzieć?

Ksiądz zwiesił głowę. Rozłucki dostrzegł swoją kolejną szansę. Już po raz drugi udało mu się wyprowadzić celny cios przełamujący wysoko postawioną gardę przeciwnika.

— To pewnie było jej marzenie, prawda? – powiedział cicho. – To, żeby jej syn został księdzem. I to marzenie się spełniło. A teraz, taki wstyd... – Nachylił się w stronę księdza. – Naprawdę nie chce jej pan tego oszczędzić? Jak pan widzi, szkodzi pan nie tylko sobie.

Ksiądz nagle wstał, o mało nie przewracając krzesła, i ruszył w stronę drzwi. Zaczął w nie walić otwartą dłonią. Po chwili po drugiej stronie pojawił się strażnik.

— Proszę natychmiast odprowadzić mnie do celi – powiedział mężczyzna.

Strażnik otworzył drzwi. Spojrzał pytająco na Rozłuckiego. Ten skinął głową. W tej sytuacji dalsza rozmowa nie miała już sensu. Ksiądz wyszedł.

Rozłucki posiedział jeszcze przez chwilę za odrapanym stolikiem, próbując przeanalizować to, co przed chwilą usłyszał i

zobaczył. Potem wstał i poszedł do gabinetu Sądeckiego. Komisarz najwyraźniej zakończył już swoje bardzo ważne gastronomiczne sprawy, bo bujał się na krześle za swoim biurkiem.

— No i co? – spytał. – Ruszyło się coś?

— Jestem pewny, że to nie on – odparł Rozłucki.

— Masz ci los! – Załamał ręce Sądecki. – A ten znowu swoje!

Powiedział ci to?

— Nie, ale wiem już, jak go do tego skłonić.

— Jak?

— Ściągnijcie tu jego matkę.

ROZDZIAŁ 29

Wracał drogą nad jeziorem. Był już prawie pod swoim domem, gdy zauważył, że z naprzeciwka ktoś idzie. Piaszczystą koleiną człapał towarzysz jego ostatnich alkoholowych ekscesów, Krzysiek.

— A ja właśnie od ciebie wracam – powiedział mężczyzna, zatrzymując się i obcierając pot z czoła. – Byliśmy na dziś umówieni, nie pamiętasz?

Szczerze powiedziawszy, niewiele pamiętał z tamtego wieczoru. Już na samo jego wspomnienie robiło mu się niedobrze.

— W jakiej sprawie?

— Tego samochodu twojego, co to stoi na podwórku.

No tak, teraz coś sobie przypominał.

— Zajrzałem już nawet pod plandekę. – Mężczyzna przysiadł na porośniętym kępami trawy poboczu i wyciągnął papierosa. – Nie jest tak źle. Trzeba by to wszystko przeczyścić, wymienić parę uszczelek, sprawdzić, czy myszy przewodów nie poprzegryzały, i spróbować odpalić. A resztę się zobaczy, jak już silnik będzie chodził, bo na pewno niejedno jest tam jeszcze schrzanione. Po tylu latach stania musi. No i opony są całkiem sparciałe.

Rozłucki przysiadł obok niego.

— Tylko ile by to wszystko kosztowało, bo ja ostatnio nie za

bardzo przy forsie jestem – spytał.

— Spokojnie. – Mężczyzna kiwnął głową i zaciągnął się papierosem. – Podjadę na szrot, kolega jest tam stróżem, więc części będziemy mieć prawie za darmo. A co do reszty jakoś się dogadamy. Tylko by go trzeba jakoś otworzyć. Masz kluczyki?

Rozłucki wzruszył ramionami.

— Nie wiem – powiedział. – Może są gdzieś w domu. Szczerze mówiąc, nie szukałem.

— Trzeba by je znaleźć. Można oczywiście otworzyć i odpalić bez nich, ale tak będzie prościej. No i nie musiałbym potem wymieniać stacyjki. To co, idziemy?

— Do mnie?

— A do kogo? Jak już tu przylazłem, to chętnie bym coś porobił. Tym bardziej, że wziąłem narzędzia – wyciągnął z torby przewieszanej przez ramię plastikową półtoralitrową butelkę z przezroczystym płynem.

— Co to jest? – spytał zdziwiony Rozłucki.

— Jak to co? Bimber. Teściu ma sprawdzonego dostawcę. Właśnie się zaopatrzył. I sprezentował zięciowi. Idziemy?

— Matko jedyna... – westchnął Rozłucki.

Znaleźli w końcu te kluczyki. Tak mniej więcej w połowie butelki. Tuż po tym, gdy Rozłucki zdecydował, że jednak nie zapije się na śmierć, bo to nie na jego zdrowie. Były w plastikowym pudełku po lodach razem z innymi kluczami, gwoźdźmi, nakrętkami, ze

starymi klamkami i z fragmentami zamków. Wszystko to leżało zaś sobie najspokojniej w świecie pod zlewem w kuchni.

Poszli na podwórko i ściągnęli plandekę. Samochód, który im się ukazał, był w kolorze jasnożółtym. Krzysiek jeszcze raz dokładnie go obejrzał.

— Nie jest źle – powtórzył. – Gość, który go tu postawił, znał się na rzeczy. Dobrze go zabezpieczył. Prawie nie ma rdzy.

Włożył kluczyki do zamka i nie bez trudu je przekręcił. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

— Trzeba by to wszystko porządnie przesmarować – powiedział. Oczy mu błyszczały i to nie tylko od wypitego alkoholu. Widać było, że jest teraz w swoim żywiole.

— Spróbujemy odpalić? – spytał Rozłucki.

— Nie, nie! – oburzył się mężczyzna. – Po takim czasie to niebezpieczne. Mogłoby się coś jeszcze bardziej popsuć. Trzeba by najpierw wymienić olej, płyn w chłodnicy, spuścić starą benzynę i wlać nową, potem przekręcić parę razy ręcznie silnikiem. Kupa roboty.

Wsunął się do środka i otworzył schowek przed siedzeniem pasażera. Wyciągnął stamtąd starą książeczkę serwisową.

— Tak jak myślałem – powiedział. – To ostatni rocznik. 1991. Samochody z tego rocznika mają sporą wartość kolekcjonerską. Mam propozycję – ożywił się. – Odremontuję ci go, trochę nim sobie pojeździsz, a potem go sprzedamy. Podzielimy się forszą jeden do trzech. To będzie moja zapłata za robotę. Co ty na to?

— Dobrze brzmi – odpowiedział Rozłucki. – Jest tylko jeden problem: to nie jest mój dom ani mój samochód. Nie mogę go sprzedać. Mogę go odremontować i nim jeździć, bo wynająłem go jak wszystko inne, ale sprzedać go nie mogę.

— Ale właściciel, z tego, co wiem, mieszka za granicą, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko.

— W Australii.

— Myślisz, że zauważyłby, że podwórka zniknął stary, przykryty plandeką grat?

— Ja bym zauważył. To byłaby kradzież.

— Jeszcze o tym pogadamy. – Krzysiek nie dawał za wygraną.

— Możemy pogadać, ale ja zdania nie zmienię. To co, bierzemy się do roboty? – Wskazał ręką na samochód.

— Dzisiaj to już nie – odparł mężczyzna. – Muszę przynieść z domu parę rzeczy. Klucze takie, klucze owakie. Ale jedną robotę możemy skończyć. – Pokazał na plastikową butelkę z bimbrem.

Usiedli na krzesłach przed domem. Zbliżał się wieczór, lecz wciąż było dosyć ciepło. Wracła chyba letnia pogoda, a może po prostu grzał ich alkohol.

— To jak to było z tym Robercikiem? – zagadnął Rozłucki.

— A ty znowu o nim? Co żeś się go tak uczepił?

— Bo to ciekawe. Nieszczęśliwa miłość, która raz na zawsze blokuje możliwość zbudowania trwałego związku. Jestem psychologiem, interesują mnie takie rzeczy. Może zresztą dałoby mu się jeszcze pomóc? To w końcu młody chłop jest. Nie musi

reszty życia spędzać z silikonową lalą.

— A widziałeś ją? – zarechotał jego kompan. – Nie miałbym nic przeciwko, żeby spędzić resztę życia z taką laską. A że nic nie gada, to nawet lepiej.

— Wiesz przecież, o co chodzi. – Rozłucki polał bimbru. Dziś pili jak pany, w prawdziwych szklankach. To znaczy Krzysiek w szklance, a Rozłucki w kubku.

— No wiem. Jaka ta moja baba jest, ale jest. Mam się przynajmniej do kogo odezwać. A i w nocy wleźć na takie ciepłe zawsze to przyjemniej niż na takiego cyborga.

— No właśnie. To jak to było z nimi?

Jego towarzysz wychylił swoją szklankę do dna.

— Ano nieprzyjemna sprawa była – powiedział. – Tylko nie wiem, czy mogę o tym mówić, bo to przecież nie tylko o nim.

— I o Magdzie Krupińskiej, matce Ewy.

Krzysiek spojrzał na niego zdziwiony.

— A ty to skąd o tym wiesz?

— Od policji. A oni mają swoje sposoby.

— No tak – pokiwał głową ze zrozumieniem. Naraz spojrzał na ciągle jeszcze pełny kubek Rozłuckiego. – A ty co nie pijesz, pij. Tak się nie będziemy bawić.

Rozłucki westchnął w duchu. Miał nadzieję, że dziś uda mu się utrzymać głowę na powierzchni, dlatego starał się pić mniej niż jego zaprawiony w bojach towarzysz. Najwyraźniej jednak nie będzie to łatwe. Wypił.

— No więc? – spytał, krzywiąc się.

— No co więc? Co więc? Kochali się, wydawali się być dla siebie stworzeni. Wszędzie z sobą chodzili, za ręce się trzymali. Czasami wręcz aż wstyd było na to patrzeć. Człowiek miał wrażenie, że powinni jakoś bardziej się z tym kryć, mniej to okazywać, bo tym, co z nimi byli, aż się głupio robiło.

— To co się popsulo?

— Nie co, ale kto.

— Kto? Był ktoś jeszcze?

— A jakże. Gorbała.

— Gorbała?

— Andrzejek. Spojrzał sobie na Magdę i se ją wziął. Dla zabawy raczej niż dla czego innego.

— Jak to wziął?

— Normalnie. Podszedł, zagadał, zębami błysnął. Nigdy nie miał z tym problemu. Andrzej potrafi być uroczy. Gdy z nim rozmawiasz, masz wrażenie, że jest twoim najlepszym przyjacielem. Ale on nie jest niczym przyjacielem. Tylko swoim. Sprzeda cię tak samo łatwo, jak cię kupił. Z kobietami podobnie. Każdej się wydaje, że znalazła swoją drugą połówkę. Że nikt wcześniej tak jak on jej nie rozumiał i nie kochał. A on kocha tylko siebie. Bierze sobie, co chce, a resztę wyrzuca. No i tak samo wziął sobie Magdę. Tylko to, co dla niego było niczym, dla Roberta było wszystkim.

ROZDZIAŁ 30

— I to go tak załamało?

— To, ale nie tylko to.

— To co jeszcze?

— Nie za ładnie to się skończyło.

— Co?

— Ta ich miłość.

— Kolega odbił mu dziewczynę. To też się zdarza.

— Nie chodzi tylko o to.

— To o co?

Jego towarzysz sięgnął po plastikową butelkę stojącą obok nogi jego krzesła, wprawnym okiem ocenił, ile jeszcze zostało, nalał bimbru do obu kubeczków, po czym wypił zawartość swojego jednym łykiem.

— O co? – powtórzył Rozłucki.

— Nie spali ze sobą wcześniej. To nie były jeszcze te czasy, że jak dziewczyna ma chłopaka, to z automatu idą ze sobą do łóżka. No i jak Robert się dowiedział o tym wszystkim, o Magdzie i o Gorbale, najpierw upił się, a potem poszedł do niej. I wziął sobie to, co wcześniej wziął Gorbała.

— Zgwałcił ją?

— Nie wiem. O tym akurat nigdy nie chciał mówić. Nawet po pijaku. W każdym razie musiało to być dość... dramatyczne. Potem ona wyjechała, a on zaczął pić. I pije do tej pory. A ona wróciła dopiero po paru latach. Już z mężem i z dzieckiem.

Zapadał zmrok. Niebo na zachodzie jarzyło się jeszcze łuną, lecz od strony lasu za ich plecami nadciągała już noc. Tafla jeziora wygładziła się niczym lustro, odbijając światła kilku położonych po jego drugiej stronie gospodarstw.

— Czemu wrócili? – spytał Rozłucki.

— Jej mąż miał dobrą pracę. W Płocku, w rafinerii. Ale przyszedł kryzys, była jakaś restrukturyzacja i go zwolnili. Wrócili, bo Magda miała tu dom i kawałek ziemi po rodzicach. Jak wrócili, poszła do Gorbały i on dał jej mężowi pracę u siebie w kurniku. Ale to nie był dobry pomysł.

— Dlaczego?

— Jacyś dobrzy ludzie powiedzieli mu, co się stało. Śmiali się, że pewnie Ewa nie jest jego i że pracuje teraz u szwagra. Po latach to by się chyba nawet zgadzało.

— Ewa Krupińska była córką Gorbały?

— Nie wiem, tak mówili.

Rozłucki zastanowił się.

— Ale skoro mogła być córką Gorbały – powiedział powoli – to mogła też być córką Roberta.

— Mogła być – kiwnął głową jego rozmówca.

— Jej matka coś kiedyś mówiła?

— Nie, nigdy. Mogła zresztą sama nie wiedzieć. To się zdarzyło jedno po drugim, w ciągu paru dni. Najpierw Gorbała, a potem Robert.

— Czy on ma tego świadomość?

— Robert? Nie chce o tym słyszeć. Dla niego Magda już nie istnieje. Gdy próbowałem z nim o tym rozmawiać, mało mnie nie pobił.

— A Gorbała?

— Nawet jeśli wiedział o tym, to miał to w dupie.

— Ale dał pracę mężowi Magdy.

— Nie sędzę, żeby to było z tego powodu. Może spodobało mu się, że ona go prosi, może miał taki kaprys, a może chciał się nimi zabawić. Albo po prostu wykorzystał to, żeby ją znowu przelecieć. Nie znasz go. On nie ma takich uczuć. Że jak to być może jego córka, to jej pomoże. Nie on.

— A co się stało z mężem? Gdzie on teraz jest?

— Nie wytrzymał tego. Wrócił któregoś dnia z pracy pijany i pobity, spakował się i wyjechał.

— Pobity?

— Pewnie napił się i chciał wyjaśnić ze swoim szefem to wszystko, co usłyszał. No to wyjaśnił. A raczej jemu wyjaśnili.

— Niezły młyn.

— No. A to jeszcze nie wszystko.

— Co jeszcze?

— Kiedy mąż Magdy odchodził, musiał wykrzyczeć to i owo, bo

Ewa dowiedziała się, że Gorbała może być jej ojcem.

— O kurwa...

— No właśnie. Wyobraź to sobie. Masz czternaście lat i któregoś wieczoru twój tatuś przychodzi pijany i pobity, i mówi ci, że nie jesteś jego córką. A potem pakuje się i odchodzi. I nigdy go już więcej nie widzisz. Coś takiego naprawdę może zryć beret.

Rozłucki nie musiał sobie tego wyobrażać. Wiedział doskonale, jak takie wydarzenie może wpłynąć na psychikę dzieciaka w podobnym wieku. Jego siostra też kiedyś coś takiego odkryła. To coś wisiało na haku do podciągania silnika w garażu i było kiedyś ich ojcem.

Jego rozmówca sięgnął ponownie po plastikową butelkę. Potrząsnął nią, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało. Sądząc po chlupocie, już niewiele. Odkręcił ją i rozlał zawartość do szklanek.

— To wtedy mała Ewa zaczęła tak imprezować – powiedział i wypił swoją porcję do dna. Rozłucki zrobił to samo. – Ale nie to było najgorsze.

— A co? – Na Rozłuckiego alkohol zdawał się dziś kompletnie nie działać. Umysł miał jasny jak księżyc wschodzący właśnie na nocnym niebie.

— To, że zaczęła chodzić do Gorbały. Swojego nowego, jak sądziła, tatusia.

— Bywała u niego? – To była naprawdę ciekawa informacja.

— A jakże – przytaknął jego kompan. W odróżnieniu od Rozłuckiego był już coraz bardziej pijany. – Magda jej nie

pozwalala, wiedziala przeciez, jaki to czlowiek, ale mala nie chciala jej sluchac. Klócily sie o to, sam kiedyś slyszałem.

— A Gorbała, co on na to?

— Spytałem go o to kiedyś. Pijany byłem, to miałem odwagę. Zatrzymał się tym swoim białym porszakiem pod sklepem, żeby coś kupić, a ja akurat tam siedziałem. I spytałem go, czy zamierza zniszczyć córkę, tak jak kiedyś zniszczył matkę. I żeby tego nie robił, bo to też przecież jego córka.

— I co on na to?

— Zaśmiał się tylko. Musiał być w dobrym humorze, bo przystanął i mi odpowiedział. A mógł równie dobrze dać mi z kopa w twarz, to by było do niego podobne.

— Co powiedział?

— Że Ewa jest głupia i że wcale nie jest jej żadnym ojcem. Ale skoro młoda, ładna dziewczyna chce do niego przychodzić, to on nie zamierza jej zabraniać.

— Tak powiedział?

— Dokładnie tak. Jego własne słowa.

— Myślisz, że mógłby chcieć...

— Ją zrobić? Oczywiście, że tak. Nie wiem, czy mu się udało, ale na pewno by nie odmówił.

— Własną córkę?!

Jego rozmówcy odbiło się. Mówił coraz bardziej bełkotliwie. Zaśmiał się pijackim śmiechem.

— Na pewno uznał to za bardzo zabawną możliwość. Nie znasz

go – powtórzył. – On nie ma uczuć jak normalny człowiek. Poza tym nie wiadomo przecież, czy to naprawdę jego córka. Może Roberta...

— Właśnie. A co on na to wszystko?

Jego towarzysz nie odpowiedział. Odbiło mu się znowu.

— Słuchaj – powiedział w końcu. – Bardzo przyjemnie się rozmawia, ale skończył się alkohol. Nie masz czegoś jeszcze w domu?

— A ty nie masz już przypadkiem dość?

— Dość to ja mam tego całego syfu. Alkoholu nigdy nie mam dosyć. Jak masz, to dawaj. Bo mam jeszcze parę ciekawych rzeczy do opowiedzenia – zaznaczył.

Rozłucki przypomniał sobie nie do końca wypitą butelkę craggenmora. Miał ją co prawda zostawić w charakterze pamiątki po dawnym życiu, ale w tej sytuacji jej funkcja użytkowa była dużo ważniejsza. Wszedł do domu.

Gdy wrócił, jego kompan spał. Spuszczona na piersi głowa wydawała ciche odgłosy chrapania. Próbował go jeszcze obudzić, potrząsał go za ramię i krzyczał do ucha, ale nie na wiele to się zdało. Zrezygnowany odstawił butelkę na parapet i wrócił do domu po koc. Miał jeden, jeszcze po Romanowskim, leżał w drugiej celi bez okien, pełniący obecnie funkcję składowiska wszelkich niepotrzebnych rzeczy.

Odnalazł go i wyszedł z powrotem na dwór. Koc śmierdział kurzem i stęchlizną, ale był gruby i ciepły. Omotał nim śpiącego

mężczyznę najdokładniej, jak umiał. Noce były już chłodne, przekonał się o tym ostatnio. Zwłaszcza rano od jeziora ciągnął chłód.

Nalał sobie trochę whisky i usiadł jeszcze na chwilę. Dowiedział się dziś naprawdę ciekawych rzeczy. Jego metoda pijackiego śledztwa przynosiła nadspodziewanie dobre rezultaty. Musi o tym jutro komuś powiedzieć, Sądeckiemu albo Karolinie. Albo Weronice.

Nie mógł się tylko wyzbyć wrażenia, że coś mu umknęło. Coś związanego z Gorbałą. Tylko nie wiedział co.

ROZDZIAŁ 31

Zadzwoił telefon. Otworzył oczy. W jego ciemni bez okien rozjarzony ekran świecił niczym lampka, wydobywając z mroku łóżko, nocną szafkę, stół, krzesło i szafę.

Sięgnął po komórkę. Dzwonił doktor Goczał. Spojrzał na zegar w prawym górnym rogu ekranu. Była dokładnie siódma. Miał nadzieję, że siódma rano.

— Halo – odebrał.

— Cześć! – usłyszał w słuchawce. – Tu Marcin. Dzwonię, żeby cię spytać, czy zjawisz się dziś u nas, czy nie?

Jego przyjacielowi w zadziwiający sposób udało się ukryć w swoim głosie wszystkie uczucia i tony, które powinny były teraz w nim pobrzmiwać: irytację, zniecierpliwienie, przyganę czy sarkazm. A może po prostu w odróżnieniu od niego, potrafił wykorzystać posiadaną wiedzę psychologiczną i poukładać sobie w głowie na tyle, by nie traktować tego typu zdarzeń w kategoriach osobistej zniewagi.

— Tak, tak, oczywiście – przytaknął skwapliwie. – Miałem taki zamiar – dodał, choć gdyby Goczał nie zadzwonił, prawdopodobnie nie obudziłby się do południa.

— To świetnie – usłyszał. – Wolelibyśmy uniknąć zamieszania,

które było poprzednim razem. Zaczynasz o dziewiątej. Przypominam ci to, choć na pewno wiesz.

— Tak – wydukał Rozłucki. Co innego mógł w tej sytuacji powiedzieć?

Doktor Goczał rozłączył się. Rozłucki zamrugał. O ile wczoraj wieczorem czuł się zupełnie trzeźwy, o tyle teraz miał wrażenie, że ciągle jest pijany. Jeszcze raz spojrzął na zegar. Było trzy po siódmej. Jeśli ma zdążyć na dziewiątą do przychodni, musi się pospieszyć.

Wstał i poszedł do kuchni. Napił się wody, zrobił kawę i zjadł szybkie śniadanie. Głowa go nie bolała, lecz sądząc po ogólnym stanie, w jakim znajdował się jego organizm, ból jeszcze da o sobie znać. Odciał z listka dwie tabletki i schował je do portfela. Na pewno się przydadzą.

Poszedł do łazienki, bardzo solidnie wyszorował zęby i wziął szybki prysznic. Potem przebrał się w czyste rzeczy. Nie było źle, czuł się coraz lepiej. Może jeszcze uda mu się uciec kacowi spod kosa.

Wyszedł na zewnątrz. Jego towarzysza nocnych zabaw już nie było. Pozostał po nim tylko zwinięty w nieforemną kulę koc leżący na krześle. Butelka z resztką jego ostatniego single malta także zniknęła. Pewna epoka właśnie się skończyła.

Ruszył w kierunku przystanku. Szło mu się dobrze, rześko. Chłodne poranne powietrze wywiewało mu z głowy resztki alkoholu. Minął miejsce, gdzie niedawno urządził sobie polowę

sypialnię, i poszedł dalej.

Dotarł na miejsce osiem minut przed odjazdem autobusu. Wykorzystał ten czas, by kupić w sklepie sok pomidorowy i „Gazetę Olsztyńską”. Wypił sok i wyrzucił do kosza pustą butelkę. Akurat podjechał autobus.

Usiadł na samym końcu, po prawej stronie przy oknie. Rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie było zdjęcie miejscowego pisarza i odesłanie do wywiadu w środku numeru. Przerzucił strony. Pisarz opowiadał o swoich inspiracjach, dzieciństwie spędzonym w podolsztyńskiej wsi i o swojej najnowszej powieści. Jak zwykle w takiej sytuacji Rozłucki zaczął sobie wyobrażać, jak też on odpowiedziałby na zadane w wywiadzie pytania. I jak zwykle wydawało mu się, że byłby inteligentniejszy i bardziej błyskotliwy.

Gdy skończył, autobus zatrzymał się właśnie na przystanku pod ratuszem. Wsiadł, wyrzucił gazetę, w której nie było już nic więcej ciekawego, do kosza i przesiadł się do autobusu jadącego w kierunku szpitala. Po dziesięciu minutach był na miejscu.

Było za sześć dziesiątą, więc zaszedł jeszcze do gabinetu swojego przyjaciela. Chciał przeprosić go swoją nieobecność i wytłumaczyć się jakoś, choć zdawał sobie sprawę, że będzie musiał kłamać. Całe szczęście doktor Goczał nie pozwolił mu ani na jedno, ani na drugie.

— Wiem, wiem – powiedział, gdy tylko go zobaczył. – Przepraszasz. Nie mówmy już o tym. Ale następnym razem, gdy będziesz w takiej sytuacji, postaraj się mnie uprzedzić. Choć

oczywiście lepiej by było, gdyby nie było już takich sytuacji.

Rozłucki uśmiechnął się z wdzięcznością i usiadł na krześle naprzeciwko biurka doktora.

— Chyba nie nadaję się do tej roboty – powiedział. – Być może zresztą nie nadaję się do żadnej.

— Dlaczego? – Doktor Goczał uniósł brwi. – Uważam, że świetnie się nadajesz. Byłeś tu raptem parę razy, a już zdobyłeś pewną popularność. Pamiętasz Romana Krajewskiego, tego psychopatę?

— Trudno go zapomnieć.

— Pytał o ciebie. Przypadłeś mu widać do gustu. Był tu wczoraj i chciał z tobą rozmawiać. Zrobił nam niezłą awanturę, gdy się dowiedział, że nie masz tego dnia dyżuru.

— Strasznie mi przykro...

— Daj spokój! – Jego przyjaciel machnął ręką. – Jesteśmy przyzwyczajeni. To nie biblioteka, tylko przychodnia dla wariatów. Dzień bez chryi jest dniem straconym.

— A co u niego?

— U Krajewskiego? Świetnie. Żona poszła wreszcie po rozum do głowy i wystąpiła o rozwód. Oskarżyła go przy okazji o molestowanie córki.

— Myślisz, że to prawda?

— W przypadku takich oskarżeń wysuwanych przy okazji rozwodów jesteśmy zazwyczaj dość sceptyczni. Czasem się zdarza, że żony próbują w ten sposób odegrać się na swoich mężach. Ale w

tym konkretnym przypadku stawiałbym raczej na to, że to prawda.

— Przyjemniaczek.

— Mam nadzieję, że wsadzą go za to wreszcie do pierdła. I że już nie będzie tu do nas przyłaził.

Tych kilka spotkań, które miał dziś w grafiku, przeszło spokojnie i bez kłopotów. Nie było to nic specjalnego. Łagodne depresje, stany lękowe i jedna próba wymuszenia zwolnienia, skuteczna zresztą. Pod koniec swojego dyżuru pomyślał, że w zasadzie mógłby tak pracować. I że sam ma większe problemy od niektórych z tych ludzi.

Wyszedł z przychodni o piętnastej. Wsiadł w autobus i pojechał pod ratusz. Podbudowany tak niespodziewanie przyjemnym dniem postanowił sprawić, by stał się on jeszcze przyjemniejszy, i pójść na obiad na Stare Miasto. Akonto przyszłej wypłaty. Ruszył w dół w kierunku Wysokiej Bramy, przeszedł pod jej sklepionymi gotyckimi łukami i poszedł w stronę rynku. Po drodze minął dwie restauracje, z których jednak żadna nie przypadła mu do gustu. Jedną grecką – lecz nie miał dziś ochoty na ciężką, grecką kuchnię, drugą staropolską – ta z kolei z daleka pachniała dawnymi czasami, kotлетem schabowym i pomidorową, a on nie był specjalnym amatorem takich dań.

Powłóczył się trochę po rynku i okolicach, w końcu dał za wygraną, podszedł do jednego ze stoisk z pamiątkami dla turystów i poprosił o polecenie jakiejś restauracji. Pani, która tam

sprzedawała, a która, sądząc po akcencie, była Niemką, i to taką z Niemiec, nie miejscową, poleciła mu bez chwili wahania restaurację Casablanka mieszczącą się po drugiej stronie Łyny. Należało pójść w kierunku zamku, obejść z lewej strony jego niebotyczne mury i przejść przez niewielki, za to dość wysoki mostek na rzece. Postąpił według jej wskazówek.

Restauracja mieściła się całkowicie zgodnie z nazwą w otynkowanym na biało dziewiętnastowiecznym dwupiętrowym domu, którego architektura składała się z połączenia co najmniej dwóch stylów: neorenesansowego z przodu i secesyjnego z tyłu. Stał on na skarpie, która łagodnie opadała w kierunku Łyny. Wszedł do środka. Ponieważ było dość ciepło, wybrał miejsce na tarasie. Roztaczał się z niego piękny widok na park, rzekę i niewielki staw z fontanną przedstawiającą chłopca poskramiającego wielką rybę. Kelner podał mu menu. Ceny nie były niskie, lecz dziś postanowił nie zwracać uwagi na swój coraz bardziej napięty budżet i zamówił makaron pappardelle z cukinią i krewetkami w białym winie.

— Czy podać coś do picia? – spytał kelner.

— Tak – odpowiedział. – Kieliszek pinot grigio.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że popełnił błąd. Poczul się zbyt dobrze i zbyt pewnie. Może po prostu ciągle jeszcze nie dochodziło do niego, że jest alkoholikiem?

Makaron był bardzo dobry, lecz jego ilość daleko niewystarczająca, by mógł się nią najeść. Większość ludzi tu przychodzących

zamawiała zapewne również przystawkę i zupę, a niektórzy szczęśliwcy także i deser, lecz jego nie stać było aż na taką ekstrawagancję. Dopił więc wino i postanowił wrócić na Stare Miasto, by dopchać się czymś o wiele bardziej na jego kieszeń, jakimś kebabem czy hot-dogiem.

Trafił w końcu do tej samej hamburgerowni, w której był za pierwszym razem. Zamówił klasycznego hamburgera z dodatkiem bekonu i sera pleśniowego, do tego wziął piwo, jasnego lagera z miejscowego, olsztyńskiego browaru. Teraz zrobiło się już bardzo przyjemnie. Najedzony wreszcie i zadowolony, w stanie lekkiej euforii spowodowanej połączeniem wysokokalorycznego posiłku i alkoholu ruszył w dół, by przez drugi most na Łynie dotrzeć do swojego przystanku i wrócić w końcu do domu.

Nie udało się.

Przechodząc obok klubu Chili, tego samego, w którym ostatnią noc swojego życia spędziła Ewa Krupińska, postanowił wstąpić na jeszcze jedno piwo. Mimo coraz późniejszej pory wciąż było jeszcze dość ciepło, w ogródku przed klubem pełno było ludzi, ze środka dobiegały śmiechy, gwar i muzyka, a on pomyślał sobie, że przecież niedługo nadejdzie jesień, więc szkoda marnować taki ładny wieczór.

Wszedł do środka i stanął przy barze. Zamówił piwo, a po namyśle domówił jeszcze podwójnego jacka danielsa. Taka ilość alkoholu powinna mu wystarczyć.

Nie wystarczyła.

Potem był jeszcze jeden podwójny jack daniels, potem podwójny jim beam black, potem burbon o nazwie Elijah Craig, którego nigdy wcześniej nie pił, więc poczuł nagle przemożną chęć, by go spróbować. A potem kolejne piwo.

Potem zaś nastąpiło coś, co dało mu ostateczny, znakomity pretekst, by skoczyć na główkę do basenu z alkoholem. Odwrócił się i spojrzał na salę. I zobaczył Gorbałę.

ROZDZIAŁ 32

Siedział pod oknem, parę stolików od niego. Ubrany był tak samo jak wtedy, gdy widział go pierwszy raz, więc tym łatwiej go poznał. Śnieżnobiała koszula, czarna, niemal błyszcząca dopasowana marynarka, nienaganna fryzura i lśniący nienaturalną aż bielą uśmiech sprawiały, że był on osobą, na którą niemal od razu zwracało się uwagę.

Nie był sam. Przy stoliku razem z nim siedziała dziewczyna. Młoda, to też było widać na pierwszy rzut oka. Mogła mieć osiemnaście, dwadzieścia, ale równie dobrze szesnaście lat. Ubrana była po klubowemu: w odrobinę za bardzo błyszcząca, odrobinę za kuse i odrobinę za ciasne bluzkę i spódniczkę. Długie, mocno rozjaśnione włosy spływały jej na plecy. Nałożone na paznokcie tipsy mieniły się cekinami i wszystkimi kolorami tęczy. W jej twarzy było coś tępego, ale i coś zmysłowego. Szczerze powiedziawszy, spodobała się Rozłuckiemu od razu.

Rozmowa była, zdaje się, w dość już zaawansowanej fazie. Gorbała mówił, nachylając się ku niej coraz bardziej. Co jakiś czas muskał też palcami jej leżącą na stoliku dłoń, a ona jej nie cofała. Patrzyła na niego wyraźnie oczarowana. Uśmiechała się, kiwała głową, czasem wybuchała dość głośnym śmiechem, w którym

słyszeć już było sporą liczbę wypitych drinków.

Rozłucki patrzył na to zafascynowany. Widząc kątem oka zbliżającego się po drugiej stronie lady barmana, zamówił jeszcze jednego podwójnego burbona. Jego fascynacja podszyta była zazdrością, a także smutkiem. On nigdy nie potrafił w ten sposób czarować kobiet. Zawsze gdy był w tego typu sytuacji, spinał się i zamykał w sobie, a gdy nawet udawało mu się nadzwyczajnym wysiłkiem woli podlanym sporą ilością alkoholu przełamać wrodzoną nieśmiałość, jego próby prowadzenia konwersacji osiadały po chwili na takich mieliznach banału i nudy, że aż jego samego bolały od tego zęby. Swoją byłą żonę poderwał bardziej uporem niż urokiem i nic nie wskazywało na to, by cokolwiek się od tego czasu zmieniło.

Z tym większą fascynacją wpatrywał się w widowisko, które rozgrywało się przed jego oczami. Gorbała był bardzo sprawny, widać to było nawet, gdy nie słyszało się, o czym mówi. Wił się przed swoją ofiarą, zaglądał w oczy, rzucał półuśmiechy, tańczył niczym wąż przed myszą. A ona najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, by ją połknął.

Wtedy jednak nastąpiło coś, co spowodowało, że pewna już w zasadzie zdobycz wymknęła mu się z rąk. Do stolika podeszło dwóch mężczyzn. Jeden młody, piętnasto-, może szesnastoletni. Drugi znacznie straszy, z szerokim karkiem i mięśniami rozciągającymi białą koszulkę polo. To właśnie on zaczął coś mówić podniesionym głosem. Twarz Gorbały momentalnie się zmieniła.

Zszedł z niej uśmiech, spłynął cały urok i zamiast nich pojawiła się zimna, pogardliwa obojętność. Spojrzał na mężczyznę jak na kupę gnoju zagrażającą czystości jego butów. Jednocześnie uniósł jednak obie ręce dłońmi do góry, jakby ogłaszał wszem i wobec, że nie zamierza wchodzić z nimi w jakikolwiek spór.

Młodszy z mężczyzn podszedł do dziewczyny i chwycił ją za ramię. Ta potulnie, nie ociągając się, wstała. Dopiero po ruchach można było poznać, że bliżej jej do szesnastu niż dwudziestu lat. Po chwili wszyscy troje odeszli.

Gorbała został sam przy stoliku. Wyrzucił z siebie gwałtownie kilka słów i nawet z daleka można było poznać, że są to przekleństwa. Wstał równie gwałtownie i podszedł do baru. Stał tuż przy Rozłuckim. Przywołał barmana nieznoszącym sprzeciwu gestem i zamówił potrójną wódkę z lodem, po czym wypił ją jednym haustem. Rozłucki nie mógł wciąż oderwać od niego oczu. Gorbała zauważył to i odwrócił w jego stronę twarz.

— Co się gapisz? – spytał.

Rozłucki zmartwiał. Jeszcze nigdy nie widział tak pustego, zimnego, pozbawionego wyrazu, a jednocześnie przenikliwego wzroku. Intensywność tego spojrzenia była wprost przerażająca.

Nagły wyrzut uwolnionej gwałtownym stresem adrenaliny zrobił jednak swoje. Rozłucki uśmiechnął się porozumiewawczo i powiedział:

— A było tak blisko, co? Palanty.

Gorbała nie odwzajemnił uśmiechu i nie odwrócił wzroku.

Rozłucki miał wrażenie, że gdyby nie siedział na wysokim stołku barowym i nie opierał się plecami o kontuar, mógłby się przewrócić pod ciężarem tego spojrzenia. Miał teraz ochotę, wielką, szczerą, dojmującą ochotę, by odwrócić się i uciec jak najdalej stąd. Zamiast tego przełknął jednak ślinę i dodał:

— Mnie też jedna wystawiła. Głupia cipa.

Gorbała dopiero teraz odwrócił spojrzenie. Przywołał jeszcze raz barmana i rzucił:

— Dla tego pana to samo. A dla mnie jeszcze raz.

Po chwili na blacie stanęły dwie wysokie wypełnione wódką i lodem szklanki. Gorbała wziął stojącą bliżej i stuknął nią w drugą. Rozłucki pospiesznie chwycił swoją. Wypili. Rozłucki o mało nie wymiotował. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pił czystą wódkę.

Gorbała ponownie odwrócił do niego swoją twarz.

— Znam miejsce, gdzie dziewczyny nigdy nie odmawiają – powiedział. – Chodź!

Zapłacił i ruszył w kierunku wyjścia. Rozłucki poszedł za nim. Najpierw bezrefleksyjnie, z pijackiego automatu. Potem poczuł gwałtowny niepokój, żeby nie powiedzieć strach. Żołądek ścisnął mu się z nerwów, domagając się nagłego opróżnienia. Znów miał ochotę uciec, lecz tym razem ocierała się ona wręcz o panikę. Wiedział jednak, że taka okazja już się nie powtórzy. Cieszył się tylko, że Gorbała go nie znał. Kiedy rozmawiał z Karoliną, Rozłucki stał dalej, przy swoim domu i Gorbała raczej na pewno nie zwrócił na niego uwagi. Może dzięki tej anonimowości uda mu się

dowiedzieć czegoś istotnego?

Wyszli na zewnątrz i ruszyli w dół, w kierunku mostu na Łynie. Stała przy nim figura świętego, zdaje się Jana Nepomucena. Ksiądz, który nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi i został za to utopiony w rzece. Rozłucki spojrział na nią i przeszedł go zimny dreszcz. On z kolei chciał poznać pewną tajemnicę. Wzdrygnął się. Nie, nie będzie teraz snuć takich głupich analogii.

Przed mostem stały taksówki czekające na powracających z nocnych pijaństw i dyskotek. Gorbała machnął ręką i jedna z nich natychmiast do nich podjechała. Wsiadli do niej. Rozłucki za kierowcą, Gorbała obok. Taksówkarz odwrócił w ich stronę wzrok i uśmiechnął się ślisko.

— Tam gdzie zawsze? – spytał Gorbała. Ten tylko kiwnął głową.

Rozłuckiemu wydało się, że to ten sam kierowca, który wioził go poprzednim razem, ale mógł się mylić. W nocy wszyscy taksówkarze wyglądają tak samo.

Ruszyli. Po chwili zaczął padać deszcz. Już kiedy wychodzili z klubu, pierwsze krople spadały im na głowy i ramiona, teraz zaś rozpadało się na dobre. Strużki deszczu spływały po szybach auta. Gorbała nie odzywał się, patrząc w okno. Rozłucki też wolał milczeć. Czuł się, jakby siedział w jednej klatce z wężem.

Nie wiedział, ile jechali ani którądy. Nie znał jeszcze tego miasta, poza tym był już coraz bardziej pijany. Ciepło wnętrza taksówki połączone z kołysaniem wynikającym z jazdy i monotonnym dźwiękiem silnika niemal go uspiły.

Dojechali wreszcie. Deszcz tymczasem ustał. Wysiedli na wilgotne, rześkie powietrze. Dom, przed którym stali, burdel zapewne, wyglądał jednak zupełnie inaczej niż ten, do którego trafił poprzednim razem. Tamten był zwykłym betonowym klockiem, to była zaś nowa, dość okazała willa stojąca wśród drzew na obrzeżu lasu.

Weszli do środka. Gorbała pierwszy, pewnym krokiem, Rozłucki z tyłu, niejako na przyczepkę. Wnętrze domu także wyglądało zupełnie inaczej. Wszystko było nowe, lśniące, chromowane. Bardziej przypominało klub go-go, w którym był poprzednim razem, niż zwykły, choć przerobiony dom.

Gorbała od razu podszedł do baru. Barman uśmiechnął się zza kontuaru i bez pytania nalał mu wódkę do szklanki z lodem.

— A co dla pana? – spytał Rozłuckiego.

Rozłucki spojrzał półprzytomnym wzrokiem na baterię butelek stojącą z tyłu na podświetlanych, szklanych półkach. Zestaw prezentujących się tam trunków był doprawdy imponujący. Było też kilka whisky single malt. Dostrzegł między innymi macallana, taliskera i glenmorangie. Bez rewelacji, ale całkiem nieźle. Przeniósł spojrzenie na siedzące na skórzanej kanapie po przeciwległej stronie holu dziewczyny. Różnica między nimi a tymi, które pamiętał z poprzedniej agencji, była dokładnie taka sama, jak między tą willą a tamtym domem.

— Nie wiem, czy stać mnie na cokolwiek w tym pomieszczeniu – stwierdził.

— On jest ze mną – odparł Gorbała. – I pije, zdaje się, whisky.

Barman zwrócił uśmiechniętą twarz w jego stronę.

— Preferuje pan islay czy raczej speyside? – spytał. – A może coś z innych wysp?

Uwielbiał takie pytania.

— Może być talisker – odpowiedział. – Podwójny, bez lodu.

— Ma się rozumieć, że bez lodu – uśmiechnął się barman.

Kryształowy tumbler pełen złocistego, pachnącego solą i torfem płynu stuknął o blat. Rozłucki podniósł go z niemal nabożną czcią, przystawił do nosa i wciągnął zapach. Był czas, gdy uważał taliskera za whisky pośledniejszego rodzaju, nie umywającą się nawet do laphroaiga czy lagavuin. Lecz dziś? Dziś był wdzięczny losowi, Gorbale i temu przemilemu barmanowi, że może jeszcze raz wachać jego zapach i czuć jego smak.

Pociągnął długi, powolny łyk. Wtedy, jakby to był umówiony znak, dziewczyny wstały z kanapy i podeszły do baru. Ubrane były seksownie, lecz na pewno nie wyzywająco. W niczym nie przypominało to poprzedniej agencji, gdzie wszystkie wdzięki kobiet wywalone były niemal na wierzch – jak u obeschniętego kurczaka na plastikowej tacy w supermarkecie.

— Prawie same Ukrainki – powiedział Gorbała. – Wolę je, bo nie sprawiają problemów i nie usiłują rozmawiać.

Niemal natychmiast, bez zastanowienia wybrał jedną z nich. Poszli na górę.

Rozłucki patrzył tępym wzrokiem na kolejne dziewczyny.

Próbował w swoim coraz bardziej zamroczonym umyśle wymyślić jakiś sposób, który umożliwiłby mu zrealizowanie tu detektywistycznej misji. Dziewczyny były ładne, musiał to przyznać. Blondynki, brunetki, rude, szczupłe i takie o pełniejszych kształtach. Wysokie i niskie. Jedna nawet miała niemal skośne oczy. Każdy mógł sobie tu coś wybrać. Im dłużej na nie patrzył, tym mniej pamiętał o Gorbale, małej Ewie i o swoim, pozał się Boże, śledztwie. I tym bardziej blakły wszelkie obiekcje, jakie miał jeszcze przed chwilą, że to mocno nieetyczne korzystać z usług seksualnych kobiet, co do których nie ma się pewności, że nie są do ich świadczenia w ten czy inny sposób zmuszane. A tym bardziej, jeśli płaci za to człowiek, którego podejrzewa się o morderstwo.

Jedna z dziewczyn była podobna do Karoliny. Albo do Weroniki. W każdym razie do jednej z nich.

— Ty – powiedział, wskazując na nią palcem. – Chodź!

Poszli na górę. Był już w takim stanie, że schody stawały się powoli wyzwaniem. Weszli do jednego z pokoi. Nie za bardzo już zwrócił uwagę, jak on wygląda.

— Może drinka? – spytała dziewczyna. Miała ledwo słyszalny wschodni akcent.

Na stoliku stało kilka butelek. Wybór był o wiele mniejszy niż na dole, lecz stary, dobry jack daniels także i tu trwał na swym posterunku.

Rozłucki dotknął palcem butelki.

— Bez lodu – powiedział. Chwiał się już trochę na nogach.

Dziewczyna naląa alkoholu do szklanki.

— Idź się umyj – powiedziała, wskazując na drzwi do łazienki – a ja się przygotuję.

Kiwnął głową. Wypił duszkiem płyn i ruszył do łazienki. Prysanic trochę go otrzeźwił, ale tylko trochę. Założył biały, pachnący świeżym praniem szlafrok i wrócił do pokoju. Dziewczyna leżała na łóżku. Była już w samej bieliźnie. Czerwony, siatkowy stanik podtrzymywał jej całkiem duże piersi. Widać było spod niego ciemne sutki. Podobne stringi bardziej uwidaczniały, niż zakrywały szparę na jej wzgórkach łonowych.

— Poczekaj, poczekaj. – Odetchnął głęboko. Usiadł na stojącym przy łóżku fotelu. Poła jego szlafrocka zaczęła się podnosić. – Porozmawiajmy najpierw.

— Jak chcesz – powiedziała dziewczyna. – O czym?

Spróbował odwrócić od niej wzrok. Było ciężko, ale się udało.

— Gorbała – powiedział. – Ten mężczyzna, z którym tu przyszedłem, często tu bywa?

— Nie wolno nam rozmawiać na temat innych klientów – odpowiedziała.

— To mój znajomy – odparł. – Przyszedłem z nim.

— Widocznie nie za dobry, skoro tego nie wiesz.

Spojrzał na nią znów, nie mógł się powstrzymać. Patrzyła w sufit. Czarne pończochy opinały jej długie, szczupłe nogi.

— Dobry – próbował coś wymyślić. – Nawet aż za bardzo. Podejrzewam, że rucha moją żonę. Muszę to wiedzieć. Zapłacę

podwójną stawkę.

Podniosła głowę i oparła ją na zgiętej w łokciu ręce. Bardzo ładnie podkreśliło to kształt jej piersi. Trudno było powiedzieć, czy mu uwierzyła.

— Często – odpowiedziała.

— Jaki jest?

— Miły, szarmancki, traktuje nas, jakbyśmy były zwykłym kobietami. Uwodzi, mówi komplementy.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

— Do czasu – dodała.

— Do czasu?

— Na koniec jest zawsze bardzo brutalny. Lubi gwałcić, sam to mówi. Chce, żebyśmy to odgrywały. Nie zawsze to przypomina grę. Czasami idzie na całość. Niejedna miała tu siniaki, wykręcone ręce, a mi złamał kiedyś zebro. Przez miesiąc bolało, gdy oddychałam. Ale płaci zawsze potem ekstra.

Zza obojętnego tonu, którym to opowiadała, zaczęło coś przebijać. Nie uległo wątpliwości, że wolałaby, by to wszystko się nie działo.

— A jakieś przebieranki? – spytał.

— Na przykład jakie?

— Na przykład za uczennicę. Lubi młodsze czy woli starsze?

— Mamy tu całą garderobę pełną różnych strojów. Czasami z nich korzysta.

— Uczennica?

— Też.

— Zapamiętałaś jeszcze coś szczególnego?

— Raz kazał mi mówić do siebie „tato”.

Wstał i podszedł do stolika. Nalał sobie jeszcze jacka danielsa. Wypił. Spojrzał z ukosa na dziewczynę. Jej prawe udo opadło na prześcieradło, odsłaniając dość dokładnie to, co miała między nogami. Wszystko, co przed chwilą usłyszał, nie pozostało bez wpływu na niego. Poczul silne, bardzo silne podniecenie. Tak silne, że bez trudu przebiło się przez alkoholowe zamroczenie. Odwrócił się i zdjął szlafrok. Dziewczyna spojrzała na niego bez zdziwienia. Wszedł na łóżko i usiadł na niej. Położył jej jedną dłoń na ustach i zacisnął. Patrzyła na niego pustym wzrokiem. Po chwili jęknęła, udając rozkosz. Zabrał dłoń z jej ust i uderzył ją lekko w twarz. Chwycił obiema dłońmi za piersi i mocno ścisnął. Tym razem jęknęła naprawdę. Podobało mu się to. Złapał jej obie ręce i wykręcił nieporadnie nad głowę. Krzyknęła. Przytrzymał je potem jedną ręką, a drugą włożył między jej nogi. Nie był delikatny. Alkohol dość dokładnie wyłączył mu uczucia wyższe, za to wzmocnił wszystko inne. Nie był już sobą.

A może właśnie był?

ROZDZIAŁ 33

Białe, ostre światło przebijało się nawet przez zamknięte powieki. Przełknął ślinę. Usta i język były tak suche, że aż zabolalo. Słuchać było monotonne bzyczenie, które po chwili zidentyfikował jako dźwięk przepalającej się świetlówki. Oprócz niego słychać było jeszcze coś. Chrapanie. Głośne, ale dobiegające z innego pomieszczenia. Spróbował otworzyć oczy.

Sklejone ropą powieki rozsunęły się z trudem. Pod spodem czuł piasek. Białe światło wdarło się aż do środka jego mózgu. Musiał z powrotem zamknąć oczy. Dopiero po chwili otworzył je znowu. Przechylił głowę, by nie patrzeć na dwie wiszące nad nim świetlówki w błyszczącej obudowie.

Leżał na łóżku, obok stało drugie takie samo. Pomieszczenie było białe, choć wymalowane do połowy ścian siną, olejną lamperią. Zauważył kraty w oknach i linoleum na podłodze. I jeszcze coś. Z pustego łóżka po drugiej stronie zwisały skórzane pasy. Takie, jakimi przypina się niebezpiecznych pacjentów w szpitalach psychiatrycznych.

Poczuł, jak na jego czoło wychodzi zimny pot. Spróbował podnieść rękę. Udało się. A więc nie był przypięty. Odkręcił głowę do tyłu i spojrzał na drzwi. Były solidne, metalowe i zaopatrzone w

wizjer. Przypominały drzwi w więziennej celi, ale niewątpliwie nimi nie były. Spróbował usiąść na łóżku. Zakręciło mu się w głowie tak, że niemal przewrócił się znowu. Potem pojawił się ból. Silny, pulsujący, prawie nie do zniesienia. A potem...

Dobrze, że przy nogach łóżka stała miska. Skorzystał z niej w dość gwałtowny sposób. W pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach alkoholowych wymiocin. Otarł usta rękawem koszuli. Była to jego koszula. Nie szpitalna piżama ani nie więzienny drelich. Powoli docierało do niego, gdzie jest. W izbie wytrzeźwień.

Oparł się plecami o ścianę. Na powierzchnię jego z trudem włączającej się świadomości zaczęły wypływać obrazy i wspomnienia z wczorajszej nocy. Nie było to miłe doświadczenie. Dowiedział się o sobie paru rzeczy, których wolałby nie wiedzieć. Dobrze w sumie, że czuł się tak podle fizycznie, bo to dość skutecznie odwracało jego uwagę od myśli jeszcze cięższych do zniesienia niż ból głowy.

Tak. Tak. Przypomniał już sobie, w jaki sposób się tutaj znalazł. Może nie ze wszystkimi szczegółami, może nie cały ciąg zdarzeń był do odtworzenia, ale to, co mimo wszystko przetrwało alkoholowe tsunami w jego mózgu, układało się w miarę spójną całość. Gdy skończył tam, w tym pokoju, nie chciał z niego wyjść. Został i pił dalej. W końcu, gdy opłacony przez Gorbałę czas minął, dziewczyna wezwała kogoś. Pamiętał, że głośno i dość gwałtownie domagała się zapłacenia obiecanej przez niego podwójnej stawki, lecz on, jak się okazało, nie miał już pieniędzy, a jego karta kredytowa odmówiła

dalszej współpracy. Gorbała już pojechał, więc nie było komu uregulować tej należności. Dziewczyna wściekła się, tym bardziej, że należała jej się jeszcze dodatkowa opłata, za, jak się wyraziła, niestandardowe usługi. Zdaje się, że parę razy nieźle od niej oberwał. Kilka miejsc na ciele do tej pory go bolało. Wzięła odwet za to, co robił jej wcześniej.

Potem wielki jak szafa ochroniarz wyprowadził go z pokoju i wyrzucił za drzwi willi. Na odchodnym powiedział mu jeszcze, że gdyby nie przyszedł tu z „panem Gorbałą”, nie skończyłoby się to tak miło. Potem gdzieś szedł, nie wiedział dokąd ani w którą stronę. Przewrócił się raz czy dwa, czego ślady widoczne były na jego ubraniu. Potem znalazł jakiś przystanek i położył się na ławce pod wiatą. Stamtąd musiała zgarnąć go policja.

Odetchnął głęboko, lecz to był błąd. Młot pneumatyczny w jego głowie rozhulał się na dobre. Postanowił nie ruszać się już nigdy, nie oddychać i nie mrugać powiekami. Zostać w tej pozycji aż do końca świata.

Nie wiedział, ile godzin, dni albo wieków minęło. Nie spał, ale też trudno powiedzieć, by był świadomy. Jego myśli przestały płynąć, funkcje życiowe zostały zredukowane do najbardziej niezbędnego poziomu. Popadł w coś w rodzaju postalkoholowej, kacowej hibernacji.

Wyrwał go z niej dźwięk otwieranych drzwi. Do pomieszczenia ktoś wszedł. Podniósł ostrożnie powieki. Dość gruby, krótko obcięty świński blondyn w białym, niezbyt świeżym fartuchu. Raczej

pielęgniarski niż lekarz.

— Widzę, że wstaliśmy – usłyszał. – Bardzo dobrze. Pora się zbierać. Pani doktor czeka.

Otworzył szerzej oczy.

— No już, wstajemy. – Poczł bezceremonialne szturchnięcie. – Nie będę tu czekał nie wiadomo ile.

Zsunął się ostrożnie z łóżka i stanął chwiejnie na nogach. Głowa o mało mu nie odpadła z bólu.

— Mogę... – przełknął ślinę – mogę skorzystać z toalety? – wychrypiał.

— Nie zeszczaleś się jeszcze w gacie? – spytał pielęgniarski. – Spokojnie, ten etap jeszcze przed tobą. Kibel będzie po drodze.

Wyszli na korytarz. Takie same ściany, taka sama lamperia i linoleum. Poszli w lewo. Kilkanaście kurewsko długich metrów dalej były drzwi do toalety. Obdrapane, z pomalowanej olejną farbą płyty wiórowej, zaopatrzone w aluminiową klamkę. Pamiętał, że takie same były w jego podstawówce. Te też musiały mieć co najmniej trzydzieści lat. Wszedł do środka.

— Tylko się streszczaj – usłyszał za sobą. – Mam nadzieję, że nie będziesz srał?

— Nie – odparł.

Smród w środku był wprost niewyobrażalny. Wyrzygał się jeszcze raz, choć wcześniej wcale mu się nie chciało. Miał wrażenie, że przy okazji wypluł do sedesu sporą część mózgu. Potem wysikał się i spuścił wodę. Mydła oczywiście nie było. Opłukał ręce zimną

wodą i wyszedł. Z ulgą odetchnął normalnym powietrzem.

Przywitało go szturchnięcie w ramię.

— No dalej! Rusz się wreszcie. Pani doktor czeka.

Pani doktor okazała się dość młodą kobietą, młodszą w każdym razie od niego. Szczupłą, drobną, z dużym ostrym nosem i falującymi, lekko rudymi włosami.

— Proszę siadać – powiedziała uprzejmie.

Opadł ostrożnie na krzesło. W życiu jeszcze nie miał takiego kaca.

— Ma pani coś od bólu głowy? – spytał.

Bez słowa sięgnęła do szuflady biurka i położyła na blacie dwie tabletki.

— Tam ma pan wodę – powiedziała.

Na ścianie, obłożona dookoła obtłuczonymi kafelkami, wisiała mała umywalka. Na samą myśl o tym, że miałby wstać i do niej podejść, głowa rozboleła go jeszcze mocniej.

— Mogłaby mi pani nalać? – spytał. – Potwornie się czuję.

— Nie – odparła. – Sam pan to sobie zrobił, niech pan ponosi konsekwencje.

Podniósł się powoli, bardzo powoli i podszedł do umywalki. Kubek, który na niej stał, miał już przed nim wielu użytkowników, widać to było nawet bez specjalnego przyglądania się. Przez chwilę miał pomysł, by napić się wody prosto z kranu, ale szybko z niego zrezygnował. Byłoby to zbyt trudne. Zamiast tego włożył tabletki do ust, odkręcił kran, umył trochę kubek palcami, po czym nalał do

niego wody i starając się nie dotykać krawędzi ustami, wlał do gardła jego zawartość. Przełknął. Dobrze, że wyrzygał się w tamtej toalecie, bo inaczej zrobiłby to teraz. Po chwili wrócił na miejsce. Zamknął oczy.

— Na początek formalności – usłyszał. – Nie znaleźliśmy przy panu żadnych dokumentów, musi mi pan więc powiedzieć, jak się pan nazywa.

„Kurwa!”, pomyślał. „Jeszcze i to!”

— Zygmunt Rozłucki – odparł.

— Zawód?

— Psycholog.

— Psycholog? Będę mieć wobec tego ułatwione zadanie. Mam przynajmniej taką nadzieję. Często się panu zdarzają takie akcje?

— Aż takie nie.

— Ale podobne już tak, prawda?

Nie odpowiedział.

— Zdaje pan sobie wobec tego sprawę, że jest pan alkoholikiem? Czy mechanizmy wyparcia działają także u psychologów?

— Działają – odparł. – Ale zdaję sobie sprawę.

— Nie muszę więc panu tłumaczyć, że znajduje się pan na najlepszej drodze do autodestrukcji. I że można temu zapobiec.

Podsunęła w jego stronę jakieś papiery.

— Proszę – powiedziała. – Tu jest ulotka Wspólnoty Anonimowych Alkoholików, a tu namiary do poradni uzależnień przy szpitalu psychiatrycznym w Olsztynie. Wie pan, gdzie to jest?

— Aleja Wojska Polskiego – odpowiedział. Miałby blisko z pracy.

— Właśnie. Proszę zadzwonić pod jeden z tych numerów, a najlepiej pod obydwa. Pomogą panu.

— Pani doktor – odpowiedział. – Ja również nie muszę chyba pani tłumaczyć, że w terapii uzależnień kluczowa jest motywacja pacjenta. Zazwyczaj najlepiej sprawdza się strach. Strach przed utratą rodziny, pracy albo po prostu strach przed śmiercią. W moim przypadku żaden z nich nie występuje. Nie mam rodziny, praca mnie nudzi i od dawna miewam myśli samobójcze. Pokusiłbym się wręcz o hipotezę, że mój alkoholizm jest próbą odebrania sobie życia w nienarzucający się otoczeniu sposób.

— Bardzo to ciekawe, co pan mówi – lekarka uśmiechnęła się nieznacznie – ale nie wiem, czy pan słyszał i o jeszcze innej hipotezie: że tendencje samobójcze biorą się właśnie z próby wyparcia niezwykle silnego lęku przed śmiercią. Może tak jest i w pana przypadku?

Pokiwałby głową, gdyby mógł. Zamiast tego również się uśmiechnął.

— Co taka inteligentna, urocza osoba robi w takim miejscu jak to? – spytał. – Nie było jakiejś czystej, miłej przychodni?

— Jestem rezydentką w szpitalu wojewódzkim – odparła. – Zarabiam tam grosze, a to jest mój drugi etat. Znacznie lepiej płatny. Ale mogłabym spytać o to samo: co taki inteligentny człowiek robi w takim miejscu jak to?

Tabletki właśnie zaczęły działać. Ból głowy powoli ustępował.

Może dlatego odpowiedział:

— Dobrze, obiecuję, pani doktor, że zadzwonię pod jeden z tych numerów.

Uśmiechnęła się, tym razem znacznie szerzej.

— Bardzo mnie to cieszy – powiedziała. – Pozostaje nam wobec tego najmniej przyjemna część naszej rozmowy. Pobyt tu niestety jest płatny, i to dość sporo. A ponieważ przy panu nie znaleźliśmy żadnych dokumentów ani pieniędzy, ktoś musi po pana przyjechać i potwierdzić pana tożsamość albo zapłacić. Inaczej będę zmuszona wezwać policję. Jest ktoś taki?

ROZDZIAŁ 34

Jak się okazało, komórkę też zgubił, a wraz z nią wszystkie zapisane numery telefonów. Ponieważ żadnego z nich nie pamiętał, poprosił miłą panią doktor, by odnalazła w Internecie numer do przychodni przy szpitalu psychiatrycznym i poprosiła Marcina Goczała. Niestety tego dnia pracował on tylko do pierwszej i wyszedł niedawno do domu. Pozostawała więc już tylko jedna możliwość: komenda wojewódzka policji i komisarz Sądecki.

— Widzi pani – uśmiechnął się do lekarki – tak czy siak zadzwoni pani na policję.

Komisarz był w swoim gabinecie i odebrał. Najpierw długo się śmiał, gdy dowiedział się, skąd dzwoni Rozłucki, ale potem obiecał przyjechać.

— Tylko nie przysyłaj mi tu Weroniki – poprosił Rozłucki. – Byłoby to dosyć upokarzające.

— Spoko, spoko – odparł komisarz. I oczywiście przysłał Weronikę.

Czekała na niego w czymś w rodzaju poczekalni.

— Cześć – powiedział. Nie odpowiedziała. Starał się na nią nie patrzeć, nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Ona też za bardzo go nie szukała. Poszli do jej samochodu.

— Rafał przeprasza, ale miał nagłą interwencję – powiedziała, gdy już siedzieli w środku.

— Natury gastronomicznej? – spróbował żartować.

To również zbyła milczeniem.

— Przesyła ci w zamian to. – Rzuciła mu na kolana białą foliową reklamówkę. – Oczywiście to ja musiałam to kupić.

— Co to jest? – spytał, zaglądając do środka. Dojrzał torebkę z białym proszkiem. – Amfetamina?

— Glukoza – odpowiedziała. – I butelka wody. Wsyp jedno do drugiego, zamieszaj i wypij. Powinno postawić cię na nogi.

Włączyła silnik i otworzyła okna.

— Pozwolisz, że będziemy jechać z opuszczonymi szybami – powiedziała. – Nieźle od ciebie śmierdzi.

Miał nadzieję, że w grę wchodził wyłącznie zapach przetrawionego alkoholu. Ruszyła.

Rozdarł torebkę i wsypał jej zawartość do butelki, obsypując sobie przy okazji spodnie białym proszkiem. Potem potrząsnął miksturą i wypił. Chyba jeszcze nigdy nie miał w ustach czegoś równie ohydneho.

— Szacowny pan komisarz polecił mi odstawić cię do domu – poinformowała go. – Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie próbował przez ten czas się tłumaczyć.

— Czekaj – powiedział, starając się przełknąć ślinę i pozbyć z ust tego lepkiego smaku. – Zgubiłem też telefon. Mogłabyś zajechać gdzieś, żebym mógł kupić sobie nowy?

— Czy ja, do kurwy nędzy, wyglądam na taksówkarza? – spytała. Chłodno, ale bez złości.

Jednocześnie sięgnęła po coś do torebki stojącej przy jego nogach i rzuciła mu to coś na kolana. Jego telefon.

— Masz – powiedziała. – Był w radiowozie, którym cię przywieźli na izbę. Podobno próbowałeś do kogoś dzwonić, pewnie wtedy ci wypadł. Portfela niestety nie znaleźli.

Chwyił drżącymi palcami komórkę i wszedł w połączenia. Jego obawy niestety się potwierdziły. Dzwonił do Karoliny. Co gorsza za trzecim razem odebrała.

— Kurwa mać! – powiedział. Wczoraj doprawdy zaszalał.

Spojrzała na niego. Bardziej to poczuł, niż zobaczył.

— Telefon do byłej? – spytała. – W ogóle mi ciebie nie żal.

— Do Karoliny – odpowiedział. – Próbowałem się z nią podzielić swoimi najnowszymi odkryciami. – Chyba rzeczywiście tak było. – Tylko niezbyt fortunnie wybrałem porę. – Z tego, co sobie właśnie przypomniał, nie chciała z nim rozmawiać. I trudno jej się zresztą dziwić.

— To są jakieś najnowsze odkrycia? – spytała obojętnie.

— Są – odparł. Glukoza rzeczywiście zaczynała działać. Poczuł, że ulatują z niego zmęczenie i ośpienie, w zamian pojawia się przypływ energii. „Niedobrze”, pomyślał. Odtąd będzie już wiedział, co zrobić z takim kacem. Rzyganie, ibuprom, a potem glukoza. I można chlać od nowa.

— Jakie? – spytała. Już nie tak obojętnie.

Streścił jej pokrótce swoje wczorajsze i przedwczorajsze ustalenia. Postarał się, o ile to możliwe, ukryć fakt, że po raz drugi od ich poznania się wylądował w burdelu. Trudno powiedzieć, czy skutecznie.

— Jak się nazywała ta prostytutka, z którą byłeś? – spytała.

Czyli nieskutecznie.

— Ni cholery nie pamiętam.

Pokiwała głową. Wyglądała na zainteresowaną.

— Bardzo to ciekawe, niewątpliwie – powiedziała. – To ciągle jeszcze jednak za mało. Z jednej strony mamy twarde dowód w postaci przyznania się księdza...

— Ale nie poparty niczym innym – wtrącił.

— ...a z drugiej jakieś plotki, że ofiara mogła być córką Gorbały, i opowieści ukraińskiej prostytutki, że lubi on ostry seks i przebieranki za uczennice.

— I że kazał jej mówić do siebie „tato”.

— Raz.

— Raz – przyznał Rozłucki.

Wyjechali z Olsztyna. Dziesięć, piętnaście minut i będą pod jego domem.

— Sam więc widzisz, że waga procesowa tych dwóch rzeczy jest niewspółmierna – powiedziała. – Choć nie ulega wątpliwości, że jest to zastanawiające. Gdybyś miał coś konkretniejszego...

Coś konkretniejszego... Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdzieś, coś, kiedyś... że coś takiego było.

Wpadł na ten pomysł nagle, gdy przejeżdżali koło sklepu. Poprosił Weronikę, by się zatrzymała i pożyczyła mu sto złotych. Bez słowa sięgnęła po portfel. Pożegnali się też o wiele mniej oschle, niż się przywitali. Gdy zawróciła i odjechała, wszedł do sklepu.

— Dzień dobry – powiedział.

Ekspedientka spojrzała na niego podejrzliwie. Musiał nie wyglądać zbyt dobrze.

— Dzień dobry – odpowiedziała.

— Mam do pani wielką prośbę... – zaczął.

— Nie dajemy na zeszyt – przerwała mu.

No to już wiedział, jak wyglądał.

— Nie o to chodzi – uśmiechnął się na wszelki wypadek. – Chodzi o Krupińską. Chciałbym, żeby do mnie przyszła posprzątać, najlepiej jeszcze dziś. Umawialiśmy się na sobotę, ale trochę się nabrudziło, więc wolałbym szybciej. Nie mam do niej numeru telefonu, ostatnim razem zapomniałem wziąć. Mogłaby pani jej to przekazać?

— Zaraz do niej zadzwonię – odpowiedziała sprzedawczyni.

— Dziękuję pani bardzo.

Wszedł, nic nie kupując. Po dwudziestu minutach był już w domu. Rozebrał się, wykąpał i ogolił. Potem założył czyste ubranie. Po wszystkim spojrzał w lustro. Nie wyglądał teraz na człowieka, który wczoraj w nocy wykręcał ręce prostytutce, a potem spał w izbie wytrzeźwień. Poczł silny, głęboki niesmak. Nie, nie będzie o tym teraz myślał. Wiedział, że to nieprofesjonalne, ale miał to w

dupie. Teraz miał inne rzeczy na głowie. Już zresztą i tak dawno powinni mu dyscyplinarnie odebrać dyplom ukończenia psychologii.

Czekając na Krupińską, zrobił sobie coś do zjedzenia. Zastanawiał się, jak poprowadzić tę rozmowę. Bał się jej, czuł mocny, nawracający ucisk w żołądku. Bał się rozmowy z tą kobietą, której niedawno ktoś zamordował córkę i której wcześniej też los zdaje się nie rozpieszczał. Cudze cierpienie bywa czasami trudniejsze do zniesienia od własnego. Może dlatego, że przed swoim nie da się uciec, a przed cudzym tak. Na co zresztą miał teraz przeraźliwą ochotę. Po co w ogóle ją tu ściągał? Może by tak zamknąć drzwi na klucz i udawać, że go nie ma?

Za późno. W tym właśnie momencie rozległo się pukanie. Żołądek jeszcze raz ścisnął się, tym razem wyjątkowo mocno. Przeżuł kęs kanapki na starym chlebie, który miał właśnie w ustach, wytarł je dłonią i poszedł otworzyć.

Czekała go jednak niespodzianka. Za drzwiami zamiast Krupińskiej stał Krzysiek, jego kolega od cytrynówki.

— Co ty tu robisz? – spytał zdumiony.

— Jak to co? – zdziwił się Krzysiek. – Narzędzia przyniosłem – odwrócił się, pokazując wiszącą na jego ramieniu torbę. – Czas wreszcie zabrać się za tego twojego grata. Ale najpierw – wyciągnął z torby plastikową butelkę z przezroczystym płynem – po jednym.

Wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

— Ja to dzisiaj dziękuję – powiedział Rozłucki, idąc za nim do

kuchni. – Wczoraj trochę za bardzo zabalowałem.

— Daj spokój. – Machnął ręką Krzysiek. Postawił torbę na krześle, a butelkę na stole. – Alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w ogromnych ilościach. A jeden kieliszek to już w ogóle nikomu nie zaszkodził. Gdzie masz szklanki?

— Tam. – Rozłucki wskazał wiszącą nad zlewem szafkę.

Jego towarzysz wyjął z niej dwie szklanki od herbaty i napełnił je do połowy bimbrem.

— No to zdrowie! – powiedział, podnosząc swoją. Żeby nam robota dobrze szła.

Rozłucki spojrzał na stojącą ciągle na stole drugą szklankę. Może faktycznie odrobina alkoholu by mu nie zaszkodziła? Rozluźniło by go to i rozpuściło ten kamień, który miał w żołądku i który rósł z każdą chwilą oczekiwania na Krupińską.

— Ale ja tylko pół – powiedział i uniósł swoją szklankę. Wypił. Odrobinę więcej niż połowę.

Pierwsze odczucie było fatalne. Wzdrygnął się cały i zatrząsł. Lecz już po chwili przyjemne ciepło rozlało mu się po brzuchu, a jego biedna, skołatana dusza odzyskała spokój.

— Dobra. – Klasnął w dłonie Krzysiek. – To jeszcze po jednym i idziemy.

Tym razem Rozłucki nie protestował.

Wyszli na zewnątrz, zabierając butelkę i szklanki. Wspólnymi siłami ściągnęli plandekę. Kiedy przyszła wreszcie Krupińska, samochód był już nieźle rozbebeszony, a oni porządnie wstawieni.

— Cześć, Magda – powiedział mężczyzna, gdy ją zobaczył.

— Cześć – odparła, nie patrząc na niego. Ruszyła w stronę domu.

— Mam po prostu posprzątać, tak? – spytała, prawie się nie odwracając. – Czy ma pan jeszcze jakieś dodatkowe życzenia?

— Nie – odparł Rozłucki. – Proszę po prostu posprzątać.

Weszła do środka. Rozłucki mimowolnie ocenił jej figurę. Kurczę, naprawdę była niezła. Spojrzał na swojego towarzysza. Patrzył w tym samym kierunku. Jego wzrok wciąż utkwiony był w zamkniętych już teraz drzwiach. Było w nim coś więcej prócz zwykłego męskiego zachwyty nad zgrabnym kobiecym tyłkiem. Może tęsknota?

— Gdybyś wiedział, jaka z niej była kiedyś laska – powiedział. – Zresztą do tej pory jest. A moja żona spała się jak świnia – dodał, nachylając się z powrotem nad otwartą maską samochodu.

Rozłucki spojrział ponownie na zamknięte drzwi swojego domu. Powinien tam teraz pójść, spróbować z nią porozmawiać. Po to w końcu ją tu ściągnął. Nie potrafił jednak się przemóc. Jakby tragedia, której doświadczyła, odpychała ją od niego, wytwarzała wokół niej niemożliwe do pokonania pole siłowe. To także było nieprofesjonalne zachowanie, wiedział o tym. Co z niego za psycholog, skoro boi się konfrontacji z taką traumą? Odpowiedź mogła być tylko jedna: żaden. Naprawdę powinni mu odebrać ten dyplom.

Stał więc koło tego rozbebeszonego auta i czekał nie wiadomo na

co. Obecność Krzyśka była dla niego wygodnym pretekstem, by się stąd nie ruszać, a alkohol, który wspólnie pili, skuteczną alternatywą dla podjęcia jakiegokolwiek działania. W końcu jednak bimbler, który przyniósł Krzysiek, się skończył. Jego towarzysz podniósł pustą butelkę, obejrzał ją pod światło, a potem rzucił gdzieś w trawę.

— No dobra – powiedział. – Na dzisiaj koniec.

Po czym opuścił maskę, naciągnął niezbyt dokładnie plandekę i sobie poszedł.

Rozłucki został sam.

Jego obecność na podwórku przestała mieć jakiegokolwiek usprawiedliwienie. Nie było już powodu, by ciągle tu stał. Byłoby to nawet dosyć dziwne. Ociągając się, ruszył w stronę domu. Wszedł do środka.

Krupińska wycierała właśnie blat w kuchni.

— Już kończę – powiedziała. – Nie było wcale tak brudno.

Rozłucki usiadł w fotelu. Tym samym, na którym siedział kiedyś Romanowski i trzymał na muszce jego i Karolinę. Krupińska myślała teraz zlew. Znów złapał się na tym, że patrzy na jej pośladki.

„Zadziwiające połączenie”, pomyślał. „Boję się jej, boję się tego, co jej się przytrafiło. A jednocześnie czuję wobec niej wyraźny pociąg fizyczny. Jedno nie wyklucza drugiego. A może właśnie z niego wynika?”

Nie, o tym także nie będzie teraz myślał.

— Jestem psychologiem – powiedział nagle. – Mógłbym pani

pomóc.

Byłoby to wiarygodniejsze, gdyby nie plątał mu się już trochę język.

Odwróciła się zdziwiona.

— W jakim sensie?

— Straciła pani córkę – starał się mówić wyraźnie. – To wielka tragedia. I straszna trauma. Może chce pani o tym porozmawiać?

— Nie, dziękuję – odwróciła się i zaczęła z powrotem szorować zlew.

Kiedy tak nachylała się nad nim i wypinała w jego stronę...
Fuck!

— Czy to prawda, że Ewa była córką Gorbały? – wypalił.

Odwróciła się ponownie. Wbiła w niego pusty wzrok.

— Albo Roberta, jak mu tam... Nadolskiego? Czy to możliwe, że któryś z nich ją zabił?

Zachwiała się. Wyglądało, jakby się miała zaraz przewrócić. Chwyciła się jednak tyłem blatu i mocno odetchnęła.

— Zgwałcił mnie – powiedziała – jeśli o to panu chodzi. Najpierw Gorbała, potem Robert. Człowiek, którego kochałam. Zemścił się na mnie za coś, za co powinien się zemścić na nim. Rozumie pan to? Nie wiem, który z nich był jej ojcem. To pan chciał usłyszeć?

— Pani córka również przed śmiercią była... podobnie potraktowana. Może to któryś z nich?

— Nie była – odpowiedziała cicho. – Mówili mi na policji, że do

niczego nie doszło.

— Ktoś ściągnął jej majtki i zadarł sukienkę.

Opuściła głowę i zacisnęła powieki.

— Jakie bydlę mogło zrobić coś takiego?! – wyrzuciła z siebie.

Odepchnęła się od blatu i rzuciła ścierkę na stół.

— Skończyłam już – powiedziała. – Daj te pieniądze.

Wstał i sięgnął do portfela. Wyjął sto złotych pożyczone od Weroniki. Podeszła do niego i wyrwała mu je z ręki. Chciała wyjść, lecz zagroził jej drogę. Poczuł, jak między nogi napływa mu krew.

— Jak to było? – spytał. – Z Gorbałą. To ważne. Proszę mi o tym opowiedzieć.

Zatrzymała się. Wyglądała teraz, jakby nagle uszło z niej całe powietrze.

— Po co? – spytała, nie patrząc na niego.

— To ważne – powtórzył. – Mówiła pani o tym komuś?

— Nie.

— To proszę to zrobić teraz. Już samo to pomaga.

Gówno prawda. Po prostu chciał to usłyszeć. I to nie tylko dlatego, że mogło to jakkolwiek pomóc w odnalezieniu mordercy.

Trudno powiedzieć, czy przekonał ją ten argument. Może po prostu chciała już wyjść, a on zagrażał jej drogę? Stali twarzą w twarz, dość blisko siebie. Czuł jej zapach.

— Na początku był miły – powiedziała. – Mówił komplementy, dawał drobne prezenty. Rozmawialiśmy często. Wydawało mi się wtedy, że nikt mnie nie rozumie tak jak on. Nawet Robert.

Któregoś razu poszliśmy razem nad jezioro. Weszliśmy na wzgórze. Było tam pole porośnięte młodym żytem. Myślałam, że będziemy się tylko całować. Całowanie to jeszcze nic złego, prawda? Ale on nie chciał w ten sposób. Uderzył mnie, potem wykręcił rękę. A kiedy zaczęłam krzyczeć i bronić się, zrobił to. To wszystko. Mogę już sobie pójść?

Ruszyła w kierunku drzwi, lecz on ją znowu zatrzymał. Położył jej rękę na biodrze.

— Możemy to razem przepracować – powiedział. – Spróbować się wspólnie z tym uporać.

Jego ręka zjechała w dół.

Spojrzała mu w oczy, po czym mocno i bardzo precyzyjnie kopnęła go w krocze.

Po kilku minutach, gdy świat wrócił już na swoje miejsce, zrozumiał, skąd brało się jego podniecenie. Była ofiarą. Ofiary są bezbronne, wydają się łatwym celem. Budzą nadzieję, że można je będzie znowu wykorzystać.

Czyżby stał się aż takim skurwysynem?

Wstał z podłogi i wyszedł na dwór. Zapadała noc, owionęło go chłodne powietrze. Ruszył w kierunku jeziora. Gdy dotarł na brzeg, rozebrał się i wszedł do wody. Była zimna, nawet bardzo, ale to dobrze. Zanurzył się cały, łącznie z głową. Chciał, by ta woda zmyła z niego wszystko, cały ten szlam, którym się ostatnio oblepił. A może chciał nie tylko tego...

Nagle otworzył oczy. Zimna, ciemna woda omyła mu źrenice.

Mimo mroku zobaczył to bardzo wyraźnie. Przypomniiał sobie to teraz, dokładnie w tej chwili. Gwałt. Gwałt i Gorbała. Ukraińska pracownica. Czy to jest właśnie to coś konkretnego?

ROZDZIAŁ 35

Odebrała w końcu. Po szóstym lub siódmym razie, ale odebrała. Usłyszał jej głos w słuchawce. Dziwne uczucie. Właściwie to nie wiedział, czy się wzruszył, czy poczuł niechęć. Ona za to na pewno była zirytowana. Nie można było mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Przestań do mnie wydzwaniać – powiedziała. – Jeśli tego nie zrobisz, będę zmuszona zgłosić, że mnie nękaś. Bardzo bym nie chciała tego robić, więc...

— Dobra – przerwał jej. – Posłuchaj. Mam coś.

W słuchawce zapadła cisza.

— Co? – spytała ostrożnie.

— Gorbała – odpowiedział. – Ten miejscowy biznesmen w białym porsche. Rozmawiałaś z nim kiedyś nad jeziorem, pamiętasz?

— Pamiętam. Pamiętam też, że nie byłeś z tego powodu specjalnie zadowolony. Co z nim?

— Lubi gwałcić. Zgwałcił Krupińską, bardzo możliwe, że Ewa była jego córką. Przed śmiercią odwiedzała go w jego domu. Ale to nie wszystko. Podobno jego pracownica oskarżyła go o to samo, ale potem wyjechała. Jest też stałym gościem burdeli. prostytutki

twierdzą, że lubi je bić. Co ty na to?

Znowu chwila ciszy.

— Ciekawe.

— Kurwa, bardzo ciekawe. Jutro idę z tym do Sądeckiego. Przyjeżdżaj. Powinnaś być przy tej rozmowie.

— O której?

— Będę tam na jedenastą.

Znowu zebrali się w gabinecie z widokiem na tory. Nawet siedzieli na tych samych miejscach. On, Karolina, Weronika i komisarz. Wysłuchali uważnie, co Rozłucki miał im do powiedzenia.

— Hmm – mruknął Sądecki. Nie wyglądał na zadowolonego, ale nie mógł zignorować tak interesujących tropów. – Jak ty się tego wszystkiego w ogóle dowiedziałeś? – spytał prawie z pretensją. Ktoś właśnie zmuszał go, by ponownie zajął się sprawą, którą miał już, jak sądził, z głowy.

— Kosztowało mnie to sporo pieniędzy i połowę wątroby – odpowiedział Rozłucki. – A właśnie, nie przyjąłbyś mnie na jakiś etat? Powoli przestaje mnie już być stać na prowadzenie dalej tego śledztwa.

Komisarz zignorował tę uwagę.

— Co ty o tym sądzisz? – zwrócił się do Weroniki. Widać było, że sam nie wie za bardzo, jak na to zareagować, i próbuje zrzucić ciężar podjęcia decyzji na kogoś innego.

— Trzeba to sprawdzić – odpowiedziała. – Jeśli to wszystko

prawda, oznacza to, że w najbliższej okolicy miejsca, gdzie popełniono morderstwo z prawdopodobnym podtekstem seksualnym, mieszka gwałciciel. Ktoś taki z automatu staje się głównym podejrzanym.

— Głównym podejrzanym ciągle jest ksiądz – upierał się komisarz. – Po pierwsze, przyznał się, o czym wszyscy ciągle zdają się zapominać, a po drugie, też ma za sobą niejasny epizod o charakterze seksualnym.

— Zdaje się, że wyjaśniliśmy już tę niejasność – przypomniał Rozłucki.

— Moim zdaniem niewystarczająco. Ksiądz uprawiał seks ze swoją uczennicą. To ciągle jest przestępstwo.

— Miała powyżej szesnastu lat i robiła to dobrowolnie – zauważyła Weronika. – Nie ma więc mowy o przestępstwie w rozumieniu kodeksu karnego. Chyba że masz na myśli prawo kanoniczne, ale z tego, co wiem, ono nas ciągle nie obowiązuje.

Komisarz spojrzał na nią ze złością.

— A ty, Karolina, co ty o tym sądzisz? – spytał. – Opisałaś już to wszystko w swoim artykule. Napisałaś, że winny jest ksiądz. Co myślisz o tych wszystkich rewelacjach? Wierzysz w to?

Karolina wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Ale też uważam, że powinniśmy to sprawdzić. A co do artykułu, to najwyżej napiszę drugi.

— To co, panie komisarzu? – spytał Rozłucki. – Wznawiamy śledztwo?

Sądecki sapnął ze złością.

— Nie wznawiamy żadnego śledztwa – powiedział poirytowany.
– Mam tu opowieści jakiegoś menela i rewelacje przyniesione przez Rozłuckiego z burdelu. Nie będę robił z siebie idioty i tylko z tego powodu odpalał z powrotem całej maszynerii. Ale okej, porozmawiam z tym Gorbałą.

— I z Krupińską – przypomniał Rozłucki.

— I z Krupińską – zgodził się niechętnie komisarz. – A ty, Weronika, sprawdź te doniesienia o rzekomym gwałcie na ukraińskiej pracownicy. Nawet jeśli wycofała oskarżenie, powinno to być gdzieś odnotowane.

— Okej – odpowiedziała.

— To kiedy idziemy do tego Gorbały? – spytała Karolina.

— Jacy my? – Komisarz był już naprawdę podenerwowany. – Nie jesteście mi do niczego potrzebni. Sam do niego pójde.

— To po co ja tu przyjeżdżałam? – zaprotestowała Karolina.

— Bo on cię tu ściągnął. – Komisarz wskazał palcem Rozłuckiego. – Moim zdaniem niepotrzebnie. Założę się, że jak zwykle nic z tego wszystkiego nie wyjdzie, a my zmarnujemy tylko czas. Mogłaś spokojnie siedzieć dalej w Warszawie.

Wstał, szykując się do wyjścia.

— A co z matką księdza? – spytał Rozłucki. – Miałaś ją tu ściągnąć.

— To może być trudne – odparł komisarz – bo nasza komenda nie dysponuje karetką reanimacyjną. Parę dni temu miała wylew.

Prawdopodobnie nie wytrzymała tego, co dzieje się wokół jej syna. Nigdzie więc nie przyjedzie i z nikim nie porozmawia. Przynajmniej na razie.

— Szlag by to trafił! – zaklął Rozłucki. Ta droga dotarcia do księdza została więc zamknięta. – Chciałbym więc jeszcze raz z nim porozmawiać – dodał stanowczo.

— To też może się okazać niemożliwe. Ksiądz proboszcz kategorycznie odmówił dalszych kontaktów z tobą. Trochę za ostro ostatnio pojechałeś. Widziałem nagranie i w sumie mu się nie dziwię.

Ruszył do wyjścia.

— A teraz wybaczenie, ale muszę już iść. Prowadzę też inne śledztwa, jakbyście nie wiedzieli.

Wyszedł. Karolina też się podniosła. Rozłucki wstał i podszedł do niej.

— Przypominam ci, że nie rozmawiamy ze sobą – powiedziała oschle. – Z wyjątkiem tematów dotyczących tej sprawy. Masz coś jeszcze?

— Nie – odparł.

— To do widzenia – powiedziała i wyszła.

Zostali sami z Weroniką.

— Zdaje się, że trochę ci się ostatnio nie wiedzie – zauważyła. Trudno powiedzieć, czy mówiła to złośliwie, czy po prostu stwierdzała fakty. Sięgnęła po coś do teczki stojącej obok nogi jej krzesła.

— Wypełniłam za ciebie zgłoszenie o utracie dokumentów – powiedziała. – Wystarczy tylko, że podpiszesz. Kartę kredytową musisz niestety zastrzec sam.

— I tak nic na niej nie było – odpowiedział.

— Ale lepiej ją zastrzeż. Tu masz jeszcze taki papier zamiast dowodu. Noś go przy sobie, póki nie wyrobisz sobie nowego. Niby nie jest to wymagane, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda.

Podawała mu obie kartki.

— Dzięki – powiedział. – Bardzo to miłe z twojej strony.

Zauważył nagle, że gdzieś po drodze przeszli jednak na „ty”.

— Nie ma sprawy – odpowiedziała.

— Myślałem, że niezbyt mnie lubisz – powiedział.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

— Ani cię nie lubię, ani lubię – odparła. – Ale coraz bardziej doceniam. Byłbyś dobrym policjantem. Jesteś uparty i umiesz iść za tropem. No i pijesz wystarczająco dużo. Zupełnie jak mój ojciec – dodała.

Uśmiechnął się pod nosem.

— W życiu każdego mężczyzny nadchodzi w końcu taki moment, gdy piękna młoda dziewczyna mówi mu, że przypomina jej ojca. Nie jest to najprzyjemniejsza chwila. Jeśli więc chciałaś mnie dobić, to ci się udało.

— Cała przyjemność po mojej stronie – odparła, zasuważąc zamek błyskawiczny w teczce.

— Twój ojciec był policjantem? – spytał.

— Tak – odpowiedziała. – Też pił i chodził po burdelach. A potem wracał do domu i bił matkę. Nie, nie potrzebuję terapii. Już ją odbyłam. Mówienie o tym jest jednym z jej elementów.

Pokiwał głową.

— To czemu też zostałam policjantką? – spytał.

— Może ja również jestem do niego podobna? Poza tym jak się całe dzieciństwo wysłuchuje o śledztwach i morderstwach, to wszystko inne wydaje się potem nieznośnie nudne. Jedno jest pewne: nigdy w życiu nie wyjdę za policjanta.

ROZDZIAŁ 36

Minął ten dzień i zaczął się następny, a komisarz Sądecki nie dzwonił. Rozłucki w końcu nie wytrzymał i wybrał jego numer.

— No i co? – spytał, gdy tamten już odebrał.

— Co, co? – Ton głosu komisarza nie wróżył niczego dobrego.

— Co z Gorbałą? Rozmawiałeś z nim?

— Tak, rozmawiałem. Wszystkiemu zaprzeczył.

— Oczywiście, że zaprzeczył. Co mówił?

— Że nigdy nie spotykał się z Krupińską ani jej nie zgwałcił. I że Ewa nie była jego córką.

— Wiadomo, że tak mówi. Możesz zlecić badania genetyczne?

— Na jakiej, kurwa, podstawie?

— Na podstawie uzasadnionych podejrzeń.

— Czym uzasadnionych? Weronika sprawdziła te twoje rewelacje. Żaden gwałt nie został nigdy zgłoszony przez żadną ukraińską ani polską pracownicę. Ani zgłoszony, ani wycofany. Nie ma po tym żadnego śladu. Próbowала też odnaleźć tę kurwę, z którą rozmawiałeś, ale ponieważ nie zapamiętałeś nawet jej imienia, okazało się to niemożliwe. Rozmawiała też z Krupińską.

— No i?

— Ona również wszystkiemu zaprzeczyła. Twierdzi, że Ewa była

córką jej męża.

— Co?!

— To co usłyszałeś. Sorry, Zyga, ale wszystkie te twoje teorie nie mają żadnego potwierdzenia w faktach. Nawiasem mówiąc, Gorbała to bardzo miły i sympatyczny człowiek. Nie robił mi żadnych trudności i bardzo chętnie współpracował. To również szanowany członek lokalnej społeczności. Pozwól więc, że nie będę mu więcej zawracał głowy. A tobie radzę po starej przyjaźni: nie pij tyle. Mylisz potem fakty z alkoholowymi omamami.

Rozłączył się.

Rozłucki stał przez chwilę z telefonem w ręku. Nie mógł zrozumieć, co się stało. „...wszystkie te twoje teorie nie mają żadnego potwierdzenia w faktach”. Może to wszystko naprawdę mu się przewidziało? Rozmowa z Krzyśkiem za sklepem... Naprawdę był wtedy bardzo pijany. Dopiero wczoraj przypomniał sobie o tej ukraińskiej pracownicy. No właśnie, ale przypomniał sobie, czy wydawało mu się, że sobie przypomniał? Ludzie czasami biorą swoje wyobrażenia lub fantazje za prawdziwe wspomnienia, istniał taki mechanizm, wiedział o tym. Zdarzało się, że pacjenci w czasie terapii „przypominali” sobie wydarzenia z dzieciństwa, które jak się potem okazało, nie mogły mieć miejsca z przyczyn czysto fizycznych. Może i on wmówił sobie tę rozmowę, a przynajmniej jej konkluzję? Może miał taką alkoholową wizję, jakiś rodzaj sennego rojenia, gdy jego mózg pod wpływem wódki zaczął półprzytomnie przerabiać to, o czym tak intensywnie myślał przez ostatnie dni, i

to tę właśnie wizję wziął potem za prawdę?

A ta prostytutka? Ona mogła z kolei najzwyczajniej w świecie kłamać. Mówić to, co chciał usłyszeć, w końcu obiecał jej za to pieniądze. Wtedy też był bardzo pijany, mógł nie zauważyć, że sugeruje jej swoimi pytaniami oczekiwane odpowiedzi...

Pozostawała jeszcze Krupińska. To wydarzenie było najświeższe, wspomnienia najżywsze, więc przynajmniej teoretycznie najłatwiej było odróżnić w nim fikcję od prawdy. Wszedł na dwór. Owionęło go chłodne powietrze. Odetchnął parę razy głęboko. Spróbował przypomnieć sobie krok po kroku, co się wówczas wydarzyło. Także był wtedy pijany, to nie ulega wątpliwości. Ale chyba nie aż tak bardzo, jak dwoma poprzednimi razami. Coś mu się wtedy roilo, to również było pewne, jego podlane alkoholem popędy uwolniły się z klatki. Ale z drugiej strony wszystko pamiętał dobrze, wyraźnie. Jego wspomnienia były żywe, wciąż niemalże namacalne. Widział rozmowę z Krupińską, jakby odbyła się przed chwilą, czuł wciąż zażenowanie i wstyd.

Nie, niemożliwe, żeby to mu się przewidziało. Wstyd raczej rzadko pojawia się w fantazjach. To uczucie jest zwykle pierwsze do wyparcia. Niesmak, który wciąż czuł, przypominając sobie wydarzenia tamtego wieczoru, był najlepszym dowodem na to, że jego wspomnienia były prawdziwe.

Podniósł rękę z telefonem i wybrał numer Karoliny. Tym razem odebrała prawie od razu.

— Tak? – W jej głosie słychać było rezerwę.

— Sądecki zapewne już do ciebie dzwonił – powiedział. – Czy się mylę?

— Dzwonił – potwierdziła. – Właśnie się pakuję.

— Wstrzymaj się jeszcze trochę.

— Nie widzę powodu.

— Powód jest taki, że cię o to proszę.

— I to ma być powód?

— Tak. Możesz to potraktować jako ostatnią przysługę. Zgódź się, choćby przez wzgląd na to wszystko, co razem przeszliśmy. Jeśli to, co planuję, nie wypali, obiecuję, że już nigdy nie będę cię niepokoił.

W słuchawce zapadła cisza.

— Co planujesz? – spytała po chwili.

— Chcę, żebyśmy poszli razem do Gorbały i porozmawiali z nim. Ty i ja, tak jak kiedyś.

— Rafał już z nim rozmawiał.

— Sądecki? On nie jest zbyt bystry, wiesz to przecież. Nasz duet jest znacznie lepszy w te klocki. Pamiętasz, jak było poprzednim razem? Proszę ci tylko o parę godzin. Na wieczór będziesz już w Warszawie.

— Sama nie wiem. Rafał twierdzi, że masz na tym punkcie obsesję. Nie widzisz oczywistych faktów, za to wymyślasz niestworzone historie. Zaczynam się zastanawiać, czy to nie jest prawda.

Niezastąpiony komisarz Sądecki. Zawsze można na niego liczyć.

— Wiesz, gdzie teraz jestem? – spytał. To, co miał zamiar zrobić, nie było może zbyt eleganckie, ale nie miał innych pomysłów.

— Gdzie? – spytała.

— W domu, w którym teraz mieszkam. W pomieszczeniu, gdzie siedzieliśmy razem na kanapie, gdy Romanowski celował do nas z karabinu. Patrzę na ścianę, na której wciąż widać plamę powstałą po tym, gdy strzelił sobie w głowę. – Kłamał. Kłamał jak z nut. Stał na dworze i patrzył na jezioro. I było mu coraz zimniej. – Pamiętasz to? Wtedy Sądecki też był sceptyczny. Uważał, że wymyślamy niestworzone historie. Ale to my mieliśmy rację, nie on. Zaufaj mi jeszcze ten jeden, ostatni raz. Proszę cię tylko o tę jedną rozmowę. Jeśli będziesz po niej wciąż uważała, że mam obsesję, nie powiem słowa. Pożegnamy się chłodno i już nigdy więcej nie zobaczymy.

Szantaż emocjonalny. Tak można było chyba określić to, co właśnie zrobił. Nie czuł się z tym zbyt komfortowo.

Westchnęła.

— No dobrze – powiedziała. – Przyjadę teraz do ciebie i razem pojedziemy do Gorbały. Ale jeśli go nie będzie albo nie będzie chciał z nami rozmawiać, odjeżdżam. I obiecaj mi, że nie będziesz mnie zatrzymywać.

— W porządku. Obiecuję.

Białe porsche cayenne stało na podjeździe, co prawdopodobnie znaczyło, że Gorbała był w domu. Czarne bmw serii 1 Karoliny, którym przyjechali, wyglądało przy nim jak jamnik przy

labradorze. Dom Gorbały wznosił się nad jeziorem, zwrócony fasadą w jego stronę, działka jednak nie dochodziła do samego brzegu. Oddzielała ją od niego droga i jeszcze kawałek pola, na którym zieleniły się już listki ozimej pszenicy.

Posesja otoczona była wysokim metalowym płotem złożonym z prostych prętów o trójkątnym przekroju, pomalowanym na stalowoszary kolor. Automatyczna brama wjazdowa odsunięta była na bok. Tuż przy niej stała psia buda, najwyraźniej jednak pusta. Podjazd wyłożony był betonową kostką w pastelowych kolorach ułożoną w fantazyjne wzory.

Sam dom był duży, ale ani specjalnie nowy, ani specjalnie imponujący. Przykryty spadzistym dachem krytym czerwoną blachodachówką i zaopatrzony w obowiązkowe dwie kolumnienki przy wejściu musiał być zbudowany jeszcze przez ojca obecnego właściciela, bowiem prezentował sobą styl i gust charakterystyczny dla minionej dekady. Jego duże, dzielone na sześć części okna wpatrywały się w Karolinę i Rozłuckiego niczym oczy wielkiego, lecz ospałego zwierzęcia.

Weszli przez bramę. Poczuli charakterystyczny zapach fermi drobiu. Za domem, w pewnej od niego odległości widoczne były długie budynki kurników. Stały tam również traktor i dwa samochody ciężarowe. Pozostała część posesji obsiana była trawą i obsadzona drzewami i krzewami. Rośliny te, choć nie można było o nich powiedzieć, że są zaniedbane, nie sprawiały również wrażenia jakoś specjalnie pielęgnowanych. Widać było, że człowieka, który tu

mieszka, nie za bardzo obchodzą tego typu rzeczy.

Podeszli pod drzwi.

— I co, mamy go tak po prostu spytać o Krupińską? – Zarówno w postawie, jak i tonie głosu Karoliny dało się wyczuć daleko posuniętą rezerwę.

— Nie – odparł. – Jesteś dziennikarką z Warszawy. Przypadkiem usłyszałaś o jego planach zbudowania wielkiego hotelu nad jeziorem. Bardzo cię to ciekawi.

— To tyle?

— Powinno wystarczyć. Zobaczysz. To z kolei jest jego obsesja. Potem przejdziemy do bardziej interesujących tematów.

— A kim wobec tego jesteś ty?

— Twoim chłopakiem.

Spojrzała na niego chłodno.

— Wcale mnie to nie rozbawiło.

— No to współpracownikiem. Wziąłem ze sobą długopis i notes. Będę udawał, że cały czas coś notuję.

Pozostawało tylko pytanie, jak Gorbała zareaguje, gdy go zobaczy. Znali się przecież, byli razem w agencji towarzyskiej. No cóż, nie przekona się o tym, póki tam nie wejdzie.

Nacisnął dzwonek. Rozległa się melodia jednej z piosenek Beatlesów.

Po chwili drzwi otworzyły się. Stał za nimi sam Gorbała. Ubrany w białą, lśniącą czystością koszulę, czarne, garniturowe spodnie i czarne, błyszczące, skórzane buty wyglądał, jakby miał zaraz iść na

wesele. „Ciekawe, czy chodzi tak cały czas po domu, czy akurat gdzieś się wybierał?”, pomyślał Rozłucki. Odpowiedź na to pytanie mogłaby sporo wyjawiać o jego charakterze.

Gorbała uśmiechnął się na ich widok. Musiał widzieć ich wcześniej w wideo domofonie, bo nie wyglądał na zaskoczonego.

— No nareszcie! Tyle czasu czekałem, aż mnie pani w końcu odwiedzi – powiedział, ignorując zupełnie Rozłuckiego. – Teraz musi mi pani tylko zdradzić pretekst, który pani wymyśliła, by się tu zjawić.

Powiedział to wszystko z dużym urokiem, lekko, w formie żartu. Uśmiechnął się przy tym do Karoliny. Gdyby taki sam żart spróbował rzucić Rozłucki, zabrzmiałby on zapewne dość żałośnie.

Rozłucki szybko spojrzał na Karolinę. Zauważył, że spodobała jej się to. Odwzajemniła uśmiech.

— Wejdźcie – powiedział Gorbała, zapraszając ich gestem do wnętrza. – W środku ustalimy, co was do mnie sprowadza.

Dopiero teraz spojrzał na Rozłuckiego. Poznał go, było to widać, choć jego twarz nie zmieniła wyrazu. Najwyraźniej jednak postanowił nie afiszować się z tym odkryciem w obecności Karoliny.

Odwrócił się i ruszył w głąb domu. Poszli za nim. Korytarz dość szybko rozszerzył się w duży salon. Jego wystrój także wskazywał, że urządzano go przynajmniej kilkanaście lat temu. Duży marmurowy otwarty kominek, nad którym wisiała kolekcja kilku szabel i mieczy, mosiężne żyrandole i kandelabry w stylu Księstwa Warszawskiego, jak również ciężkie, spięte po bokach grubymi,

złotymi sznurami zasłony tworzyły razem całość w charakterystycznym nowobogacko-prowincjonalnym stylu, choć bez często w nim obecnej nadmiernej ostentacji. To również musiał być spadek po ojcu. Młody Gorbała nie wyglądał na kogoś, kto wieszalby sobie szable nad kominkiem.

— Siadajcie – powiedział Gorbała, wskazując im wielkie skórzane kanapy w kremowym kolorze stojące na środku tego pomieszczenia. – Czego się napijecie?

— Ja poproszę wodę – odpowiedziała Karolina.

— Ja również – powiedział Rozłucki.

— Ejże, naprawdę? – Gorbała uniósł brwi w wyrazie żartobliwego zdziwienia. – Mam tu całkiem nieźle zaopatrzone barek. Zwłaszcza pana powinien on zainteresować. Proszę spojrzeć.

Podszedł do Rozłuckiego i zanim ten zdążył usiąść, chwycił go lekko pod rękę i podprowadził w kierunku stojącej pod ścianą przeszklonej szafki.

— Słyszałem, że jest pan miłośnikiem słodowej whisky – powiedział Gorbała. – Wiem o tym z dobrego źródła – dodał z ledwie widocznym porozumiewawczym uśmiechem. – To znaczy, że mamy wspólne hobby. Jak pan ocenia moją kolekcję? – Otworzył szeroko drzwi szafki. Jej wnętrze automatycznie rozjaśniło się światłem.

Rozłucki spojrzał do środka i przełknął ślinę. Dobrze oceniał. Nawet bardzo dobrze. Widać było, że Gorbała zna się na rzeczy i że stać go, by uprawiać ten sport na poziomie daleko przekraczającym

możliwości Rozłuckiego. Powiódł wzrokiem po szeregu stojących w barku butelek. Dwudziestojednoletni glenfarclas, osiemnastoletni laphroaig, dwudziestojednoletni glendronach parliament, glenmorangie signet – whisky kosztująca co najmniej siedemset złotych za butelkę, do tego osiemnastoletnia japońska whisky Yamazaki, na którą nigdy, ale to nigdy nie będzie go stać.

— Piękny zestaw – powiedział.

— Może ma pan ochotę którejs spróbować?

Jasne, że miał! Połowy z nich nigdy nie pił i sądząc po tym, jak układa się jego życie, nigdy zapewne nie będzie miał takiej szansy.

— Nie, dziękuję – odparł. – Pozostanę przy wodzie.

Coś zawyło i zapłakało w jego duszy.

— Niech się pan nie krępuje – powiedział Gorbała. – Zrobi mi pan wielką przyjemność. Proszę mi wierzyć, żaden z moich sąsiadów ani kontrahentów nie sięga swoją wyobraźnią dalej niż do błękitnego johnniego walkera. Mam tu nawet gdzieś jedną butelkę, żeby nie marnować na nich dobrych trunków – zaśmiał się. – Wizyta kogoś takiego jak pan, to dla mnie prawdziwe święto. Tylko odrobinę, na spróbowanie. – Nie czekając na zgodę Rozłuckiego, sięgnął po stojącą na najwyższej półce szklaneczkę w kształcie tulipana. – Jeśli pan chce, może pan ją z powrotem wypluć do kieliszka. Proponuję zacząć od signeta. Nie cenię sobie zbytnio whisky bez deklaracji wieku, ale ta jest naprawdę niezła.

Sięgnął po butelkę z czarno-złotą etykietą i nalał trunku do szklanki. Potem podał ją Rozłuckiemu.

— I co pan sądzi? — spytał.

ROZDZIAŁ 37

Rozłucki podniósł szklaneczkę do nosa i wciągnął aromat wydobywający się z jej zwężającego się ku górze kształtu. Chodziło przecież tylko o to, o zapach. Powąchać dobrą whisky to jeszcze nic złego. Nozdrza wypełniła mu subtelna, choć intensywna woń. Zamknął oczy. Wyczuł espresso, budyń i rodzyunki. I czekoladę, słodko-gorzka czekoladę. Efekt bardzo mocnego prażenia jęczmiennego ziarna. Teraz już nie potrafił się powstrzymać. Przytknął krawędź szklaneczki do ust i przechylił. Do ust wlał mu się złocisty płyn. Rozprowadził go językiem po podniebieniu. Znowu kawa i czekolada. Do tego owoce i przyprawy, zwłaszcza cynamon. Przechylił szklaneczkę mocniej i wypił całą jej zawartość. Tak, ta whisky była warta swojej ceny.

— Świetna, prawda? – spytał Gorbała. – Widzę, że panu smakowała. To jedna z moich ulubionych. A teraz proponuję dla odmiany coś z dość wyraźnie określonym wiekiem. Dwudziestojednoletnią glenfarclas.

Wyjął mu szklaneczkę z ręki i po chwili włożył nową, czystą. Sięgnął po kolejną butelkę – pękata, z prostą etykietą w starym stylu. Wyjął korek i nalał mu dość sporą ilość.

— Proszę spróbować, jestem bardzo ciekaw pana opinii.

Rozłucki znowu podniósł szklaneczkę do nosa. Wciągnął aromat. Pozwolił, by jego zmysł węchu zwariował ze szczęścia. Suszone owoce, zwłaszcza figi, orzechy i sherry – jeszcze chyba nigdy nie wąchał tak cudownej whisky. Szybko pociągnął łyk, nie mogąc się doczekać, kiedy poczuje jej smak. Tu też bardzo wyraźnie wyczuwalne były owoce, choć nie tak silnie, jak w zapachu. Do tego skórka pomarańczowa z subtelną, wytrawną nutą dębowego drewna. O matko...

— Niezwykłe – powiedział.

— Prawda? – uśmiechnął się Gorbała. – Glenfarclas to jedna z moich ulubionych destylarni. Szkoda, że skończyła mi się dwudziestka piątka. Też bym ją panu chętnie pokazał. Choć moim zdaniem jest nieco gorsza od tej.

Odstawił butelkę na miejsce i sięgnął po następną.

— Proponuję teraz przenieść degustację do stolika – powiedział.
– Piękne kobiety nie powinny zbyt długo czekać na mężczyzn. Nawet gdy zajmuje ich tak szlachetna rozrywka.

Wziął z barku dwie butelki i kolejne dwie czyste szklaneczki i postawił je na stoliku między kanapami. Po chwili również przed Karoliną pojawiła się wysoka szklanka z lodem, plasterkiem cytryny i wodą mineralną Perrier. Rozłucki usiadł obok. Gorbała zajął miejsce naprzeciwko, zasiadając w dużym skórzanym fotelu.

— Proszę mi wobec tego powiedzieć, co was do mnie sprowadza?
– spytał.

Rozłucki poczuł przyjemne ciepło rozgrzewające mu żołądek. W

ustach ciągle czuł jeszcze długi, słodkawy, przyjemnie dębowy finisz glenfarclasa. Spojrzał na dwie stojące na szklanym blacie butelki. Osiemnastoletni laphroaig i dwudziestojednoletni glendronach parliament. W obecności tych dwóch szklanych bogiń trudno mu było się skupić na czymkolwiek innym. Zwłaszcza ta pierwsza zajmowała jego myśli. Laphroaig, jego ukochana whisky, w osiemnastoletnim wydaniu. Ciekawe, jak też wiek wpłynął na jej torfowość?

Całe szczęście Karolina zachowała przytomność umysłu.

— Jestem dziennikarką, jak pan zapewne wie – powiedziała. – Przyjechałam tu w związku ze sprawą morderstwa Ewy Krupińskiej. Napisałam o tym artykuł...

— Wiem, czytałem – przerwał jej Gorbała. – Świetny tekst. Klarowny i wyważony. Bez epatowania tanią sensacją, jaką można dość łatwo wydobyć z tak kontrowersyjnego tematu. Jednoznaczny w ocenie, ale nie ukrywający również pojawiających się wątpliwości. Obawiam się, że nasi lokalni dziennikarze nie sprostali temu zadaniu w równie elegancki sposób. Choć muszę przyznać, że ksiądz mordujący nastolatki to nie jest temat, przy którym łatwo zachować chłodny obiektywizm.

— Bardzo dziękuję za tak miłe słowa – uśmiechnęła się Karolina. – Tamten temat jest jednak zamknięty, a nam, dziennikarzom, nie płaci się drugi raz za teksty już napisane. Szukam więc kolejnego tematu. Rozmawiając z ludźmi w pana miejscowości, dowiedziałam się o pana planach zbudowania

wielkiego hotelu nad jeziorem. Bardzo mnie to zaciekało.

— Zajmuje się pani też tematami ekonomicznymi?

— Zajmuję się wszystkim, co wydaje mi się interesujące. Zwłaszcza ciekawią mnie jednak ludzie. Pan ma opinię bardzo rzutkiego, choć kontrowersyjnego biznesmana. Jest pan idealnym bohaterem.

Rozłucki musiał przyznać, że Karolina zna się na rzeczy. Świetnie to poprowadziła. Najpierw powiedziała, że nie interesuje się już sprawą, która tak naprawdę ich tu przywiodła. Teraz zaś uśpiwszy w ten sposób czujność Gorbały, spróbuje go zająć z drugiej strony.

— Jestem kontrowersyjny? – uśmiechnął się Gorbała. – Pewnie jak każdy. Można jednak wiedzieć, w czym to się przejawia?

— Wiele osób zastanawia się na przykład, czy ma sens budowa tak wielkiego hotelu nad tak niewielkim w sumie jeziorem. Hotel Gołębiowski w Mikołajkach, który jest tu naturalnym punktem odniesienia, zbudowany jest w końcu przy o wiele większym akwenu.

Gorbała zaśmiał się z poczuciem wyższości.

— To tylko pozorny problem – odpowiedział. – Myśli pani, że goście przyjeżdżający do Hotelu Gołębiowski ruszają następnie w rejs po Wielkich Jeziorach? Ci, którzy naprawdę chcą to zrobić, czarterują jachty i to na nich śpią. Ewentualnie zadowolają się pokojem wynajętym gdzieś przy marinie. Ci, którzy przyjeżdżają do Gołębiowskiego, w większości nie ruszają się poza obręb hotelu. W

zupełności wystarcza im basen i hotelowa plaża. Obie te atrakcje będą mieli i u nas. Czy to jedyna kontrowersja, którą budzę?

— Ma pan też opinię dość bezwzględnego i twardego, zarówno wobec wspólników w interesach, jak i pracowników.

Rozłucki przypomniał sobie poniewczasie pretekst, który wymyślił sobie, by usprawiedliwić swój pobyt tutaj. Wyciągnął z kieszeni marynarki notes i długopis i zaczął udawać, że notuje.

Gorbała rozciągnął usta w uśmiechu nieodsłaniającym zębów.

— Ludzie, którzy wiedzą, czego chcą, muszą być czasami twardzi w stosunku do tych, którym brakuje siły woli i wyobraźni. Wszyscy wizjonerzy oskarżani byli o bezwzględność.

— Pan jest wizjonerem? – spytała Karolina.

— Tak. Tak sędzę. Hotel, który tu zbuduję, będzie pierwszym z wielu. Mam już upatrzone następne lokalizacje. W dalszej perspektywie także zagraniczne.

— Jest pan wielkim optymistą. Na razie nie zaczął pan budować nawet tego jednego.

— Ale zacznę. Już wkrótce. I będzie to wielki sukces. Zaręczam pani.

— Skąd ta pewność?

— Nie będzie to zwykły hotel. Nawet nie taki, jak Gołębiowski. Będzie wyposażony w pole do gry w golfa, SPA i kasyno. Wszystko na najwyższym światowym poziomie. Dostępnym przy tym cenowo dla przedstawicieli klasy średniej.

— Taki hotel to ogromna inwestycja. Ma pan na nią środki?

— Pieniądze to nie problem. Ziemia jest moja. Wezmę pożyczkę pod zastaw jej i fermy drobiu. Rozmawiałem już z kilkoma bankami. Wszystkie aż się palą, by to sfinansować. Jestem też umówiony z pewną dużą firmą z Gdańska – nie mogę z oczywistych względów wymienić jej nazwy – która wesprze mnie w początkowym okresie inwestycji. Potem, ma się rozumieć, ją spłaceć. Nie chcę dzielić się swoim sukcesem z innymi.

— Pieniądze lubią ciszę. A o panu chodzą dość niepokojące plotki.

— Jakie?

— Podobno był pan oskarżony o gwałt.

Rozłucki szybko spojrział na Gorbałę. Ten uśmiechnął się ponownie. Nie wydawał się być w żaden sposób zbity z tropu tym pytaniem. Mimo iż Karolina bardzo sprytnie poprowadziła tę rozmowę tak, by było ono dla niego zaskoczeniem. Wręcz przeciwnie, ciągle wydawał się być pewny siebie i rozluźniony.

— Ach to... – zaśmiał się. – To tylko zwykłe kłamstwo. Nie warte nawet uwagi. Proszę sprawdzić, nie było nigdy żadnego gwałtu. To tylko plotki rozpowszechniane przez moich konkurentów i niestety moją żonę. Myślałem, że już dawno to wyjaśniłem. Pani Karolino – nachylił ciało w jej kierunku – proszę mi wierzyć, ja nie potrzebuję gwałcić kobiet. Niech pani na mnie spojrzy, czy ja wyglądam na kogoś, kto musi w ten sposób zaspokajać swoje potrzeby? Moim problemem zawsze był raczej nadmiar chętnych kobiet, a nie ich brak. Tym dotkliwszym, że

jestem z natury romantykiem i monogamistą.

— Pana żona rozsiewa takie plotki? – zdziwiła się Karolina. –
Dlaczego?

Gorbała opadł z powrotem na oparcie fotela.

— To jest jedyna prawdziwa klęska w moim życiu – powiedział.
– Odpowiem na to pytanie, ale prosiłbym, żeby nie umieszczała
pani tego w swoim przyszłym artykule.

— Oczywiście. Ma pan moje słowo.

— Żona jest o mnie chorobliwie zazdrosna. Podejrzewam wręcz
chorobę psychiczną. Nasze małżeństwo to od dawna fikcja. Nie
mieszkamy już razem. Nie byłem w stanie wytrzymać tych ciągłych
scen i oskarżeń. Mieszka teraz razem z dziećmi w Olsztynie.

— Skoro podejrzewa ją pan o chorobę psychiczną, to dlaczego
pozwała pan, by mieszkała sama z pana dziećmi? – wtrącił się
Rozłucki.

— Och, nie mieszka sama. Mieszka ze swoimi rodzicami. To
cudowni ludzie, bardzo mnie wspierają. Są po mojej stronie.
Czasami wręcz myślę, że powinienem się ożenić raczej ze swoją
teściową niż z żoną. Zawsze lepiej się rozumieliśmy. Zresztą może
źle się wyraziłem. Chodziło mi nie tyle o chorobę psychiczną, ile o
pewne zaburzenia. W stosunku do naszych dzieci jest cudowną
matką.

— Mówi się też, że był pan związany z zamordowaną Ewą
Krupińską – powiedziała Karolina. – Nie umieściłam tego w swoim
artykule, bo to tylko plotki, a ja nie zajmuję się plotkami. Mógłby

się pan do tego ustosunkować?

Znowu to samo. Ani śladu zmieszania.

— Wiem, o czym pani mówi. To smutna sprawa, bardzo to przeżyłem. Tak, można powiedzieć, że byłem w jakiś sposób związany z biedną Ewą.

— Był pan jej ojcem?

— Nie.

— Spotykał się pan z nią przed jej śmiercią?

— Była tu u mnie raz czy dwa.

— Z jakiego powodu?

Gorbała westchnął.

— Pani Karolino, nawet pani nie wie, ilu ludzi próbuje się pożywić czyimś sukcesem. W tej całej historii prawdą jest tylko to, że chodziłem z matką Ewy do jednej klasy. Nie, nie byłem jej ojcem. Nie było takiej fizycznej możliwości. Kiedy matka Ewy wróciła tu do nas ze swoim mężem, przyszła do mnie i poprosiła o pomoc. Może nie powinienem tego robić, ale pomogłem jej. Przez wzgląd na starą znajomość. Dałem pracę jej mężowi. To był błąd. Był jednym z najgorszych pracowników, jakich kiedykolwiek miałem. Pił w pracy, obijał się, było też podejrzenie, że kradnie. Pewnego dnia pozostali pracownicy przyłapali go na kradzieży. Nie lubili go, bo zawsze się wywyższał. Mówił, że jest moim znajomym i że nikt mu nie podskoczy. Dostał, krótko mówiąc, łomot. Nie pochwalam takich metod. Od wymierzania kar jest wymiar sprawiedliwości. Wezwałem go więc do siebie i wręczyłem mu pewną sumę pieniędzy

jako odszkodowanie. Potem powiedziałem, żeby się wynosił. Parę dni później dowiedziałem się, że wyniósł się nie tylko z pracy, ale również z domu. Coś tam przed odejściem naopowiadał Ewie. Pewnie to, co zwykle mówią pijani ojcowie, którzy chcą odejść od żony i dzieci. Że jej matka się puszczała, a ona nie jest jego córką. Biedna Ewa ubzdurała sobie potem, że to ja jestem jej ojcem. Zaczęła do mnie przychodzić. Mówiłem jej, że to nieprawda, ale ona ciągle przychodziła. Potrzebowała tego, a ja nie miałem serca jej wygonić. W końcu cały świat zawalił jej się na głowę. Była jak wyrzucony z samochodu szczeniak. Lgnęła do mnie tylko dlatego, że okazywałem jej coś w rodzaju zrozumienia. Lgnęłaby do każdego, kto okazałby jej odrobinę serca. Nigdy bym jej nie skrzywdził. Widocznie jednak ktoś nie miał takich obiekcji jak ja. Wykorzystał jej naiwność, a potem zabił. Nigdy w życiu nie daruję sobie, że temu nie zapobiegłem.

Zapadła cisza. Rozłucki bardzo uważnie wpatrywał się w twarz Gorbały. Wyrażała przygnębienie. Nic nie wskazywało na to, że było ono udawane. Jego spojrzenie wbite było w podłogę. To, co powiedział, zabrzmiało wiarygodnie. Było jeszcze coś: był sympatyczny.

Gorbała nagle podniósł wzrok, uśmiechnął się smutno i powiedział:

— Tak to niestety czasem jest, że los każe nas za dobre uczynki. Mimo wszystko jednak uważam, że warto być dobrym człowiekiem.
— Zawiesił głos. — Czasami myślę sobie – dodał po chwili – że te

wizyty u mnie, chociaż oparte w pewien sposób na kłamstwie, były jedyną dobrą rzeczą, jaka spotkała ją przed śmiercią. Że dałem jej jakiś rodzaj, ułudnej, ale jednak nadziei... Tak się pocieszam. A może oszukuję?

ROZDZIAŁ 38

Spojrzał w okno. Po chwili jednak odwrócił głowę i powiedział:

— No dobrze, nie mówmy już o takich smutnych rzeczach. Panie Zygmuncie, whisky czeka! Której ma pan ochotę teraz spróbować? Proponuję glendronacha, a laphroaiga zostawimy na koniec. Co pan na to?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po butelkę ze złocistą etykietą i nalał Rozłuckiemu solidną porcję.

— A pan nie pije? – spytał Rozłucki.

— W obecności tak pięknej kobiety, jak pani Karolina wolę zachować absolutną trzeźwość umysłu, żebym przypadkiem nie powiedział czegoś, co czuję, ale czego powiedzieć mi nie wypada.

Karolina uśmiechnęła się nieznacznie. Rozłucki sięgnął po szklaneczkę. Szczerze powiedziawszy, od dłuższego już czasu nie mógł się doczekać, aż Gorbała wreszcie to zaproponuje. Znowu przytknął krawędź szklanki do nosa, znowu wciągnął do wnętrza aromat. Znał tę whisky w wersji osiemnastoletniej. Tamta była jedną z lepszych, jakie pił w życiu. Przechylił naczynie i wlał do ust spory łyk. Tak, ta była jeszcze lepsza. Trzy lata więcej w beczce po sherry robiło różnicę. Ciepło ponownie rozlało mu się po żołądku. Poczuł się błogo. Mógłby tu zamieszkać. Tu, przy tym barku.

Nie mógł jednak zapomnieć, że przyszedł tu po coś. Pociągnął jeszcze jednego, długiego łyka i odstawił pustą szklaneczkę na stół.

— Pozostaje jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia – powiedział.

— Jaka? – spytał Gorbała. Życzliwie i z zainteresowaniem.

— Chodzą słuchy... – „Co za okropne sformułowanie!”, pomyślał. Trudno, zaczął w ten sposób, więc musi dalej w to brnąć. – Chodzą słuchy – powtórzył – że jest pan częstym gościem w agencjach towarzyskich. I że niezbyt dobrze traktuje pan ich pracownice.

Gorbała spojrzał na niego. Uśmiechnął się.

— Kto panu naopowiadał takich bzdur? – spytał z rozbawieniem.

— Wiem o tym z pewnego źródła.

— Jakiego?

— Od jednej z pracujących tam kobiet.

— Bywa pan w burdelach? Dziwię się panu. Nigdy w życiu bym tam nie poszedł. Już nawet nie chodzi o to, że boję się jakiejś choroby albo że to niehigieniczne, jak dojadanie po kimś jedzenia, ale przede wszystkim o to, że nigdy nie można być pewnym, czy kobiety tam pracujące robią to z własnej woli. Czy nie padły ofiarą jakiegoś przestępstwa, handlu ludźmi, szantażu. Ja rozumiem, że większość mężczyzn miewa tego typu myśli, że fajnie by było raz na jakiś czas zapłacić po prostu za seks, bez całej tej męczącej otoczki, bez tego teatru, bez wszystkich tych wzajemnych zobowiązań. Ale to właśnie ta męcząca otoczka stanowi o prawdziwym sensie życia. Odpowiem więc jeszcze raz na pana pytanie: nie, nie byłem nigdy w

żadnym burdelu. Musiał mnie pan z kimś pomylić.

— To był pan, jestem tego pewien.

— Panie Zygmuncie, był pan pewnie wtedy pijany, prawda? I to zapewne bardzo. Nie sędzę, by tak inteligentny i wykształcony człowiek jak pan zdobył się na taki krok na trzeźwo. Pewnie nie był pan też wówczas w najlepszej formie psychicznej. Mężczyźni często odreagowują w ten sposób niepowodzenia w życiu osobistym. W takim stanie łatwo jest coś pomylić, wziąć kogoś za kogoś innego. Zwłaszcza w agencji towarzyskiej, gdzie światło jest przyćmione. Wiem poniekąd, o czym mówię. Gdy rozstawałem się z żoną, też sporo piłem i też byłem w nie najlepszej formie. Poszedłem wtedy raz, raz jedyny w życiu, do klubu go-go. Mamy tu taki jeden w Olsztynie. Wie pan, że wydało mi się tam, że jedna z siedzących przy barze kobiet to moja żona? Nie była nią oczywiście. To mnie jednak trochę otrzeźwiło. Następnego dnia przestałem pić. I panu też radzę.

Gdy skończył mówić, nachylił się nad stolikiem i sięgnął po stojącą na nim zielonkawą butelkę – ostatnią, która jeszcze nie została otwarta. Na jej białej, ascetycznej etykiecie widniał napis Laphroaig i cyfra 18. Wyciągnął korek i nalał Rozłuckiemu. Jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. I jakby nie stała w jaskrawej sprzeczności z tym, co przed chwilą powiedział. Rozłucki w równie naturalny, bezrefleksyjny sposób sięgnął po szklaneczkę. Coraz bardziej lubił tego gościa. W zasadzie byli prawie przyjaciółmi. Rozumiał doskonale, dlaczego nie przyznał się do tej

wizyty w burdelu. Po prostu nie chciał źle wypaść w oczach Karoliny. On sam również nie powinien się być do tego przyznawać. Głupio wyszło. Niepotrzebnie w ogóle o tym wspomniał. Chociaż z drugiej strony – spojrzał na nią – nie miało to już chyba żadnego znaczenia.

Podniósł szklaneczkę do nosa. Zamknął oczy. To była najprzyjemniejsza chwila dzisiejszego dnia. Chwila niemalże święta. Z nabożną czcią wciągnął zapach. O, tak... Przytknął szkło do ust i pociągnął długi łyk. Spodziewał się tego, ale mimo wszystko trochę go to zaskoczyło. Torfowy smak, tak wyraźny w wersji dziesięcioletniej, prawie znikł, a na pewno mocno złagodniał. W zamian za to na pierwszy plan wysunęły się toffi, sól, mleczna czekolada i anyż. Wszystko to pełne głębi, zbalansowane, idealnie wręcz ze sobą zharmonizowane. Podobno była to ulubiona whisky księcia Karola, następcy tronu Anglii. Wcale się temu nie dziwił.

— To już chyba wszystko, o co chcieliśmy pana zapytać – usłyszał głos Karoliny. Otworzył oczy. – Bardzo dziękujemy za rozmowę.

Wstała.

— Naprawdę? – Gorbała również wstał. W jego głosie słyhać było szczery żal. – Musicie już państwo iść? Nie zostaniecie jeszcze chwilę?

Rozłucki szybko przełknął pozostałą whisky. Miał ogromną, cholerną ochotę nalać sobie jeszcze jedną szklaneczkę.

— Nie chcemy panu zabierać czasu – odpowiedziała Karolina. –

I tak zmarnowaliśmy go sporo.

— Ależ to była dla mnie prawdziwa przyjemność! Nawet nie wiecie państwo, jak rzadko mam okazję rozmawiać z ludźmi na poziomie. Powiedzmy to szczerze: prowadzę kurnik, nieczęsto odwiedzają mnie tak piękne i inteligentne kobiety oraz mężczyźni znający się na dobrej whisky. Mam nadzieję chociaż, że jesteście państwo zadowoleni z wizyty?

— Tak – odpowiedziała Karolina. – Było nam bardzo miło u pana gościć.

— Pani Karolino! – Gorbała podszedł do niej i łagodnie ujął jej dłoń. – Może moglibyśmy nawiązać jakąś współpracę? Moja inwestycja rusza niedługo, będę potrzebował kogoś, kto zajmie się promocją. Pani jest dziennikarką, ma kontakty w mediach, ja szczerze mówiąc, jestem w tych sprawach zupełnie zielony. Wiem, że ma pani swoje zajęcia, dlatego nie proponuję pani pracy w sensie ścisłym, raczej chodzi mi o pomoc, rodzaj wolnej współpracy. Gdyby tak piękna, inteligentna i znana osoba jak pani została medialną twarzą mojego projektu, na pewno otworzyłyby mi to wiele drzwi. I oczywiście jestem w stanie zaoferować bardzo korzystne warunki finansowe.

Karolina delikatnie wyswobodziła swoją dłoń z jego uścisku, ale uśmiechnęła się przy tym.

— Nie jestem pewna, czy nadaję się do takiej roli – powiedziała.

— Proszę się zastanowić. – Gorbała położył jej teraz rękę na przedramieniu. – Proszę, oto moja wizytówka. – Cofnął rękę i podał

jej mały kartonik. – W razie, gdyby pani zmieniła zdanie.

— Dziękuję.

— A mógłbym w zamian dostać pani?

— Oczywiście. – Karolina sięgnęła do torebki i wyjęła z niej metalowy wizytownik.

— I jak? – spytał Gorbała. – Spełniłem pani oczekiwania? Będę dobrym bohaterem pani następnego artykułu?

— Jeszcze nie wiem – Uśmiechnęła się Karolina. – Na razie zbieram materiały. Do widzenia. – Podała mu dłoń.

— Do widzenia, pani Karolino. – Gorbała ujął jej rękę, podniósł do ust i pocałował. – To naprawdę wielka przyjemność móc z panią rozmawiać.

— Do widzenia. – Rozłucki wyciągnął rękę.

— Panie Zygmuncie! – Gorbała zwrócił się w jego stronę. – Pomyślałem sobie, że mógłbym mieć coś dla pana. Dostałem ostatnio na prezent całkiem dobrą whisky, lecz sęk w tym, że mam już jedną dokładnie taką samą. Proszę chwilę poczekać.

Podszedł do otwartego ciągle barku i wyjął z niego butelkę.

— Nikka All Malt – powiedział. – Japońska whisky mieszana, ale wyłącznie z jęczmiennych destylatów. Nie jest to może nie wiadomo co, ale zupełnie przyzwoita.

— Nie mogę tego przyjąć – odparł Rozłucki.

— Proszę mi zrobić tę przyjemność! Ja tego i tak nie wypiję. I tak kupuję za dużo w stosunku do swoich skromnych możliwości. U mnie będzie tylko stała i się kurzyła.

Prawie wcisnął mu ją do rąk.

— Bardzo dziękuję – powiedział Rozłucki. Wiedział, że nie powinien jej brać. Wiedział, ale nie potrafił odmówić. Gdy tylko poczuł jej chłodny kształt w swoich rękach, był stracony.

Ruszyli do wyjścia.

Mijając kominek, Rozłucki rzucił okiem na wiszące nad nim szable. Przystanął na chwilę.

— Piękna kolekcja – powiedział. – Prawdziwe?

— Jak pan nie wierzy, niech pan dotknie – zaśmiał się Gorbała.
– Chodzi pewnie panu o to, czy są oryginalne? Niestety nie. To funkcjonalne repliki.

— Co to znaczy?

— Wykonane są w ten sam sposób i z tych samych materiałów, co oryginały. I można nimi walczyć. Jeśli ktoś oczywiście potrafi.

— Pan potrafi?

— Nie. To kolekcja mojego ojca. Uwielbiał takie rzeczy. Żona chciała je usunąć po jego śmierci, ale nie pozwoliłem. Ta była jego ulubiona. – Zdjął ze ściany jedną z szabel. – Polska szabla husarska z XVII wieku. Dokładna kopia egzemplarza znajdującego się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Piękna robota. Proszę zobaczyć, jaka lekka. Tylko proszę nie dotykać palcami głowni.

— Czyli czego?

— Ostrza. Wdaje się potem rdza. – Podał mu szablę.

Rozłucki wziął szablę za rękojeść.

— Rzeczywiście lekka – powiedział.

— I świetna do szermierki. Widzi pan ten pierścień tutaj, przy jelcu? To tak zwany paluch. Wkłada się w niego kciuk. Umożliwia to pewniejszy chwyt i dokładniejsze prowadzenie. Pozwala to także na wyprowadzanie krótkich, szybkich pchnięć bez zamachu zza głowy.

— Piękna – powiedział Rozłucki, oddając szablę Gorbale. – Gdybym nie wydawał wszystkiego na alkohol, też bym sobie taką kupił.

Wrócił do domu. Karolina odjechała. Pewnie już jej więcej nie zobaczy. Nigdy. Nigdy. Powtarzał w myślach to słowo, usiłując sobie to wyobrazić. Był już trochę pijany, ale wciąż nie za mocno. Postawił na stole butelkę, którą dostał od Gorbały, usiadł na krześle i przez dłuższy czas się w nią wpatrywał. Jej obły, nieregularny kształt z łagodnym wycięciem w połowie wysokości przypominał trochę sylwetkę kobiety. Małej, pękatej kobiety. I być może była to jedyna kobieta, z którą on, Zygmunt Rozłucki, był w stanie stworzyć udany związek. Jak to leciało? „Whisky, moja żono, tyś najlepszą z dam, już mnie nie opuścisz, już nie będę sam...” Słowa tej piosenki denerwowały go kiedyś, wydawały mu się nieznośnie pretensjonalne, a teraz, proszę, okazały się prorocze.

Odkręcił butelkę i powąchał jej zawartość. Łagodny, słodkawy, przyjemny aromat. Bez żadnych fajerwerków, ale na bardzo przyzwoitym, średnim poziomie. Przytknął butelkę do ust i wypił

trochę, tylko tyle, żeby poczuć smak. Ten test wypadł bardzo podobnie. Delikatny smak, może bez specjalnej głębi, ale i bez wyraźnych kantów. Doskonale ukryty alkohol. Whisky dla kobiet i dzieci.

Spróbował przypomnieć sobie jeszcze raz wszystko, co usłyszał od Gorbały. Usystematyzować i porównać z tym, czego dowiedział się wcześniej. Nie da się ukryć, że to, co mówił, wypadło dość przekonująco. Był wiarygodny, ani przez moment nie sprawiał wrażenia, że coś ukrywa lub że kręci. Nie był zmieszany, zdenerwowany czy zaniepokojony, gdy słyszał pytania o gwałt i o Ewę Krupińską. Raz ewidentnie skłamał, gdy zaprzeczył swojej wizycie w agencji towarzyskiej, ale też można go było w jakiś sposób zrozumieć. Karolina mu się podobała, było to widać. Próbował ją emablować. Nic dziwnego, że nie chciał się przed nią przyznać do tak wstydliwego czynu. Zachował się tak, jak zachowałby się każdy mężczyzna na jego miejscu. Było to ludzkie i absolutnie zrozumiałe.

Poza tym był sympatyczny, przyjacielski i znał się na whisky.

Co zatem z tym wszystkim, czego dowiedział się o nim wcześniej? Przede wszystkim należałoby postawić sobie pytanie, czy rzeczywiście się tego dowiedział? Czy rewelacje wyjawione mu przez pijanego alkoholika, byłego kolegę z klasy Gorbały, który od tego czasu upadł tak nisko, jak tamten wspiął się wysoko, mógł więc być ewidentnie zazdrosny o jego pozycję, można uważać za wiarygodne? Czy innymi słowy, nie wziął motywowanych zawiścią

plotek za dowody w sprawie?

A co z Krupińską? Ona także mówiła przecież o gwałcie i ona z kolei brzmiała wiarygodnie. Czy mogła mieć powód, by kłamać? Albo nie, nie kłamać, ale powiedzmy, naginać rzeczywistość? Większość kłamstw tak przecież właśnie wygląda. Nie stoją one w jaskrawej sprzeczności z faktami, raczej zakłamują prawdę przez nałożenie na nią fałszywej interpretacji. Powodem takiego zakłamania też nie jest najczęściej zwykła, świadomie zła wola. Czysta i naga chęć zaszkodzenia bliźniemu. Kłamię się najczęściej bez premedytacji, w poczuciu słuszności swojego postępowania i czystości własnych intencji. Bez świadomości ukrytych, podskórnych, ciemnych motywacji, z których część sięga korzeniami najmroczniejszych, najgłębszych kręgów naszych wewnętrznych piekieł. Czy Krupińska mogła mieć taki wewnętrzny, nieuświadomiony powód?

Może chodziło o jej męża, o to, że Gorbała go zwolnił? Co spowodowało według niej, że od niej odszedł, że zostawił ją samą z córką. Mogła go więc obwiniać o katastrofę swojego życia osobistego. Mogła go nawet winić pośrednio za śmierć córki. Która gdyby był przy niej ojciec, nie stoczyłaby się i nie włóczyła nocą sama po lesie, prawda? W umyśle przeoranym cierpieniem, rozjechanym walcem traumy myśli wyrąbują sobie zupełnie inne ścieżki. Można znaleźć przyczyny tam, gdzie ich nie ma. Uczynić głównym winowajcą kogoś, kto przyczynił się do naszej tragedii w znikomym stopniu, jeśli nie wcale.

Wstał i podszedł do szafek. Wyjął z jednej z nich czystą szklaneczkę. Wrócił do stołu, usiadł, nalał do niej whisky i wypił. Czy więc we wszystkim się mylił? Mordercą Ewy Krupińskiej był ksiądz, jak zdawali się sądzić wszyscy wokół i jak twierdził zresztą on sam. Gorbala był zwykłym, lokalnym przedsiębiorcą, może trochę nierealistycznie oceniającym własne biznesowe szanse, lecz na pewno nie będącym żadnym demonem zła. Krzysiek zaś, jego kolega od cytrynówki, nie był z kolei żadnym cudownie odkrytym źródłem informacji, lecz małym, przegranym pijaczkiem, pod wpływem alkoholu chętnie dającym wyraz swoim licznym frustracjom.

Kim zatem był on sam, Zygmunt Rozłucki? No właśnie chyba także kimś takim. Kimś, kto próbując zaimponować kobiecie, chcąc ją przy sobie zatrzymać, wymyśla niestworzone historie. Wbrew faktom i wszelkiemu prawdopodobieństwu. Kimś, kto uwierzył, że jest nowym Sherlockiem Holmesem, widzącym to, czego inni nie widzą, choć tylko raz i być może przypadkiem rozwiązał pewną zagadkę. Kimś wreszcie, kto stracił właśnie wszystko, co choć odrobinę utrzymywało go na powierzchni życia: miłość i poczucie własnej wartości. Kimś, kto przez ostatnie kilka dni, goniąc za ułudą, robił rzeczy podłe, takie, o które nigdy by się wcześniej nie podejrzewał.

Jakkolwiek by było, miał dziś doskonały powód, by się napić. I nie zamierzał go marnować.

ROZDZIAŁ 39

Następnego dnia nie miał kaca, mimo że wypił wczoraj prawie całą butelkę whisky od Gorbały. Może jego organizm zaczął już się przyzwyczajać do tak wielkich ilości alkoholu? Wstał, umył się i ubrał. Zajrzał do lodówki. Naprawdę niewiele już w niej zostało. Zrobił sobie kanapkę ze starego chleba i z musztardy i popił ją herbatą.

Dziś był dzień dyżuru w przychodni. Założył więc kurtkę i wyszedł. Stał na progu i spojrzał na jezioro. Było już dość chłodno, a jego kurteczka w militarnym stylu nadawała się bardziej na nieco mniej pogodne letnie dni niż na nadciągającą jesień. Zatrząśł się z zimna i zasunął suwak aż do samej brody. Ruszył w stronę wsi.

Właściwie nie wiedział, po co tam jechał. Było to działanie czysto mechaniczne, odruchowe. Równie dobrze mógł teraz skrócić w lewo, wejść do jeziora i się utopić. Był chyba w odpowiednim stanie. W stanie, w którym taka możliwość traciła już swój czysto teoretyczny wymiar, a zaczynała być jedną z dostępnych, prawdopodobnych opcji. Do popełnienia samobójstwa brakowało mu jednak jeszcze czegoś, jakiegoś wyraźnego impulsu, decyzji. Decyzji, tak, decyzji, bo przecież targnięcie się na swoje życie wymaga świadomej decyzji

i podjęcia konkretnego działania. Ani do jednego, ani tym bardziej do drugiego nie był teraz na szczęście w najmniejszym nawet stopniu zdolny.

Doszedł do przystanku. W pobliskim sklepie kupił za ostatnie wygrzebane z kieszeni drobne bilet. Nie będzie miał już za co wrócić z powrotem. Po dziesięciu minutach podjechał autobus. Wsiadł do niego, skasował bilet i usiadł z przodu, po prawej stronie kierowcy, tuż przy oknie. W miejscu, z którego nie będzie widział pozostałych pasażerów i na którym nikt nie będzie zaglądać mu w twarz.

W czasie drogi popadł w dziwne odrętwienie. Nie myślał i nie widział. Wpatrywał się w przednią szybę, nie wiedząc nawet, na co patrzy. O mało nie przegapił przystanku pod ratuszem. W ostatniej chwili ocknął się i wybiegł z autobusu. Towarzyszący temu nagły wyrzut adrenaliny trochę go otrzeźwił. Pod szpital na Wojska Polskiego podjechał w miarę już przytomny. Nawet się nie spóźnił. Miał wręcz jeszcze kilka minut, by wpaść do gabinetu Goczała.

— No proszę! – Jego przyjaciel powitał go szerokim uśmiechem i uniesionymi brwiami. – A więc jednak przyszedłeś! I to pomimo tego, że do ciebie nie dzwoniłem. Bardzo się cieszę, tym bardziej, że wygrałem dzięki temu sam ze sobą zakład.

— Co było nagrodą? – spytał Rozłucki, siadając na krześle przed biurkiem kolegi.

— Eklerka na drugie śniadanie w naszym szpitalnym barku. Normalnie biorę jogurt. Muszę dbać o linię.

Rozłucki spojrzał na swojego przyjaciela. Doktor Goczał nie wyglądał na kogoś, kto musi dbać o linię. Ale może właśnie dlatego, że o nią dbał.

— Chcesz też? – spytał Goczał. – Tę eklerkę? Tobie w sumie również się należy.

— Chętnie – odpowiedział. – Tym bardziej, że być może będzie to dziś mój jedyny posiłek. Coś krucho u mnie ostatnio z forszą. Mógłbyś mi dać coś akonto przyszłej wypłaty?

— A jesteś pewien, że będziesz tu dalej pracował?

Zastanowił się.

— Nie – odpowiedział.

— No to chyba nie mogę – odparł jego przyjaciel. – Ale mogę ci pożyczyć z prywatnych pieniędzy.

— A co, jeśli nie oddam?

— Będziesz miał wyrzuty sumienia, spadnie ci samoocena i będziesz się czuł jak ostatnia szmata bez honoru. Chętnie za coś takiego zapłacę.

Rozłucki uśmiechnął się. Doktor Goczał miał zawsze specyficzne poczucie humoru. Bardzo je lubił.

— Z jeszcze jednego powodu cieszę się, że dziś przyszedłeś – powiedział Goczał.

— Z jakiego?

— Twój pierwszy pacjent, Roman Krajewski, znowu pytał o ciebie. Przyszedł tu wczoraj i awanturował się, że cię nie ma. Zapisał się na dzisiaj.

— Krajewski? – zdziwił się Rozłucki. – Ten psychopata? Myślałem, że siedzi w pudle za pedofilię.

— Jego żona wycofała oskarżenie. To niestety dość częste wśród ofiar takich skurwysynów. Śledztwo ciągle się toczy, bo takie rzeczy ściga się z urzędu, ale sąd uznał, że areszt w tej sytuacji nie jest już zasadny. Gość więc trafił z powrotem do nas. A konkretnie do ciebie. Cieszysz się?

— Jak cholera.

*

Roman Krajewski wyglądał, jakby wyszedł właśnie od swojego osobistego stylisty. Idealnie przystrzyżone i wymodelowane włosy, krótki zarost, brązowa kurtka z miękkiej skóry, spodnie o niebanalnym kroju i czarne, wpadające w granat pantofle – wszystko było w najlepszym gatunku i w nienagannym stylu. Nie sprawiał na pewno wrażenia kogoś, kto niedawno został oskarżony o wykorzystywanie własnej córki i spędził jakiś czas w areszcie. A już na pewno nie sprawiał wrażenia kogoś, kim to w jakikolwiek sposób wstrząsnęło.

Siedział teraz na krześle z nogą niedbale zarzuconą na nogę i z łagodnym półuśmiechem wpatrywał się z życzliwym zainteresowaniem w odgrozonego od niego swoim biurkiem Rozłuckiego.

— Dzień dobry, panie doktorze – powiedział. – Miło pana znowu

spotkać.

— Mnie również jest bardzo miło – odparł Rozłucki. – Tym bardziej, że, jak słyszałem, chciał pan ze mną rozmawiać. Dlaczego, jeśli można się spytać?

— Po prostu lubię pana. Jest pan inny od pozostałych lekarzy, o wiele bardziej interesujący. Jest w panu jakieś rozdarcie, tkwi w panu zadra. Lubię takich ludzi. Są ciekawi.

— To tak jak pan.

— Ja? Ja jestem najnormalniejszy na świecie.

— Niech pan nie będzie taki skromny. Ostatnio w pana życiu sporo się wydarzyło.

— Ach, tamto? – Krajewski lekceważąco machnął ręką. – To tylko nic nieznaczący epizod. Nie wart mojej i pana uwagi. Żli ludzie kłamią, ale dobro w końcu zwycięża, prawda?

— Pana żona oskarżyła pana o molestowanie własnej córki.

— Jest stuknięta, panie doktorze. To ona powinna tu siedzieć, nie ja.

— Co pan ma na myśli, mówiąc, że jest stuknięta?

— Wie pan, że wystąpiła o rozwód?! Ona! Nie będzie żadnego rozwodu. Nie pozwolę jej na to. Kocham ją. Jest moja i zawsze będzie.

— Skoro jest stuknięta i skoro oskarża pana o takie rzeczy, dlaczego panu tak na niej zależy?

— Wybaczyłem jej. Zawsze byłem bardzo wielkoduszny. Bardzo na tym tracę, ale nie potrafię inaczej. Taki już jestem.

— Mieszkacie znowu razem?

— Nie, ale będziemy. Jesteśmy w końcu rodziną. Kochamy się.

— Gdzie ona teraz jest?

— U moich teściów. To cudowni ludzie. Są po mojej stronie. Wspierają mnie. Wspólnie przemówimy jej w końcu do rozumu. Rodzina powinna być razem, nieprawdaż?

Rozłucki podniósł wzrok znad papierów. Gdzieś już ostatnio słyszał coś takiego i to całkiem niedawno. Może gdyby nie miał tak przepitego mózgu, wiedziałby gdzie. Krajewski też się w niego wpatrywał. Ich spojrzenia się spotkały. Jego twarz uśmiechała się, lecz oczy pozostawały nieruchome, zimne i bez wyrazu. Rozłucki poczuł nagły, irracjonalny strach. Szybko spuścił wzrok, udając, że sprawdza coś w dokumentacji medycznej.

— Czy pana rodzina dalej korzysta z pomocy opieki społecznej?

— Bycie biednym to nie grzech – odpowiedział Krajewski pp. Jesteśmy biedni, ale szczęśliwi. Mamy siebie.

Rozłucki obrzucił spojrzeniem jego ubranie. Jego pacjent nie wyglądał na biednego człowieka.

Krajewski dostrzegł to i uśmiechnął się.

— Człowiek musi jakoś wyglądać, panie doktorze. To kwestia godności. Nie zniósłbym, gdybym musiał się ubierać w ubrania kupione w supermarkecie. Trzeba się szanować.

— Pana dzieci objęte są programem dożywiania najuboższych.

— To smaczne posiłki. Lubią je jeść.

— Pan też tam chodzi?

— Och, bez przesady! Nic się przecież nie stanie, jeśli raz czy drugi zjem coś na mieście. Musimy sobie sprawiać czasami takie drobne przyjemności. Inaczej życie byłoby przeraźliwie nudne. Poza tym inwestuję w siebie – powiedział. – Robię to również dla nich. Biznesmen nie może jadać w garkuchniach i źle się ubierać.

— Jest pan biznesmenem?

— Mam na oku pewien interes. Gdy się rozkręci, wynagrodzę im wszystko. Będą miały, co tylko zechcą. To w końcu moje dzieci.

— Ten sam, o którym mówił pan poprzednio?

— Co? Nie... Tamten to była kompletna pomyłka. Człowiek, z którym miałem to robić, wypiął się na mnie. Cóż, niektórzy po prostu nie mają ambicji. Widocznie lubią ten dół z gównem, w którym siedzą. Teraz to coś większego, o wiele większego. Może pan zainwestować, póki jeszcze jest czas.

— Nie, dziękuję – odparł Rozłucki. Wolał nie pytać, co to za interes. – Nie mam w tej chwili żadnych, ale to żadnych wolnych środków.

Nawet nie musiał kłamać, by go zbyć.

— Trudno. Będzie pan żałować. Przewiduję kilkunastokrotny zwrot.

Rozłucki zerknął jeszcze raz w leżące przed nim papiery.

— W zeznaniach, które pana żona złożyła, a następnie odwołała – powiedział – oskarżała pana o przemoc fizyczną i psychiczną. Wykręcanie rąk, bicie pięścią w brzuch, wyrywanie włosów, i to nie tylko z głowy, podduszanie, gwałty, sadystyczne praktyki

seksualne. Co pan na to?

— To wszystko kłamstwa – odparł ze spokojem. – Jest stuknięta, mówiłem panu. Nigdy jej nie skrzywdziłem. Nie potrafiłbym. To nie leży w mojej naturze. A nawet, jeśli czasami dostała, to dlatego, że jej się należało. Żona powinna słuchać męża. Takie jest prawo, prawda? Poza tym utrzymuję ją. Ją i jej bachory. Mam więc chyba czasami prawo do odrobiny przyjemności.

Uśmiechnął się. Nie cynicznie, obleśnie czy porozumiewawczo. Po prostu się uśmiechnął. „Znowu to samo”, pomyślał Rozłucki. „Sprzeczne komunikaty w jednej i tej samej wypowiedzi. Zaprzeczanie samemu sobie bez świadomości tego, że się to robi. Kłamstwa wypowiedane spokojnym, rozluźnionym tonem, bez najmniejszego śladu zmieszania”.

— Poza tym, panie doktorze – Krajewski nachylił się w jego stronę – im to nie przeszkadza. Potrzebują tego, nawet gdy mówią co innego. Są zadowolone, że ktoś trzyma je za pysk. Psy, dzieci i kobiety potrzebują co jakiś czas dostać wpierdol. Inaczej wariują, gubią się, chodzą bez celu i nie wiedzą, co ze sobą zrobić. One tego potrzebują, a my to lubimy. To być może najlepsza rzecz, jaką możemy sobie wzajemnie ofiarować. Próbował pan doktor już tego?

— Czego? – odparł Rozłucki, lecz sam wyczuł w swoim głosie zmieszanie.

— A więc próbował pan! – uśmiechnął się Krajewski. – No, brawo! Widzę, że coś się zmieniło od naszego ostatniego spotkania. Właśnie dlatego tak pana lubię, doktorze. Jest pan do mnie

podobny. Tylko jeszcze się pan tego wstydzi. Jest pan spięty, zablokowany. Niepotrzebnie. Niech pan odkryje swoją prawdziwą naturę. Te myśli samobójcze, które pan ma, depresje, zniechęcenie i poczucie wypalenia – znikną wtedy. Zobacz pan. Jest pan wilkiem, a próbuje pan żreć trawę. Coś takiego musi się odbijać na zdrowiu.

ROZDZIAŁ 40

Nie zjadł tej eklerki. Powiedział doktorowi Goczałowi, że źle się czuje i wolałby po dyżurze iść od razu do domu. Wyszedł na zewnątrz. Po drugiej stronie alei Wojska Polskiego był park. Przeszedł przez przejście dla pieszych i zagłębił się między drzewa.

Szedł tak długo, aż doszedł do rzeki. Łyna, bo chyba to była ona, płynęła tu wąwozem o zarośniętych drzewami zboczach. Odnalazł mały mostek zbudowany nad dwoma przecinającymi jej koryto dużymi rurami i przeszedł na drugą stronę. Wiła się tu ścieżka oznaczona jako szlak turystyczny. Zaczął nią iść.

Starał się nie myśleć o niczym konkretnym. Pozwolić myślom biec swobodnie, bez narzuconej z góry marszruty. Najchętniej w ogóle by nie myślał, wiedział jednak, że tak się nie da. O, gdyby tak dało się wyłączyć myślenie! Gdyby był taki pstryczek, którym dałoby się to zrobić, bardzo chętnie by właśnie teraz z niego skorzystał. Ale nic z tego. W mózgu zawsze coś się miele. Nawet gdy wydaje nam się, że nie myślimy, myśli myślą się same.

Ścieżka wznosiła się i opadała zboczami wąwozu. W dole wiła się rzeka poprzegradzana co jakiś czas zwalonymi pniami drzew. Było dziko, jakby szedł przez Bieszczady.

W końcu dotarł do miejsca, gdzie rzeka rozlewała się szerzej.

Stało tam kilka budynków, a jej nurt przegradzała zapora. Wyglądało to na małą, zabytkową elektrownię wodną. Tuż przed nią do rzeki, wzdłuż której brzegów szedł, wpadała z prawej strony inna rzeka. Postanowił iść teraz wzdłuż niej, by nie oddalić się za bardzo od miasta.

Także i tu był szlak turystyczny, choć bardziej wyglądał on jak wydeptana szczytem zbocza ścieżka. Dostrzegł w dole pływające po wodzie kaczki, a nawet jednego łabędzia. W dalszym ciągu starał się nie myśleć o niczym konkretnym, choć wiedział, że w sumie właśnie teraz powinien jedną rzecz przemyśleć szczególnie intensywnie. Coś w tym, co powiedział mu przed chwilą jego pacjent, Roman Krajewski, nie dawało mu spokoju.

Ale nie, nie będzie o tym teraz myślał. Będzie szedł. Odczuwał teraz przemożną chęć, by iść przed siebie. Nie ważne dokąd. Byle dalej. Sprawiało mu to przyjemność.

To nie jest jednak takie łatwe. To nie jest takie łatwe iść i nie myśleć o czymś, co tkwi tuż pod powierzchnią naszej świadomości. Nawet gdy wydaje nam się, że to się udało, nawet gdy wydaje nam się, że zespoliliśmy się właśnie z buddyjskim, czy tam jakim, tu i teraz, staliśmy się wyłącznie wzrokiem, chodem i słuchem, to właśnie wtedy, jak na złość, nie wiadomo skąd, pojawia się nagle jakaś myśl. I nie jest to niestety zazwyczaj zwykła myśl, lecz myśl z samego dna, z samego spodu garnka. Gorzka i szerniała jak przypalone mleko.

U niego też ta myśl się w końcu pojawiła. Wychyliła swój

bezczelny łeb z głębokiej nory, w której dotąd siedziała. Spektakularne widoki, które miał przed oczyma, zapachy wody i lasu, radosne pobudzenie będące wynikiem szybkiego marszu – wszystko to nie zdołało jej powstrzymać. A może właśnie to ją ośmieliło? Przegoniło wszystkie inne, zwykłe myśli i oczyściło pole dla tej jednej?

Czy naprawdę był taki jak on, jego psychopatyczny pacjent, Roman Krajewski? Czy naprawdę był do niego podobny? Przypomniawszy sobie to wszystko, co ostatnio zrobił, i nie mógł tak po prostu z miejsca temu zaprzeczyć. Jego wizyta w agencji towarzyskiej, to, jak potraktował pracującą tam kobietę, żalosne, budzące głęboki niesmak próby podrywania Krupińskiej – nie dało się tego zwalić wyłącznie na alkohol. Jasne, był pijany, lecz wiedział, że nie jest to żadne usprawiedliwienie. Alkohol nas nie zmienia, uwalnia tylko to, co naprawdę w nas siedzi. Było więc w nim to, było. Czy gdyby miał okazję, posunąłby się dalej? I jak daleko?

Wzdrygnął się. Nie, to niemożliwe. Nie on. Krajewski manipulował nim, psychopaci są z tego znani. Chciał w nim wzbudzić poczucie wspólnoty, by go przeciągnąć na swoją stronę. Wyczuł jego słabe punkty i wykorzystał je.

Choć z drugiej strony, skoro je wyczuł, to znaczy, że te słabe punkty w nim były. Skłonność do przemocy, głęboko ukryta pod warstwą wykształcenia i kultury, zduszona betonowym sarkofagiem superego, przysypana warstwą nadmiernie

idealistycznych wyobrażeń o sobie, wreszcie jednak dała radę wydostać się z klatki. Połączona z niezaspokojonym popędem seksualnym stworzyła bestię, jego własną, prywatną bestię. Bestię, która właśnie przedstawiła mu się, wyszczerzając kły.

Czy gdyby jej pozwolił, byłaby w stanie zagryźć? Czy on również mógłby kiedyś zobaczyć u swych stóp ten sam widok, jaki widział morderca Ewy Krupińskiej – stygnące, półnagie ciało z rozłożonymi nogami? Jak daleko był od tego lub jak blisko?

Ścieżka weszła teraz trochę głębiej w las. Rzekę, choć ciągle widoczną, przysłoniły drzewa. Gdy szlak odbił z powrotem w stronę brzegu, zobaczył most. Wysoko sklepiony kamienny most. Poznał go od razu, choć oglądał go ostatnio z drugiej strony. To za nim stał dom Olgierda Jakubca, kolejnego z mężczyzn, który wypuścił swoją bestię z klatki. Był w nim poprzednim razem wspólnie z Karoliną.

Podszedł bliżej, przeszedł przez drogę i odnalazł mały leśny parking na skraju rzeki, który był kiedyś ich punktem obserwacyjnym. Czy było tylko dziełem przypadku, że dotarł aż tutaj? Rozsunął ręką liście. Dom stał tam wciąż, na drugim brzegu rzeki, ciemny i milczący. Ciekawe, czy ktoś w nim jeszcze mieszka? Nie wyglądało na to.

Pomyślał o Karolinie. Wyciągnął telefon i odnalazł jej numer. Wiedział, że nie ma po co do niej dzwonić, po prostu chciał na niego popatrzeć. Na niego i na jej imię. Stał tak i gapił się w niego przez dłuższą chwilę jak głupi. I wtedy właśnie coś zrozumiał. Coś, co nie miało nic wspólnego z Karoliną. Zrozumiał, co mu tak bardzo nie

dawało spokoju w tym, co mówił Krajewski. Nie to, że są do siebie podobni. Gównu to kogo obchodziło. Nie dawało mu spokoju to, do kogo Krajewski rzeczywiście jest podobny. W sposobie bycia, w używanych sformułowaniach, w stosunku do innych ludzi. Jest podobny do Gorbały.

Szybko pozbył się z ekranu numeru do Karoliny i wyszukał numer do Weroniki. Odebrała po paru sygnałach.

— Jeśli chcesz się dowiedzieć, czy izba wytrzeźwień jest już otwarta, to tak. Są czynni całą dobę. Możesz spokojnie zaczynać pić – usłyszał.

— Tak się akurat składa, że jestem zupełnie trzeźwy – odparł. – I nie o to mi chodzi.

— No to o co ci chodzi? – spytała, przeciągając głoski, by dać mu do zrozumienia, jak bardzo ją to nie interesuje.

— O Gorbałę. Jestem już pewien, że to on.

Westchnęła.

— Znowu? Nie znudziło ci się?

— Posłuchaj mnie przez chwilę. To psychopata, rozumiesz?

— Wariat?

— Nie wariat, psychopata. Psychopatia to zespół pewnych ściśle określonych patologicznych cech osobowości. Braku empatii, skupienia się na sobie, nieumiejętności odczuwania uczuć wyższych, w tym strachu. Wiąże się z tym zazwyczaj skłonność do przemocy, nieprzestrzeganie norm społecznych, instrumentalne traktowanie innych ludzi i niezwykła umiejętność manipulacji.

— Znam kilku takich.

— Nie znasz. Psychopata to ktoś zupełnie inny niż zwykły zaburzony człowiek z problemami. Jest jak kosmita w świecie ludzi. Nie rozumie naszych uczuć, lęków i zakazów i ma je w dupie. Nie ma w nim tego wszystkiego, co powoduje, że kochamy, miotamy się albo cierpimy. Jest jak chodząca bomba zegarowa. Zabija i gwałci, bo często tylko te dwie czynności są w stanie choć trochę go poruszyć. Gorbała jest kimś takim.

— Jesteś pewien?

— Tak. Rozmawiałem z nim wczoraj.

— Rafał też z nim rozmawiał. Twierdzi, że to przemiły człowiek.

— Sądecki nie ma doktoratu z psychologii. Nie wie, że psychopaci potrafią być tacy. Potrafią sprawić, że rodzice ich maltretowanych żon uwielbiają ich i uważają własne córki za niewdzięczne wariatki. Uwierz mi, jeśli ktoś zabił małą Ewę Krupińską, to właśnie on. Słuchasz mnie?

— Tak.

— I co?

— Za dużo ostatnio usłyszałam takich hipotez, by ta mną jakoś specjalnie wstrząsnęła. Znowu sobie coś wymyśliłeś i znowu się pewnie okaże, że nie ma na to żadnego dowodu.

— Sprawdź to i udowodnij mi, że po raz kolejny się mylę. Jeśli i tym razem się okaże, że wszystko to sobie wymyśliłem, wrócę do chłania i będę do ciebie dzwonił tylko wtedy, gdy będę chciał, żebyś mnie odebrała z izby wytrzeźwień.

— Co miałabym niby zrobić? Pytam na razie czysto teoretycznie.

— Sprawdź jeszcze raz to zgłoszenie gwałtu. Coś tam musiało być, jestem tego pewien. I musi być jakiś powód, dla którego nie po tym śladu w papierach.

— Nie ma po tym śladu, bo nic nie było. To najprostsze rozwiązanie tej zagadki, doktorze Watsonie.

— Pamiętasz, co mi mówiłaś ostatnio? Że byłbym dobrym policjantem, bo mam nosa. No to zaufaj temu mojemu nosowi.

— Powiedziałam to, bo raz na jakiś czas, całe szczęście dość rzadko, dopada mnie taka słabość, że mam ochotę być miła. Ale nie jestem pewna, czy powtórzyłabym tę opinię w sądzie pod przysięgą.

— Kurwa! Będziemy tak teraz stać i przerzucać się zabawnymi tekstami? Po prostu sprawdźmy to! Proszę cię!

W słuchawce zapadło milczenie. Chyba przesadził. Weronika nie należała do osób, z którymi można było tak rozmawiać. Już w zasadzie pogodził się z tym, że usłyszy za chwilę parę ostrych słów, a po nich dźwięk rozłączonego połączenia, lecz zamiast tego w słuchawce rozległo się westchnięcie.

— No dobra – powiedziała. – Rafała i tak nie ma, bo pojechał do Szczytna. Mają tam jakąś uroczystość w Wyższej Szkole Policijnej z okazji dziesięciolecia roku. Jutro mogłabym tym się zająć.

— Świetnie! – Nie mógł wprost uwierzyć własnemu szczęściu. – Bardzo ci dziękuję!

— No już, nie podniecaj się aż tak bardzo. Wróć teraz do domu, umyj się i przygotuj sobie na jutro czyste ubranie. Rano po ciebie

zjadę. I nie pij dziś wieczorem. Ostatnim razem, jak cię wiozłam, przez pół dnia czuć było potem w moim samochodzie przetrawionym alkoholem. Wolałabym tego uniknąć.

— Oczywiście, obiecuję. Gdzie pojedziemy?

— Spróbujemy znaleźć komisariat, na którym była ta Ukrainka. Jeśli oczywiście to wszystko prawda. Ponieważ nie wiemy, gdzie to było, bo nie ma po tym śladu w systemie, przyjmiemy, że poszła do najbliższego, w sąsiedniej miejscowości. Choć równie dobrze mogła próbować to zgłosić gdzieś w Olsztynie.

— A wtedy co?

— Wtedy nic. Kończymy temat. Nie będę chodziła po wszystkich olsztyńskich komisariatach, nie chce mi się. Lepiej więc, żeby to był tamten.

ROZDZIAŁ 41

Komisariat, pod który podjechali, był zwykłym, betonowym klockiem w kształcie leżącego prostopadłościanu, pokrytym szarym, brudnawym tynkiem, zaopatrzonym w kilka okratowanych okien i dużą, niebieską, podświetlaną zapewne w nocy tablicę z białym napisem „Policja” nad wejściem. Stał pod nim radiowóz – biało-niebieski fiat panda, wyglądający komicznie, a nawet żałośnie z kogutem na dachu, który sprawiał wrażenie, jakby został pożyczony od innego, znacznie większego samochodu. Już to malowanie świadczyło, że samochód miał swoje lata, bowiem nowsze radiowozy pomalowane były w barwy srebrno-niebieskie.

Komisariat – jak wyjaśniła mu po drodze Weronika – nie miał też zbyt imponującej obsady. Było nią zaledwie dwóch policjantów, w tym jeden tuż przed emeryturą. Obejmował swoim zasięgiem okoliczne miejscowości aż do samej granicy administracyjnej Olsztyna.

Weszli do środka. Budynek był niewielki i w środku dzielił się na dwie wyraźne części. Po prawej korytarz rozszerzał się w otwartą przestrzeń z kontuarem i siedzącym za nim przy biurku policjantem w mundurze. Po lewej były drzwi z matową szybą prowadzące do jeszcze jednego pomieszczenia.

— Dzień dobry – powiedziała Weronika.

Policjant siedzący za kontuarem podniósł wzrok, lecz nie odpowiedział. Był to starszy mężczyzna, dość krępy, choć nie gruby, ze sporą łysiną z i wianuszkami otaczających ją posiwiałych włosów. Miał ostre rysy i niezbyt przyjazny wyraz twarzy. Wyglądał jak naburmuszony mnich.

Weronika podeszła do kontuaru. Przez chwilę mierzyła się z policjantem wzrokiem. Widać było, że ustala właśnie hierarchię osób przebywających w tym pomieszczeniu.

— Słucham? – odezwał się wreszcie policjant.

Weronika bez słowa wyjęła swoją odznakę i położyła ją na blacie.

— Weronika Stankiewicz – powiedziała. – Wojewódzka Komenda Policji w Olsztynie.

Tylko tyle. Wciąż wpatrywała się policjantowi w oczy.

— Tak? – odparł tamten, znacznie już mniej pewnie.

— Prowadzę śledztwo. W sprawie morderstwa Ewy Krupińskiej.

— Myślałem, że śledztwo zostało zakończone.

— Pojawiły się nowe okoliczności. Muszę je sprawdzić. Jaki jest stan posterunku? – spytała ostro.

Policjant odruchowo wstał.

— Dwóch funkcjonariuszy – odparł.

— Gdzie jest ten drugi?

— Tam. – Policjant wskazał drzwi po drugiej stronie korytarza.

— Nie przemęczacie się, co? – rzuciła Weronika. Trzeba przyznać, że wiedziała, jak być wredną suką. Aż miło było

popatrzeć.

— Nie, po prostu...

Nie czekając na odpowiedź, Weronika odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi z matową szybą. Otworzyła je i wparowała do drugiego pomieszczenia. Rozłucki wszedł za nią. Starszy policjant o mało się nie przewrócił, próbując jak najszybciej wyjść z za kontuaru.

Drugie pomieszczenie było jeszcze mniejsze. Tu również stało biurko, a na nim przedpotopowy komputer z monitorem starego typu zaopatrzonym w pokaźny tył. Siedział za nim drugi policjant, znacznie młodszy. Gdy weszła Weronika, zdziwiony podniósł wzrok.

— Widzę, że macie zajęcia na strzelnicy – powiedziała Weronika, patrząc na obraz widoczny na monitorze – starszy posterunkowy – dodała, rzuciwszy okiem na jego dystynkcje na pagonach.

Policjant zaczerwienił się po same uszy i czym prędzej zamknął ekran gry, w której jeszcze przed chwilą strzelał do talibów w Afganistanie.

— Pani Weronika Staniewicz...

— Stankiewicz – warknęła Weronika.

— Tak, Stankiewicz – starszy policjant sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz dostać udaru – z komendy wojewódzkiej – przedstawił ją swojemu młodszemu koledze.

Młodszy policjant również wstał, niemal wyprężając się na

baczność. Rozłucki nie był tego pewien, ale chyba nie był to obowiązujący sposób na witanie przełożonych w polskiej policji. Poza tym nie sądził, by Weronika z formalnego punktu widzenia była tutaj czyimkolwiek przełożonym.

— Możecie nam zrobić kawy? – rzuciła Weronika, nie troszcząc się specjalnie o to, kto będzie odbiorcą jej polecenia. – Tylko sypaną, nie rozpuszczalną. Czarną, bez cukru. Ten, kto wynalazł rozpuszczalną kawę, powinien się smażyć w piekle.

Pod oknem zasłoniętym spłowiałą firanką stały dwa stare fotele obite popękaną sztuczną skórą i mały stolik między nimi. Usiadła na jednym z nich. Rozłucki siadł obok.

Młodszy policjant czym prędzej rzucił się do stolika pod drugą ścianą, na którym stał plastikowy elektryczny czajnik. Zabułgotała gotująca się woda. Starszy policjant stał w tym czasie na środku pomieszczenia, ewidentnie nie wiedząc, co ze sobą teraz zrobić. Weronika milczała, patrząc przed siebie.

Po chwili dwie przezroczyste szklaneczki z uchem wypełnione czarną, gorącą cieczą pokrytą od góry brunatnym kozuchem fusów stanęły na małym stoliczku między nimi.

— Bez cukru, powiedziałam – powtórzyła z naciskiem Weronika, gdy młodszy policjant usiłował postawić między nimi cukiernicę.

— Tak, oczywiście – odparł potulnie i stanął obok swojego starszego kolegi. Ciągle trzymał cukiernicę w dłoni.

Wyglądali teraz jak dwaj uczniowie wezwani do gabinetu dyrektora szkoły. Rozłucki był pełen podziwu dla Weroniki, która z

niczego, nie posiadając żadnych ku temu prerogatyw, potrafiła zbudować wokół siebie aurę rewizora wizytującego prowincjonalną placówkę. Miał tylko nadzieję, że ci dwaj policjanci rzeczywiście mieli coś za uszami, bo jeśli nie, całe to przedstawienie mogło okazać się wówczas zbyt okrutne.

Weronika powoli zaczęła mieszać swoją kawę łyżeczką. Policjanci ciągle stali. W końcu starszy nie wytrzymał.

— Nie wiem, w czym moglibyśmy wam pomóc – powiedział. – Nasza rola w tej sprawie była minimalna. Faktycznie, byliśmy pierwsi na miejscu zdarzenia, ale od razu, gdy zorientowałem się, co to za gówno, zawiadomiłem was z wojewódzkiej. Niczego nie ruszaliśmy, tylko zabezpieczyliśmy teren. A potem sprawę przejął komisarz Sądecki.

— Nie o to mi chodzi – powiedziała Weronika. Wyjęła łyżeczkę ze szklanki i oparła ją o spodek.

— A o co? – spytał policjant.

— Była tu u was parę miesięcy temu kobieta, obywatelka Ukrainy. Chciała złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dlaczego go nie przyjęliście? – Weronika spojrzała mu prosto w oczy.

Starszy policjant zachował zimną krew, młodszy nie. Spojrzał na swojego przełożonego niepewnie, jakby szukał w nim oparcia i obrony. Teraz Rozłucki był już pewien – nie pomylili się.

Starszy policjant wytrzymał spojrzenie Weroniki, choć sądząc po ściągnięciu mięśni twarzy i paru kroplach potu, które pojawiły się

na jego czole, nie było to łatwe. Widać było, że intensywnie zastanawia się, czy wszystkiemu zaprzeczyć, czy próbować się usprawiedliwiać. Najwyraźniej wybrał to drugie.

— Rzeczywiście była u nas taka osoba. Ale nie zdecydowała się na złożenie formalnego zawiadomienia – powiedział.

— Dlaczego? – spytała Weronika.

— Najwidoczniej się rozmyśliła.

— Skoro do was przyjechała, i to z sąsiedniej miejscowości, to znaczy, że była zdecydowana – powiedziała Weronika. – Z tego, co wiem, chodziło o gwałt, prawda? Jeśli kobieta decyduje się zgłosić tego typu przestępstwo na policję, musi najpierw pokonać duży wewnętrzny opór. Ona to zrobiła. Była zdeterminowana. Co się stało, że zrezygnowała?

— Nie wiem. – Starszy policjant patrzył teraz przed siebie.

— A wy, starszy posterunkowy, co macie na ten temat do powiedzenia? – Weronika przeniosła wzrok na drugiego ze stojących mężczyzn. Młodszy policjant spojrzał na nią z przestrawieniem. W jego oczach pojawiła się panika. – Dlaczego nie przyjęliście tego zgłoszenia?

— Nie uznaliśmy go za wiarygodne – odpowiedział.

— Dlaczego?

— Ta pani bardzo słabo mówiła po polsku.

— I dlatego była niewiarygodna?

— Płatała się, była zdenerwowana...

— Nic dziwnego. Przyszła właśnie na komisariat policji w obcym

kraju, żeby opowiedzieć dwóm nieznanym mężczyznom, że ktoś przemocą, wbrew jej woli wcisnął jej kutasa w cipę. Też byłbyś na jej miejscu zdenerwowany.

— Muszę zaprotestować... – zaczął straszy policjant.

— Nie z tobą teraz rozmawiam – przerwała mu ostro Weronika.

– No więc? W czym jeszcze była niewiarygodna?

Młodszy policjant wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

— Tak więc zreasumujmy – zaczęła chłodno Weronika. – Przyszła do was kobieta, Ukrainka, osoba podwójnie niewiarygodna. Niewiarygodna dlatego, że była Ukrainką, i niewiarygodna dlatego, że była kobietą. Przyszła zgłosić przestępstwo. Przestępstwo szczególne, bardzo traumatyczne, dotyczące samej istoty ludzkiej godności. A wy co zrobiliście? Trochę ją zlekceważyliście, trochę zapewne wyśmialiście i trochę postraszyliście. Pewnie były też jakieś aluzje, że może i z wami tak by się zabawiła. Mam rację?

Obaj policjanci milczeli.

— Przedstawię wam wobec tego teraz waszą sytuację – ciągnęła dalej. – Zgłoszenie, którego nie przyjęliście, ma zapewne związek z morderstwem, nad którym teraz pracujemy. To, że je wówczas zlekceważyliście, w pewien sposób się do niego przyczyniło. Być może gdybyście potraktowali wówczas tę sprawę poważnie, ta piętnastoletnia dziewczyna jeszcze by żyła. Jesteście więc obaj w głębokiej dupie i tylko od was zależy, czy nie zagrzebiecie się w niej jeszcze głębiej. Jeśli opowiecie mi teraz dokładnie, co się naprawdę

zdarzyło, a ja uznam, że nic już nie ukrywacie, zastanowię się, czy nadawać tej sprawie dalszy, służbowy tryb. Rozumiemy się?

Wyszli z komisariatu. Wsiedli do samochodu Weroniki. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Przykre – powiedział. – Ale w pewien sposób klasyczne.

— Jakoś im nie wierzę, że nie wzięli za to łapówki – powiedziała Weronika.

— Mogli nie wziąć – odparł. – Nie musiał im jej dawać. To też jest w jakimś sensie klasyczne. Lokalny biznesmen, miejscowy bogacz, powiązany ze wszystkimi siecią zależności. Każdy mu coś zawdzięcza, każdy mógłby mieć do niego jakiś potencjalny interes. Tutejszych policjantów też to dotyczy. To nie muszą być wielkie rzeczy. Może pomógł im zorganizować Dzień Policjanta? Albo zasponsorował farbę w czasie remontu komisariatu? Może poznali się przy okazji jakiegoś święta albo festynu, a on był dla nich miły i ludzki? Takie rzeczy budują wzajemną więź, z której potem bardzo trudno się wyswobodzić. Jeśli dodasz do tego osobowość Gorbały, który potrafi manipulować ludźmi i okręcać ich sobie wokół palca, który potrafi być przesympatyczny... A z drugiej strony kogo masz? Biedną Ukrainkę nie wiadomo skąd, która ledwo mówi po polsku. Obcą, a więc wzbudzającą instynktowną niechęć. Komu byś uwierzyła? Pewnie sami do niego zadzwonili. „Panie Andrzeju, jest tu taka przykra sprawa...” Z poczuciem, że robią przysługę powszechnie szanowanej osobie. Swojemu chłopu, któremu jakaś

baba chce nabruździć. Pewnie uważali wręcz, że robią dobry uczynek.

— Mówisz, jakbyś ich usprawiedliwił.

— Nie usprawiedliwiam ich. Pokazuję działanie pewnych mechanizmów. Nikt nie jest wolny od ich oddziaływania, ty też nie jesteś.

— W jaki niby sposób?

— Powiedziałaś przed chwilą, że puścisz w niepamięć to, co zrobili. Dlaczego to zrobiłaś? Bo odczuwasz z nimi zawodową solidarność. Są z twojego plemienia.

— Nie powiedziałam, że im to puszcę w niepamięć. Powiedziałam, że się zastanowię. Zastanowiłam się. Nie puszcę.

ROZDZIAŁ 42

Odwiozła go. Obiecała, że jak tylko komisarz Sądecki wróci ze Szczytna, porozmawia z nim i przedstawi mu ich nowe ustalenia. Z tym, że to raczej dopiero w poniedziałek. Uroczystości związane z dziesięcioleciem ukończenia szkoły policyjnej miały trwać dwa dni, więc w pracy komisarz pojawi się najpewniej dopiero po weekendzie.

Poprosił, by wysadziła go pod sklepem. Musiał zrobić wreszcie zakupy, bo w jego lodówce została już tylko musztarda. Dwieście złotych pożyczone od Goczała powinno wystarczyć. Z zastrzeżeniem oczywiście, że nie będzie kupował alkoholu. Co potem? Trudno powiedzieć. Pensja z przychodni wpłynie na jego konto dopiero na początku przyszłego miesiąca, a czynsz za wynajem warszawskiego mieszkania nawet jeszcze później. Do tego czasu będzie musiał żyć za to, co zdoła pożyczyć. Od Goczała, Weroniki albo i Sądeckiego. Chyba że wystruga sobie wędkę i zacznie łowić ryby.

Wszedł do sklepu. Tym razem starał się wybierać naprawdę najtańsze produkty. Mielona kawa za cztery złote już z samego opakowania wyglądała na kwaśną. Miał tylko nadzieję, że będzie mocna. Tańsze gatunki są mocniejsze niż te droższe, a on musiał się czymś pobudzać, skoro już nie stać go było na alkohol.

Przez cały czas kotłowało mu się w głowie to wszystko, co zobaczył i usłyszał na komisariacie. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że policjanci nie powiedzieli im jednak wszystkiego. Pomimo przyciśnięcia przez Weronikę, mimo pozornego całkowitego złamania, zdołali jednak obronić swoją najbardziej wewnętrzną redutę. Zwłaszcza stary był chyba bardziej cwany, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka. Szkoda, że dostrzegł to dopiero teraz, a nie tam, na miejscu. Mógłby wówczas spróbować podrażnić głębiej. Lecz on był chyba zbyt zafascynowany widowiskiem, które urządziła Weronika. Za bardzo skupił się na niej, na tym, co robi i jak wygląda. Podziw dla jej spektakularnej szarży odwrócił jego uwagę od najważniejszych aktorów tego show. Dopiero teraz, z perspektywy czasu dostrzegał rzeczy, które powinien był zauważyć od razu.

Na przykład to, jak zachowywał się młodszy z policjantów. Parę jego mimowolnych gestów i spojrzeń mogłoby wskazywać, że miałby ochotę powiedzieć o wiele więcej. Mówił jednak głównie stary, a on nie miał na tyle odwagi, by przeciwstawić się człowiekowi, który stał od niego wyżej zarówno w hierarchii policyjnej, jak i tej dotyczącej wieku, doświadczenia i siły charakteru.

Warto by było porozmawiać z nim na osobności. Wyłuskać spod przemożnego wpływu jego apodyktycznego, starszego stopniem przełożonego. Posłuchać, co ma do powiedzenia on sam. Był młody, zapewne niedawno skończył szkołę policyjną. Jest szansa, że żywe

w nim jeszcze były te ideały, które pchnęły go do podjęcia decyzji o zostaniu policjantem. Że takie rzeczy jak solidarność zawodowa, obrona własnego interesu i siedzenie cicho, by się nie narazić, przegrają jeszcze z przyzwoitością i chęcią wyznania prawdy.

Zapłacił przy kasie i wyszedł. I tuż za progiem stanął jak wryty. Rzadko się zdarza, by nasze planywały szanse zrealizować się aż tak szybko. Przez chwilę przeszła mu przez głowę absurdalna myśl o telepatycznej sile swojego umysłu. Na parkingu przed sklepem stał policyjny fiat panda z za dużym kogutem na dachu. Szyba od strony kierowcy była odsunięta. Za kierownicą siedział młodszy z policjantów. Patrzył na niego. Po chwili ruchem głowy zaprosił go do środka.

Wsiadł. Plastikowe torby z zakupami położył na gumowym dywaniku między nogami. Nie było to zbyt wygodne, ale głupio mu było jakoś w tym momencie prosić o otworzenie bagażnika.

Samochód ruszył. Młody policjant nie odezwał się ani słowem. Nie kazał mu też zapiąć pasów, choć chyba w policyjnym radiowozie należałoby to zrobić tym bardziej. Jechali w kierunku jego domu. Miał dziś szczęście do darmowych podwózek.

— Jak mnie pan znalazł? – spytał.

— Spytałem, gdzie mieszka ten psycholog z Warszawy – odparł policjant. – Powiedzieli mi, że nad jeziorem, ale że właśnie wszedł pan do sklepu. To stanąłem i poczekałem, aż pan wyjdzie.

— No tak – odpowiedział Rozłucki. – Najwyraźniej tylko wydawało mi się, że nikogo nie ma w okolicy i że nikt mnie nie

obserwuje.

— Najwyraźniej.

— Skąd wiedział pan, że jestem psychologiem? – Z tego, co pamiętał, nie przedstawiał się w czasie wizyty na komisariacie.

— Tu wszyscy pana znają.

Wjechali w las. Policjant nagle skręcił w boczną dróżkę i po chwili się zatrzymał. Rozłucki obejrzał się. Nie było ich tu widać z głównej drogi. Włosy podniosły mu się na karku. Wyobrażenia podpowiedziały mu kilka niezbyt przyjemnych scen. Na końcu jednej z nich lądował ze związanymi rękoma w płytkim leśnym grobie. Czyżby po raz kolejny źle ocenił sytuację? Może związki tych dwóch policjantów z Gorbałą nie polegały tylko i wyłącznie na sąsiedzkiej wymianie przysług? Może było w nich coś, co za chwilę ten młody policjant postara się raz na zawsze ukryć?

W dłoniach ciągle trzymał uszy plastikowych toreb z zakupami. Puścił je w oczekiwaniu na atak. Poczul suchość w ustach. Organizm mobilizował się do walki.

Atak jednak nie nastąpił. Młody policjant siedział w milczeniu, wpatrując się w deskę rozdzielczą.

— Pomyślałem, że muszę z panem porozmawiać – odezwał się wreszcie.

Uff... Rozłucki poczuł, jak napięcie schodzi mu z mięśni. Zapadł głębiej w fotel pasażera. Kark zeszywniał mu aż do bólu.

— Szczerze powiedziawszy, też miałem ochotę z panem pomówić – odparł.

— Tak? – Policjant spojrział na niego.

— Sprawiał pan wrażenie kogoś, kto ma ochotę powiedzieć znacznie więcej niż może w obecności przełożonego.

Policjant pokiwał głową. Odsunął trochę szybę w oknie. Do wnętrza samochodu dostało się chłodne, pachnące lasem powietrze.

— W zasadzie dopiero dzisiaj, gdy ta policjantka z wojewódzkiej powiedziała to wszystko, zrozumiałem parę rzeczy. Aż dziw, że tyle mi to czasu zajęło.

— Co na przykład?

— Ta Ukrainka... Opisała dosyć dokładnie, co zrobił jej Gorbała.

— Co zrobił?

— Na początku był dla niej bardzo miły. Tak przynajmniej mówiła. Odnosił się do niej inaczej niż do pozostałych pracownic. Czowała się wyróżniona. Kiedy wyjechał raz za granicę, przywiózł jej nawet stamtąd jakiś drobny prezent. W końcu zaprosił ją do siebie. Była kolacja, wino i komplementy. Ale gdy z własnej woli poszła z nim do sypialni, zmienił się. Zaczął ją bić i zgwałcił. Przez parę dni trzymał ją przywiązaną do łóżka. Mówił, że ją zabije, tylko jeszcze nie wymyślił jak. I że nie była pierwsza. W końcu udało jej się oswobodzić jedną rękę. Zauważył to, ale nic nie zrobił. Pozwolił jej odejść. Podobno przez cały czas się uśmiechał.

— Dlaczego nic zeń z tym nie zrobili?

— Ona... nie przyszła od razu. Dopiero po paru dniach. Umyta i umalowana. Jeśli były jakieś obrażenia, to nie było ich widać. Mówiła, że Gorbała przyszedł do niej następnego dnia i dał jej

pieniądze, a ona je wzięła. Aspirant Kowalczyk powiedział, że skoro poszła z nim sama i wzięła za to pieniądze, to o żadnym gwałcie nie ma mowy. I że to bardziej kwalifikuje się pod obyczajówkę. I że za takie rzeczy można zostać deportowanym. Więc żeby lepiej nie robiła sobie i innym kłopotu i siedziała cicho. Bo nawet jeśli będzie z tego proces, to on nie wierzy, żeby Gorbała został skazany. Każdy adwokat go wybroni. A ją będą ciągać przez dwa lata po sądach i tyle tylko z tego będzie miała.

— I co ona na to?

— Wysłuchiwała tego i wyszła. I wkrótce potem wyjechała. Pewnie przestraszyła się tej deportacji.

— Czy pana szef dzwonił do Gorbały w tej sprawie?

— Wtedy na pewno nie. Nic takiego przynajmniej nie słyszałem. Ale widziałem go wcześniej parę razy z Gorbałą. Wydawali się być dość zaprzyjaźnieni.

— Robili sobie wcześniej wzajemnie jakieś przysługi?

— Tak. Na początku roku było coś takiego. Gorbała wpadł do rowu. Miał jeszcze wtedy bmw x piątkę. Był zdaje się pijany albo po jakichś prochach. Aspirant zajął się tym wtedy i nie było sprawy.

— Mógł dostać za to łapówkę?

Policjant zastanowił się.

— Nie widziałem tego... ale mógł. Tak, myślę, że dostał. Aspirant chodził potem przez jakiś czas mocno zadowolony. A wkrótce potem zmienił swój prywatny samochód na nowszy.

— Rozmawialiście potem na komisariacie o tej Ukraince?

— Tak. Aspirant mówił, że pewnie znudziła jej się praca w kurniku i postanowiła naciągnąć Gorbałę na forszę. No i że jej się to udało. I że nie zdziwi się, jeśli teraz daje dupy w jakimś burdelu.

— A pan co na to?

— Nic. Przyjąłem to. Skoro tak mówił, to pewnie tak było.

— Nie miał pan żadnych wątpliwości?

— Wtedy nie. Aspirant Kowalczyk jest moim przełożonym. Zawsze uważałem go za porządnego człowieka i dobrego policjanta. Dużo mnie nauczył. Jest w policji już ze trzydzieści lat. Ma doświadczenie. Myślałem sobie, że pewnie niejedną taką sprawę widział i wie lepiej.

— Już pan tak nie myśli?

Policjant spojrział przez otwartą szybę w las.

— Nie wiem – powiedział. – To, co powiedziała ta policjantka...

— Weronika Stankiewicz.

— Tak. Jakoś mocno mną to wstrząsnęło.

— Co konkretnie?

— To o tej dziewczynce. Że to może też nasza wina. Znałem ją, wie pan?

— Dobrze?

— O tyle, o ile. Pochodzę stąd. Wychowałem się w takiej małej wsi nad jeziorem, jeszcze za pana domem. To ta sama parafia. Widywałem ją w kościele. Ładna była. Rzucała się w oczy.

— A rzuciło się może panu w oczy, że miała jakieś specjalne relacje z księdzem?

— Nie, nic takiego nie zauważyłem.

Rozłucki zastanowił się przez chwilę.

— Niech mi pan powie jeszcze jedną rzecz – zaczął powoli. – Ta Ukrainka... Kiedy mówiła, że Gorbała twierdził, jakoby nie była pierwsza, co miała na myśli?

— Jak to co? – zdziwił się policjant.

— Bo chwilę wcześniej mówił, że ją zabije, tylko jeszcze nie wymyślił sposobu. To co miała na myśli: gwałt czy to zabijanie?

Policjant spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. Widać było, że dopiero teraz przyszło mu coś takiego do głowy.

— Nie wiem – odpowiedział.

— A zdarzały się już wcześniej podobne sprawy z udziałem Gorbały?

— Gwałty? Nie, na pewno nie. Nic o tym nie wiem.

— Niekoniecznie chodzi mi o wprost zgłoszony gwałt, raczej o wydarzenia lub zachowania, które potencjalnie mogłyby na coś takiego wskazywać. Niech pan spróbuje spojrzeć na przeszłe wydarzenia z perspektywy dzisiejszej wiedzy. Coś, co kiedyś mogło się panu wydać epizodem bez znaczenia, dziś może takiego znaczenia nagle nabrać.

Policjant przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

— No, było chyba coś takiego, tak – powiedział w końcu.

— Co?

— Kiedyś jedna z pracownic Gorbały zadzwoniła do nas. Polka tym razem. Nie wiem, o co chodziło, bo odebrał aspirant

Kowalczyk. Pamiętam, że westchnął tylko i powiedział: „Jedziemy”. Ja prowadziłem, bo aspirant był trochę wypity. Tego dnia odwiedził go kolega, który jest już na emeryturze, i rozpracowali wspólnie flaszkę.

— Być może tylko dlatego pana wziął.

— Być może. On bardzo pilnuje takich rzeczy, bo sam chce już niedługo przejść na emeryturę.

— I co zastaliście na miejscu?

— No właśnie nic. Ta pracownica wyszła do nas i powiedziała, że się pomyliła. A potem aspirant z Gorbałą poszli do niego do domu i chyba jeszcze trochę pili, a ja czekałem w samochodzie.

— Ta pracownica wyglądała na zastraszoną?

Policjant zastanowił się.

— Nie, chyba nie.

— A na przekupioną?

— A jak się wygląda na przekupionego?

— Przepraszam, głupie pytanie. To jedyna taka historia?

— Jedyna.

— Widział pan później tę pracownicę?

— Nie, nie widziałem.

Rozłucki przez cały czas przykurczał nogę, żeby nie zgnieść zakupów leżących na dywaniku. Było to dość niewygodne, lecz niewielkie wnętrze fiata pandy nie dawało mu zbyt wielkiego pola manewru. Spróbował mimo wszystko jakoś zmienić pozycję. Dopiero teraz poczuł, jak ścierpła mu łydka.

— W porządku – powiedział – mam jeszcze jedno pytanie: słyszał pan jakieś historie związane z Gorbałą i Ewą Krupińską?

— Tą, która zginęła?

— Tak.

— Nie, raczej nie. Nie przypominam sobie.

— Mówi się, że mogła być jego córką.

— Gorbały? Pierwsze słyszę.

— Nie było takich plotek?

Policjant zastanowił się.

— Nie, naprawdę. Nic takiego nie obilo mi się o uszy. Myślałem, że była córką tego gościa, co ich zostawił. Przyjechali tu przecież razem.

— Nikt nie gadał takich rzeczy na wiosce?

— Nie.

— A nie zna pan może kogoś, kto mógłby to potwierdzić albo temu zaprzeczyć? Nie wiem, może mieszka tu jakaś baba, co to wie wszystko o wszystkich?

— Gdyby taka baba coś o tym wiedziała, aż huczałoby od plotek.

— No tak. Ale jest może ktoś inny? Może Krupińska, matka Ewy, ma jakąś najlepszą przyjaciółkę, której się zwierza?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Proszę się zastanowić.

Policjant zamilkł na chwilę.

— Jedyna osoba, która mi przychodzi do głowy, to poprzedni proboszcz. Był tu chyba ze czterdzieści lat. Jeśli ktoś coś o tym wie,

to tylko on.

— Żyje jeszcze?

— Z tego, co wiem, tak.

— Wie pan, gdzie mieszka?

— Przeniósł się, zdaje się, do brata do Bartoszyca.

— Gdzie to jest?

— Na północy, prawie pod samą ruską granicą.

— Zna pan może adres?

— Nie, ale w kancelarii parafialnej na pewno go mają.

— Mógłby mnie pan tam podwieźć? Tylko najpierw muszę podjechać pod dom, żeby zostawić te siatki.

— Klient płaci, klient wymaga – uśmiechnął się policjant.

ROZDZIAŁ 43

Kancelaria parafialna mieściła się w budynku plebanii. Był to właściwie jeden pokój położony na prawo od wejścia. Siedziała w nim starsza kobieta, która wyglądała, jakby czuła się w tym miejscu wyjątkowo niepewnie. Pewnie dlatego była tak uprzedzająco grzeczna. Odszukała adres poprzedniego proboszcza i zapisała go Rozłuckiemu na kartce, przez cały czas usprawiedliwiając się i przepraszając, że robi to ona, a nie ksiądz proboszcz, który zawsze takimi rzeczami zajmował się osobiście.

— No ale sam pan rozumie, w zaistniałej sytuacji... – westchnęła.

Wyglądało na to, że „zaistniała sytuacja” dotyka ją osobiście i że jest jej wstyd za to, co się stało. Była przybita i zdeorientowana.

— No i co to teraz będzie? – spytała go nagle. – Proboszcz w więzieniu. Jak to wygląda?

— W areszcie – poprawił ją.

— W areszcie czy w więzieniu, co za różnica? Wsadzili go i tyle. A co z nami? Zostaliśmy sami, jak owce bez pasterza.

— Nikt go tu nie zastępuje?

— Przyjeżdżają księża z innych parafii msze odprawiać, ale potem wracają zaraz do siebie. Nikt nam nawet nie wyjaśni, nie

powie, co dalej, nie pocieszy jakoś... Bo jeśli on, ten nasz proboszcz, rzeczywiście krew niewinną przelał, no to jak to tak? Przecież on potem msze odprawiał, eucharystię podnosił, nam ją w usta wkładał, spowiadał...

Wszystko to najwyraźniej nie mieściło się tej dobrej kobiecie w głowie.

— Według doktryny Kościoła katolickiego nawet grzech ciężki kapłana nie unieważnia mocy sprawowanych przez niego sakramentów – spróbował ją pocieszyć.

— Może i nie unieważnia, ale jak to tak? – Załamała rękę kobieta. – Jak on tak mógł? Tymi samymi rękami, którymi robił te straszne rzeczy, potem hostii dotykał...

— Może niczego nie zrobił. Nie wiadomo jeszcze. Wyrok jeszcze nie zapadł.

— Ale przecież się przyznał. Po co miałby się przyznawać, gdyby tego nie zrobił?

Na to pytanie Rozłucki wciąż nie miał dobrej odpowiedzi.

Gdy wyszedł stamtąd, zostawiając roztrzęsioną i załamaną kobietę na jej opuszczonej przez wszystkich innych reducie, zadzwonił do Weroniki. Odebrała prawie natychmiast.

— Cześć – powiedział. – Jak tam dziś u ciebie z czasem? Masz jakieś plany na wieczór?

— Chcesz się ze mną umówić na randkę? Dopiero się rozstaliśmy.

To był żart. Najwyraźniej. A więc miała jednak poczucie humoru.

— Jeśli już, to od razu na ślub. Muszę odwiedzić pewnego księdza. Poprzedniego proboszcza z tej parafii. Mieszka w Bartoszycach, a ja nie mam jak się tam dostać.

— Czyli potrzebujesz kierowcy? Dobrze zrozumiałam? Nie traktujesz mnie przypadkiem trochę przedmiotowo?

— Kierowca to przecież nie przedmiot. Po drodze opowiem ci, czego dowiedziałem się jeszcze o Gorbale. Jak się okazuje, nie wycisnęłaś z tych policjantów wszystkiego.

Miała przyjechać za pół godziny. Poczuł nagle silny głód. Od rana nic nie jadł. Tuż przy sklepie była niewielka wiejska restauracja. Postanowił zjeść tam coś taniego, na przykład zupę. W sklepie zostawił niecałe sto złotych, doszedł więc do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli wyda jeszcze parę złotych na jakiś ciepły posiłek.

Wszedł do środka. Wystrój tego lokalu był dość oszczędny, a w zasadzie nie było go wcale. Proste, kwadratowe stoliki przykryte białymi obrusami. Bar z taniej płyty MDF, za którym stało kilka najbardziej podstawowych gatunków alkoholi. Białe firanki bez żadnego wzoru zwieszające się z dużych okien. Wybrał stolik przy jednym z nich i usiadł.

Restauracja, choć niewielka, miała dwie sale. Tę, w której siedział, i jeszcze jedną. Jego sala była całkiem pusta, lecz z tej drugiej dochodziły odgłosy rozmowy. Jeden głos kobiety i jeden

męski. Wsłuchał się mimowolnie w ten dialog. Słów nie rozumiał, ale potrafił zidentyfikować emocje zawarte w melodii głosów. Wyglądało to na randkę, ale raczej jedną z pierwszych, kto wie, czy nie pierwszą. Taką, w której ani jedna, ani druga strona nie deklaruje jeszcze jasno swoich intencji, ale już je sugeruje.

Minęło parę minut, a kelner się nie zjawił. Nie miał zbyt wiele czasu, więc jeśli chciał coś zjeść, musiał przyspieszyć trochę całą procedurę. Wstał i podszedł do baru. Leżało na nim menu w formie małej książeczki. Otworzył je i znalazł stronę z zupami. Rosół, pomidorowa, barszcz z uszkami i żurek. Oraz niespodzianka – zupa z owoców morza. Przez chwilę miał ochotę zamówić tę ostatnią, ale doszedł do wniosku, że biorąc pod uwagę wystrój lokalu, jego rangę oraz odległość od morza, byłoby to nad wyraz ryzykowne. Zdecydował się w końcu na żurek. Kosztował tylko dziesięć złotych, a podawany był z jajkiem i kielbasą, więc jeśli domówi do niego jeszcze pieczywo za dwa złote, będzie miał szansę choć trochę się najeść.

Teraz pozostawało już tylko go zamówić. I z tym był pewien problem, bowiem w restauracji oprócz niego i pary w drugiej sali wydawało się nie być żywej duszy. Zamknął menu i rozejrzał się za jakimś dzwonkiem, którym mógłby przywołać kelnera. Nic takiego jednak nie znalazł. Z przyzwyczajenia przyjrzał się alkoholom stojącym na półce za barem. Nie stać go było oczywiście, by skorzystać z tej oferty, ale popatrzeć przecież zawsze można. Wódka czysta, żubrówka, gin lubuski, obowiązkowy johnnie walker

z czerwoną etykietą oraz irlandzki likier. W sumie pięć butelek podwojonych odbiciem w lustrze, które stanowiło tło tej półki z alkoholami. I wtedy właśnie to zobaczył. Zobaczył to w tym lustrze. Zobaczył, kto siedzi w drugiej sali.

Odwrócił się gwałtownie. Nie pomylił się. Stąd, spod baru widać było to bardzo dobrze. Przy stoliku pod oknem, takim samym jak ten jego, siedział Gorbała. I to jeszcze nie było takie dziwne. W końcu tu mieszkał, nie było więc nic nadzwyczajnego w tym, że przyszedł coś zjeść do miejscowej restauracji. Znacznie ciekawsze było to, kto siedział razem z nim. Karolina.

Zamarł. Nie spodziewał się tego. Przecież miała wyjechać. Miał jej już nigdy nie zobaczyć. Tymczasem siedziała tam. I to siedziała z nim, człowiekiem, o którym dowiadywał się coraz bardziej niepokojących rzeczy. Człowiekiem, który był w tym momencie najbardziej prawdopodobnym podejrzanym o zamordowanie Ewy Krupińskiej.

Tysiąc myśli przeleciało mu w jednej chwili przez głowę. Dlaczego tu jest? Dlaczego rozmawia z Gorbałą? Czyżby nie porzuciła swojego śledztwa? Może doszła do takich samych wniosków jak on i postanowiła go rozpracować? Przypomniał sobie rozmowę, którą ona i Gorbała odbyli tuż przed wyjściem z jego domu. Gorbała proponował jej wtedy współpracę. Może wykorzystwała to jako wygodny pretekst? Tylko dlaczego zrobiła to w tajemnicy przed nim, Rozłuckim? Czyżby aż tak bardzo miała go dość?

Poczuł nieprzyjemny ucisk w sercu. Uznała go za balast, to było jedyne wytłumaczenie. Miała po dziurki w nosie jego nieporadnych podchodów, doszła do wniosku, że do niczego się nie nadaje nie tylko jako ewentualny partner osobisty, ale także jako pomocnik w śledztwie.

Patrzył na nich jak zahipnotyzowany. Nie zauważyli go, zbyt zajęci sobą i rozmową. Mówił głównie on, ona tylko słuchała, poprawiając co i raz włosy dłonią. Ten gest go zaniepokoił. Wiedział, że może on oznaczać u kobiet zainteresowanie. Kobieta, która tak robi podczas rozmowy z mężczyzną, wysyła mu sygnał, że on jej się podoba. Z drugiej jednak strony miał nadzieję, że Karolina nie jest głupia i zdaje sobie sprawę z istnienia tego mechanizmu, jest więc możliwość, że stosuje go świadomie, po to, żeby go omotać i łatwiej wyciągnąć od niego potrzebne informacje. Jak było naprawdę? Nie wiedział i nie miał szans, by się tego dowiedzieć.

Mimo tej niepewności poczuł zazdrość. Silną i bardzo gwałtowną. Zapragnął nagle wejść tam między nich i zrobić im dziką awanturę. Jej i jemu. Nie miał do tego żadnych podstaw, wiedział o tym, ale co to miało w tej chwili za znaczenie? Gorbała coraz bardziej się rozkręcał, tokował jak głuszc, nachylając swoje ciało w kierunku Karoliny. Jego ręka leżała na stole, tuż obok jej dłoni. Jeszcze się nie stykały, jeszcze jej nie dotknął, nie nawiązał tego pierwszego, fizycznego kontaktu, ale najwyraźniej planował to prędzej czy później zrobić.

Naraz przypomniał sobie inną scenę i inną rozmowę. Jego, Gorbały. W klubie Chili w Olsztynie, gdy także spotkał go przypadkiem. Gorbała rozmawiał wtedy z młodą dziewczyną i zachowywał się dokładnie jak teraz. Jak drapieżnik na polowaniu. Jak wąż hipnotyzujący swoją ofiarę.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu. To był jego telefon. Odwrócił się szybko i odszedł od baru. Nie chciał, by go teraz zobaczyli. By Karolina podniosła wzrok i przyłapała go, jak się w nich wpatruje. Dzwoniła Weronika. Odebrał już prawie pod drzwiami.

— Przyjechałam. Stoję przy przystanku. A ty gdzie jesteś?

— Już idę – odparł.

Szlag trafił zupę.

ROZDZIAŁ 44

Prawie się nie odzywał, zajęty roztrząsaniem tego, co przed chwilą zobaczył. Weronika też nie należała raczej do rozmownych, więc przez niemal całą drogę jechali w milczeniu. W końcu postanowił przerwać te jałowe rozmyślania, które do niczego nie prowadziły, i zainicjować jakąś rozmowę.

— Przepraszam, że wyrywam cię w sobotę wieczorem z domu – powiedział. – Powinnaś ten czas spędzać z rodziną albo jeść teraz kolację z narzeczoną.

— Moja rodzina mieszka bardzo daleko – odpowiedziała. – A kolację mogę zjeść, co najwyżej patrząc w lustro. Mieszkam sama w trzydziestometrowym mieszkaniu i oprócz korników w komodzie odziedziczonej po poprzednich właścicielach nie mam w nim żadnego towarzystwa.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Dlaczego? – spytał. – Taka dziewczyna jak ty nie powinna mieć chyba problemów ze znalezieniem faceta. Tym bardziej, że pracujesz w miejscu, gdzie się aż od nich roi.

— Mówiłam ci już – odparła. – Nie chcę nikogo z policji. Poza tym wbrew pozorom nie bardzo jest z czego wybierać. Większość z nich ma już żony. Albo jest przed, w trakcie lub po rozwodzie. A

takiego z kolei nie chcę. Facet po rozwodzie jest jak samochód odklepany po wypadku. Na oko może wszystko wygląda dobrze, ale nigdy nie wiesz, kiedy coś odpadnie.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Z tym, że on nawet przed rozwodem był już w takim stanie.

— W ogóle mam wrażenie – ciągnęła dalej – że z mężczyznami w dzisiejszych czasach jest pewien problem. Dzielą się generalnie na dwie kategorie: albo są kompletnymi pierdołami, albo testosteronowymi głupkami. Nie ma nic pomiędzy.

— Ja chyba należę do tej pierwszej kategorii – stwierdził.

— Nie wiem i nie interesuje mnie to – odpowiedziała. – Ale skoro tak mówisz...

Uśmiechnął się. Dało się ją lubić. Mimo tego dość szorstkiego, powiedzmy, obejścia.

— A ty? – spytała. – Czemu jesteś sam?

Wzruszył ramionami.

— Jestem introwertykiem – odpowiedział. – Dość skutecznie zamkniętym w sobie. Mam problem z nawiązywaniem relacji. Raz mi się to udało – choć do dziś tak naprawdę nie wiem jak, chyba tylko dlatego, że ona tego bardzo chciała – ale spierdoliłem to. Ot, i cała historia. Teraz pozostały mi już tylko nierealistyczne marzenia i alkohol.

— Jesteś psychologiem – powiedziała. – Nie możesz temu jakoś zaradzić?

— To, że ktoś jest lekarzem, nie oznacza jeszcze, że dba o własne

zdrowie. Trudno siebie samego zoperować.

Dojechali na miejsce.

Były proboszcz mieszkał w małym, niskim ponemieckim domu z czerwonej cegły stojącym na obrzeżach Bartoszyc. Pokrzywiony już trochę płot ze stalowej siatki osłaniał również niewielki ogródek, w którym kwitły rachityczne jesienne kwiaty. W niewielkiej niszy w murze domu stała mała biało-niebieska figurka Matki Boskiej.

— Umówiłeś się z nim? – spytała.

— Nie. Ale gdzie może być? Ma już prawie osiemdziesiąt lat.

Wysiedli z samochodu, przeszli przez furtkę i zadzwonili do drzwi. Otworzył im niski, szczupły, zgarbiony mężczyzna z dużym nosem i okazałą łysiną okoloną wianuszkami siwych włosów.

— Tak, słucham? – spytał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział Rozłucki.

— Na wieki wieków amen – odparł mężczyzna.

— Szukamy księdza Brunona. To może pan?

— Tak, a o co chodzi?

Brązowe, małe oczy księdza patrzyły na nich bystro. Ich właściciel wydawał się być w całkiem niezłej formie, mimo swych lat.

— Jestem z policji – powiedziała Weronika. – Potrzebujemy kilku informacji na temat tego, co działo się w pana byłej parafii kilka lat temu. Słyszał pan chyba, co się tam ostatnio wydarzyło?

Ksiądz patrzył na nich przez chwilę w milczeniu.

— Tak, słyszałem – odpowiedział. – Wejdźcie.

Przeszli przez mały ciemny korytarz i przez drzwi po jego prawej stronie weszli do pokoju. Wszystko tu pachniało starym drewnem, stęchłymi ubraniami i... indyjskim kadzidełkiem.

Niespodziewany w tym miejscu zapach wydobywał się z tłęcego się trociczka wetkniętego w małą drewnianą podstawkę leżącą na środku masywnego okrągłego stołu. Ksiądz musiał zauważyć zdziwiony wzrok Rozłuckiego, bo powiedział:

— Nie, niech się pan nie martwi, nie stałem się buddystą – uśmiechnął się nieznacznie. – Zapalam je czasem, bo przypominają mi zapachem kościoł.

Usiedli przy stole na drewnianych, obitych starą i spękaną brązową skórą krzesłach. Ksiądz postawił przed nimi niewielką kryształową paterę z tanimi, posypanymi cukrem ciastkami.

— Napijcie się może kawy albo herbaty? – spytał.

— Nie chcemy robić kłopotu – odparł Rozłucki. – My tylko na chwilę.

— To żaden kłopot – powiedział ksiądz. – Pozwólcie mi was trochę ugościć. Rzadko ktoś mnie tu odwiedza. Na początku przyjeżdżali jeszcze czasem moi starzy parafianie, ale ci, którym się to chciało robić, albo pomarli, albo się pochorowali, a reszta o mnie zapomniała. Nie mam do nich o to pretensji, rozumiem, że tak to już po prostu jest. Ale miło czasami z kimś porozmawiać.

— W takim razie poproszę kawę – odparł Rozłucki.

— Ja też – powiedziała Weronika. – Tylko, jeśli można, sypaną,

nie rozpuszczalną.

— A nie wolałaby pani z ekspresu? Mam porządny, ciśnieniowy. Dobra kawa to jeden z niewielu luksusów, na które może sobie pozwolić uczciwy kapłan. Wiem, że różnie z tym bywa, ale moje zdanie jest właśnie takie.

— W takim razie tak, oczywiście, że z ekspresu. Czarną, bez cukru.

— Ja tak samo – powiedział Rozłucki.

Ksiądz wyszedł z pokoju. Po chwili dało się słyszeć charakterystyczny dźwięk pracującej maszyny. Rozłucki rozejrzał się po pokoju. Stare drewniane lakierowane meble, zaśnieżone kryształowe lustro i zegar z wahadłem na ścianie. Mogłaby tu mieszkać jego babcia.

Ksiądz Brunon wrócił, niosąc srebrną tacę z trzema kremowymi filiżankami. Ich złote obwódki były już trochę przetarte. Postawił ją na stole.

— Na pewno nie chcecie cukru? – spytał.

— Nie, dziękujemy.

— Młodzi prawie nigdy nie słodzą. Ja nie potrafiłbym wypić gorzkiej – powiedział i przyniósł z kredensu srebrną cukiernicę.

Usiadł.

— To co chcecie wiedzieć? Pytajcie.

Jego twarz poorana była głębokimi zmarszczkami. Zwłaszcza wokół oczu był ich cały labirynt. Na skórze głowy widać było ciemniejsze, brązowe plamy. Z bliska i w dobrym świetle nie

wyglądał już tak dobrze.

Rozlucky upił trochę kawy. Była mocna i bardzo smaczna.

— A więc słyszał ksiądz, co się stało? – spytał.

Spojrzał na leżące na stole ciastka. Znowu poczuł, jak bardzo jest głodny. Wziął jedno i odgryzł kawałek.

— Tak – pokiwał głową ze smutkiem ksiądz. – Jakiś czas temu wszędzie o tym mówili. Telewizja, radio, gazety... Trudno było nie słyszeć.

— Poznał ksiądz swojego następcę?

— Tak, oczywiście, poznałem go, ale trudno powiedzieć, że bym go znał. Spędziliśmy ze sobą raptem parę dni – odparł. – Kiedy skończyłem siedemdziesiąt pięć lat, oddałem się zgodnie z prawem kanonicznym do dyspozycji biskupa. Liczyłem po cichu, że pozwole mi zostać jeszcze parę lat w mojej parafii, ale nie, decyzja przyszła bardzo szybko. Pojawił się nowy proboszcz, a ja miałem niecały tydzień na spakowanie się i wyjazd. Czasami nowy proboszcz zezwalał staremu, żeby został w parafii jako ksiądz rezydent, ale nasza parafia jest mała i biedna, więc nawet tego nie proponowałem. On też nic na ten temat nie wspomniał.

W głosie księdza Brunona pobrzmiwał smutek. Widać było, że ciężko mu przyszło rozstanie ze swoim dawnym życiem.

— Jakie wówczas sprawił na księdzu wrażenie?

— Czy ja wiem? – zastanowił się kapłan. – Wydawał się być chyba przygnębiony. W każdym razie nie widać było po nim entuzjazmu, jaki ja odczuwałem, gdy dostałem swoją parafię. Ale

nie wiem, może się myłę. Może to po prostu ja byłem wówczas w nie najlepszej formie...

— Rozmawiał z nim ksiądz?

— Próbowałem. Staralem się mu opowiedzieć o jego nowej parafii, o jej problemach, o parafianach, jacy są. Ale sprawiał wrażenie, jakby słuchał tego bez specjalnego zainteresowania. Jakby myślami był gdzie indziej.

— Wie ksiądz, dlaczego go przeniesiono z poprzedniej parafii?

— Wtedy nie wiedziałem. Nikt mi nic na ten temat nie powiedział. Wiecie, w Kościele jest czasem jak w wojsku. Dostaje się rozkaz i nikt ci nie tłumaczy, dlaczego został wydany. A i ty nie pytasz.

— Teraz już ksiądz wie? – Rozłucki sięgnął po drugie ciastko.

— Teraz tak. Przeczytałem w gazecie.

— I co ksiądz o tym sądzi? Mógł to wszystko zrobić czy nie? Wiem, że nie poznaliście się zbyt dobrze, ale czasem takie pierwsze wrażenie mówi nam o człowieku bardzo dużo. Jakie ono było w jego przypadku?

Ksiądz Brunon zastanowił się.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem... – powiedział. – Nie polubiłem go jakoś, to pewne, ale z drugiej strony trudno lubić kogoś, kto przychodzi i zabiera ci wszystko, co było dla ciebie ważne... Wiem, że to nie jego wina, ale miałem do niego o to jakiś podskórny żal... Zauważyłem to i starałem się być potem dla niego tym bardziej miły. Pod koniec chyba nawet wyczułem z jego strony

coś w rodzaju wdzięczności.

— No dobrze, proszę jednak spróbować oddzielić tę niechęć wynikającą z zajęcia przez niego księdza miejsca i to późniejsze poczucie winy, gdy ksiądz to sobie uświadomił, i spróbować mi odpowiedzieć na pytanie: jakie on wzbudzał w księdzu uczucia? Uczucia pamięta się długo, zwłaszcza gdy towarzyszą ważnym, przełomowym wydarzeniom. A to było przecież dla księdza ważne i bolesne wydarzenie. Wiem, że to wszystko nie jest łatwe, ale proszę spróbować. Proszę spróbować wrócić myślami do swoich ostatnich dni na plebanii. Jest coś, co ksiądz szczególnie zapamiętał?

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Miałem kwiat, taki w doniczce. Juka się nazywał. Dostałem go od parafian na sześćdziesiąte urodziny. Bardzo od tego czasu wyrósł. Nie mogłem go zabrać ze sobą, bo nie mieścił się do samochodu. Czuję się, jakbym zostawiał tam kogoś bliskiego. Poprosiłem nowego proboszcza, żeby o niego dbał. Ciekawe, czy jeszcze tam jest?

— Jak zareagował na tę prośbę?

— Życzliwie. Jakby rozumiał, o co mi chodzi.

— A jaki w ogóle był, jakie sprawiał wrażenie?

— Sprawiał na mnie wrażenie człowieka zagubionego – odpowiedział powoli i z namysłem. – I przygniecionego jakimś ciężarem. Ale chyba... przyzwoitego. Wewnętrznie dobrego. Miewał takie zachowania czy odruchy, które o tym świadczyły. Jak choćby to z tym kwiatem. Pamiętam, że pomyślałem, że są w nim jeszcze

jakieś resztki niewinności. Z tym że raczej nie nadawał się do tej roboty. Takie też odniosłem wrażenie: że nie jest tu do końca na swoim miejscu.

Rozłucki sięgnął po kolejne, trzecie już ciastko. Im więcej ich jadł, tym bardziej czuł, że jest głodny.

— Dobrze – powiedział, gdy już przełknął. – Bardzo księdzu dziękuję za tę opinię. – Zdawał sobie sprawę, że nie powinien już w tej kwestii na niego naciskać, by nie ryzykować, że ksiądz zacznie naginać albo ubarwiać swoje wspomnienia z podświadomej chęci sprostania oczekiwaniom pytającego. – Zostawmy to. Mam do księdza jeszcze jedno pytanie. O coś, co wydarzyło się znacznie dawniej, przed piętnastoma mniej więcej laty.

— Proszę pytać. Jeśli tylko będę mógł pomóc, zrobię to z przyjemnością.

— Chodzi mi o Magdę Krupińską i Andrzeja Gorbałę. Zna ich ksiądz, to ksiądz parafianie.

— Tak, oczywiście. Chrzcilem ich, udzielałem im pierwszej komunii, uczyłem ich religii, Andrzejowi dawałem ślub. Córkę Magdy pochował już ktoś inny...

— Czy wie coś ksiądz o relacji, która ich wtedy łączyła?

— Nawet jeśli bym wiedział, nie mógłbym tego powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

No tak. Zapomniał o tym.

— Ale może ksiądz ma jakieś informacje pochodzące z innego źródła niż spowiedź?

Ksiądz zastanowił się.

— Nie – odpowiedział. – Z takich źródeł nie mam.

To wbrew pozorom była już jakaś informacja. Kapłan właśnie niechcący wyjawiał mu, że było coś, o czym dowiedział się w trakcie spowiedzi.

— W takim razie zacznijmy z innej strony – powiedział. Miał wielką ochotę wziąć jeszcze jedno ciastko, ale się powstrzymał. – Jacy oni byli?

— W zasadzie znałem ich bliżej tylko wtedy, gdy byli dziećmi i przychodzili do mnie na lekcje religii. Potem widywałem ich tylko w kościele, z wysokości ołtarza.

— To jacy byli, kiedy byli dziećmi?

— Magda, jak to dziewczynka, spokojniejsza. Andrzej, jak to chłopiec, trochę bardziej rozrabiał.

— Ale jak rozrabiał? Tak jak inni chłopcy czy robił coś wyjątkowego?

— Miał problemy z dyscypliną. Nie słuchał się. I sprawiał czasem wrażenie, że kary niczego go nie uczą.

— Był agresywny, lubił przemoc?

— Na pewno często się bił. Częściej niż inni.

— Bił się czy bił innych?

— Chyba i to, i to. To były wiejskie dzieci. Tu nikt nikomu nie pozostawał dłużny.

— Był rozbudzony seksualnie?

— Z tego, co wiem, tak. I to dosyć wcześnie.

— „Z tego, co wiem”?

— Z obserwacji jego zachowań i różnych pogłosek. Bo jeśli pyta mnie pan o spowiedź, to tym razem mogę panu odpowiedzieć: nie wiem. Dość wcześnie przestał się spowiadać.

— Dość wcześnie? To znaczy kiedy?

— W zasadzie tuż po pierwszej komunii. W każdym razie niedługo po.

— Przestał przychodzić do kościoła?

— Nie, do kościoła przychodził. Co więcej, przychodził do mnie do konfesjonału.

Rozłucki zdziwił się. Spojrzał na Weronikę. Słuchała uważnie, ale nie sprawiała wrażenia, że zamierza się wtrącać.

— Przychodził do konfesjonału, ale przestał się spowiadać? – spytał.

Ksiądz zamilkł na chwilę, jakby rozważał coś w swoim sumieniu.

— To w zasadzie też mogę panu powiedzieć – zaczął po chwili – bo spowiedź z formalnego punktu widzenia wówczas nie następowała. Poza tym nie wyznawał mi wówczas swoich grzechów, a tego dotyczy głównie tajemnica.

— To co w takim razie robił?

— Bluźnił. Podchodził do mnie, klękał i bluźnił. Spokojnym głosem, cicho. Tak żeby z zewnątrz wyglądało, że się spowiada.

— Jak bluźnił?

— Na samym początku po prostu mówił brzydkie słowa. Jak to dziecko. Potem coraz bardziej się rozkręcał. Pod koniec to już były

rzeczy straszne.

— Co na przykład?

— Nie chcę tego nawet powtarzać.

— Długo tak przychodził?

— Ze dwa, trzy lata. Z tym że pod koniec coraz rzadziej. Chyba mu się powoli nudziła ta zabawa. I dlatego moim zdaniem przestał. Znudziło mu się. Bo w tym jego bluźnieniu nie chodziło moim zdaniem o żadną ideologię. Nie robił tego, bo był przeciw Kościołowi czy Bogu. Chodziło o to, żeby zrobić mi na złość, wyprowadzić z równowagi. Wiedział, że nie mogę zareagować, bo gdybym wstał, wyszedł albo go wyrzucił, to złamałbym w jakimś sensie tajemnicę spowiedzi. To była dla niego zabawa, gra. Próbował zranić mnie swoimi słowami tak bardzo, aż nie wytrzymam i wybuchnę.

— Ksiądz na to pozwalał?

— A co miałem zrobić? Za każdym razem musiałem zakładać, że tym razem wyzna swoje grzechy naprawdę. Kapłan nie może odgonić nikogo od konfesjonału. A on podchodził, klękał i zaczynał. Próbowiałem mu przerywać, ale to nigdy nic nie dało. Musiałem poczekać, aż sam przestanie. Potem mówiłem, że nie udzielam mu rozgrzeszenia, i pukałem trzy razy w konfesjonał, żeby inni nie wiedzieli, że nie odpuściłem mu grzechów.

— Ale mówił ksiądz, że udzielał mu ślubu. Wtedy chyba też niezbędna jest spowiedź?

— Wtedy przyszedł i wyspowiadał się jak należy. Ale nie wiem, czy cokolwiek z tego, co wtedy powiedział, było prawdą. Moim

zdaniem religia nie miała dla niego kompletnie żadnego znaczenia. Wziął ślub kościelny, bo ojciec mu kazał. A że trzeba się było przy okazji wyświadczyć, to to zrobił. Obawiam się, że do pierwszej komunii przystąpił na podobnej zasadzie.

— Mam w takim razie jeszcze jedno, ostatnie pytanie. — Mówiąc to, sięgnął mimowolnie po ciastko. Zreflektował się jednak po chwili i odłożył je z powrotem.

— Proszę się nie krępować — powiedział ksiądz. — W razie czego mam jeszcze, doniosę.

Dopiero teraz poczuł skrępowanie. By już jednak nie ciągnąć dalej tego tematu, wziął ponownie odłożone ciastko i włożył je sobie do ust. Robiło mu się powoli niedobrze. Wiedział jednak, że gdyby tylko mógł, zjadłby je wszystkie.

Trochę czasu mu zajęło, zanim je przeżuł i połknął.

— Jakie to pytanie? — odezwał się ksiądz.

— O Ewę Krupińską. Słyszałem pogłoski, że była córką Gorbały. Może coś ksiądz na ten temat coś powiedzieć?

— Żadnych plotek na ten temat nie słyszałem.

— A z jakiegoś innego źródła niż plotki?

Ksiądz popatrzył na niego uważnie.

— Czy aby trochę nie za bardzo próbuje mnie pan nagiąć? Spowiedź jest sakramentem, jej tajemnica jest święta. W Olsztynie na starym mieście przy moście stoi figura świętego Jana Nepomucena. Na pewno ją pan widział. To męczennik, który zginął, bo nie chciał jej wyjawiać.

— A ja przypominam księdzu, że chodzi o morderstwo. I o mordercę. A także o sprawiedliwość, również dla Kościoła. Moim zdaniem to nie pana następcę zabił Ewę Krupińską. Nie wiem, dlaczego się przyznał, ale to nie on. Zrobił to ktoś inny, a ja próbuję go znaleźć. Gdy mi się to uda, oczyszczę wizerunek Kościoła z plamy będącej powodem bardzo wielkiego zgorszenia. A z księdza serca zdejmę wielki ciężar. Bo wiem, jak boli księdza możliwość, że jego następcę w parafii, tej parafii, którą ksiądz tak kochał i której poświęcił kilkadziesiąt lat życia, jest oskarżony o tak straszną, podłą zbrodnię. Spytałem więc jeszcze raz: czy może mi ksiądz coś powiedzieć na ten temat?

Ksiądz wpatrywał się w niego bez słowa. Widać było, że przemowa Rozłuckiego zrobiła na nim wrażenie. I że parę argumentów trafiło w punkt.

— Nie, nie mogę – odparł w końcu.

— Bo ksiądz nie wie czy bo ksiądz nie może mi tego powiedzieć?

Znowu chwila milczenia.

— Bo nie mogę.

To też była odpowiedź. Postanowił dalej spróbować grać w tę grę.

— Słyszałem też, że ciąża ta była wynikiem gwałtu. Czy na ten temat może coś ksiądz mi powiedzieć?

— Na ten temat też nie mogę panu nic powiedzieć.

— Z podobnych powodów?

— Tak.

— W takim razie jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

— Tamto pytanie miało być ostatnie.

— Poprzednie ciastko też miało być ostatnie – uśmiechnął się Rozłucki i sięgnął do patery. – Czy słyszał ksiądz jeszcze kiedykolwiek o podobnym przypadku?

— Jakim przypadku?

— Gdy Gorbała zrobił jakiejś innej kobiecie to, o czym nie mógł mi ksiądz powiedzieć?

— Mówiłem już panu: Gorbała przestał się u mnie spowiadać w wieku około dwunastu lat.

— To, o czym teraz mówimy, należy do tego rodzaju czynów, z których spowiadają się częściej ofiary niż ich sprawcy. Czy jakaś inna kobieta więc wyznała kiedyś księdzu coś dotyczącego Gorbały, o czym nie może mi teraz ksiądz powiedzieć?

Ksiądz zamknął oczy. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Wiedział, że nagina teraz nakazy swojej wiary odrobinę za mocno. Pot wystąpił mu na pokryte plamami czoło.

— Tak – odpowiedział. – I proszę mnie o nic więcej już nie pytać.

ROZDZIAŁ 45

— Naprawdę jestem pod wrażeniem – powiedziała Weronika, gdy siedzieli już w samochodzie. Przekręciła kluczyk w stacyjce i odpaliła silnik.

— Teraz mi wierzysz?

Ruszyła. Odpowiedziała dopiero po chwili.

— Intuicja mi podpowiada, że coś może być na rzeczy. Ksiądz rzeczywiście nie wygląda mi na mordercę, a Gorbała to niewątpliwie ktoś, kto mógłby to zrobić. Problem w tym, że jeśli chodzi o dowody, to nadal nie masz nic. Sądecki ma rację: ksiądz się przyznał i to jest niepodważalny fakt. A co mamy z drugiej strony? Podejrzenie popełnienia gwałtu, które pewnie trudno będzie udowodnić, bo gdy ci dwaj policjanci ochłoną, gdy porozmawiają ze swoimi adwokatami, mogą już nie być tacy rozmowni. A tę Ukrainkę trudno będzie odnaleźć. No i mamy jeszcze to, co powiedział przed chwilą ten były proboszcz. A nie powiedział w zasadzie nic. Zasugerował parę rzeczy. Ty i ja wiemy, o co chodzi, ale dla sądu takie zeznania są nic nie warte. Zakładając, że w ogóle zachciałby je powtórzyć w sądzie.

Miała rację. Niestety. A jemu było niedobrze. Oprócz twardego dowodu przydałby mu się również ciepły posiłek.

— No i jest jeszcze jedna, podstawowa kwestia – ciągnęła. – Skoro ten ksiądz, według ciebie, tego nie zrobił, ale się przyznał, to dlaczego się przyznał? Musiał mieć jakiś ważny powód, by wziąć na siebie taką straszną winę. Jaki to był powód? Możesz mi odpowiedzieć na to pytanie?

Nie mógł. I ona o tym wiedziała.

— Spróbujmy to zanalizować – mówiła dalej. – Dlaczego ludzie przyznają się do niepopełnionych przestępstw? To wbrew pozorom wcale nie takie rzadkie zjawisko. No więc generalnie powody są trzy. Pierwszy to niezrównoważenie psychiczne, jakiś rodzaj upośledzenia umysłowego. To możemy chyba od razu odrzucić. Rozmawiałeś z nim parę razy, nie wygląda raczej na otępiałego ani niezrównoważonego, prawda?

— Nie wygląda – zgodził się.

— Drugi powód to zastraszenie lub presja wywierana przez policjantów. Czasami ludzie, zwłaszcza młodzi, mający po raz pierwszy do czynienia z policją, są w stanie przyznać się do wszystkiego, żeby im tylko dano już spokój. Tu z kolei ja mogę zaświadczyć: nic takiego nie miało tu miejsca. Poza tym nasz ksiądz sam do nas przyszedł, nikt go do niczego nie zmuszał. Jego przyznanie się było zaskoczeniem także dla nas.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

— Trzeci powód jest najpowszechniejszy: ludzie przyznają się do niepopełnionych zbrodni, żeby chronić kogoś bliskiego. Kogoś, kto rzeczywiście to zrobił. To musiałby być więc ten przypadek. Tylko

kogo w takim razie chroni nasz ksiądz? Gorbałę? Dlaczego? Co ma z nim wspólnego? Przecież nawet nie znali się wcześniej. Ksiądz pochodzi z zupełnie innych stron. Tu przyjechał dopiero niedawno. Co ich łączy? Nic. Z obrazu, który próbujesz nakreślić, wynika, że Ewa Krupińska mogła być córką Gorbały. Wydajesz się też wierzyć, że on mógł ją zabić i to podczas próby gwałtu. Własną córkę. To straszna, przerażająca, niewyobrażalna wprost zbrodnia. Okej, przyjmijmy, że rzeczywiście jest psychopata i że byłby zdolny do takiego czynu. Wiem, że ludzie są zdolni do najgorszych rzeczy, więc nie mam z tym problemu. Problem mam z czym innym: z motywacją księdza. Dlaczego chroni kogoś takiego? Kogoś, kogo każdy normalny człowiek uznałby za potwora wartego co najwyżej stryczka? Jeśli uważasz, że mordercą jest Gorbała, a ksiądz przyznał się, mimo iż jest niewinny, musisz znaleźć powód, dla którego chce go chronić.

— Może są kochankami?

— Albo rozdzielonymi w dzieciństwie braćmi – zakpiła. – Nie chodzi o to, żebyś wymyślił powód, ale żebyś go znalazł.

Zostawiła go pod jego domem i pojechała. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Na stole leżały wciąż nierozpakowane siatki z zakupami. Wyjął z nich pełnoziarniste spaghetti i mały słoiczek zielonego pesto, a resztę schował. Ugotował makaron, odcedził go i dodał gęsty, grudkowaty sos. Usiadł w fotelu i zjadł tę wyszukaną potrawę prosto z garnka. Cała ta kolacja nie kosztowała go więcej

niż dziesięć złotych. Jeśli będzie w ten sposób się żywił, da radę przeżyć za to, co mu zostało, ponad tydzień.

Odłożył garnek na podłogę i sięgnął po telefon. Spróbował zadzwonić do Karoliny. Oczywiście nie odebrała. Wykonał jeszcze dwie takie próby, po czym wysłał jej SMS-a. „Widziałem Cię z Gorbałą. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. To bardzo niebezpieczny człowiek. Zadzwoń”.

Przez jakiś czas siedział, wpatrując się w ekran wyświetlacza i czekając na odpowiedź. Mijały minuty, kwadranse i godziny. W końcu odłożył telefon. Czuł się dziwnie. Był rozdrażniony, podenerwowany i rozbity. Dobrze, że nie miał w domu żadnego alkoholu, bo na pewno by się napił. Na sto procent. Na sto kurewskich, pierdolonych procent.

Wstał, gwałtownie kopiąc przy okazji nogą garnek, który potoczył się z głośnym brzękiem pod stół. Resztki jego kolacji opryskały podłogę. Ze złości kopnął go jeszcze raz. Nie mógł nie myśleć o tym, co dziś widział. W zasadzie nie mógł myśleć o niczym innym. On i ona siedzący naprzeciwko siebie. Jego dłoń wędrująca w stronę jej dłoni. I ten jego głos tokującego cietrzewia. Kurwa mać!

Nie odpisywała. Wciąż nie odpisywała. Naprawdę powinien się czegoś napić. Dziś był drugi wieczór od dość dawna, który kończył bez smaku alkoholu w ustach. Na pewno mu to nie pomagało. To rozedrganie to między innymi od tego. Jego organizm musi się dopiero przyzwyczaić do braku swojej codziennej, wieczornej porcji

trucizny.

Podniósł garnek i włożył go do zlewu. Potem wytarł papierowym ręcznikiem podłogę. Nie wiedział co robić, naprawdę. Nie tylko w ogóle, w życiu, nie tylko w sprawie swojego pożał się Boże śledztwa, ale przede wszystkim tu i teraz. Nie był przyzwyczajony do spędzania samotnych, trzeźwych wieczorów. Pożałował nagle, że nie ma telewizora albo chociaż radia. Spojrzał jeszcze raz na wyświetlacz. Odpowiedź w dalszym ciągu nie nadchodziła. Usiadł z powrotem, wziął do ręki telefon i zaczął przeglądać wiadomości w Internecie. Nic go nie ciekawiło, a już na pewno nie na tyle, by przeczytać coś więcej, niż tylko nagłówek. Zamknął serwis informacyjny i otworzył Facebook. Miał tu konto, ale nie wchodził na nie od bardzo dawna. Zdziwiła go ogromna liczba zaproszeń do grona znajomych i wiadomości, jakie przez ten czas otrzymał. Czyżby znał aż tylu ludzi? Otworzył folder z wiadomościami. Ostatnia przyszła dzisiaj, zaledwie przed dwoma godzinami. Jej nadawcą była Ariana Black, sądząc po zdjęciu profilowym, bardzo atrakcyjna kobieta. „Hallo, my dear. Bardzo chciałabym cię poznać”, pisała. „Co u ciebie?” Wiedział, co to jest, czytał gdzieś o tym. Internetowy bot, program komputerowy udający człowieka. Skoro Karolina nie odpisywała, równie dobrze mógł porozmawiać z nim.

„Nie za ciekawie”, odpisał. „A u ciebie?”

Odpowiedź przyszła bardzo szybko.

„To wspaniale!”, pisała jego nowa znajoma. „Gdzie mieszkasz?”

„W głębokiej dupie”, odpisał. „I nie za bardzo wiem, gdzie jest wyjście”.

„O, naprawdę? To cudownie! A gdzie pracujesz?”

Ciekawe, czemu służyły takie programy? Zbieraniu informacji?

„Udaję policjanta”, odpisał. „Wcześniej udawałem psychologa”

„To fascynujące! Musisz mieć bardzo ciekawą pracę. Masz kogoś?”

„Nie. I raczej już nie będę mieć”.

„Jakieś dzieci?”

Wygrywał w tę grę czy przegrywał? Udzielał dobrych odpowiedzi czy złych? A może odpowiedzi nie miały żadnego znaczenia? Zastanawiał się, jaki jest cel tej rozmowy. I co będzie na jej końcu? Propozycja zadzwonienia pod wysłany numer telefonu? Taki, z którym rozmowa kosztuje sto złotych za minutę? A może prośba o wpłacenie drobnej kwoty na ratującą życie operację chorego dziecka? Jakkolwiek by było, postanowił dać się wciągnąć w tę zabawę i dla odmiany też o coś spytać.

„Uważasz, że mam rację w sprawie Gorbały?”, wstukał z pomocą klawiatury. „Czy mylę się, jak w przypadku Karoliny? O niej też wyobrażałem sobie różne rzeczy, które potem okazały się nieprawdą”.

„Śliczne imię. Musi być słodka. Ile ma lat?”, odpisał program.

A więc to coś umieszczone gdzieś w dalekim serwerze coś tam jednak rozumiało. Zidentyfikowało imię i uznało, że chodzi o jego córkę.

Było coś fascynującego w rozmowie z tą wirtualną kobietą. Przypominało to zadawanie pytań nieistniejącemu bogu. Czy nie na podobnej zasadzie funkcjonowała wyrocznia delficka? Zadawało się pytanie i otrzymywało bezsensowną odpowiedź, którą potem należało zinterpretować. Ponieważ interpretował ten, który zadawał pytania, potrafił czasem z bezsensownej odpowiedzi wysnuć całkiem sensowne wnioski. Nic się chyba nie stanie, jeśli spróbuje tej metody.

„Myślisz, że jest w niebezpieczeństwie?”, spytał. „Gorbała na nią poluje. Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?”

Ding-dong! Sygnał dźwiękowy oznajmił nadejście wiadomości.

„To wspaniale! Musisz ją kochać. Lubisz podróże?”

Ma ją stąd zabrać i uciekać? Jeśli ją kocha? Tak to powinien zinterpretować?

„Prowadzi śledztwo czy jest naprawdę nim zauroczona? A może jedno i drugie?”

„Ja też uwielbiam! Lubię przygody. A ty lubisz?”

Przygoda kojarzy się z ryzykiem, z niebezpieczeństwem. Zwłaszcza w języku angielskim, z którego to zapewne wszystko było tłumaczone. A słowo „uwielbiam” jest bliskoznaczne z wyrazem „miłość”. Czyżby była w nim zakochana i była w niebezpieczeństwie? Coraz bardziej wciągała go ta zabawa. Wiedział, że równie dobrze mógłby sobie powróżyć z fusów albo postawić pasjansa, ale nie potrafił przestać.

Teraz najważniejsze pytanie: „Myślisz, że mam jeszcze u niej

jakieś szanse?”. Wyślij. Ciekawe, co na to odpowie.

Tym razem dźwięk był inny. Wiadomość przyszła, ale nie była to wiadomość przesłana za pośrednictwem Facebook’a, lecz zwykły SMS. Od Karoliny. Odpisała wreszcie.

„Nie wtrącaj się. To nie twoja sprawa. Nie pisz do mnie więcej i nie próbuj dzwonić, chyba że naprawdę masz coś ważnego. Inaczej zablokuję twój numer”.

Chyba uzyskał odpowiedź.

ROZDZIAŁ 46

Źle spał tej nocy. Nie mógł zasnąć. Ostatnio wciąż zasypiał po pijaku, a tu nagle musiał to zrobić zwyczajnie, na trzeźwo. Okazało się to niespodziewanie trudne. Przewracał się z boku na bok, a w jego głowie międlily się wciąż te same myśli i obrazy. Karolina i Gorbała. Gorbała i Karolina. Gdy w końcu zapadł w sen, śniły mu się dziwne, męczące i ciężkie sny.

Obudził się zmęczony. Spojrzał na wyświetlacz telefonu, żeby sprawdzić, która jest godzina. Małe okrągłe zdjęcie w rogu ekranu poinformowało go, że jego automatyczna przyjaciółka przysłała mu kolejną wiadomość. Nie miał jednak już ochoty jej odczytywać. Było parę minut po siódmej. Mógłby spokojnie jeszcze trochę pospać, zwłaszcza że była niedziela i nie miał nic specjalnego do roboty.

Przewrócił się na drugi bok i spróbował znów zasnąć. Nie na wiele to się zdało, bo wczorajsze obrazy i myśli zaatakowały go ze zdwojoną siłą. Poleżał jeszcze trochę, wpatrując się w ciemność swojej sypialni z zamurowanymi oknami, aż w końcu uznał, że to bez sensu.

Wstał. Powlókł się do łazienki. Spojrzał w lustro. Opuchnięta twarz i podkrążone oczy. Wyglądał, jakby wczoraj pił, a przecież nie wziął do ust ani kropli. Umył się chłodną wodą, wytarł i poszedł do

kuchni.

Zrobił sobie śniadanie: na dużym talerzu pokroił niedbale pomidora, posypał go mielonym pieprzem i solą, a obok położył kromkę ciemnego chleba i nakrył ją dużym płatem marynowanego śledzia. Ostatnio mógłby jeść w zasadzie tylko to. To dobrze. Ryby są dobre na mózg. Tak przynajmniej twierdził jego ojciec. Widocznie jednak on sam jadł ich o wiele za mało.

Usiadł przy stole i zaczął jeść. Mniej więcej przy trzecim kęsie przypomniał mu się wczorajszy SMS od Karoliny. Żołądek ścisnął mu się i wykręcił. Zmusił się, żeby dokończyć. Znowu miał ochotę się napić.

Zamiast tego zaparzył sobie kawę. Wypił ją, umył zęby i ubrał się. Co teraz? Komisarz Sądecki miał wrócić dopiero jutro. Dziś nic się więc już raczej nie zdarzy. Nie miał najmniejszego pojęcia, co zrobić z długim świątecznym dniem.

Postanowił zabić czas lekturą. Odnalazł książkę, którą czytał jeszcze przed przeprowadzką. Nie zaglądał do niej od dobrego miesiąca. Zakładka tkwiła mniej więcej w połowie. Otworzył ją i spróbował zacząć ponownie.

Nie szło mu. Zupełnie mu nie szło. Przebiegał wzrokiem słowa, lecz nie rozumiał zdań. Albo w ich trakcie zaczynał myśleć o czymś innym. Albo w ogóle o niczym. Nie, nie o niczym, bo w tle, na drugim planie świadomości zawsze było to samo: oni. Gorbała i Karolina. Siedzący razem przy tamtym stoliku. Albo leżący razem w łóżku. „Ciekawe, czy to już nastąpiło?”, zadał sam sobie

masochistyczne pytanie.

Nagle uświadomił sobie wyraźnie jedną bardzo istotną rzecz. TO jeszcze zapewne nie nastąpiło. Ale gdy TO w końcu nastąpi, skończy się zapewne tak samo, jak wszystkie inne TE zdarzenia z udziałem Gorbały. Jak tamta historia z matką Krupińskiej, albo jak ta druga z Ukrainką. A jeśli słusznie podejrzewał go w sprawie Ewy Krupińskiej, może też skończyć się znacznie gorzej.

Zrobiło mu się niedobrze. Odłożył książkę i wstał gwałtownie. Musi wyjść, musi coś zrobić. Nie wiedział co, ale wiedział, że musi.

Założył kurtkę, buty i wyszedł. Zamknął drzwi na klucz i odwrócił się w stronę jeziora. Wiał dość mocny wiatr. Zobaczył, jak zakończone białymi grzywami fale przetaczają się po jeziorze, uderzając z upartym impetem o ledwo dające je radę powstrzymać falochrony trzcin. Z daleka dobiegł go dźwięk kościelnych dzwonów. No tak, była w końcu niedziela. Po raz pierwszy chyba słyszał je tutaj.

Ruszył w stronę wsi. Chłodny wiatr zadawał się przewiewać go prawie na wylot. Zasunął suwak w kurtce, podciągając go aż po samą brodę. Dopiero gdy wszedł w las, zrobiło się cieplej.

Po kilkunastu minutach dotarł do wsi. Po chwili był przy sklepie i przystanku. Z kościoła wychodzili właśnie ludzie, małymi grupkami zbliżając się w jego stronę. Spojrzał na zegarek. Minęła dziewiąta. Msza musiała więc być na ósmą.

Wśród idących ludzi dostrzegł ubraną na czarno postać. Szła samotnie otoczona jakby bańką pustej przestrzeni oddzielającą ją

od tych, którzy szli przed nią, i tych, którzy maszerowali za nią. Wyglądało to, jakby ludzie instynktownie zachowywali w stosunku do niej dystans, jakby bali się podchodzić bliżej.

Gdy zbliżyła się bardziej, poznał ją. Była to Krupińska, matka Ewy. Szła powoli, ze spuszczoną głową, ubrana w czarny płaszcz, czarną spódnicę i czarne buty. Zastanawiająca była ta jej samotność. Cierpienie i ból odstręczają, to prawda. Ludzie boją się ich, boją się nimi zarazić. Ale w takich społecznościach jak ta, zazwyczaj jeszcze umieją sobie z tym radzić. Istnieją w nich mechanizmy i zwyczaje ułatwiające, a wręcz nakazujące nie opuszczać bliźnich w takich chwilach. Dziwne więc było, że nie szła obok niej żadna przyjaciółka czy kuzynka, która mogłaby być dla niej wsparciem.

Stał, patrząc na to jak skamieniały. W tym wszystkim zapomniał o niej – matce zamordowanej dziewczyny. Zaaferowany własnymi problemami, skupiony na nieudolnych próbach odnalezienia mordercy zapominał o jego największej tak naprawdę ofierze. Krupińska powoli zbliżała się do niego. Stał dokładnie na jej drodze, lecz ona nie zauważała ani jego, ani niczego innego. Niczym kamienny posąg Niobe sunący w jego stronę.

Dopiero gdy podeszła naprawdę blisko, podniosła wzrok. Ich spojrzenia na moment się spotkały. W jej oczach nie było nic. A co mogło być w jego? Współczucie? Groza? Na pewno wstyd, bo przecież pamiętał aż za dobrze to wszystko, co wydarzyło się podczas ich ostatniego spotkania. Ale też i podziw, bo wyglądała

naprawdę pięknie pomimo – a może właśnie dzięki – bijącej w oczy rozpaczy i żalobie.

— Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłbym z panią przez chwilę porozmawiać?

— Czego pan chce? – odparła. – Nie będę już do pana więcej przychodzić.

Mógł się spodziewać takiej reakcji.

— Chciałbym panią bardzo, bardzo przeprosić za to, co zrobiłem. Moje zachowanie było niewybaczalne. Nawet pani nie wie, jak mi głupio z tego powodu. Przysięgam, że to się nigdy więcej nie powtórzy – mówił pokornie, ze spuszczoną głową. Naprawdę chciał, by mu wybaczyła.

Spojrzała na niego ponownie. A raczej na coś sto kilometrów za jego plecami.

— Może we wtorek – odpowiedziała. – Na razie nie mam głowy do pracy. Wczoraj był pogrzeb. Ale stawka rośnie do stu pięćdziesięciu.

Pogrzeb... O tym też zupełnie zapomniał. Widocznie dopiero teraz wydali jej ciało.

— Oczywiście – odpowiedział. – Może być sto pięćdziesiąt. – Ciekawe, skąd je weźmie? – Ale czy moglibyśmy porozmawiać już teraz, tylko przez chwilę?

— Po co? – spytała.

— Mam parę pytań, które nie dają mi spokoju.

Ludzie mijali ich z lewa i z prawa, patrząc na nich z ciekawością

i aż wyciągając szyje, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają.

Ona musiała też to zauważyć, bo powiedziała:

— Chodźmy na przystanek. Tam jest ławka. Tylko łapy przy sobie.

Wstyd, który poczuł po tych słowach, był sprawiedliwą karą.

Poszli w tamtą stronę. Na przystanku na szczęście nikogo nie było. Usiedli. Zanim zdążył o cokolwiek spytać, powiedziała:

— Przydałoby mi się trochę pieniędzy. Wszystko wydałam na pogrzeb. A zasiłek jeszcze nie przyszedł.

Sięgnął do portfela. Sto złotych było ostatnim banknotem, jaki w nim jeszcze został. Podał go jej.

— Proszę. Więcej dziś nie mam. Wystarczy?

A więc nie będzie już jadł.

— Tak – odpowiedziała. – Dziękuję.

Nawet tu dolatywał chłodny wiatr znad jeziora. Krupińska zdawała się go nie dostrzegać, jakby skamieniała naprawdę. Rozłucki za to zatrzęsł się z zimna.

— To o co mnie pan chciał spytać? Nie będę tu siedziała do zmierzchu.

No właśnie, o co? Pomyśl, by z nią porozmawiać, przyszedł mu do głowy spontanicznie, gdy ją zobaczył. Nie miał opracowanego planu ani wymyślonych pytań.

— Zawsze widzę panią samą. Nie ma pani tu żadnych krewnych ani przyjaciół? – zaczął od tego, co pierwsze przyszło mu do głowy.

— Nie mam – odpowiedziała.

— Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

— Takich jak my się nie lubi.

— Czyli jakich?

— Nie wiem. Takich. Ich trzeba by spytać jakich. Zawsze tak było.

— Zawsze?

— Z moimi rodzicami też. I z dziadkami.

— Dlaczego?

— Jesteśmy biedni. Ludzie tego nie lubią. No i nie przyjechaliśmy z Polski, jak reszta.

— A skąd?

— Znikąd. Jesteśmy stąd. Dziadek uparł się, że nie wyjedzie, jak wszyscy wyjeżdżali.

— Po ostatniej wojnie?

— Po wojnie i później.

— Dziadek był Niemcem?

— Nie. Dziadek był tutejszy. Mówił, że nasza rodzina mieszkała tu jeszcze przed Niemcami. I że przetrzymaliśmy Niemców, to i Polaków przetrzymamy. Za to mówienie też go nie lubili. Zresztą dla wszystkich i tak był Niemcem.

— I za to panią nie lubią?

— Teraz nie tylko za to.

— To za co jeszcze?

— Za tego księdza. Mówią, że dostanę od Kościoła dużo

pieniędzy. Za córkę. Ciekawe, czy też by tak chcieli?

Kolejny zimny podmuch nadleciał od strony jeziora. Poczul, jak powoli przemarzają mu stopy w butach.

— Mogę już iść? – spytała.

— Jeszcze trochę – odpowiedział.

— Tylko szybko – powiedziała. – Dzieci na mnie czekają. Starsze pilnuje młodszego. Zawiało je wczoraj trochę na pogrzebie i nie chciałam ich dzisiaj brać.

— W jakim są wieku?

— Starsze siedem, młodsze pięć.

— Dużo młodsze od Ewy.

— Tak.

Czas chyba zadać to pytanie. To, o które tak naprawdę od początku chodziło.

— Pani Magdo – zaczął. – Powiedziała mi pani ostatnio, że Gorbała panią zgwałcił i że Ewa mogła być jego córką. Potem na policji wszystkiemu pani zaprzeczyła. Dlaczego?

Nawet nie drgnęła. Jej wzrok ciągle utkwiony był w przestrzeń.

— Ewa była córką mojego męża. Koniec, kropka.

— Ale córką w jakim sensie? W sensie biologicznym czy w takim, że to on ją wychował?

— Była jego córką i tyle.

— To dlaczego powiedziała mi pani wcześniej coś innego?

— Nie wiem. Żeby się pan odczepił.

— To z gwałtem to też nieprawda?

Dopiero teraz na niego spojrzała.

— Też.

— Opisała mi go pani dość dokładnie.

— Pewnie widziałam coś takiego w telewizji. Zresztą to było dawno. Sama z nim tam poszłam, tak? Sama chciałam. A on zachował się potem honorowo. To znaczy jego ojciec.

— Jak się zachował?

— Pomógł mi.

— Dał pieniądze?

— Nie tylko. Pomógł. To w ogóle był dobry człowiek. Szkoda, że syn nie jest taki.

— Słyszałem, że Gorbała spotykał się z pani córką, że do niego przychodziła, bo myślała, że jest jej ojcem. To prawda?

— Nie wiem. Duża już była. Nie wszystko mi mówiła.

— Słyszałem też, że pani mąż, zanim odszedł, wykrzyczał to pani. Że Ewa nie jest jego córką. I że ona to słyszała.

Krupińska spuściła głowę. Jeden z guzików z jej płaszcza zaczynał się właśnie odpruwać. Nerwowo skubała wystającą spod niego nitkę.

— Nie – odpowiedziała.

— Nie?

— Nie krzyczał. Nic w ogóle nie mówił. Po prostu zniknął.

— Jak to?

— Kiedy wróciłam, już go nie było. Ani jego rzeczy. Musiał ktoś inny jej to powiedzieć.

— Że Gorbała jest jej ojcem? Czyli to jednak prawda.

— Nieprawda. Mówiłam już.

Mówiła coraz ciszej i coraz bardziej zmęczonym głosem. Zaczęło mu być jej żal. Sprawiała wrażenie kogoś u progu załamania. Nie mógł jednak teraz przestać.

— Dlaczego pani go chroni? – spytał.

— Kogo? – odparła cicho.

— Gorbałę.

— Dlaczego miałabym go chronić?

— No właśnie nie wiem. Ale moim zdaniem chroni go pani. Zaprzeczyła pani gwałtowi, mimo że wcześniej mi pani o nim mówiła, zaprzeczyła pani, że był ojcem Ewy, mimo że wcześniej dopuszczała pani taką możliwość. Nie chce pani przyznać, że się z nią spotykał, mimo iż wiem o tym z innego źródła. Dlaczego?

— Nikogo nie chronię. Zresztą to nie on.

— Skąd pani wie?

— Ksiądz się przyznał, tak?

ROZDZIAŁ 47

Odeszła. Jeszcze przez jakiś czas patrzył za nią, nie mogąc się powstrzymać przed kontemplacją jej figury tak dobrze podkreślanej czarnym, obcisłym płaszczem. Pomyślał, że nawet nie wie, gdzie i jak mieszka.

Dziwna to była rozmowa. Rozmowa, w której zaprzeczała wszystkiemu, by po chwili niechętny to potwierdzić. Rozmowa, która do niczego tak naprawdę go nie przybliżyła.

Dlaczego tak się zachowywała? Nie wiedział. Nie miał też żadnego pomysłu, jak to wyjaśnić. Załamanie i zagubienie związane z wczorajszym pogrzebem tylko pozornie było odpowiedzią. Tak naprawdę – czuł to – powód musiał być inny. Tylko jaki?

Mógł nim być wpływ Gorbały. Nie, nie zastraszenie czy, powiedzmy, przekupstwo. Raczej coś związanego z relacją między nimi. Może powód, dla którego poszła z nim wtedy na to pole porośnięte młodym żytem, nie ustał? Wiedział, że Gorbała miał w sobie rodzaj magnetycznego uroku, sam go na sobie doświadczył; wiedział też, że psychopaci potrafią przywiązywać do siebie ludzi. Może tamta więź nie została przerwana? Albo może udało mu się ją odtworzyć, wtedy gdy przyszła do niego prosić o pracę dla męża?

Może coś między nimi się działo, coś, o czym nikt nie wiedział, i to raczej to było przyczyną odejścia jej męża, a nie tamta sprawa z przeszłości? I teraz ta psychopatyczna, toksyczna relacja jest ostatnią rzeczą, jaka jej jeszcze pozostała, ostatnią nicią – po odejściu męża i śmierci córki – utrzymującą ją przy życiu. Więc będzie bronić jej za wszelką cenę, nawet za cenę zapomnienia i zaprzeczenia upokorzenia związanego z gwałtem i wypchnięcia poza obręb świadomości podejrzeń związanych z morderstwem własnej córki.

To były jednak tylko przypuszczenia. Palcem na wodzie pisane, jak wszystko dotyczące tej sprawy.

Wzdrygnął się po raz kolejny. Naprawdę powinien kupić sobie cieplejszą kurtkę. Kupić... Dopiero po chwili zrozumiał, jak abstrakcyjne było to słowo w jego obecnej sytuacji. Właśnie wydał swoje ostatnie pieniądze, by jeszcze bardziej namieszać sobie w głowie.

Wstał. Ruszył przez wieś, potem skręcił na dół, w stronę jeziora. Bezwiednie, a może wcale nie tak bardzo bezwiednie, szedł w stronę domu Gorbały. Jeszcze raz zadzwonił do Karoliny, a ona jeszcze raz nie odebrała.

„Oddzwoń”, napisał. „To ważne. Powiedziałaś mi, że mogę się z tobą kontaktować, gdy mam coś naprawdę ważnego. To jest naprawdę ważne”.

Nie odpisała.

Doszedł pod dom Gorbały. Samochód stał na podjeździe, więc

jego właściciel zapewne był w domu. Bał się, że zobaczy tam również samochód Karoliny, ale nie, żadnego innego auta nie było.

Stanął pod kępą drzew przy jeziorze, tak by nie było go widać od strony domu, i zaczął obserwować. Okna były pozamykane i ciemne, ale to o niczym nie świadczyło. Dzień, mimo że chłodny, był dość jasny i pewnie spokojnie można się było obejść w takim domu jak ten, z dużą ilością okien, bez zapalania światła.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej. Zmarzł już naprawdę porządnie. Jeszcze chwila i zacznie ciągać nosem. Ile mogło być stopni? Pewnie nie tak mało, może piętnaście, może czternaście? Lecz wiał chłodny wiatr, który zdawał się przewiewać jego cienką kurteczkę na wylot.

Nic. Nic się nie działo. Nie słychać było żadnego dźwięku, który można by przypisać działalności człowieka. Zachciało mu się sikać z zimna. Odszedł dalej w stronę jeziora i zbecześcił jego wody stróżką żółtego płynu. Potem wrócił. Nic. Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Minęło pół godziny. Po co w zasadzie tu stał? Odpowiedź była prosta: bo nie miał żadnego innego pomysłu oprócz tego. By stać tu tak długo, aż coś się wydarzy.

Łatwo powiedzieć, gdy palce u nóg marzną w zetknięciu z sąsiednimi palcami. Zaczynał powoli dygotać. Raz czy drugi udało mu się to opanować, ale było coraz trudniej.

W końcu odpuścił. Nie miało to sensu. Minęła dopiero jedenasta, a była przecież niedziela. Gorbała mógł równie dobrze siedzieć cały dzień w domu. I wcale nie jest powiedziane, że Karolina musi do

niego przyjechać.

Ruszył w stronę wsi. Szedł cały czas drogą, którą musiałaby jechać, gdyby chciała dotrzeć do domu Gorbały. Nie było innej, chyba że naokoło jeziora, kilkanaście kilometrów dłuższa.

Doszedł w końcu do przystanku. Potem podszedł pod drzwi restauracji. Mógłby usiąść w jej środku z herbatą przy oknie i spróbować z tego posterunku obserwować drogę. Na herbatę jeszcze było go stać. Niestety restauracja otwarta była dopiero od dwunastej. Spojrzał znów na zegarek. Dochodziła jedenasta trzydzieści. Było mu naprawdę zimno.

Za to sklep był już otwarty. Wszedł do środka, by choć trochę się ogrzać. Przez chwilę miał nadzieję, że jest w nim automat z kawą, ale nie, niestety, z tego typu udogodnień dostępna była tylko lodówka z zimnymi napojami. Zaczął chodzić między półkami, udając, że czegoś szuka, starając się przy tym cały czas nie tracić z oczu drogi, którą widział przez szklane drzwi. Zauważył, że sprzedawczyni przypatruje mu się podejrzliwie. Było mu teraz cieplej, lecz jego stopy ciągle przypominały dwie bryłki lodu. Wiedział, że powinien coś kupić albo wyjść, inaczej to łożenie tutaj stanie się prędzej czy później dla niego nieznośnie krępujące. Zastanawiał się, czy jest coś, co pomogłoby mu bardziej się rozgrzać, także wtedy, gdy wreszcie już stąd wyjdzie. Do głowy przychodziła mu w zasadzie tylko jedna rzecz. Spojrzał w kierunku lady, za którą na półce stał rząd małych, stumilimetrowych buteleczek. Jedna by mu przecież nie zaszkodziła. Wyciągnął z

kieszzeni garść drobnych. Starczyłoby. Z tym, że byłyby to już jego naprawdę ostatnie zakupy.

Sprzedawczyni najwyraźniej dostrzegła jego spojrzenie, bo spytała:

— Podać coś?

Teraz w zasadzie głupio byłoby się wycofać. Co miał zrobić, powiedzieć „nie, dziękuję, nic” i wyjść? Czy może wydać swoje ostatnie pieniądze na jakiś głupi baton albo wodę, których kupno usprawiedliwiłoby jego wejście tutaj?

— Tak, poproszę – odpowiedział. – Małą wiśniówkę.

— Którą? Tą czy tą większą?

Wskazała na stojącą półkę wyżej większą, dwustumilimetrową butelkę. No, tak, bo była jeszcze ta...

Szybko policzył w myślach. Na tę większą też byłoby go stać.

— Tę większą – odpowiedział.

Położył na ladzie pieniądze. Sprzedawczyni odliczyła należną kwotę i podała mu butelkę.

— Proszę nie zapomnieć reszty – powiedziała.

Na ladzie leżało jeszcze dwadzieścia groszy. Jego cały aktualny majątek.

Włożył je do kieszeni, wziął butelkę i wyszedł.

Za drzwiami sklepu znowu zaatakował go chłodny wiatr. Schował się za róg budynku, gdzie wiało trochę mniej. Popatrzył na butelkę. Przez chwilę zastanawiał się, czy to naprawdę dobry pomysł, lecz pierwszy dreszcz przekonał go, że jednak tak.

Odkręcił zakrętkę i pociągnął małego łyka. Postanowił, że wypije tylko połowę; resztę schowa na później, w razie, gdyby przyszło mu spędzić na świeżym powietrzu jeszcze jakiś czas. Niepokojąca była ta ulga, która rozlała mu się po żyłach. Jakby włożył brakujący element do zepsutego mechanizmu. Za to ciepło było bardzo przyjemne.

Pociągnął drugi, tym razem znacznie większy łyk. Potem jeszcze jeden. Droga, na którą patrzył, ciągle była pusta. W niedzielę o tej porze najwyraźniej wszyscy mieszkańcy siedzieli w domach. Ciekawe, gdzie była Karolina? Może po prostu wyjechała do Warszawy i całe to jego zamartwianie się i czatowanie tu było absolutnie bez sensu?

Przytknął butelkę jeszcze raz do ust. Była coraz lżejsza. Spojrzał na jej zawartość. Wiśniówki już prawie nie było. A więc nie wypełnił swojego postanowienia.

Trudno. Przechylił jeszcze raz butelkę i wlał do ust resztę płynu. Było mu teraz naprawdę ciepło i przyjemnie. Poczł wręcz, jak na skórze jego szyi pojawiają się pierwsze kropelki potu. Pomyślał, że powinien w zasadzie pójść teraz do domu. Wiedział, że kiedy efekt działania alkoholu minie, jego organizm jeszcze bardziej się wyziębi. Karolina już raczej nie przyjedzie, na pewno. Pojechała do Warszawy, a cała historia jej flirtu z Gorbałą była tylko kolejną bzdurą, która wyroiła się w jego głowie.

No chyba właśnie nie do końca. To była jego następna myśl. Spomiędzy domów wyjechał bowiem samochód. I nie był to jakiś

tam samochód. Było to czarne bmw serii 1. Nie musiał sprawdzać numerów na tablicy rejestracyjnej, żeby wiedzieć, że to jedzie Karolina.

Alkohol krążący w jego żyłach dodał mu szybkości i zdecydowania. Rzucił się przed siebie i wybiegł na drogę. Stał na jej środku i rozłożył ręce.

Czarne bmw zatrzymało się powoli tuż przed nim.

Po chwili drzwi otworzyły się i wysiadła Karolina. Spojrzała na niego. Nie było to przyjazne spojrzenie.

— Czego chcesz? – spytała.

— Jedziesz do niego? – odpowiedział jej pytaniem na pytanie.

Spojrzała na jego prawą rękę. Ciągłe trzymał w niej pustą butelkę po wiśniówce. „Ups...”, pomyślał.

— Jest niedzielne południe, a ty już zacząłeś? Kiedyś wydawało mi się to interesujące. To twoje zamiłowanie do dobrej whisky. A to był tylko maskowany snobizmem alkoholizm.

Opuścił ręce. Nie zamierzała się, jak widać, z nim patyczkować.

— Po co do niego jedziesz? – spytał.

— Chuj cię to obchodzi – powiedziała to powoli i dobitnie, patrząc mu prosto w oczy.

Zabolało. Ale też było w jakiś sposób imponujące. Przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo mu się podobała.

— To niebezpieczny człowiek. Wiesz o tym – powiedział.

— Nic nie wiem – odpowiedziała. – Wiem tylko, że masz jakąś obsesję. Masz się za jedyne go depozytariusza objawionej prawdy.

Wszyscy uważają, że mordercą jest ksiądz, łącznie zresztą z nim samym, a ty jeden uparłeś się na Gorbałę. Czy to nie przypadkiem początek jakiejś alkoholowej paranoi?

Walila mocno.

— Mam solidne podstawy tej paranoi – odparł. – Ten gwałt...

— Nie było żadnego gwałtu – przerwała mu. – Nikt nigdy nie oficjalnie nie zgłosił.

— Rozmawiałem z tymi policjantami...

— I co ci powiedzieli? Że przyszła do nich ta Ukrainka i coś im naopowiadała, tak? A potem zniknęła. Zwolnił ją, rozumiesz? A ona następnego dnia poszła na policję. Chciała się zemścić albo coś ugrać. Udało jej się to zresztą, bo on jej zapłacił. Przyznał mi się do tego. Zapłacił jej, żeby nie musieć o tym więcej myśleć i nie marnować swojego czasu na zajmowanie się takimi bzdurami.

— Tak ci powiedział?

— Tak mi powiedział. To porządny, kulturalny człowiek. Z klasą. Kiedyś myślałam, że ty też ją masz, ale bardzo się pomyliłam. Ma w sobie pasję i wie, czego chce. Znowu w odróżnieniu od ciebie.

Cios za ciosem. Była naprawdę na niego zła.

— Jesteście już oficjalnie razem? – spytał.

— Pomagam mu w jego projekcie – odpowiedziała. – Współpracujemy. Ale nie wykluczam, że coś z tego będzie. Jest bogaty, przystojny i szarmancki. A ja mam trzydzieści cztery lata i jestem sama.

— Ma żonę i dwójkę dzieci.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, ale z nimi nie mieszka. Powiedział mi, że może się rozwieść w każdej chwili. Do tej pory nie zrobił tego tylko dlatego, że nie miał żadnego konkretnego powodu. Niedługo być może będzie go miał.

— To też ci powiedział?

— To z kolei ja mówię.

Zagotowało się w nim. Przez chwilę miał ochotę rzucić pustą butelką w szybę jej samochodu.

— Lubisz być gwałcona? – spytał. – Bo on zdaje się taki rodzaj intymnej relacji preferuje. Krupińska, ta prostytutka...

— Krupińska nie potwierdziła twoich rewelacji. Wszystkiemu zaprzeczyła. A ty zdaje się byłeś mocno pijany podczas rozmowy z nią, prawda? – uśmiechnęła się i przekrzywiła lekko głowę. – Oczywiście, że prawda. Z kolei to, że chodzisz do burdeli i każesz kurwom za pieniądze fantazjować na takie tematy, to jest wyłącznie twój problem, nie mój i nie jego. Tworzysz sobie własny świat, alternatywną rzeczywistość. Z plotek, niepotwierdzonych informacji, własnych domysłów i obsesji.

— Nie sądzisz, że trochę za dużo tych niepotwierdzonych informacji i plotek? I że w związku z tym coś może być na rzeczy?

— Sądzę, że jesteś zazdrosny. I że to moja wina. Bo pozwoliłam ci pomyśleć przez chwilę, że coś może być między nami. Zrobiłam to z litości, chciałabym, żebyś to wiedział. Byłam głupia. Ale już się nad tobą nie lituję. I chciałabym ci jedną rzecz powiedzieć na sam

koniec: spierdalaj. Spierdalaj raz na zawsze z mojego życia. Rozumiesz? A teraz wsiądę do samochodu i ruszę. I jeśli nie zejdziesz mi z drogi, przejadę cię.

Wsiadła do samochodu i zamknęła z trzaskiem drzwi. Usłyszał dźwięk odpalanego silnika. Potem usłyszał, jak dodaje gazu na sprzęgle. Nie żartowała.

Zszedł z drogi. Ruszyła. Nie obejrzał się za nią.

— Kurwa! – krzyknął. – Głupia kurwa!!!

Niech idzie do niego, niech ją zgwałci, niech ją zajebie! Co go to obchodzi?

Rzucił butelką o asfalt. Roztrzaskała się z głośnym brzękiem.

— Aaaaa!!! – krzyknął. – Aaaaaaaa!!!

Musiał się napić, naprawdę. Musiał się napić, tylko nie wiedział jak, gdzie i za co. Może Krzysiek coś będzie miał? Tylko gdzie on mieszka?

Musiał się napić albo zabić.

ROZDZIAŁ 48

Odnalazł w końcu dom Krzyska. Zapytał w sklepie, a potem go odnalazł. Krzysiek otworzył po długim dzwonieniu.

— Co jest? – spytał. – Jemy właśnie obiad.

Wyglądał inaczej niż zazwyczaj. Miał umyte włosy, był ubrany w czystą koszulę i ogolony. Zaleciało od niego rosołem.

— Masz może coś do picia? – spytał Rozłucki. – Muszę się napić, a nie mam za co kupić.

Krzysiek spojrzał na niego uważnie.

— O, bracie – powiedział. – Źle z tobą. Musisz chyba trochę przyhamować.

— Muszę. Ale nie dziś. Daj mi coś. Cokolwiek.

— Jest niedziela, przyszli teściowie...

— Nie proszę cię, żebyś się ze mną napił, tylko żebyś mi coś dał. Dziś jest taki dzień, że muszę. Chyba mnie rozumiesz?

Krzysiek pokiwał głową. W jego spojrzeniu widać było troskę.

— Poczekaj chwilę – powiedział. – Coś wymyślę.

Zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił.

— Masz – powiedział. – Nalewka teścia. Nawet nie wiem z czego.

Podał mu półlitrową butelkę po wódce wypełnioną czarnym

płynem.

— Tylko nie wypij na raz.

— Jasne. Dzięki.

Odwrócił się i odszedł, nawet nie czekając, aż tamten zamknie drzwi. Kiedy usłyszał dźwięk zatrzaskiwanego zamka, przystanął, odkręcił zakrętkę i przytknął butelkę do ust. Nalewka była słodka, cierpka i kwaśna jednocześnie. Chyba z czarnej porzeczki, ale co to miało za znaczenie. Pociągnął spory, naprawdę spory łyk. Nie zrobiło mu się lepiej. Przechylił butelkę jeszcze raz. Tym razem trzy łyki. Od tej słodyczy zrobiło mu się niedobrze. Chyba faktycznie musi przyhamować, bo zaraz wszystko wyrzyga. A skąd weźmie następną?

Ruszył przed siebie w kierunku swojego domu.

Gdy doszedł, zostało mu jeszcze pół butelki. Zrobiło się cieplej, nie tylko dlatego, że rozgrzał się marszem i był pijany, ale w ogóle. Wiatr osłabł i wyjrzało słońce. Otworzył drzwi, wziął jakiś koc, krzesło i wyszedł z powrotem na zewnątrz. Postawił krzesło pod oknem i usiadł. Pociągnął jeszcze jeden, tym razem niewielki łyk.

Patrzył na jezioro, już nie tak wzburzone, jak rano, ale wciąż jeszcze niespokojne. Chmury przewalały się po niebie, co i raz przesłaniając żółty okrąg słońca. Pogoda była, jak to mówią w telewizji, dynamiczna. Nie zdziwiłby się, gdyby wieczorem spadł deszcz.

Owinał się kocem. Teraz było mu naprawdę ciepło. Starał się nie

myśleć o Karolinie i w zasadzie mu się to udawało. Może wreszcie, nareszcie zrozumie, że między nimi już koniec? Chyba nie mogła mu tego dosadniej powiedzieć. Niech się wali. Tak, niech się wali. Stado łabędzi płynęło przez jezioro w równym, liniowym szyku. Niech się wali. Zasnął.

Obudziły go krople deszczu. Niewielkie i rzadkie, żadna tam ulewa. Poczuł wilgoć na wargach. Jedna z nich musiała trafić go w twarz.

Rozejrzył się półprzytomnie. Na ziemi, tam gdzie nie rosła trawa, widać było pojedyncze, mokre kółeczka. Która to mogła być godzina? Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Trochę sobie pokimał.

Sięgnął pod krzesło i wymacał stojącą tam butelkę. Całe szczęście nie przewróciła się. Podniósł ją i pociągnął głęboki łyk. Nalewka była mocna, na pewno miała więcej niż czterdzieści procent. Może też zacznie takie robić? Jak to się wszystko już skończy.

„Jak to się wszystko już skończy”. Zdziwiło go to zdanie. A nawet w pewnym sensie wstrząsnęło. Pomyślał nagle, że ten koniec jest blisko. Dziwne przeczucie. Jakby wszystko się dopełniło i wypełniło. Sytuacja dojrzała, kryzys osiągnął apogeum i domagał się teraz przesilenia.

Tylko jak się to skończy? Pociągnął jeszcze jeden łyk. Resztki senności pierzchły, a myśli wyostrzyły się. Czym?

Zobaczył znowu Karolinę i Gorbałę. Przeleciało mu przez głowę

wszystko, czego się o nim dowiedział. Czy były to wiarygodne informacje? Każdą z nich w zasadzie dałoby się podważyć, począwszy od tej najistotniejszej: że Gorbała jest psychopata. Skąd to tak naprawdę wiedział? Sęk w tym, że nie wiedział tego. Wysnuł ten wniosek na podstawie analogii, a wszystkie analogie są w mniejszym lub większym stopniu wątpliwe. Powziął to podejrzenie, bo Gorbała wydawał się być podobny, jeśli chodzi o swoje cechy i zachowanie do pacjenta ze stwierdzoną psychopatią. Dobrze jednak wiedział, że nie w ten sposób diagnozuje się takie schorzenia. Potrzebna jest rozmowa, zadanie szeregu precyzyjnych pytań, wypełnienie wspólnie z pacjentem całego wielostronicowego kwestionariusza, a potem określenie z jego pomocą stopnia i rodzaju zaburzenia z wykorzystaniem skali obserwacyjnej skłonności psychopatycznych. A on co? A on sobie pomyślał, że ci dwaj są podobni.

Może więc Karolina miała rację? Może po prostu był zazdrosny? Może zafiksował się na myśli, że ksiądz jest niewinny, a Gorbała winny? To znany mechanizm. Jeśli zbyt wiele czasu i energii poświęca się, by udowodnić jakąś hipotezę, można nie być potem w stanie przyznać, że jest ona błędna. Wielu naukowców wpadło w tę pułapkę. Jeśli doda się do tego, tak jak w jego przypadku, emocje związane z nieodwzajemnionym afektem, odrzuceniem i zazdrością, to taki węzeł może być potem nie do rozplątania.

To skąd w takim razie to przeczucie? Przeczucie rychłego końca. Popatrzył jeszcze raz na jezioro. Może chodziło nie o nich, a o

niego? O jego przesilenie, jego rychły koniec... Rodzina łabędzi, płynąca tym razem w przeciwnym kierunku, złamała szyk i podpłynęła do trzcin przy brzegu. Nadciągnęła kolejna chmura i kolor wody zmienił się na ołowiany. A może by tak wejść tam, tam do tej wody? Wejść i nigdy nie wyjść? Kusząca wizja. Co go tu tak naprawdę trzymało? Udało mu się wszystko spieprzyć, wszystko stracić. Nikt po nim też nie będzie płakał. Przypomniawszy sobie swojego ojca i siostrę. Oni przynajmniej mają już spokój. To w końcu jego rodzinna tradycja. A tradycja, jak wszyscy ostatnio twierdzą w tym kraju, to najważniejsza rzecz na świecie.

Podniósł jeszcze raz butelkę do ust. Zmierzchało. A może to po prostu chmury zasnuwały coraz bardziej niebo? Cierpko-słodko-kwaśny smak nalewki stawał się powoli nieznośny. Lecz jeśli wypije ją do końca, będzie mu łatwiej. Kolejny raz przechylił butelkę. Decyzja została w zasadzie już podjęta. Teraz wystarczyło tylko znaleźć odpowiedni moment, by wprowadzić ją w życie. Choć to sformułowanie w tym akurat przypadku nie było chyba najfortunniej dobrane.

Przytknął jeszcze raz, tym razem ostatni, butelkę do ust i wlał w siebie resztkę alkoholu. Zrobiło mu się niedobrze, ale wytrzymał. Głupio byłoby teraz zwymiotować. Wstał i odrzucił koc. Ruszył w stronę brzegu. „Ciekawe tylko, kto jest tak naprawdę mordercą? Ksiądz czy Gorbała?”, pomyślał. Nagle przystanął. No tak. Głupio byłoby nie tylko zwymiotować, ale też odejść teraz, nie dowiedziawszy się tej podstawowej rzeczy. Kto zabił małą Ewę

Krupińską? Każda historia, nawet najbardziej męcząca i nieznośna musi mieć swoje zakończenie. I wypadałoby je poznać.

Tak, to jeszcze trzymało go przy życiu. Chciał poznać to zakończenie.

Skręcił i ruszył w stronę wsi.

ROZDZIAŁ 49

Jego kroki znów zaprowadziły go pod dom Gorbały. Deszcz padał już całkiem mocno. Samochód Karoliny tym razem stał na podjeździe, a w większości okien paliło się światło. Na ten widok, widok czarnego bmw stojącego przy białym porsche cayenne, serce ścisnęło mu się bolesnym skurczem. Podeszedł bliżej, brama była odsunięta, a psia buda stojąca tuż przy niej, jak wiedział, pusta. W budynkach gospodarskich też było ciemno. Była w końcu niedziela wieczór, więc wszyscy pracownicy siedzieli w swoich domach.

Wszedł na teren posesji Gorbały. Wyślizgana metalowa szyna, po której jeździła brama, była jego Rubikonem. Przekroczył go. Podeszedł do domu. Wiedział, gdzie jest salon. Był tu przecież. Zastłony w oknach nie były zaciągnięte. Być może nigdy nie były używane, okna wychodziły w końcu na jezioro.

Podeszedł do jednego z nich. Rozświetlony salon był przez nie widoczny jak na dłoni. Rzadkie firanki nie były tu żadną przeszkodą. Przez chwilę zawahał się. Może rzeczywiście zazdrość mąciła mu w głowie? Podglądanie przez okno kobiety, z którą się było kiedyś związanym i z której odejściem nie jest się w stanie pogodzić, to dosyć niepokojący objaw. Gdyby któryś z pacjentów przyszedł do niego z takim problemem, zaleciłby mu psychoterapię.

Było jednak za późno na tego typu rozważania. Chciał, po prostu musiał to zobaczyć. Nie potrafiłby się teraz cofnąć, nawet gdyby to, co robi, miało być ostatecznym dowodem, że właśnie traci rozum. Podeszedł jeszcze bliżej.

Karolina i Gorbała siedzieli przy stole w głębi i po prawej stronie. Stół przykryty był białym obrusem, stał na nim lichterz z trzema zapalonymi świecami; widać było również butelkę wina w metalowym kubelku z lodem, dwa kieliszki i talerze z resztkami jakiejś potrawy. Rozmawiali. Karolina co i raz wybuchała śmiechem, poprawiając jednocześnie opadające jej na czoło włosy. Poczuł, że kręci mu się w głowie. Musiał się chwycić framugi, by nie upaść.

Odetchnął parę razy głęboko, próbując przywrócić sobie zdolność w miarę rozsądnego myślenia. Krople deszczu spływały mu po włosach. Czy w tym, co tu widział, było coś niepokojącego? Spróbował odpowiedzieć sobie na to pytanie. Oprócz tego oczywiście, że kobieta, którą kochał, siedziała tam z obcym mężczyzną i najwyraźniej bardzo jej się to podobało. Nie, musiał to uczciwie przyznać, wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Nie wyczuwał żadnego zagrożenia.

Nagle jego dłoń wysunęła się i dotknęła jej dłoni. Karolina nie cofnęła ręki. Znowu zakręciło mu się w głowie. Czy był to ich pierwszy fizyczny kontakt, czy kolejny? Na jakim byli etapie? Jej wargi były zaczerwienione i pełne, skóra na twarzy zaróżowiona, a oczy błyszczące. Mógł to być efekt działania alkoholu, ale też sygnał

gotowości do zbliżenia. Poczul nagle silne, odbierające dech ukłucie w okolicach żołądka. Myśli i obrazy podsuwane przez rozgorączkowaną wyobraźnię przegalopowały przez jego głowę w tę i z powrotem. Ale ten gest to też nie było przecież nic niepokojącego.

Gorbała włożył swoją dłoń pod jej dłoń i uniósł ją lekko znad stołu. Uśmiechnęła się. Patrzyli sobie teraz w oczy. Nagle wstał, podszedł do niej i nachylił się nad nią. Coś do niej powiedział, a ona podniosła ku niemu swoją twarz. Rozchyliła wargi, a on nachylił się jeszcze bardziej. Tak, że jego głowa zasłoniła całkiem jej twarz.

Całowali się. On z nią. Teraz. Na jego oczach. Z Rozłuckim coś się działo. Jego mózg, oczy i ciało zaczęło zalewać coś, nad czym nie mógł i nie chciał w tej chwili zapanować. Ten pocałunek to również nie było nic niepokojącego, ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że jakiś samiec całował jego samicę. A on na to patrzył. Gdyby mógł, zaryczałby teraz albo zawył, albo...

Uderzył pięścią w szybę. Mocno, ze złością. Szkło o dziwo nie pękło, lecz huk był taki, aż zadźwięczały sąsiednie szyby. To, co zrobił, samego go zaskoczyło i jednocześnie trochę otrzeźwiło. Karolina i Gorbała zamarli. Gorbała podniósł się i odwrócił powoli. Patrzył teraz uważnie w stronę okna. Czy coś widział? Czy dostrzegł sylwetkę za firanką w mroku po drugiej stronie szklanej tafli? Czy się przestraszył?

Karolina na pewno. Na jej twarzy widać było zaskoczenie i

niepokój. Spojrzała na Gorbałę i coś powiedziała. On odpowiedział. Był spokojny, nawet lekko się uśmiechnął. Rozłucki patrzył na niego z napięciem trudnym niemalże do wytrzymania. Spoglądali sobie teraz w oczy, mimo że on, Gorbała, zapewne go nie widział. Karolina chwyciła go za rękę. On ściągnął jej dłoń ze swojego przedramienia i ruszył w stronę okna. Podszedł blisko, stanął dokładnie naprzeciwko Rozłuckiego. Teraz musiał go widzieć. Jego lub przynajmniej ciemny kształt po drugiej stronie. Stali tak naprzeciwko siebie długo, pewnie prawie z minutę. Rozłucki doskonale go widział. Jego, jego twarz i jego oczy. Te oczy... O mój Boże! Te oczy były takie, że to on zaczynał się bać.

Karolina znowu coś powiedziała, a Gorbała odpowiedział ze spokojem. Nie był zdenerwowany. Nagle odciągnął jednym, szybkim gestem firankę, a potem chwycił klamkę i otworzył okno. Twarz Rozłuckiego owionęło ciepło, zapach świec i woń jedzenia. Teraz naprawdę patrzyli sobie w oczy. On – przemoknięty, ze sklejonymi wodą włosami, pijany i wściekły. I tamten – ubrany jak zwykle w nienagannie czystą i odprasowaną białą koszulę, czarną, przylegającą marynarkę, z tymi swoimi włosami prosto od fryzjera i gładko ogoloną twarzą.

Gorbała uśmiechnął się kącikiem ust.

— Pan psycholog! – powiedział swobodnym tonem. – Jak się cieszę, że pan wpadł! Co prawda planowaliśmy spędzić ten wieczór tylko we dwoje, ale jest pan tu u mnie zawsze mile widziany. Zapraszam jak najserdeczniej! Tylko proszę poczekać, nie będzie

pan chyba wchodził przez okno?

Odszedł i ruszył w stronę drzwi. Rozłucki został na miejscu, w otwartym oknie. Patrzył teraz na Karolinę, a ona patrzyła na niego. Jej twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie, które teraz, na jego oczach zmieniało się w irytację i złość.

— Proszę, proszę! – Gorbała był już przy nim. – Niech pan wejdzie. – Objął go ramieniem i delikatnie pociągnął za sobą. Rozłucki poszedł za nim. Nie myślał teraz nic, był jak otępiały.

Weszli razem do domu. Gorbała zdjął mu z pleców przemoczoną kurtkę, powiesił na wieszaku i wprowadził go do pokoju.

— Zamknę tylko okno – powiedział. – Wrzesień w tym roku nas nie rozpieszcza. Choć słyszałem, że niedługo ma być poprawa pogody.

Podszedł do okna, zamknął je, potem zaciągnął firankę. Rozłucki stał w tym czasie na środku salonu jak słup soli i patrzył na Karolinę.

— Co ty tu robisz?! – usłyszał jej głos. Była naprawdę wściekła.

Gorbała zdawał się tego nie zauważać. Wrócił do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Proszę do nas, do stołu – powiedział. – Jest pan zmarznięty i przemoczony. Z jedzenia co prawda niewiele już zostało, ale szklaneczka czegoś mocniejszego na pewno dobrze panu zrobi. Rozgrzeje się pan przynajmniej.

Podprowadził go do stołu i wskazał wolne miejsce. Rozłucki usiadł. Spojrzał na Karolinę. Patrzyła na niego z pogardą i

nienawiścią.

— Akurat świetnie się składa – ciągnął dalej Gorbała. – Bo dostałem dzisiaj nową butelkę. Zamówiłem ją przez Internet, bo w Olsztynie oferta maltów jest dosyć uboga. Whisky Octomore – najbardziej torfowa z dostępnych na rynku. Ponad dwieście ppm, jeśli wie pan, o czym mówię. No, na pewno pan wie, przepraszam. To naprawdę solidny wynik. Myślę, że ją pan doceni.

Był uprzejmy i przyjacielski. Grzeczny i życzliwy. Jakby nic się nie stało, jakby Rozłucki nie zjawił się tu nieproszony, nie walnął pięścią w szybę i nie przerwał mu randki.

Odwrócił się i poszedł w stronę barku. Rozłucki cały czas wpatrywał się w Karolinę. Ona jednak już na niego nie patrzyła. Patrzyła teraz na Gorbałę, zdziwiona jego zachowaniem w równym stopniu, co zszokowana pojawieniem się Rozłuckiego.

Gorbała wrócił po chwili. Postawił przed Rozłuckim szklaneczkę w kształcie kielicha tulipana bez nóżki.

— Proszę – powiedział. – Jest bardzo torfowa oczywiście, ale też trochę medyczna i zaskakująco kwiatowa. Szczerze powiedziawszy, nie będzie chyba należeć do moich ulubionych, ale spróbować na pewno warto. Zresztą sam pan oceni.

Rozłucki podniósł szklanę do ust i mechanicznie wypił prawie całą jej zawartość. Odruchowo ocenił jej smak. Rzeczywiście był bardzo mocno torfowy, chyba jednak za bardzo. Do tego dość nieprzyjemny w sumie posmak medyczny, o wiele gorzej wkomponowany niż w jego ukochanym laphroaigu, któremu

nadawał uroku i charakteru, a tu raczej wszystko psuł.

— I co pan sądzi? – spytał z zainteresowaniem spytał Gorbała.

— Może być – odpowiedział Rozłucki. Wciąż wbijał wzrok w Karolinę, która od jakiegoś czasu patrzyła gdzieś w stronę kominka, obrażona zdaje się na nich obu.

— Może być? – Gorbała uniósł brew. – Tylko tyle? Tylko to jest pan w stanie powiedzieć o whisky, która kosztowała mnie ponad siedemset złotych za butelkę? Ale zresztą, ma pan może rację. Cena nie zawsze idzie w parze z jakością. Najlepsze przecież są tak naprawdę te przyjemności, które nic nie kosztują. Kochanie! – zwrócił się nagle do Karoliny. – Dlaczego siedzisz taka milcząca? Zabawiaj gościa. To mój gość, a w moim domu gości traktuje się uprzejmie.

Zabrzmiało to trochę obcesowo. Karolina drgnęła i odwróciła się w stronę Gorbały. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Kochanie? – spytała. – Nie sądziłam, że jesteśmy już na tym etapie.

W jej głosie pojawił się chłód.

— Jesteśmy – odparł spokojnie Gorbała. – Dolać panu jeszcze? – zwrócił się do Rozłuckiego.

Nie, raczej nie. Na pewno nie. Nagle poczuł się bardzo pijany. Za bardzo, nawet biorąc pod uwagę tamte pół litra nalewki. Ile ta whisky miała procent, sześćdziesiąt?

Podniósł kieliszek do nosa i powąchał pozostały w nim płyn. Nie czuć było jakoś specjalnie dużo alkoholu, najwyżej czterdzieści parę

procent.

Chciał odstawić kieliszek na stół, lecz zamiast tego walnął ręką bezwładnie o blat. Kieliszek wyskoczył mu z dłoni i przewrócił się. Whisky rozlała się, wsiąkając w biały obrus i roztaczając wokół intensywny zapach torfu. Gorbała przypatrywał się temu z wyraźnym zainteresowaniem.

— Pytałem, czy jeszcze panu dolać – powiedział już znacznie mniej uprzejmie.

Rozłucki spojrzał na niego. Obraz rozmazał się, jakby oczy zalały mu krople wody. Spróbował wyostrzyć wzrok, lecz przyniosło to efekt tylko na chwilę. Nagle łokieć zsunął mu się ze stołu. Tylko nadzwyczajnym wysiłkiem zachował równowagę.

Gorbała uśmiechnął się.

— Pigułka gwałtu – wyjaśnił. – Zazwyczaj jej nie używam; wolę, gdy kobieta jest świadoma tego, co jej robię. Ale jak to mówią: na wszelki wypadek i ksiądz nosi.

Rozłucki spojrzał na przewrócony kieliszek i dopiero teraz to zrozumiał: wrzucił mu ją do whisky! Struł go jak lisa, umieszczając trutkę w jego ulubionym przysmaku. A on dał się złapać w te sidła, bo był alkoholikiem, który nie potrafi się oprzeć postawionemu przed nim kieliszkowi. Podniósł wzrok na Karolinę. Zobaczył, że jej oczy rozszerzają się z przerażenia. Zerwała się od stołu, lecz Gorbała był na to przygotowany. Wstał równie szybko i uderzył ją wierzchem dłoni w twarz. Potem chwycił ręką za włosy.

— Mówiłem, że największe przyjemności ma się za darmo –

powiedział. – Poczekaj tu – zwrócił się do Rozłuckiego. – Chyba że masz się ochotę przyłączyć.

Zaczął gdzieś ją ciągnąć. W głąb domu, tam gdzie były podwójne, rozsuwane drzwi. Rozłucki słyszał jej krzyki, lecz dochodziły one do niego jakby z wielkiej oddali. Oparł się dłońmi o stół. Odpływał, jeszcze chwilę, a urwie mu się film. Musiał coś zrobić, musiał. Spróbował jeszcze raz wyostrzyć wzrok. Udało się. Widział teraz chociaż stół. Czy było na nim coś, co mogłoby mu pomóc? Wino, kieliszki, resztki jakiejś potrawy na półmisku i sosjerka. Wyciągnął rękę i chwycił właśnie ją. Przyciągnął ją ku sobie po stole przewracając kieliszki i marszcząc obrus. Nachylił się nad nią i włożył prawie nos do środka. Poczul ostry zapach czosnku i chilli. Tani, tajski sos przelany z plastikowej butelki. Ujął sosjerkę mocno w obie dłonie i podniósł do ust. Objął wargami wystający dzióbek i wlał jej zawartość do gardła. Poczul ból i pieczenie. To go trochę otrzeźwiło. Ostry sos spływał mu szczypiąc po policzkach i brodzie.

Wypił wszystko, dławiąc się niemal. Zrobiło mu się niedobrze. O to właśnie chodziło. Złożył dwa palce i wepchnął je sobie do gardła. Dotknął nimi tyłu podniebienia i mocno nacisnął.

Nie zdążył nawet wyjąć dłoni. Wymiociny chlusnęły do przodu, oblewając mu rękę i zalewając stół. Była to ostatnia rzecz, którą pamiętał.

ROZDZIAŁ 50

Spadając z krzesła, musiał pociągnąć za sobą obrus. Kieliszki i talerze pospadały ze stołu i leżały potłuczone wkoło niego. Razem z nimi spadł też metalowy kubek z winem i lodem, który wylądował dokładnie na jego brzuchu, oblewając go zimną wodą i obsypując kostkami lodu. To właśnie go chyba obudziło. To mokre zimno, które czuł teraz na brzuchu i między nogami.

Otworzył oczy. Z jego wzrokiem dalej nie było najlepiej. Kształty rozmywały się i falowały. I zostawały przez chwilę na swoich dawnych pozycjach, gdy odwracał głowę.

Usłyszał płacz i krzyk Karoliny. Tym razem naprawdę dochodziły gdzieś z daleka. Wymacał ręką przewrócony kubek i przyciągnął go do siebie. W środku było jeszcze trochę zimnej wody i lodu. Wylał to sobie wszystko na twarz.

Dobrze. A w każdym razie lepiej. Zamrugał powiekami, a potem przewrócił się na bok. Potem podniósł się do pozycji siedzącej. Świat wokół wirował, aż furczało.

Co to dla niego? Bywało, że na kacu czuł się jeszcze gorzej. Alkoholowy trening się przydawał. Dobrze, że się wyrzygał. Przynajmniej część tego dziadostwa nie zdołała trafić do jego krwi.

Spróbował wstać, lecz tak od razu mu się to nie udało. Musiał

najpierw klęknąć, a potem przytrzymując się nogi od stołu, dźwignąć swoje ciało do pozycji pionowej. Po wielu wysiłkach w końcu dał radę. Jest! Pozycja wyprostowana! Największe osiągnięcie ludzkości.

Rozejrzył się. Ze wzrokiem było nieco lepiej, choć ciągle czuł się, jakby mu ktoś zdjął i podeptał okulary. W nozdrza uderzył go zapach jego własnych wymiocin. Z ust chlusnęło mu ponownie, nawet nie wiedział kiedy.

Znowu dobrze. Odruchowo wytarł usta rękawem i o dziwo się nie przewrócił. Jego wzrok padł na kominek i na wiszące nad nim szable. Przydałoby mu się coś takiego. Dzieliły go od nich przynajmniej cztery metry. Oderwał ręce od stołu. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Odwrócił się i zaczął iść w stronę kominka. Powoli, powoli, jakby stąpał po popękanej krze.

Udało się. Złapał się marmurowego gzymsu i przez chwilę dał odpocząć błędnikowi. Potem wyciągnął rękę i chwycił wiszącą najniżej szablę. Poznał ją. Husarska, ulubiona ojca Gorbały. Spróbował się na niej wesprzeć, lecz jej klinga okazała się zbyt giętka. Bał się, że nie wytrzyma nacisku i pęknie.

Znowu usłyszał krzyk Karoliny. Dochodził chyba... stamtąd. Wspierając się jedną ręką o ścianę, ruszył w tamtym kierunku. Nie było w nim żadnych emocji, raczej determinacja i upór. Ciągle był otepiał, jakby to wszystko, co się dzieje, nie do końca go dotyczyło.

Po prostu szedł. Wiedział, że musi iść. Mijając kolejne rogi ścian, poznając dłonią faktury tynków, ściskając kurczowo ciepłe drewno

ościeżnic i poręczy schodów, podnosząc nogi i stawiając je na kolejne stopnie schodów. Szedł za nimi: krzykiem i płaczem, przerywanym czasami słowami pełnymi błagania lub dla odmiany wściekłości.

Czas włókł się niemiłosiernie, prawie stanął. Jego podróż na pierwsze piętro trwała lata. Każdy krok, każde podciągnięcie się na stopniu w górę celebrowane było przez jego otępiełe zmysły niczym zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Co jakiś czas dla odmiany zatrzymywał się i wyłączał. Budził się potem z tego chwilowego zawieszenia, nie bardzo wiedząc w pierwszej chwili, gdzie jest ani co działo się przed chwilą.

Ale szedł. Wiedział, że musi. Że jeśli podda się tej przemożnej chęci, żeby na moment usiąść, odpłynie całkiem. I nikt już jej nie pomoże.

Końcówka szabli ciągnięta za nim po schodach odbijała się z głośnym stukiem od kolejnych stopni. Przystanął i spróbował włożyć ją sobie za pasek. Po wielu próbach, podczas których rozdarł sobie koszulę i skaleczył lewą dłoń, w końcu udało się.

Wreszcie doszedł. Podciągnął się na ostatnim stopniu, przytrzymując się obiema rękoma poręczy, i stanął na piętrze.

Rozciągał się przed nimi korytarz. Niezbyt wielki, rozszerzający się w miejscu, gdzie dochodziły do niego schody, w rodzaj małej sieni. Wychodziło na niego troje drzwi. Jedne były uchylone. Ruszył w tamtą stronę.

Nie słyszał już krzyków Karoliny, ale był pewien, że jest właśnie

tam. Podeszedł i pchnął drzwi lewą ręką. Otworzyły się bez żadnego dźwięku.

To, co za nimi zobaczył, nie wstrząsnęło nim jakoś szczególnie. Był na to zbyt otepiały. Nie poczuł gniewu, złości ani niczego innego. Po prostu patrzył. Karolina leżała na łóżku, na ciemnej, satynowej pościeli, na niej okrakiem siedział Gorbała i próbował przywiązać jej ręce do drewnianej, sosnowej ramy. Miała ściągnięte spodnie, jej bluzka była rozdarta, ale wciąż miała na sobie bieliznę. Czerwony, koronkowy stanik i majtki. Nie krzyczała już ani się nie broniła.

Gorbała dostrzegł kątem oka Rozłuckiego. Spojrzał na niego, uśmiechnął się nieznacznie, po czym spokojnie dokończył przywiązywanie drugiej ręki Karoliny do łóżka.

— To znowu pan! – powiedział takim samym jak zawsze swobodnym tonem. – Ma pan dziś wyjątkowe szczęście do zjawiania się w nieodpowiednich momentach, wie pan?

Zszedł z Karoliny i usiadł na krawędzi łóżka.

— Trochę się zmachałem – powiedział. – A jeszcze tyle roboty przede mną! – uśmiechnął się szeroko. – Ale pan, widzę, jest w znakomitej formie! Nie spodziewałem się. Pigułka gwałtu to jednak nie przelewki. – Przyjrzał mu się uważnie. – Rzygał pan, tak? To wiele tłumaczy. Do tego masa ciała znacznie większa niż u przeciętnej kobiety. No i wątroba przyzwyczajona do metabolizowania dużych ilości toksycznych substancji. W początkowym stadium alkoholizmu to normalne. Dopiero potem

wszystko siada. Nie wziąłem tego pod uwagę, przyznaję. Mój błąd.

— Jesteś psychopatą – powiedział Rozłucki. Miał dziwne wrażenie, jakby jego słowa leciały gdzieś, odbijały się i wracały do niego z bardzo daleka.

— Tak – pokiwał głową Gorbała. – I to zdiagnozowanym. Mój ojciec próbował mnie leczyć, gdy w końcu stwierdził, że samo lanie pasem nie pomaga. Woził mnie do Warszawy do jednego profesora. I on mu to właśnie powiedział. Psychopata. Bez szans na wyleczenie. Jedyne, co można zrobić, to wprowadzić rygorystyczny i konsekwentny system nagród i kar. Mój ojciec zrozumiał to na swój sposób. Lał mnie jeszcze więcej niż wcześniej. Muszę przyznać, że dopóki żył, to jakoś działało. Nawet gdy nie miał już za bardzo siły mnie bić.

— Przeholowałaś – powiedział Rozłucki. Zauważył, że pomimo problemów z koordynacją ruchową i tym, że nie do końca mógł ufać swoim zmysłom, myśli chyba całkiem jasno. – Posunąłeś się o krok za daleko. To charakterystyczne dla psychopatów. Nie boicie się konsekwencji. Wasze zachowania eskalują, aż przekroczycie czerwoną linię. To nie jest jakaś zahukana ukraińska pracownica, tylko dziennikarka z Warszawy. Nie wystarczy jej zapłacić, by o wszystkim zapomniała.

— Po co martwić się przyszłością? – uśmiechnął się Gorbała. – Cieszymy się chwilą! Czy nie tego uczą buddyjscy mnisi?

— Puść ją! – powiedział Rozłucki. Chwycił rękojeść szabli dyndającej mu między nogami i nieporadnie wyciągnął ją zza

paska.

— Co chcesz z tym zrobić? – zainteresował się uprzejmie Gorbała.

— Puść ją! – powtórzył Rozłucki i skierował ostrze w jego stronę. Nie wypadło to, szczerze powiedziawszy, szczególnie przekonująco. Nie potrafił utrzymać wyprostowanej ręki w jednej pozycji. Ostrze szabli chwiała się i latało na wszystkie strony przed jego oczami.

— Ale po co od razu podchodzić do tego w tak dramatyczny sposób? – powiedział Gorbała. – Może po prostu się przyłączysz? – Wstał i odsunął się na bok, odsłaniając Karolinę. – Moje zaproszenie jest nadal aktualne.

Ostrze szabli opadało coraz bardziej w dół. Spróbował jeszcze raz nakierować je na jego twarz. Znów na chwilę się wyłączył. Obudził go głos Gorbały.

— Ejże! Nie mów, że nie masz ochoty! Słyszałem od naszej wspólnej przyjaciółki z agencji, że lubisz na ostro. No to masz teraz okazję. Jestem ci nawet gotów ustąpić miejsca w kolejce. Spójrz na nią. Raczej nie będzie miała nic przeciwko. Przecież wiem, że chciałbyś. A szczerze mówiąc, w normalnych okolicznościach raczej nie masz na to już szans. Żebyś wiedział, co o tobie mówiła!

Podszedł do Karoliny, chwycił dłonią jej stanik i mocno szarpnął. Zapięcie z tyłu trzasnęło i pękło. Jej uwolnione piersi rozjechały się na boki. Czerwony stanik przytrzymywany wciąż przez ramiączka opadł do tyłu i zatrzymał się w okolicach szyi.

— No i jak? – spytał Gorbała. – Resztę możesz sam ściągnąć.

Szabla opadła i uderzyła sztychem głucho w podłogę. Spojrzał w tym kierunku i zobaczył, że jej ostrze wyłobiło w jasnej drewnianej podłodze wyraźny podłużny ślad. Dopadł go nagły żal, jakby to małe, przypadkowe zniszczenie było w tej chwili jego największym problemem. Podniósł wzrok i zatrzymał go na piersiach Karoliny. Poczuł, jak to, co ma między nogami, sztywnieje i napełnia się krwią. Było to dziwne uczucie, jakby przytrafiało się to nie jemu, tylko komuś innemu. Jakby jego mózg nie miał połączenia z tym, co dzieje się tam w dole. A jednak coś tam na dole się działo. Odruch zadziałał. Usłyszał nagle, że Karolina coś do niego mówi, nie rozumiał jednak co. Dopiero teraz zauważył, że ma coś wepchniętego do ust.

— No proszę! — zaśmiał się Gorbała. Widocznie też dostrzegł, co się z nim dzieje. — A więc jednak! Dalej, nie krępuj się! — Odsunął się jeszcze bardziej od niej, jakby robiąc mu miejsce. — Chcesz wiedzieć, co o tobie mówiła? „Żałosny pijak”. „Co on sobie wyobraża?” „Zniszczył życie sobie, teraz próbuje je zniszczyć mnie”. „Musiałabym zwariować, żeby związać się z kimś takim”. Mam mówić dalej? A i jeszcze jedno, bobym zapomniał: „Powinien pójść w ślady ojca i siostry i też uwolnić świat od swojego istnienia”.

Dopiero ostatnie zdanie walnęło go jak obuchem. Tego Gorbała nie mógł sobie wymyślić. Musiała mu to powiedzieć. Poczuł, jak zalewa go fala gniewu. I to akurat czuł wyraźnie, bezpośrednio, w mózgu i w brzuchu.

Podszedł do niej dwa kroki. Staął nad nią. Zobaczył jej

przerazone oczy i kręcącą się na boki głowę. Mimo jej zakneblowanych ust usłyszał też coś, co brzmiało jak „nie!”.

— Dalej! Nie krępuj się! – Gorbała ciągle mówił. – Uderz ją! Pierwszy raz jest najtrudniejszy, trzeba pokonać pewien opór psychiczny, ale jeśli to zrobisz, dalej już pójdzie samo. Pamiętasz tę kurwę? Też ją walnąłeś. I co, podobało ci się, prawda? Tu będzie jeszcze fajniej, bo tej się akurat należy. Gardzi tobą, ma cię za nic. Miała swoją szansę, ale jej nie wykorzystała. Nie musisz czuć żadnych oporów. Seks i przemoc są ze sobą związane, odkąd ludzie pojawili się na ziemi. Jesteśmy gatunkiem agresywnym, także wobec siebie, i w odróżnieniu od innych zwierząt jesteśmy w stanie permanentnej rui. Ciągłe mamy ochotę na seks. To naturalne więc, że zdobywamy go w ten sposób. Jak świat światem mężczyźni gwałcili kobiety. To ewolucyjnie pożyteczny sposób na różnicowanie puli genowej. Być może bez tego nasz gatunek by nie przetrwał. No dawaj, bierz ją!

Rozłucki przełknął ślinę. Poczul w ustach suchość i pieczenie, pewnie po tym ostrym sosie. Spojrzał znów na końcówkę szabli, która w nowym miejscu zrobiła nową rysę, choć już nie tak głęboką jak poprzednia. Strasznie mu było żal tej podłogi.

Ta głupia, nie wiadomo skąd przyplątana myśl, trochę go otrzeźwiła. Wciąż jednak czuł tę wzbierającą, zalewającą mu gardło i umysł falę gniewu. Można by jej teraz pokazać. Co ona sobie myśli, kim ona jest, by go tak traktować? I mówić swoim nowym gachom rzeczy, które kiedyś powiedział jej w zaufaniu?! Nie, nie

może tak tego odbierać! Musi wrócić do siebie, do swojego normalnego sposobu myślenia. Do siebie, takiego, jakim jest naprawdę. „Powinien pójść w ślady ojca i siostry...” Kurwa! Jak mogła tak powiedzieć! I to jemu, temu psychopacie! Powinien przyjebać jej za to w ten wyniosły, przekonany o swojej wyższości ryj! Stop! Stop! Opanuj się, człowieku! Nie jesteś przecież taki. Jej nagie piersi aż prosiły się, żeby położyć na nich ręce i ścisnąć. Mocno, aż poczuje ból i pożałuje...

Miejsce między jego nogami coraz bardziej nabrzmiwało. Było już chyba za późno, za późno, by się cofnąć. Wezbrane wody gniewu i pożądania rozmywały i unosiły w dal ostatnie reduty obrony niczym fale powodzi porywające domy i samochody. Wykrzywił się, choć znowu poczuł, jakby przydarzyło się to komuś innemu. Czy jeśli będzie ją gwałcił, też będzie miał takie uczucie? Nie chciał tego, wiedział, że nie może, ale czuł, że jego opór coraz bardziej słabnie. Za chwilę podejdzie do niej i zrobi to, a raczej zrobi to ten ktoś, kim tak naprawdę nie jest, albo właśnie kim tak naprawdę jest.

Gorbała śmiał się, widząc, co się z nim dzieje, będąc już pewnym zwycięstwa. Wkurwiło go to, niepotrzebnie to robił. Spojrzał na niego ze złością. Karolina wydała naraz zduszony kneblem krzyk. Spojrzał więc teraz na nią. To mu coś przypomniało. Coś, co mogłoby mu się teraz przydać. Była taka technika... Mówił mu o niej ktoś kiedyś... Technika na wyciszenie emocji i włączenie racjonalnego sposobu myślenia... Patrzyło się raz w lewo, raz w

prawo, a potem trzeba było wziąć głęboki oddech, taki z przepony...
Dwie, trzy sekwencje...

Nie, nie da rady teraz tego wykonać. Nie w takim stanie. Ale może wystarczy sam oddech. To reakcja fizjologiczna... Niezależna od świadomości...

Spróbował ocenić swój stan. Wsłuchać się w rytm oddychania. Jego oddech był płytki. Szybki i płytki. Normalna reakcja na silny stres.

Wstrzymał go na chwilę. Potem powoli zaczął wciągać powietrze przez nos. Starał się uruchomić przeponę, a nie jak zwykle mięśnie klatki piersiowej. Gorbała chyba coś zauważył. Spojrzał na niego z niepokojem.

— Co ty kombinujesz? – spytał.

Zaczął teraz wydychać powietrze. Ciągle przez nos i ciągle powoli. Jakby spuszczał dmuchaną piłkę. Aż do momentu, w którym nic już nie było.

Już dobrze. Pomogło. Fale cofnęły się. Poczuł, jak ogarnia go spokój. Spojrzał teraz prosto w oczy Gorbały. Podniósł rękę z szablą i wycelował ostrze w jego głowę. Nie latało już na boki tak jak przedtem.

— Puść ją! – wychrypiał.

Gorbała zrozumiał już, że tę rundę przegrał. Jego twarz wykrzywił grymas złości. Odszedł szybko parę kroków i podszedł do stojącej pod kandelabrem komody. Wyciągnął górną szufladę i coś z niej wyjął. Potem wrócił i też uniósł rękę, jak wcześniej Rozłucki.

Coś w niej było, jakiś ciemny kształt. Pistolet. Kwadratowa lufa z okrągłym otworem celowała teraz prosto w głowę Rozłuckiego.

— Szkoda – powiedział. – A mogło być tak fajnie. Ty byś sobie ulżył, a ja bym się pośmiał. Ale jak nie, to nie. Żegnaj, doktorku!

Stali teraz naprzeciw siebie: Rozłucki z szablą, a Gorbała z pistoletem. Raczej nie miał szans w tym pojedynku.

Gorbała patrzył na niego, uśmiechając się cynicznie. Nie pociągał za spust chyba tylko dlatego, by jeszcze przez chwilę móc napawać się swoim tryumfem.

— Ją też będę musiał teraz zabić, wiesz o tym? – Wskazał ruchem głowy Karolinę. – Ale użyję do tego szabli, którą trzymasz. Byliśmy w łóżku, gdy ty wpadłeś i w szale zazdrości próbowałeś nas zabić. Zastrzeliłem cię w obronie własnej, ale wcześniej udało ci się dźgnąć ją szablą w szyję. Przeciąłeś tętnicę szyjną, krwotok był zbyt silny i nie udało mi się jej uratować. Żyła jeszcze najwyżej minutę, umierając w moich ramionach. Jak ci się podoba taka historia? Tylko trochę nakłamię, prawda? Ten początek z zazdrością jest przecież prawdziwy.

Rozłucki stał wciąż z wyciągniętą przed siebie bez sensu ręką. To będzie jak egzekucja. Nie było już nic, co mógłby zrobić. Zanim podniesie rękę nad głowę, by ciąć szablą, tamten zdąży wystrzelić ze trzy razy. Opuścił rękę, opierając rękojęść o udo. Metalowy pierścień przy jelcu boleśnie wpił mu się w kciuk.

I wtedy sobie coś przypomniał. Coś, co powiedział poprzednim razem Gorbała. Metalowy pierścień, w który wkłada się kciuk,

umożliwia wyprowadzanie krótkich, szybkich ciosów na wprost bez konieczności zamachu.

— Nie odbezpieczyłeś pistoletu – powiedział.

Gorbała ściągnął brwi i spojrzał na trzymaną w rękę broń. Ten krótki moment nieuwagi wystarczył. Rozłucki wyrzucił do przodu ramię, celując ostrzem szabli prosto w jego szyję. Trafił. Gorbała chwycił się lewą dłonią za gardło. Spod jego palców trysnęła krew. Dużo krwi. Dłoń z pistoletem opadła. W jego oczach pojawił się strach, może po raz pierwszy w życiu. Miał teraz najwyżej minutę życia, wiedział o tym. Po chwili jednak strach ustąpił miejsca czemuś innemu. Podniósł z powrotem rękę i wycelował pistolet w Rozłuckiego. Potem uśmiechnął się kącikiem ust i skierował broń na Karolinę.

— Nie!!! – krzyknął Rozłucki i uniósł nad głowę szablę. Ciął mocno, przez głowę. Padł strzał. Wcześniej albo później. Ciało Gorbały upadło na podłogę. Palce rozluźniły się i krew chlusnęła ostatnim czerwonym gejzerem.

Spojrzał na Karolinę. Na jej ciele nie było widać żadnego śladu trafienia. Puścił rękojeść szabli i rzucił się ku niej. Zaczął gorączkowo sprawdzać, czy nie ma gdzieś rany. Oczy miała otwarte, słuchać było, jak próbuje coś powiedzieć mimo knebla. Nie widział żadnej rany. Sięgnął do ust, by wyciągnąć to coś, co jej tam wepchnął Gorbała. Jakaś szmata, nasiąknięta śliną, trudno ją było wyjąć. W końcu się udało.

— Karolina! – krzyknął. – Karolina!

Nie odpowiedziała. Jej otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Zaczął nią potrząsać. Co się działo? Nie widział przecież żadnej rany!

Dopiero teraz ją zobaczył. Czerwony biustonosz, który Gorbała zerwał z Karoliny i odrzucił na bok, przykrywał niewielki otwór tuż nad jej lewą piersią. Gdy nią potrząsał, zsunął się i odsłonił małą, naprawdę bardzo małą dziurkę. Sączyła się z niej krew i wsiąkała z tyłu w ciemną, satynową poduszkę.

ROZDZIAŁ 51

Białe, ostre światło przebijało się nawet przez zamknięte powieki. Przełknął ślinę. Usta i język były tak suche, że aż zabolalo. Gdzie był? Co to za dźwięk, który słyszał? Monotonny, jednostajny i denerwujący jak brzęczenie owada.

Powoli otworzył oczy. Białe światło wdarło się przez źrenice aż do samego środka mózgu. Zacisnął powieki z powrotem, odczekał chwilę i otworzył je znowu. W kącikach oczu miał pełno ropy. Chciał ją zetrzeć, lecz wtedy zorientował się, że nie może podnieść ręki. Spojrzał w dół. Był przypięty pasami. Rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie, w którym przebywał, przypominało salę w szpitalu. Różniło się od niej tylko kratami w oknach i dość solidnymi drzwiami. No i tymi pasami przy łóżku. Był w szpitalu psychiatrycznym. Tak to przynajmniej wyglądało.

— Halo! – krzyknął. – Halo!

Jego głos był schrypiałą od długiego niemówienia. Dostrzegł w rogu pokoju przy suficie małą, białą kamerę nakierowaną na jego łóżko.

— Halo! – krzyknął w jej stronę.

Po chwili drzwi otworzyły się. Nie słychać było szczęku zamka, więc nie były zamknięte na klucz. Weszła przez nie postać w

białym kitlu. Znał ją. Znał tego człowieka. Był to doktor Goczał.

Jego przyjaciel podszedł do łóżka i usiadł na białym taborecie stojącym obok.

— Cieszę się, że się obudziłeś – powiedział. – Jak się czujesz?

— Pić mi się chce – odpowiedział.

Doktor Goczał wziął z szafki przy łóżku szklankę z wodą, wyjął z niej patyczek do zwilżania ust i podsunął mu ją do twarzy. Rozłucki uniósł głowę, przytknął usta do szklanki i zaczął pić. Nie skończył, dopóki nie wypił wszystkiego.

— Możesz mnie odpiąć? – spytał.

— Chyba tak – odparł Goczał. – Kazałem to zrobić, bo nie byłem pewien, jak zareagujesz, gdy już się w końcu obudzisz. – Zaczął odpinać skórzany pas przy jego lewej ręce.

— Długo tak leżę?

— Ponad tydzień. Pamiętasz, co się wydarzyło?

Spojrzał w sufit. Tak, pamiętał.

— Ale nie wszystko – odpowiedział. – Jak tu trafiłem?

Jego przyjaciel wstał i nachylił się nad nim, by odpiąć pas przytrzymujący drugą rękę.

— Znaleźli cię następnego dnia, w poniedziałek – mówiąc to, nie patrzył mu w oczy. – Siedziałeś na łóżku przy jej ciele. Nie było z tobą żadnego kontaktu, więc przywieźli cię do nas. Dziś po raz pierwszy się obudziłeś.

Rozłucki z trudem uniósł do góry obie dłonie. Popatrzył na nie i poruszył palcami. Miał wrażenie, że zaskrzypiały.

— Dostałem pigułkę gwałtu – powiedział. – Ale większość chyba wyrzygałem. To może być jej skutek?

— Raczej nie. Pigułka gwałtu skutkuje zazwyczaj kilkugodzinną amnezją. Ty, jak twierdzisz, wszystko pamiętasz. Pewnie dlatego, że ją zwróciłeś, zanim zdążyła się dostatecznie wchłonąć. A twoja katatonia ma raczej podłoże psychiczne. Odruch obronny umysłu, który nie może sobie poradzić z traumatycznym doświadczeniem.

Traumatyczne doświadczenie... A więc tak nazywało się to, co przeżył. Śmierć Karoliny, zabicie Gorbały i jego poczucie winy, że nie zdołał jej uratować. Sam często używał tego terminu, ale zazwyczaj w odniesieniu do przeżyć innych. Teraz dopiero zauważył, jak niepoważnie, wręcz obraźliwie to brzmiało.

— Chcesz coś? Jakies leki? – spytał doktor Goczał. – Xanax, albo coś innego?

— Pewnie – odparł. – Wszystko, co masz.

Jego pobyt w szpitalu trwał jeszcze ponad tydzień. Wreszcie, po wielokrotnie ponawianych pytaniach, czy na pewno jest gotowy już wyjść, i jego konsekwentnych odpowiedziach, że tak, doktor Goczał wręczył mu wypis. A razem z nim cały plik recept na wszelkie możliwe wygaszacze lęku i poprawiacze nastroju.

W końcu wyszedł. Jego przyjaciel odprowadził go jeszcze do apteki mieszczącej się na parterze sąsiedniego budynku i przypilnował, by wykupił wszystkie leki. Minął dziesiąty i na koncie Rozłuckiego znowu pojawiły się pieniądze: pensja ze szpitala

i czynsz za mieszkanie w Warszawie. Przy okazji wypłacił pieniądze z bankomatu i oddał dług przyjacielowi.

— Zamówić ci taksówkę? – spytał go ten jeszcze na pożegnanie.

— Nie, dziękuję. Pojadę autobusem.

Nie musiał. Pod szpitalem ktoś na niego czekał. Weronika.

Spojrzała na niego bez słowa, on również nic nie powiedział.

Odwróciła się i ruszyła przez przejście dla pieszych. Poszedł za nią.

Po drugiej stronie był parking, na którym stał jej samochód.

— Skąd wiedziałaś, że wychodzę? – spytał, gdy już wsiedli.

— Dzwoniłam codziennie do szpitala. Chcieliśmy przyjść z Sądeckim, ale ten twój lekarz powiedział, żeby ci dać spokój.

— To miło z waszej strony.

Ruszyli.

— Był już pogrzeb? – spytał.

— Tak – odpowiedziała. – W zeszłym tygodniu. Była jedynaczką.

Przykro było patrzeć.

Dobrze, że wziął swoją poranną porcję otępiaczy. Bardzo dobrze.

— Musimy porozmawiać – powiedziała, gdy już wyjeżdżali z Olsztyna. – O śledztwie. Jesteś na to gotowy czy wolisz jeszcze trochę poczekać?

Patrzył przed siebie na białe pasy namalowane na czarnej jezdni. Jakoś go to uspokajało.

— Jestem – powiedział.

— Na pewno?

— Na pewno.

Zamilkła na chwilę. Czekał cierpliwie. W zasadzie nawet nie czekał, po prostu siedział.

— To nie on – powiedziała wreszcie. – To nie Gorbała zabił Ewę Krupińską.

Odwrócił powoli głowę w jej stronę.

— Jak to? – spytał.

— Ma niepodważalne alibi na ten dzień. Był w Amsterdamie. Bilety lotnicze, świadkowie, zdjęcia wrzucone na Facebooka – cała kupa dowodów, że nie było go wtedy w Polsce. To nie mógł być on.

— Ale... – Nie wiedział, co powiedzieć.

— Cała reszta się zgadza – dodała szybko. – Te gwałty. Dotarłam w końcu do tej Ukrainki i tej drugiej, Polki. Obie potwierdzają, że miało to miejsce. Najpierw coś w rodzaju randki, potem przemoc i gwałt. A potem zastraszanie i przekupstwo. Ale ze śmiercią Ewy Krupińskiej nie miał nic wspólnego.

Osunął się głębiej w fotelu i znowu zaczął patrzeć na drogę. Już go to jednak nie uspokajało.

— Wykluczaliśmy też ostatecznie tego chłopaka, kolegę Ewy – ciągnęła dalej. – Pamiętasz go, wracali razem z imprezy. Przeszukaliśmy jego dom. Znaleźliśmy spodnie pobrudzone spermą. Od wewnętrznej strony. Schował je, całe szczęście, nie uprał. Może nie potrafił, a może bał się, że matka zauważy, nie wiem. Przycisnęliśmy go i powiedział w końcu, jak było naprawdę. Już nie cwaniakował. Wracali razem przez ten las i on w pewnym momencie zaczął się do niej dobierać. Ona podobno nie miała nic

przeciwno. Ale to był jego pierwszy raz i chłopak nawalił. Spuścił się w spodnie. Zaczęła się z niego strasznie śmiać, więc uciekł. Potem wysłała mu jeszcze zdjęcie. Selfie z obnażoną piersią i podpisem: „Patrz, co cię ominęło, frajerze!”. To zdjęcie jest ostatecznym dowodem, że żyła jeszcze po ich rozstaniu. Skasował je potem, ale naszym technikom udało się je odzyskać. Nie przyznał się do tego wszystkiego, bo się po prostu wstydził.

Dojechali pod jego dom. W samą porę, bo już miał ochotę wyskoczyć z auta.

— A ksiądz? – spytał.

— Bez zmian. Przyznaje się, ale nie mówi nic więcej.

Wysiadł, wysiadła razem z nim.

— Potrzebujesz czegoś? – spytała. – Pieniądzy, zakupów albo czegoś innego?

— Nie, dzięki – odparł. Nawet się uśmiechnął. – Potrzebuję być sam.

— Na pewno? Nie zostać z tobą? Sądecki zrozumie.

— Nie, naprawdę. Jedź już.

— Jak wolisz. Jakbyś czegoś potrzebował, dzwoń.

— Jasne.

Odjechała. Jej też pod sam koniec oddał pożyczone pieniądze. Chciał mieć to wszystko już pozałatwiane.

Wszedł do domu, wziął krzesło i wyniósł je na dwór. Usiadł na nim i zaczął patrzeć na jezioro. Było ciepło, prawie jak w lato. Pogoda podczas jego pobytu w szpitalu bardzo się zmieniła. Poczul

zapach proszku do prania. Ktoś uprał jego koszulę i spodnie, które miał wtedy, u Gorbały. Ubrany był teraz tak samo jak w tamten wieczór. Jakby nie minęły dwa tygodnie, jakby nic się nie stało.

Trudno powiedzieć, ile tak siedział. Godzinę, dwie, trzy? W pewnym momencie, nagle, bez nawet żadnej poprzedzającej to myśli, sięgnął po małą reklamówkę, w którą zapakowano mu jego lekarstwa w aptece. Wyjął z niej wszystkie opakowania xanaxu i zaczął po kolei wyciskać tabletki na rękę. Po chwili miał już ich całą garść. Spojrzał na nią. Czy to wystarczy? Powinno. Nawet apap w tej ilości zabija. Nie będzie już musiał o tym wszystkim myśleć. Nie będzie musiał się zastanawiać, czy gdyby wtedy nie poszedł do Gorbały, gdyby nie walnął pięścią w okno, Karolina by wciąż żyła. Zgwałcona, upokorzona i pobita, ale żywa. Nie będzie musiał czuć tego straszego poczucia winy.

Podniósł garść do ust, lecz zatrzymał rękę w pół drogi. Chyba nie zdoła tego połknąć bez popijania. Raczej na pewno nie. Jedną lub dwie tabletki tak, ale nie taką ilość. Musi pójść do domu po wodę. Naraz jego wzrok padł na jezioro. Tam przecież też była woda. A w tej sytuacji nie miało specjalnego znaczenia, czy była czysta, czy nie. Wstał z krzesła i ruszył w stronę brzegu.

Zatrzymał się tuż nad wodą. Niewielkie fale niemrawo uderzały o brzeg, pozostawiając na nim wąski pasek brudnej piany. Dalej już jednak woda była w miarę przejrzysta. Wystarczy wyspać teraz tabletki do ust, wejść trochę głębiej, nabrać zielonkawego płynu w złożone dłonie i popić. Musi tylko pokonać tę bezsensowną, biorąc

pod uwagę okoliczności, niechęć przed zamoczeniem butów.

Nie zdążył jednak tego zrobić. Za jego plecami rozległ się warkot silnika. Obejrzał się odruchowo. Drogą za jego domem zjeżdżał samochód. Duży fiat w piaskowym kolorze. Po chwili zatrzymał się tuż przy nim.

Wysiadł z niego Krzysiek, jego kolega od butelki.

Zacisnął pięść i schował ją do kieszeni.

— No i jak ci się podoba? – spytał Krzysiek. Uśmiechał się szeroko.

— Co?

— No, jak to co? Samochód. Twój samochód. Nieźle go odpicowałem, co?

Rozłucki spojrzał na miejsce na podwórku, gdzie zawsze stał kanciasty kształt okryty plandeką. Faktycznie, było puste. Plandeka zwinięta w bezkształtną bryłę leżała obok.

Przeniósł wzrok na stojące przed nim auto. Było tu i ówdzie podrdzewiałe, ale jego silnik chodził, a z rury wydechowej wydobywał się dym.

— Kiedy to wszystko zrobiłeś? – spytał.

— No, jak to kiedy? Jak byłeś w szpitalu. Pomyślałem, że przyda ci się teraz samochód. No wiesz.

Poklepał auto po dachu. Umył je nawet. I chyba czymś nawoskował. Lakier, mimo że zmatowiały ze starości, lekko lśnił.

— Dzięki. – Rozłucki był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć. – Ile ci jestem winny?

— O, daj spokój! – Machnął ręką Krzysiek. – Zwrócisz mi tylko za części. Robociznę masz gratis, w prezencie.

— Nie, no nie mogę się na to zgodzić – zaprotestował Rozłucki. – Napracowałeś się. Mam teraz pieniądze.

— Powiedziałem: daj spokój. Potraktuj to jako dowód uznania. Podziękowanie za to, co zrobiłeś.

— A co ja takiego zrobiłem?

— Załatwiłeś go. Tego skurwysyna. Dawno mu się należało. Paru ludziom zmarnował życie. Dobrze, że ktoś mu się odwdzieczył.

Rozłucki uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. Nie do końca tak na to patrzył. Tabletki w jego zaciśniętej, spoconej dłoni wciąż czekały.

— Myślę, że Magda też ci jest wdzięczna. I Robert. Wiesz, że chyba się z powrotem spiknęli? To znaczy nie to, że coś. Przychodzi do niej czasami. Pomaga. Pić nawet przestał. Zapisał się do AA. Ja zresztą też. Jak wszyscy, to wszyscy. Sam przecież nie będę siedział pod sklepem. Zresztą mam teraz pracę, muszę być odpowiedzialny.

— Pracę? Gratuluję.

— A pewnie! Tak mi się spodobało to grzebanie przy samochodach, że zatrudniłem się w warsztacie. Przyjęli mnie na okres próbny. Będzie dobrze – uśmiechnął się znowu szeroko.

„Będzie dobrze...” Rozłucki poczuł nagły ścisk w żołądku. Jakby ktoś wyssał mu ze środka całe powietrze.

— Świetnie – powiedział. – Bardzo się cieszę.

Znowu miał wrażenie, że ktoś mówi zamiast niego. Choć przyczyna tym razem była zupełnie inna.

— Wpadnij do nas kiedyś na obiad. Dziś albo jutro. Moja żona bardzo chciałaby cię poznać.

— Dobrze – odparł.

„Idź już”, pomyślał.

— To może jutro, co? Tak koło siedemnastej, bo wtedy wracam z roboty. To co, jesteśmy umówieni?

Rozłucki kiwnął głową. Czy kiwnięcie głową można uznać za kłamstwo? Dłoń zaciśnięta na tabletkach coraz bardziej się pociła.

— To na razie. Kluczyki są w stacyjce. – Wyciągnął do niego rękę na pożegnanie. Rozłucki spojrział na nią skonsternowany. Tego nie przewidział. Nie wypadało nie odwzajemnić tego gestu. Nie podanie komuś ręki to najgorsza obraza. Ten stojący przed nim człowiek nie zasłużył na to, zwłaszcza po tym, co dla niego zrobił. Jego dłoń zaciśnięta w kieszeni otworzyła się. Tabletki wysypały się. Wyciągnął ją nieśpiesznie obcierając spód dłoni o wnętrze kieszeni, by odlepić przyklejone do niej pastylki.

— Na razie – powiedział i uściśnął dłoń mężczyzny.

Jego rozmówca jednak wciąż nie miał zamiaru go opuszczać.

— Dziwne tylko, że to nie Gorbała zabił małą Ewę – powiedział w zamyśleniu. – Bo to nie on, prawda? Wychodzi więc na to, że to jednak ksiądz. To trochę tak, jakby twoja przyjaciółka zginęła bez sensu.

Odszedł. Rozłucki jeszcze długo patrzył na jego plecy. „...twoja przyjaciółka zginęła bez sensu”. To ostatnie zdanie przecięło go na pół, wbiło w ziemię i zdeptało. Karolina zginęła bez sensu... To, że

umarła przez niego, już do niego jakiś czas temu dotarło, lecz że zginęła po nic – to zrozumiał dopiero teraz. Skoro to nie Gorbała zabił Ewę Krupińską, ofiara z jej życia poszła na marne.

Nie mógł do tego dopuścić. Musiał poznać całą prawdę. Był to jej winny. To był jego ostatni dług do spłacenia.

ROZDZIAŁ 52

Zatrzymał swój nowy stary samochód pod domem Robercika, którego już teraz, jeśli wierzyć temu, co mówił Krzysiek, należałoby nazywać po prostu Robertem. Wysiadł zeszywniały. Dawno nie prowadził w ogóle, a już takiego samochodu w szczególności. Dłonie bolały go od zaciskania na kierownicy, kark od napięcia, z jakim wpatrywał się w drogę, a siedzenie od sztywnych sprężyn fotela kierowcy, z których niektóre były co gorsza zwichrowane i nie do końca spełniały swoją funkcję.

Miał nadzieję, że Robert jest w domu, nie u Krupińskiej. Chciał z nim porozmawiać i była to rozmowa, której niewątpliwie nikt inny nie powinien słyszeć. Podeszedł do furtki.

Tuż za nią stał czarny okrągły plastikowy pojemnik na śmieci. Był pełen, a i tak najwyraźniej okazał się za mały, bo wokół niego leżały w stosach rzeczy również przeznaczone do wyrzucenia. Ktoś robił tu ostatnio solidne porządki. W domu, a pewnie i w życiu.

Przechodząc obok dostrzegł coś, co w pierwszej chwili wziął za ludzkie ciało. Nie dał się jednak drugi raz nabrać na tę samą sztuczkę. Podeszedł bliżej i podniósł spory kawał dykty, spod którego wystawały kobiece nogi. Leżała pod nim amerykańska dziewczyna Roberta. Najwyraźniej ich związek uległ zakończeniu.

— Jesteś zainteresowany? – usłyszał głos. Podniósł wzrok. Stał przed nim Robert. Wyglądał, jakby miał zamiar się uśmiechnąć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

— Widzę, że ją rzuciłeś – powiedział Rozłucki i to on się uśmiechnął. To, że miał w środku czarną, wypaloną dziurę nie znaczyło jeszcze, że wszyscy wokół muszą kryć się ze swoim dobrym nastrojem.

— Tak jakby – odparł Robert. Tym razem już się uśmiechnął.

— Nie chciałeś jej sprzedać? – spytał Rozłucki. – Kosztowała chyba kupę kasy.

— Nie chciałem. To szatański wynalazek. Po co ma komuś robić wodę z mózgu, tak jak kiedyś robił mnie?

— W sumie racja – odparł Rozłucki. Zastanawiał się, od czego zacząć.

— Wejdiesz do środka? – spytał Robert.

— Nie. To dobre miejsce, ten śmietnik.

— Do czego?

Rozłucki usiadł na dykcie. Coś pod nią trzasnęło i pękło.

— Przyłączysz się? – spytał.

Robert bez słowa usiadł obok niego. Pod dyktą znowu coś chrupnęło. Amerykańska narzeczona nie była już chyba tak ładna jak kiedyś. Robert wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Włożył jednego do ust i zapalił.

— To też rzucę – mruknął. – Kiedyś.

Zaciągnął się i wydmuchał dym.

— To o co chodzi? – spytał.

Rozłucki gestem poprosił o papierosa. Postanowił, że nie będzie pił. Przynajmniej dopóki wszystkiego nie pozałatwia. A głupio tak żyć bez żadnego nałogu.

— Widzę, że robisz porządki – powiedział. Podpalił papierosa i zaciągnął się. – To dobrze, bo chciałem cię namówić, żebyś jeszcze coś wyrzucił.

— Co?

— Powiedz mi, co się tak naprawdę stało w tym lesie? Skąd miałaś jej majtki?

Blefował. Wcale nie był pewien, czy Robert coś ukrywa. Może powiedział na policji prawdę?

— Znalazłem je. Już mówiłem.

Rozłucki poczuł, że jego sąsiad z dykty zeszywniał. Czyli coś było na rzeczy. Zaciągnął się ponownie i powoli wypuścił dym.

— Słuchaj – powiedział. – Jestem psychologiem. Psycholog to taki lekarz od głowy. Obowiązuje nas tajemnica lekarska, tak samo jak zwykłych lekarzy. Jeśli powiesz mi coś w ramach relacji terapeutycznej, nie mam prawa o tym nikomu powiedzieć. To jak tajemnica spowiedzi. No więc oświadczam ci uroczyście, że przyszedłem tu do ciebie nie jako znajomy, ale jako psycholog i że nasza rozmowa nie jest zwykłą pogawędką, ale rozmową w ramach terapii. Bo też uważam, że dla twojego zdrowia psychicznego, teraźniejszego, jak i przyszłego, musisz o tym komuś opowiedzieć. Zrzucić z siebie ten ciężar. Jeśli chcesz zbudować trwałą, zdrowy

związek, i to nie z tą panią spod spodu, ale z normalną, prawdziwą kobietą, musisz to z siebie zrzucić. Jeśli chcesz przestać pić i zacząć żyć prawdziwym życiem, musisz to z siebie zrzucić. Inaczej prędzej czy później to do ciebie wróci i wszystko zniszczy.

Droga wiała się leniwymi zakrętami. Wiekowe drzewa porastały jej pobocza z obu stron niekończącym się szpalerem. Niewielkie, omszałe wioski, które mijał raz za razem wydawały mu się coraz bardziej poniemieckie, a coraz mniej polskie. A w zasadzie nawet nie poniemieckie, bo nie wyglądały przecież jak te wszystkie schludne miasteczka, które odwiedzał w tych dawnych czasach, gdy jeździł na różne kongresy i konferencje do Niemiec. Wyglądały, jakby ciągle jeszcze mieszkali w nich pogańscy Prusowie, którzy tylko przed obcymi udawali kiedyś Niemców, a teraz Polaków, a tak naprawdę mówiący wciąż między sobą swoim dziwnym, niezrozumiałym dla nikogo innego językiem. Nazwy, które odczytywał z białych, przydrożnych tabliczek, zdawały się tylko to potwierdzać. Dywity, Kabikiejmy, Smolajny – wszystkie one brzmiały, jakby pochodziły z języka dzikich, malujących sobie twarze krwią kanibali.

Jechało mu się coraz lepiej. Powoli przyzwyczajał się do swojego powstałego z martwych niczym Łazarz samochodu. Kierownica bez wspomagania, ciężko i z trudem wchodzące biegi, skrzypiący i naprawdę bardzo niewygodny fotel oraz hałas i wrażenie szorowania niemal nogami po asfalcie – wszystko to

rekompensowała fizyczna i bardzo sensualna radość z jazdy. Radość, która pozwalała mu chwilami niemal zapomnieć o tamtym.

Dojechał w końcu do celu swojej podróży. Minął tablicę z nazwą miasta i z niejakim trudem odszukał odpowiednią ulicę. Poprzednim razem prowadziła Karolina, więc nie było to wcale takie łatwe. Wreszcie, po kilku pomyłkach, zawrotach i kluczeniu, dotarł na miejsce.

Nie zatrzymał się pod samym domem, ale trochę wcześniej. Tak, by siedząc w samochodzie, widzieć przez przednią szybę jego wejście. Nie chciał tam podchodzić, dzwonić do drzwi, a potem tłumaczyć, po co przyszedł i prosić o spotkanie. Naprawdę nie miał już siły na takie rzeczy. Wolał poczekać, aż ona wyjdzie. Prędzej czy później musiała wyjść. Miał czas. Do niczego i nikogo już się nie spieszył.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jedną, oblepioną paprochami tabletkę xanaxu. Włożył ją do ust i popił wodą z plastikowej butelki. Przez chwilę znowu miał ochotę połknąć jej wszystkie, ale udało mu się powstrzymać. Miał w końcu coś do zrobienia i dopóki tego nie zrobi, nie może sobie pozwolić na żadne przyjemności.

Wyszła w końcu. Zobaczył, jak wystawia na dwór wózek, a po chwili wynosi i wkłada do niego dziecko. Począł, aż wyjedzie za furtkę, skręci w prawo i odejdzie wystarczająco daleko, by nie było jej widać z domu. Wtedy ruszył, minął ją i zatrzymał się parę metrów przed nią. Wsiadł z auta. Poznała go.

— Potrzebuję pani pomocy — powiedział.

— Weronika? – odebrała szybko, po drugim sygnale. Widocznie był teraz na jej priorytetowej liście.

— No cześć. Coś się stało, potrzebujesz czegoś? – W jej głosie dało się wyczuć lekkie zaniepokojenie.

— Wszystko w porządku, żyję – uspokoił ją. – Ale tak, potrzebuję twojej pomocy.

— Mam przyjechać? – spytała.

— Nie. To raczej ja chciałbym przyjechać do ciebie. Muszę porozmawiać z księdzem.

— Wiesz przecież, że po waszej ostatniej rozmowie on nie chce już z tobą rozmawiać.

— Przekonaj go. Tobie nie odmówi. Tobie nikt nie odmawia. Będę u was za godzinę.

— Możemy wyłączyć nagrywanie i kamery? – spytał.

— Po co? – spytał Sądecki.

— Chciałbym się wypowiedzieć. Tego nie robi się publicznie.

— Po to przyjechałeś? – spytała Weronika.

— Po to i nie tylko po to – odpowiedział. – Mogę cię prosić, byś tego dopilnowała? – zwrócił się bezpośrednio do niej.

— Tak, oczywiście. – Spojrzała na komisarza, jakby pomyślała o tym samym, co on. Że mogłby nie uszanować prośby Rozłuckiego.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— Ale... – zaczął Sądecki.

— Daj spokój – przerwała mu Weronika. – Postanowione.

— Czy mi się wydaje, czy to ja jestem raczej twoim przełożonym?

— Daj spokój – powtórzyła.

Wszedł do pokoju przesłuchań. Weronika zamknęła za nim drzwi. Sięgnął do kieszeni. Tabletki były tam ciągle. To dobrze. Uspokajało go to.

Usiadł na krześle naprzeciwko drzwi plecami do ściany. Nie czekał długo. Ksiądz wszedł po kilku chwilach. Spojrzał na niego raz, krótko, i usiadł na drugim krześle.

— Chciał pan ze mną rozmawiać – bardziej stwierdził niż spytał.

— Tak – odparł Rozłucki.

— Po co?

— Chciałbym się wyświadczyć.

Mężczyzna spojrzał na niego ponownie.

— Nie jestem już księdzem, mówiłem już.

— Jest pan. Nikt pana formalnie nie wydalil z stanu kapłańskiego. I nie może mi pan odmówić spowiedzi. Cięży na moim sumieniu śmiertelny grzech. Nie pójdę z nim do żadnego innego księdza. Od pana decyzji zależy moje zbawienie.

Nie odpowiedział.

— Ostatni raz u spowiedzi byłem... – zastanowił się – ... kilkanaście lat temu – zaczął recytować zapamiętaną z dzieciństwa formułkę. – Pokutę naznaczoną odprawiłem. Od tego czasu obraziłem Pana Boga tym, że zabiłem człowieka.

— W obronie własnej – odparł ksiądz. – To nie jest grzech.

Każdy ma prawo do obrony.

— I doprowadziłem do śmierci kobiety, którą kochałem.

— Z tego, co wiem, to on ją zabił.

— Ale przeze mnie. Gdybym tam wtedy nie wszedł, próbując udowodnić księdza niewinność, żyłaby.

Przez twarz mężczyzny przeszedł ledwo zauważalny skurcz.

— Nie może pan być tego pewien – odparł. – Że i tak by jej nie zabił.

— Nie był mordercą. Nikogo wcześniej nie zabił. Nie zabił też Ewy Krupińskiej. Ksiądz wie, kto to zrobił. Niech mi ksiądz powie. Potrzebuję tego, by ocenić wagę swojej winy.

Mężczyzna schylił się i jakby skurczył na krześle.

— Ja jestem mordercą – powtórzył po raz kolejny.

— Nie jest ksiądz – powiedział Rozłucki. – Dopiero niedawno zwróciłem na to uwagę. Że nie mówi ksiądz „zabiłem Ewę Krupińską”, ale właśnie to: „jestem mordercą”. Chodzi o inne morderstwo, prawda? Przyznaje się ksiądz do innego morderstwa, by chronić kogoś, kto dokonał tego. Nie wiem dlaczego, bo nie wiem, kto to jest. Na pewno nie Gorbała, bo w tym momencie nie miałoby to sensu. Zresztą miał podobno żelazne alibi. To bardzo szlachetne. Iście chrystusowa ofiara. Przyjął ksiądz na siebie cudzy grzech, by odkupić własny. Tylko jest problem. W tym kontekście bardzo poważny. Nie popełnił ksiądz żadnego grzechu.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na niego. Rozłucki sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął z niej zdjęcie. Położył je na stole

przed księdzem. Zdjęcie młodej kobiety z dzieckiem na ręku.

— Kto to jest? – wydusił mężczyzna.

— Dziecko – odparł Rozłucki. – Pana dziecko. Syn. Nie powiedziała panu o tym, prawda? Miła dziewczyna. Widocznie nie chciała robić kłopotu. Nie było żadnej aborcji. Pieniądze, które pan jej wtedy dał, leżą wciąż schowane w jej pokoju. Trzyma je na wypadek, gdyby chciała się kiedyś wyprowadzić od rodziców.

Mężczyzna otworzył usta. Wyglądał, jakby skamieniał.

— Nie jest ksiądz żadnym mordercą.

ROZDZIAŁ 53

Wyszedł z pokoju przesłuchań. Musiał to zrobić. Nie mógł patrzeć na łzy tego człowieka. Widocznie przypominały mu o tych łzach, które sam powinien wylać, lecz nie potrafił. Weronika i Sądecki czekali na niego.

— I co? – spytali prawie jednocześnie.

— To nie on, tak jak mówiłem. Odwoła przyznanie się do winy. Musicie go wypuścić. Innych dowodów nie macie.

— To kto? Kto w takim razie ją zabił? Powiedział? – spytał Sądecki.

— Nie. Tajemnica spowiedzi. Od tego, jak twierdzi, nie ma wyjątków.

— Kurwa mać! – zaklął Sądecki. – Czyli jesteśmy znowu w punkcie wyjścia. Nie Gorbała, nie ksiądz i nie ten chłopak. To kto?

— Ktoś z jego parafian – powiedziała Weronika. – Ktoś, kto przyszedł do niego i się z tego wypowiadał.

— Może ten, jak mu tam, Robercik? Ten pijaczek od sekslalki?

— Też nie – odparł Rozłucki. – Rozmawiałem z nim dzisiaj i wiem, że to nie on. Nie mogę powiedzieć dlaczego, bo też obowiązuje mnie coś w rodzaju tajemnicy spowiedzi, ale to na pewno nie on.

— Sąd może cię zwolnić z tej tajemnicy – zauważyła Weronika.

— Tak, tylko to nie ma sensu. Nie powiedział mi nic, co by w jakikolwiek sposób wyjaśniało, kto jest mordercą. Choć jego opowieść rzuciła na sprawę nowe światło.

— Jakie nowe światło? – spytała Weronika.

— Przede wszystkim takie, że morderstwo nie miało podtekstu seksualnego.

— Jak to nie miało? A ściągnięte majtki, a zadarta sukienka?

— Nie zrobił tego morderca.

— To kto? On? Robercik?

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Właśnie to powiedziałaś.

— Nie w sposób oficjalny. I nigdzie tego nie potwierdzę. A ponieważ nie zrobię tego, prosiłbym was również, żebyście zachowali to dla siebie.

— Zajebicie – powiedział Sądecki. – Wszyscy wszystko wiedzą, a nikt nie chce nic powiedzieć. Tajemnica taka, tajemnica sraka. Weźcie wy się wszyscy jebnijcie w łeb!

— Porozmawiajmy zatem czysto teoretycznie – powiedziała Weronika. – Ktoś, nie wiemy kto, znalazł zwłoki Ewy Krupińskiej w lesie. Już nie żyła. I ten ktoś ściągnął jej majtki i zadarł sukienkę, tak?

— Tak.

— Wytłumaczył, dlaczego to zrobił?

— Był kompletnie pijany. Jak zresztą dzień wcześniej, dzień

później i przez wiele innych dni. Na granicy delirium. Wydawało mu się, że to nie ona, ale jej matka, kobieta, w której się kochał wiele lat temu.

— Nie zauważył, że nie żyje?

— Myślał, że to lalka. Taka, jaką miał w domu.

— Wydawało mu się, że to matka Ewy i jednocześnie myślał, że to lalka?!

— W takim stanie wszystko jest możliwe. To jak sen. Coś może być czymś i jednocześnie czymś innym.

— Zrobił coś jeszcze?

— Nie. W pewnym momencie nadeszło coś w rodzaju otrzeźwienia. Przestraszył się tego, co robi, i uciekł. Majtki odruchowo schował do kieszeni. Gdy wytrzeźwiał, nie pamiętał o nich. Dopiero później, gdy się znowu upił, znalazł je i zaczął się nimi chwalić kolegom.

— Możemy go oskarżyć o zbezczeszczenie zwłok – powiedział Sądecki.

— Nie możecie. Rozmawiamy czysto teoretycznie. Nigdzie tego nie powtórzę.

— Przycisnę śmiecia.

— Nic nie powie. Zabroniłem mu.

— Zabroniłeś mu?!

— Jest na najlepszej drodze do wyjścia z nałogu. Ma motywację i cel w życiu. Znowu spotyka się z dawną miłością. Wie, że gdyby to wyszło na jaw, straciłby to wszystko. Zaleciłem mu spowiedź – taką

normalną, u księdza – i trzymanie gęby na kłódkę. To oficjalne zalecenie lekarskie.

— Kurwa mać – pokręcił głową Sądecki.

Weronika przez ten czas intensywnie myślała.

— To dlatego nasz profiler nie wiedział, co o tym sądzić – powiedziała. – Nie potrafił stworzyć portretu psychologicznego domniemanego sprawcy, bo ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni odsyłały do dwóch różnych motywów. A odsyłały do dwóch różnych motywów, bo były dziełem dwóch różnych osób. Kto inny ją zabił, a kto inny obnażył zwłoki.

— Na to wygląda.

— Kto w takim razie zabił? Wiesz to?

— Nie wiem.

— Ale nie wiem, czy znowu „wiem, ale nie powiem, bo wiąże mnie jakaś, kurwa, jebana tajemnica”? – komisarz Sądecki był tym wszystkim wyraźnie poirytowany.

— Naprawdę nie wiem.

Wrócił do domu. Krzesło stało na dworze, tam gdzie je zostawił. Usiadł na nim. Nie pamiętał już o tabletkach w kieszeni. Po chwili wstał, wszedł do domu i zrobił sobie naprawdę mocną kawę. Wyszedł z nią na zewnątrz i z powrotem usiadł na krześle.

Myślał. Myślał intensywnie, popijając coraz mniej gorący, a coraz bardziej stygnący płyn. Starał się przypomnieć sobie wszystko, co ktokolwiek kiedykolwiek mu o tej sprawie powiedział.

Wychwycić niuanse, podteksty, informacje przekazane nie wprost lub mimo woli. Stworzyć siatkę powiązań i konfliktów między bohaterami tego dramatu. Gdzieś tam ukrywał się morderca. Chyba że jest to ktoś zupełnie przypadkowy. Ktoś, kto tu mieszka, przypadkiem spotkał dziewczynę wtedy w lesie, zabił ją, a że ma na przykład córkę w podobnym wieku, przebrał ofiarę w jej rzeczy, żeby zatrzeć ślady. Wtedy jego całe myślenie nie zda się na nic.

Po chwili zastanowienia odrzucił tę możliwość. Nie dlatego, że była nieprawdopodobna, bo była, ale dlatego, że jej przyjęcie oznaczałoby kapitulację. Oznaczałoby też, że wszystko, co do tej pory robił, łącznie z doprowadzeniem do śmierci Karoliny, nie miało najmniejszego sensu.

Postanowił więc zrobić to, co robią wszyscy ludzie. Co robili zawsze, we wszystkich czasach, we wszystkich kulturach świata – założyć, że ciąg zdarzeń, w których brał udział, ma jakiś mniejszy lub większy sens. Że ma przyczynę, powód i że ma cel. I że można te trzy rzeczy odkryć i zrozumieć. Na tym założeniu – wcale przecież niekoniecznie prawdziwym – zbudowana jest ludzka cywilizacja.

No cóż, nie udało się. Kawa się skończyła, zapadł zmrok, a on do niczego nie doszedł. Wstał więc, wszedł do domu, umył się, wziął podwójną porcję otępiaczy i położył się do łóżka w swojej sypialni z zamurowanymi oknami. Po chwili zrobiło mu się bardzo przyjemnie. Pomyślał jeszcze, że ten pokój bez okien jest doskonałą metaforą jego życia, nie potrafił już jednak powiedzieć dlaczego.

Jego umysł, pozbawiony wszelkich lęków, napięć i stresów powoli odpływał. Wszystkie rzeczy, które przytrafiły mu się ostatnio, złożyły się w powolny, zupełnie niedramatyczny film: śmierć Karoliny, silikonowa lalka Roberta, matka Ewy Krupińskiej zmywająca naczynia w jego kuchni, łapiący się za szyję Gorbała, podróż rozklekotanym dużym fiatem... Nagle z tej karuzeli obrazów coś się wyłoniło. Coś odwirowało się z niej i zostało, niczym grudka złota na dnie miski. Otworzył oczy. „Żeby tylko to zapamiętać”, pomyślał. „Żeby tylko to zapamiętać...”

ROZDZIAŁ 54

Rano wstał, ubrał się i zjadł śniadanie. Pamiętał, całe szczęście pamiętał, co to było. Nic w sumie wielkiego. Mały haczyk, za który da się pociągnąć, złamana gałązka przy ścieżce, niewielka szczelina w ścianie skalnej, w sam raz, żeby włożyć w nią palce i podciągnąć się w górę.

Znowu zrobił sobie mocną kawę i znowu wyszedł z nią na dwór. Siedział na krześle, patrzył na jezioro i myślał. Jak to rozegrać, ale przede wszystkim: czy się nie myli? Czy to naprawdę o to chodzi? Czy z tych kilku słów rzuconych mimochodem da się wysnuć aż takie wnioski?

Nie wiedział tego. Interpretacje są zawodne. Ludzkie słowa i czyny bywają wieloznaczne i nigdy nie możemy być pewni, czy znaczenie, jakie im przypisujemy, nie bierze się z filtra, jaki nakłada na nie nasz własny umysł. Ale nie miał nic innego. Żadnego innego punktu zaczepienia. Żadnej innej szczeliny na palce.

Dopił kawę, odstawił kubek na ziemię i podszedł do samochodu. Kluczyki miał już w kieszeni. Wsiadł i ruszył.

Jego zabytkowe auto tylko z największym trudem wspięło się na wzgórze za domem. Potem było już trochę łatwiej, choć piaszczysta

droga także stanowiła pewne wyzwanie dla nie najmocniejszego przecież silnika. Dojechał w końcu do wsi i zatrzymał się pod sklepem. Wszedł do środka, kupił dla pretekstu gazetę i spytał o drogę. Nigdy dotąd tam nie był, co nagle wydało mu się bardzo dziwne.

Sprzedawczyni patrzyła na niego z mieszaniną respektu, współczucia i odrazy. Uśmiechnął się do niej, co wywołało u niej rodzaj paniki. Nie wiedziała, jak ma się zachować wobec tego człowieka, który zabił Gorbałę w jego własnym domu, a mimo to nie siedzi. Pewnie zastanawiała się, czy palce, którymi podawał jej banknot, nie są przypadkiem pobrudzone krwią.

Wyszedł ze sklepu i wsiadł do samochodu. Ruszył. Trochę kluczył, ale w końcu dotarł. To chyba tu, to ten dom. Opis się zgadzał, a i pasował on w pewnym sensie do tego, co wiedział o jego lokatorach. Tych żywych i tych umarłych.

Zatrzymał auto i wysiadł z samochodu. Przez chwilę stał, patrząc na budynek. Podobny był trochę do tego, w którym sam mieszkał. Poniemiecki, niski, przykryty spadzistym dachem krytym zmurszałymi czerwonymi dachówkami. Różnił się tylko kilkoma przybudówkami doklejonymi do niego z różnych stron.

„Ciekawe, gdzie był jej pokój?”, pomyślał. Pokój Ewy. Ten, z którego wyruszyła w swoją ostatnią podróż. A może nie miała własnego pokoju, może dzieliła go z rodzeństwem? Zaraz się tego dowie.

Podszedł do drzwi i zapukał. Jakoś był pewny, że ona, jej matka,

jest w środku. Przez chwilę poczuł strach i silną chęć ucieczki. Może to wszystko, co sobie wymyślił, to bzdura, a on znowu zrobi z siebie przed nią głupka i zrani ją, jak wtedy?

Otworzyła. Włosy miała w nieładzie, była nieumalowana i ubrana w domowe, sprane i wyświechtane ubranie, lecz wciąż była bardzo ładna. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Mogę wejść? – spytał. – Chciałbym porozmawiać. Nie zajmę dużo czasu.

Kiwnęła głową i wpuściła go do środka. W domu było biednie, ale czysto. Zaprowadziła go do kuchni. Była zdaje się sama.

— Dzieci w szkole? – spytał.

— A gdzie mają być? – odparła. – Jest wtorek.

Usiedli przy stole. Nie zaproponowała mu herbaty ani kawy. Siedziała i czekała, co powie. Zastanawiał się, od czego zacząć.

— Pani też się cieszy, że zabiłem Gorbałę? – spytał w końcu.

Wzruszyła ramionami.

— Nie żałuję go w każdym razie – odparła. – Czego pan chce? – Spojrzała na niego.

Z trudem wytrzymał jej spojrzenie. Było w nim coś ciężkiego. Jakby wszystko, co przeszła, nadało mu stukilowej wagi.

— Chciałbym porozmawiać – powtórzył.

— O czym? – spytała. – Już parę razy rozmawialiśmy.

— Coś się zmieniło – odparł.

— Co?

Jej wzrok wbity w niego... Po co tu w ogóle przyszedł, o co

jeszcze walczył? Zapragnął nagle wyłączyć to wszystko, zgasić jak lampę nad łóżkiem; wygarnąć z kieszeni wszystkie tabletki, połknąć je, a potem wejść do jeziora, zanurzyć się w jego zimne, pachnące zgnilizną wody...

— Wydaje mi się, że teraz lepiej panią rozumiem – powiedział. – Ja też ostatnio straciłem kogoś bardzo mi bliskiego. Kogoś, kogo kochałem. Tak jak pani. Ona nie żyje, tak jak pani córka. Zginęła przeze mnie.

Spojrzała na niego znowu. Tym razem jednak inaczej.

— W pewnym sensie to ja ją zabiłem – ciągnął dalej. Nie było to łatwe. Czuł, jakby z każdym słowem jego krew zmieniała się w ziemię. Jakby przesypywała się przez jego tętnice i żyły cmentarna lawina. – Chciała stąd wyjechać, wie pani? To ja ją zatrzymałem. Zrobiłem to, bo chciałem, by ze mną była. To ja ją zaprowadziłem pierwszy raz do Gorbały.

Spuściła wzrok i wbiła go w stół. Na jej twarzy nie było jednak widać żadnych uczuć.

— A potem, gdy już ją omotał – mówił – gdy była u niego, wszedłem tam, by im przerwać. Gdybym tego nie zrobił, żyłaby, jestem tego pewien. Zgwałciłby ją tylko, tak jak panią. Nigdy wcześniej nikogo przecież nie zabił.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, nie zrobiła jednak tego. W dalszym ciągu wpatrywała się w stół.

— Jest jeszcze coś, coś co mnie szczególnie dręczy. Gdy już go trafiłem, gdy trzymał się za rozciętą szyję, z której płynęła krew,

gdy wiedział, że została mu już tylko najwyżej minuta życia, wycelował we mnie pistolet. Potem jednak uśmiechnął się i skierował lufę na nią. Zabił ją, żebym ja cierpiał. Zabił ją przeze mnie, z mojego powodu. Rozumie to pani? To trochę tak, jakbym ja ją zabił. Niechcący, w pewnym sensie przypadkiem, ale jednak. Wie pani, o czym mówię?

Nie odezwała się nawet słowem. Jej wzrok wciąż utkwiony był w stół. Jakby skamieniała. Niczym Niobe nad grobami swoich dzieci. No właśnie, wiedziała, o czym mówi czy nie?

Postanowił, że on też nie będzie więcej się odzywał. Że poczeka. Milczenie, takie jak to, potrafi być nieznośne. Wręcz zmusza do tego, by ktoś je przerwał. I to nie będzie on.

— Dlaczego mi pan to mówi? — spytała w końcu. Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z samej głębi Hadesu.

— Bo myślę, że nie tylko ja wiem, co pani czuje, ale także pani wie, co czuję ja. Prawda? Pani także wie, jak to jest, gdy człowiek czuje się winny śmierci kogoś bliskiego. Kogoś, kogo kochał być może bardziej od siebie. Mam rację?

Znowu cisza. Jeszcze chwila, a to on tego nie wytrzyma. To tak, jakby próbował ją walnąć swoją własną, otwartą raną. Sięgnął odruchowo do kieszeni i wyciągnął stamtąd oblepioną paprochami tabletkę. To nic, że już dzisiaj brał jedną. Włożył ją do ust i połknął bez popijania.

Naraz usłyszał dźwięk. Na początku myślał, że mu się wydaje. Zamarł bez ruchu, żeby lepiej słyszeć. Nie mylił się jednak. Dźwięk

był cichy, lecz jak najbardziej realny. Długi, monotony, jednostajny. Po chwili zrozumiał, że pochodzi on od niej. Długi, cichy, nieprzerwany jęk. Niczym wycie w rurach.

Pochylił się do przodu i położył jej dłoń na ramieniu. Jęk był coraz głośniejszy, choć jej twarz pozostawała nieruchoma. Dopiero po chwili powieki zacisnęły się, jakby powstrzymywały nie płynące przecież łzy.

Wstał, obszedł stół i podszedł do niej. Uklęknął przy jej krześle i objął ją ramieniem. Przyłgnęła do niego. Jej ciałem zaczęły wstrząsać spazmy. Jęk przeszedł w szloch, a chwilami w zawodzenie. Całe szczęście jego tabletki zaczęły właśnie działać. Uczucia powoli wyłączały się. Patrzył na to wszystko gdzieś z boku, jakby oglądał telewizyjny obraz przez okno u sąsiadów. Jęk, zawodzenie i płacz. Poczul wilgoć na swojej twarzy. „Skąd się tu wzięła?”, pomyślał ze zdziwieniem. Musiały spaść na niego jej łzy.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że to on płacze.

ROZDZIAŁ 55

Siedzieli znowu we troje w pokoju Sądeckiego. On, komisarz i Weronika. Brakowało jeszcze tylko Karoliny. Jedno wolne krzesło jakby czekało na nią. Niczym puste miejsce przy wigilijnym stole.

— Jak na to wpadłeś? – spytała Weronika.

Popatrzył na tory za oknem. Tym razem żaden pociąg po nich nie przejeżdżał.

— Powiedziała kiedyś takie zdanie: „Kto mógł jej zrobić coś takiego?”. Myślałem wtedy, że chodzi o morderstwo. Dopiero wczoraj zrozumiałem, że miała zupełnie coś innego na myśli.

— Co?

— Obnażenie zwłok. To, że ktoś ściągnął jej córce majtki i zadarł sukienkę. To ją najbardziej bulwersowało, z tym nie mogła się pogodzić. Dlatego, że wiedziała, kto był winny jej śmierci. Ona sama.

— Uważasz, że to prawda, co powiedziała? Że to był wypadek? – spytał Sądecki.

— Tak. Uważam, że mówi prawdę. To się układa w prawdopodobną psychologicznie całość. Jej córka zaczęła spotykać się z Gorbałą. Ten skurwysyn wiedział, że może być jej ojcem, mimo to próbował ją uwieść. Kłóciły się o to strasznie z matką, były

między nimi o to ciągle awantury. I kiedy tamtej nocy wróciła do domu pijana i w rozchełstany ubraniu, matka była pewna, że wraca od Gorbały. A ona zamiast zaprzeczyć i wyjaśnić, że miętoliła się w lesie z kolegą z klasy, z głupoty i nastoletniej przekory potwierdziła to. „Tak, no i co z tego?”, wykrzyczała matce w oczy. Krupińska nie wytrzymała i uderzyła córkę w twarz. Otwartą dłonią, ale bardzo mocno. Córka była pijana, straciła równowagę, poleciała do tyłu, przewaliła się przez oparcie kanapy i skrzyła kark. Gdy matka to zobaczyła i gdy minął jej pierwszy szok, wpadła w panikę. Bała się, że odbiorą jej pozostałe dzieci. Już raz opieka społeczna próbowała to zrobić. Gdy odszedł od niej mąż, Krupińska się załamała, miała problemy z alkoholem i zaniedbywała dzieci. Ksiądz się jednak za nią wtedy wstawił, a ona się jakoś ogarnęła. Teraz bała się, że pójdzie do więzienia, a jej dzieci trafią do domu dziecka. Umyła więc zwłoki córki, przebrała w nową sukienkę i na taczce wywiozła do lasu. Tam ładnie ułożyła i zostawiła.

— I tam natknął się na nie pijany Robert Nadolski.

— Tak. I zrobił to, czego jej matka nie mogła potem przeboleć.

— A ksiądz, dlaczego się przyznał?

— Wyspowiadała mu się. I kiedy aresztowaliście Nadolskiego, postanowił interweniować. Wiedział, że to nie on, a nie mógł wyjawić tajemnicy spowiedzi. Postanowił więc przyjąć na siebie jej winę. Wierzył, że uratuje w ten sposób dwoje ludzi – Nadolskiego i Krupińską. A przy okazji odkupi własny grzech. Od dawna był w

depresji, bo uważał, że zabił swoje dziecko, kiedy namówił tamtą dziewczynę do aborcji. Wpadł więc na pomysł, że odpokutuje tamtą zbrodnię, przyznając się do tej.

— Nieźle to pokręcone – zauważył Sądecki.

— Ludzie żyjący w świecie wiary postępują czasem nieracjonalnie z naszego punktu widzenia. Mają inne wektory odniesienia. A on, mimo tego, co zrobił – złamał śluby czystości i zapłacił uwiedzionej przez siebie nastolatce za aborcję – jest człowiekiem wierzącym i wewnętrznym dobrym. Pogubił się tylko trochę, jak czasami my wszyscy.

— No to już chyba wiemy wszystko – powiedziała Weronika. – Co z tym zrobimy? – zwróciła się do komisarza.

Sądecki spojrzał na nią przeciągle.

— Naprawdę? Myślisz o tym? Ty, taka służbistka? Chcesz jej odpuścić? Nie możemy tego zrobić.

— Wiem, że nie możemy – odpowiedziała zrezygnowanym tonem.

— Nawet nie powinniście – powiedział Rozłucki. – Kara jej się przyda. Musi odpokutować swoją winę. Zrobiła straszną rzecz, nawet jeśli niechcący i przypadkiem, i musi za to zapłacić dla własnego zdrowia psychicznego. Lepiej, żeby spędziła parę lat w więzieniu, niż miałaby dusić w sobie tę nierozliczoną winę do końca życia. Jej dzieciom też mniej to zaszkodzi niż wychowywanie się z matką, która ugina się pod takim ciężarem.

— Myślisz, że dużo dostanie? – spytała Weronika Sądeckiego.

Komisarz uniósł brwi.

— Jeśli to dobrze przedstawimy, to niedużo. Nieumyślne spowodowanie śmierci, utrudnianie śledztwa, zacieranie śladów, fałszywe zeznania... Za każdą z tych rzeczy z osobna można spokojnie dostać wyrok w zawieszeniu. Problem w tym, że tu są wszystkie razem. Bardzo dużo zależy od sędziego.

— Powtarzam: mały wyrok nie powinien jej zaszkodzić. Ważne, żeby nie trafiła do więzienia na lata.

— To raczej na pewno nie.

— Ty też nie powinieneś się martwić – dodała Weronika. – Działałeś w obronie własnej. Rozmawialiśmy już z prokuratorem. Nie będzie się czepiał.

— O to najmniej mi chodzi. Może i mi więzienie by nie zaszkodziło?

— Nie gadaj głupot! – burknął Sądecki. – Nigdy tam nie byłeś, więc nie wiesz, o czym mówisz.

— Tu, gdzie jestem teraz, też nie jest za fajnie.

— Ale jak, trzymasz się? – spytała Weronika. W jej głosie chyba dało się słyszeć troskę.

— Tak, trzymam – odparł. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco.

— Tak swoją drogą, nieźle go załatwiłeś – powiedział Sądecki. – On z pistoletem, ty z jakąś starą szablą. Jestem pod wrażeniem. Jak to zrobiłeś? Mógłby cię sprzątnąć cztery razy.

Nie chciało mu się odpowiadać na to pytanie. Był już zmęczony,

naprawdę. Ciekawe, ile jeszcze tabletek zostało w jego kieszeni?

— Powiedziałem, że ma nieodbezpieczony pistolet – odparł niechętnie. – Spojrzał na niego, żeby to sprawdzić, a ja go wtedy pchnąłem ostrzem w szyję.

Sądecki i Weronika popatrzyli na siebie.

— Powiedziałeś, że ma nieodbezpieczony pistolet? – spytał komisarz.

— Tak.

— A on wtedy na niego spojrział?

— Tak. Blefowałem oczywiście, nie mam pojęcia, czy był odbezpieczony, czy nie.

Komisarz chrząknął.

— Problem w tym – powiedział – że to był glock. Glock 17. Te pistolety nie mają bezpiecznika. Przynajmniej nie w tradycyjnym sensie. Nie mają takiego skrzydełka z boku, które się opuszcza albo podnosi. Mają bezpiecznik w spuście. Wystarczy mocniej nacisnąć i pistolet wystrzeli. Gorbała musiał o tym wiedzieć. To w końcu była jego broń. Dlaczego w takim razie na nią spojrział?

Rozłucki popatrzył przed siebie. Za torami wznosiła się skarpa. Pełno na niej było śmieci.

— Odruch – powiedział. – Zasugerowałem mu to, a on to odruchowo sprawdził. Wszystko działo się za szybko i nie zdążył włączyć myślenia.

— W każdym razie miałeś, bracie, cholerne szczęście... – pokręcił głową Sądecki.

— To zależy, jak na to patrzeć – odpowiedział.

ROZDZIAŁ 56

To było już chyba naprawdę wszystko. Nic więcej nie było do zrobienia. Usiadł na krześle i spojrzał na jezioro. Wielka, zielona tafla. Dzisiaj wyjątkowo spokojna.

Był dzisiaj na jej grobie. Pojechał tam zaraz po wizycie na komendzie. Spytał Sądeckiego, a on mu wytłumaczył, jak tam trafić. Pomnik nie był jeszcze postawiony. Niewielki kopczyk ciągle przywalony był zeschniętymi i zszarzałymi wieńcami. Drewniany krzyż z białą tabliczką z jej nazwiskiem nieprzyzwoicie kojarzył się kolorem z tanimi meblami. Patrzył na to nazwisko i nic w zasadzie nie czuł. Nie potrafił zrozumieć i uwierzyć, że ona tam leży. To przyszłoby dopiero z czasem, wiedział o tym.

Szkoda, że nie palił. To byłby dobry moment na zapalenie papierosa. Bo już na napicie się czegoś nie. Wolał być teraz trzeźwy.

Odwlekał tę chwilę, zdawał sobie z tego sprawę. Lecz zdawał sobie również sprawę, że prędzej czy później ona nadejdzie. To było honorowe wyjście. Wygrał może tę ostatnią bitwę, ale wojnę przegrał. Tak właśnie powinno się postąpić.

Znowu mu ktoś przeszkodził. I znowu w ten sam sposób. Dźwięk pracującego silnika samochodu pojawił się niespodziewanie. Z

niechęcią odwrócił głowę od uspokajającego go widoku. Drogą za domem zjeżdżał srebrny passat, na oko ponad dziesięcioletni. Po chwili stanął tuż przed nim zasłaniając mu jezioro.

Za jego kierownicą siedział ksiądz. Zgasił silnik, otworzył drzwi i wysiadł. Ubrany był po cywilnemu.

— Dzień dobry – powiedział i uśmiechnął się nieśmiało. – Przyjechałem się pożegnać.

Rozłucki wstał.

— Wyjeżdża ksiądz?

— Nie „ksiądz”, tylko „pan” – poprawił go łagodnie. – Prosiłem, żeby tak do mnie już nie mówić. Tak, wyjeżdżam. I to zdaje się na zawsze.

Na rozłożonych tylnych siedzeniach samochodu faktycznie piętrzyły się torby i kartony.

— Dlaczego? Został pan oczyszczony z wszystkich zarzutów. Może pan spokojnie wrócić na parafię.

— Chyba już nie chcę. Zrozumiałem przez tę całą historię kilka ważnych rzeczy. Zrozumiałem przede wszystkim, że się myliłem. Przyjąłem na siebie cudzą winę, żeby odpokutować własną. Żeby zadośćuczynić Bogu za grzech, którym go obraziłem. To była moja ostatnia, rozpaczliwa próba, by potwierdzić słuszność wyboru, którego dokonałem, zostając księdzem, i tego drugiego, kiedy odrzuciłem miłość tamtej dziewczyny. Dziś wiem, że to nie Bogu powinienem zadośćuczynić, ale tamtej dziewczynie, którą rozkochałem w sobie, zrobiłem jej dziecko, a potem zostawiłem.

Jadę, by spróbować to zrobić. Jeśli mnie nie przyjmie, to trudno. Zamieszkać gdzieś w pobliżu, znajdę pracę i będę jej pomagał. To będzie moja pokuta.

— Przyjmie pana, jestem o to dziwnie spokojny.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Oby miał pan rację. Mam syna. To taki niespodziewany dar. Dar, który próbowałem odrzucić, ale i tak wrócił do mnie. Nie przypomina to panu czegoś? Abraham też chciał zabić swojego syna, lecz Bóg go powstrzymał. Myślę, że to wszystko nie stało się przypadkiem.

— Z pewnego punktu widzenia nic nie dzieje się przypadkiem. Życzę w każdym razie panu szczęścia.

— Dziękuję. Ja panu też. – Zawahał się przez chwilę. – I w ogóle panu dziękuję. To dzięki panu stało się to wszystko.

„Albo przeze mnie”, pomyślał Rozłucki.

— Proszę księdza... – zaczął.

— Mówiłem, żeby...

Rozłucki podniósł rękę, żeby mu przerwać.

— Proszę księdza, mam jeszcze jedną, ostatnią prośbę. Mógłby mi ksiądz odpuścić grzechy? Wtedy, w areszcie, wyspowiadałem się, lecz nie dostałem rozgrzeszenia.

Ksiądz popatrzył na niego poważnie.

— Wierzy pan w to? – spytał.

— Nie wiem. Może.

— W takim razie nie mogę odmówić.

Podszedł do niego i położył mu dłoń na głowie. Potem zamknął oczy i milczał przez chwilę, jakby odmawiał w myślach modlitwę. W końcu odezwał się:

— Synu, odpuszczam ci twoje grzechy. Idź i nie grzesz więcej.

Potem wykonał nad jego głową znak krzyża.

— Dziękuję – powiedział Rozłucki.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Powinienem teraz odpukać trzy razy, ale nie mam w co.

— Może w samochód?

Ksiądz wrócił do auta i zapukał trzy razy w jego dach.

— No dobra – powiedział. – Lecę już. Wszystkiego dobrego!

Odjechał.

Rozłucki stał jeszcze przez jakiś czas i patrzył na jezioro, w końcu ruszył w jego stronę. Podszedł do brzegu, a potem wszedł dalej. Buty natychmiast nabrały wody, a nogawki spodni przykleiły się do ciała. Wszedł głębiej, aż woda sięgnęła mu do połowy uda. Była zimna, nawet bardzo. Sięgnął do kieszeni i wgrzebał z niej wszystkie tabletki. Spojrzał na swoją otwartą dłoń. Ile ich było, dwadzieścia? Gdzieś koło tego. Plus paprochy i małe niebieskie zwinięte kłębki bawełny.

Wsypał to wszystko do ust, starając się, by ani jedna tabletką nie uciekła i nie wpadła do jeziora. Potem złożył dłonie, nabrał w nie zielonkawej wody i wlał ją do ust. Połknięcie tego wszystkiego nie było łatwe. Za dużo na raz, o mało się nie udławił. W końcu przełknął, choć w oczach stanęły mu łzy. „Następnym razem”,

zazartował sobie w myślach, „trzeba je łykać mniejszymi porcjami”.

Zaczął wchodzić głębiej. Woda sięgnęła mu do pasa a potem do piersi. Nie czuł już zimna, a w zasadzie je czuł, tylko nie zwracał na nie uwagi. Pomyślał, że zapomniał wyjąć z kieszeni telefon. Głupia myśl, bo przecież do niczego już mu się on nie przyda. I wtedy właśnie to się stało. Poczul, że to wszystko, co przed chwilą połknął, próbuje wydostać się z powrotem na zewnątrz. Niepotrzebnie popijał tabletki wodą z jeziora. A może po prostu było ich za dużo?

No dobra, trudno. Skręcił w bok, starając się ominąć brzydką, rozlewającą się po tafli jeziora plamę. Przynajmniej ryby nie będą przez jakiś czas niczego się bać.

Gdy odszedł już wystarczająco daleko, znowu skręcił w stronę środka jeziora. Po chwili woda sięgnęła mu do ramion, a potem do szyi. Wtedy zaczął płynąć. Nie było to łatwe w butach i ubraniu, ale przecież nie musiał płynąć aż na drugi brzeg.

Gdy był już, jak sądził, wystarczająco daleko, przestał płynąć. Pomyślał nagle, że to co robi, jest głupie. Tak zwyczajnie, po prostu. Ale szybko odegnał od siebie tę myśl. Tu przydałyby się właśnie tabletki, które zwymiotował. Nie miałyby już teraz takich wątpliwości.

Przestał ruszać rękami i pozwolił, by mokre i ciężkie ubranie wciągnęło go w głąb wody. Po chwili tafla jeziora zamknęła się nad nim. Opadał powoli z rozłożonymi ramionami. Pomyślał o Justynie Wasilewskiej, której zwłoki przez wiele lat spoczywały w tym jeziorze i której rozpuszczone cząstki ciągle jeszcze w nim zapewne

pływały. Gdy już wreszcie nie wytrzyma i wciągnie do płuc tę zielonkawą, coraz ciemniejszą wodę, połączy się z nią w pewien sposób.

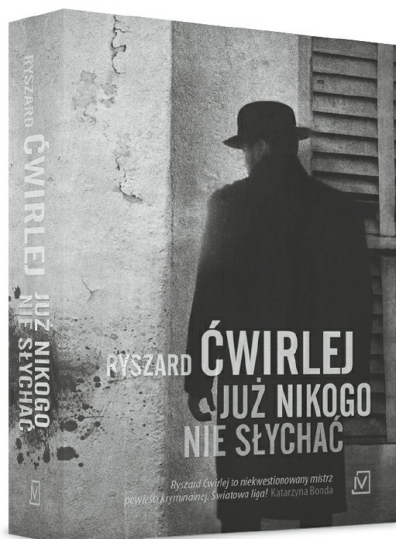
Cała historia zakończy się piękną klamrą.

Dotknął stopami gruntu. Nie było tu tak głęboko, jak się spodziewał. Ciągłe miał jeszcze możliwość odwrotu. Wystarczyłoby parę ruchów rękami, by z powrotem znaleźć się na powierzchni. Instynkt samozachowawczy, nie stłumiony zwymiotowanymi tabletkami, dawał powoli o sobie znać. Poczul strach, prawie panikę. Czy zdoła je przewyciężyć i odetchnąć głęboko tą mieszaniną wody i szlamu? Otworzył oczy. Wydało mu się, że widzi coś przed sobą. Postać kobiety z falującymi w wodzie włosami. Justyny albo Karoliny. Jej oczodoły były czarne i puste. Z jednego z nich wypłynęła mała ryba. Zaczynało mu powoli brakować powietrza. Nadszedł czas na decyzję.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

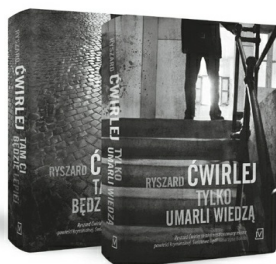
Serdecznie dziękuję Karolinie Rabendzie za pomoc i konsultację z dziedziny psychologii oraz Ani Orszulak za jak zwykle życzliwą recenzję.



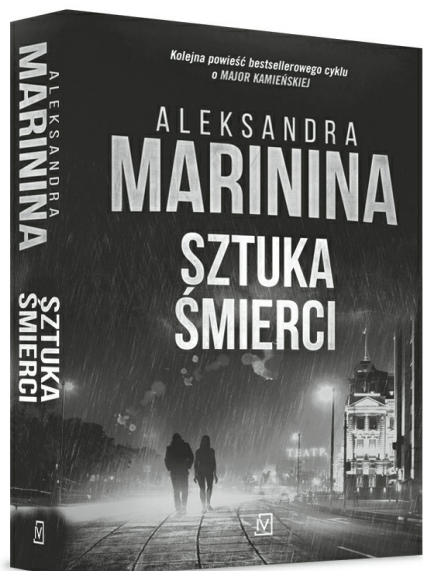
KRYMINAŁ RETRO NAJWYŻSZEJ KLASY!

Listopad 1926 roku. W Poznaniu krążą pogłoski o spodziewanej wizycie Piłsudskiego. Nad bezpieczeństwem Marszałka ma czuwać komisarz Antoni Fischer. Jednak napięta po przewrocie majowym atmosfera w kraju, narastające nastroje antysemickie oraz ciągle ścierający się bolszewicy i narodowcy nie ułatwiają komisarzowi zadania.

Na domiar złego w mieście dochodzi do zbrodni. Młody praktykant znajduje ciało zastrzelonego właściciela zakładu pogrzebowego, Alojzego Kaczmarkiewicza. Jego siostrzeniec Anastazy Olkiewicz, zasłużony w czasie wojny bolszewickiej przodownik policji, za punkt honoru stawia sobie złapanie zabójcy. Niedługo potem, w podobny sposób, ginie działacz partii narodowej, mecenas Olgierd Witecki. Fischer nie ma ani chwili do stracenia, jak najszybciej musi znaleźć groźnego zabójcę.



Ryszard Ćwirlej perfekcyjnie oddaje atmosferę dwudziestolecia międzywojennego. Jego bohaterowie przechadzają się po uliczkach dawnego miasta, zaglądają do barów, zatęchłych piwnic i cel.

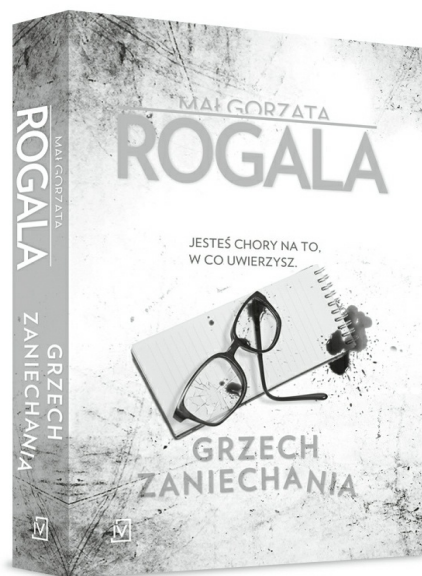


CARYCA
ROSYJSKIEGO
KRYMINAŁU
POWRACA!

W teatrze „Nowa Moskwa” dochodzi do tajemniczego przestępstwa – napadu na L.A. Bogomolova, reżysera i dyrektora teatru. Śledztwo prowadzą Anastazja Kamieńska i jej młody kolega z Pietrowki, detektyw Anton Staszis. Rozpoczęte dochodzenie kieruje ich do zaskakujących rezultatów. Pojawia się wielu podejrzanych, wszyscy kłamią, ale każdy z innego powodu: rodzicielska miłość, ślepa zazdrość, podły szantaż i pragnienie sukcesu, za który zapłacono zbyt wysoką cenę.

Mogłoby się wydawać, że wszystko kręci się wokół teatru, ale jedno małe, z pozoru nieistotne wydarzenie zakorzenione w przeszłości, zbiera śmiertelny plon.

**Nadszedł czas, aby przywrócić
sprawiedliwość...**



**JESTEŚ CHORY NA TO,
W CO UWIERZYSZ.**

Pracownica ośrodka terapeutycznego znajduje leżące na posadzce, zakrwawione zwłoki swojej szefowej – psychiatry Antoniny Brzozowskiej. Na miejsce zbrodni wezwani zostają starsza aspirant Agata Górka i komisarz Sławek Tomczyk. Sprawa z pozoru prosta komplikuje się wraz z przeglądaniem kolejnych akt pacjentów Brzozowskiej. Rozszerza się krąg podejrzanych i trudno jest policjantom znaleźć punkt zaczepienia.

Dochodzenie dodatkowo utrudnia fakt, że Michała Stępnia, byłego partnera Agaty, zamordowano. Policjantka zostaje uwikłana w grę, której reguł nie zna i w której nie obowiązują żadne zasady fair play.

Czy parze śledczych uda się wyjść z kryminalnych porachunków bez szwanku? Czy zdołają złapać mordercę, nim dla wszystkich będzie za późno?

Mistrzynie kryminału psychologicznego powraca!